

Adele Parks

Skok w bok

Przełożyła Anna Mackiewicz

Prolog

Zanim pojawił się Internet, ludzie po prostu spotykali się, robili karierę albo włożyli komuś w dupę. Nastąpiły jednak bardziej higieniczne czasy. Teraz firma organizuje konferencję w Blackpool, korzystając z sieci. Sama nie wiem, co jest bardziej dołujące.

Stosunek do otaczającego świata manifestuję spóźnionym przybyciem do hotelu. Strząsam kwietniowy deszcz z parasola i natychmiast zalewa mnie łobuzerski śmiech dochodzący z hotelowego baru. Oczywiście wieczorne atrakcje już się zaczęły. Szanowni koledzy i koleżanki z pracy potykają się na schodach, prześcigając się w tankowaniu whisky. Nogi mi się uginają, mam ochotę uciec jak najdalej stąd. Chcę być w domu, w ciepłym łóżku przytulić się do męża, czytać albo kochać się z nim. Mąż! Uwielbiam to słowo. Brzmi tak cudownie, że odkąd udało mi się stanąć przed ołtarzem z takim jednym dziewięć miesięcy temu, eksploatuję je z nadmierną częstotliwością.

Zanosi się na kolejną piekielnie nudną konferencję: wszechogarniający testosteron i niewystarczający poziom inteligencji. Pracuję dla dużej firmy doradczej (Looper Jackson), która za sześć miesięcy połączy się z gigantyczną firmą doradcą (Peterson Wind), by stworzyć niewyobrażalnie potężną, przebojową i bombową Peterson Windlooper (nie wiem dokładnie, co zrobią z Jacksonem). Zarząd postawił sobie ambitne cele konferencji: namierzyć urodzonych przywódców, wybrać graczy w zespole, wyłonić przegranych, tak by zgrabnie zrekonstruować oddziały. Rozważam w myślach lepsze propozycje spędzenia czasu. Leżę na plaży w Barbadosie albo siedzę z dziewczynami w Ali Bar One przy King's Road, a właściwie to mogę być gdziekolwiek, byle jak najdalej stąd. No, chwileczkę. Biuro też nie wchodzi w grę. Co za dołująca wizja. Dobra. Czas się zameldować, umyć i dzielnie stawić czoło sytuacji.

W pokoju rzucam torbę, wzdycham, omiatam spojrzeniem pretensjonalne wnętrze i dzwonię do męża. Nie ma go, co było do przewidzenia, niemniej rozczarowana odkładam słuchawkę. Łazienka jest duża i jasna. Straszą w niej kurki w kształcie złotych łabędzi, którym zaraz łamię karki, odkręcając wodę; krwawe klimaty, nie ma co. Przygotowuję kąpiel, opróżniam butelkę soli Crabtree&Evelyn, która rozpuszcza się w pluskającej wodzie. Po tej wonno-mokrej przyjemności czas na ubiór. Obowiązkowy strój wieczorowy, pewnie każda kobieta sięgnie po konwencjonalną, falbaniastą suknię. Nie mam ochoty ginać w tłumie, więc decyduję się na schludny, ale z nutą buntowniczego luzu, strój i wybieram gładkie, czarne spodnie. Góra przemysłana tak, by zaprezentować apetyczny skrawek mego kuszącego brzucha, obecnie prezentującego się świetnie: płaski, opalony, seksowny. Włosy mam na tyle długie, że mogę je upiąć, zawijam kok, ale wychodzi trochę za poważnie, więc pospiesznie wyciągam parę pasemek i modeluję niesforne loki. Zerkam do lusterka i to, co widzę, bardzo mi się podoba. A jeszcze bardziej jestem zadowolona, kiedy chwilę później przedzieram się przez gąszcz białych obrusów, czarnych garniturów i zlewających się balowych sukien.

Przyjęcie spełnia wszystkie kryteria podobnych hulanki: zbyt liczny przepych, niewłaściwa

oprawa i totalna rozpusta.

A całe zgromadzenie wydaje się kompletnie napalone na wieczorne niespodzianki, scena z Sodomy i Gomory. Podchmieleni, zaczerwienieniem faceci zebrani w pulsujące stadka łączywie obłąpiające spojrzeniami kręcące się kobiety. Nabrzmiąte, zapite gęby chwieją się do przodu, mamrocząc słowa. Szanowne panie prezentują się nieźle z rozmazanym makijażem wokół oczu i pod nosem, z błyszczącymi czołami, w raczej niemodnych kreacjach. Jutro nastanie czas zażenowanych spojrzeń, wstydliwych ukłonów i bólu głowy, ale pieprzyć to – dziś przecież wolno wszystko. Chrzanić to i jutro. Dla odmiany mam nieco inny plan: zjeść dobrą kolację, podać zgrabną wymówkę, ewakuować się szybko, udać na spoczynek i zadzwonić do męża. Docieram do stolika, składam zamówienie i wykrzywiam twarz w dobrze wyćwiczonym, gładziutkiem, społecznie aprobowanym uśmiechu.

Jego oczy są niebezpiecznie zdradliwe.

Za duże, za niebieskie, zbyt przenikliwe, by jakkolwiek kobieta zdołała spojrzeć w nie obojętnie. Ma gładką, jasną cerę, spryskaną gdzie trzeba delikatnymi piegami. Smukłe, naprężone, dobrze zbudowane, atletyczne ciało. Wszystko wyważone, w doskonałych proporcjach. Pachnie świeżo, męsko, ale nie perfumami. Patrzy na mnie, błękitne spojrzenie przenika mnie na wskroś i rozwarstwia na plasterki. Emocje wirują jak w kalejdoskopie. Pulsujące odłamki soczystych barw rozsadzają mnie od środka, siejąc zamęt w głowie i piersiach. Czuję, jak serce i majtki zaczynają tętnić tym samym rytmem. Trzęsę się. Przewidywalne tłumy wokół nas zlewają się w jedną, bezkształtną masę, tylko my zostajemy zadziwiająco wyraźni. Tętniące figi marki M&S oszałamiają mnie i zupełnie wytrącają z równowagi. Daruję sobie wszelkie uprzejme wstępy.

– Jestem mężatką – mówię.

– Jestem dziwką. – On się uśmiecha.

Oskarżenie i wyzwanie w jednym.

– No to wstęp mamy z głowy. Napijesz się? – pyta, napełniając mój kieliszek.

Nasze intencje są skandalicznie czytelne. Poziom flirtu może wzbudzać jedynie podziw. W ciągu kilku minut przypominam sobie wszelkie kokietyjne sztuczki, odgrzebane z czasów sprzed ślubu, które ostatnio nie były mi do niczego potrzebne. W zależności od potrzeby zmieniam taktykę; jestem bezpośrednia, zagadkowa, pewna siebie, konkretna, zawstydzona lub uwodzicielska. Znacznie bardziej uwodzicielska niż kiedykolwiek wcześniej. On też jest pełen sprzeczności. Opowiada o nudnej pracy, w której osiąga niesamowite sukcesy. Pokonał wszystkie przeszkody i przeciwności losu, by zdobyć wysoką pozycję w Peterson Wind. Teraz osiągnięty sukces wychodzi mu bokami. Twierdzi, że konferencje to tylko okazja do przedniej zabawy. Oczywiście, że nie ma zamiaru marnować energii na pracę; siły oszczędza na zaliczanie pańienek i narkotyki. Wstaje. Jest zaskakująco niski, może nawet ciut za, ale wciąż wygląda majestatycznie. Prawdziwa zagadka. Nieodwracalnie jednoznaczna.

Rozmawiamy już tylko o seksie, ustalając wspólne preferencje. Wyznaje, że ma

niekontrolowany zwyczaj wyławiania najbardziej pożądanej kobiety w zasięgu wzroku. Sprawdza się w każdych okolicznościach: w pracy, pubie, metrze czy sklepie. Przypominam sobie podobne zdolności i dzielę się tym. Przytakuje i potwierdza:

– To zachowanie kompulsywne. Żaden wyjątkowy talent. Wiele razy z kumplem namierzaliśmy te same lśniące włosy albo szczupłe biodra. Dziwne w tym wszystkim jest tylko to, że rozmawiam z kobietą, która otwarcie przyznaje się do takiego samego zachowania.

Potrząsa głową z niedowierzaniem.

– Czasem, kiedy mam ochotę poderwać jakąś dupę, nie zawracam sobie głowy wybieraniem najatrakcyjniejszej. Szkoda tracić cholerny czas, kiedy się wie, że i tak chodzi tylko o jedno. Celuję więc w najłatwiejszą sztukę. Wyrazistą i wolną.

– A ja jaka jestem? – pytam bez ogródek.

Wiem, nie zamierza się przyznać, że ma ochotę na szybkie rżnięcie, choć ja wysyłam czytelne sygnały. Tak bardzo chcę słyszeć jego komplementy.

– Ty, moja ślicznotko, z tymi szalonymi, kręconymi blond włosami, z tą cudną buźką, boską figurą, pełnymi, krągłymi cyckami i wąską talią...

Dotyka mojego kolana krawędzią szklanki z whisky. Przeszywają mnie dreszcze, ale odpycham go.

– ... ty, z tymi piekielnie inteligentnymi oczami, którymi wyrażasz zimną obojętność, jesteś niewątpliwie najseksowniejszą kobietą w całym towarzystwie.

Znów dotyka mojego kolana, tym razem nie odsuwam go.

– Ale jesteś nieco inna. Bo widzisz, jesteś tu nie tylko najatrakcyjniejsza, ale też najbardziej nieosiągalna. Nie mam zwyczaju mieszać życia zawodowego z osobistym, a poza tym jesteś mężatką. – Siła przyzwyczajenia zmusza go do dodania: – Miałem już dziewięćdziesiąt dziewięć kobiet. Masz ochotę być tą setną?

– Czy ta strategia kiedykolwiek ci się opłaciła? – pytam, śmiejąc się wbrew sobie z zuchwałego pytania.

– Jakies dziewięćdziesiąt dziewięć razy, z tego, co wiem.

– Jesteś żaloszny.

– Ale to cię kręci.

Fakt. Podoba mi się tak bardzo, że zaraz eksploduję. Podoba mi się tak bardzo, że muszę eksplodować. Przysuwa się do mnie. Jestem tak blisko jego ust, że mogę wręcz poczuć w wydychanym przez niego powietrzu smak piwa i papierosów zmieszanych ze zniewalającą zmysły wodą kolońską.

– Fascynujesz mnie, skarbie, jesteś zajebiście fascynująca.

Włosy jeżą mi się z podniecenia; czy kiedykolwiek fascynowałam męża?

– Jesteś tak cholernie pewna siebie, całą sobą. Lubię to w dziewczynach.

Poprawia spodnie w kroku, udaje mu się opanować wytrysk. – Podoba mi się twój spokój. Trochę z tropu zbija mnie ta pewność siebie. Ale żeby być fair, przyznaję, że nie przegięłaś,

oceniając swoją atrakcyjność. Bardzo piękna z ciebie kobieta. A do tego mądra, choć kierujesz się raczej intuicją niż inteligencją i jeśli chcesz wiedzieć, ta pierwsza bardziej mi imponuje, choć obie cechy mają znaczenie. – Nie dając mi chwili na obrażenie się, ciągnie: – Jesteś piekielnie zabawna. Naprawdę jesteś, bo śmiałem się z tobą cały wieczór i nie podejrzewam nawet, byś wysilała się tylko dlatego, aby zasłużyć sobie na moje komplementy.

Kiwam głową, na moment oniemiałam z pożądania i nie potrafię nic odpowiedzieć. Sącze wodę.

– Ale doszliśmy już do tego, że jestem nieosiągalna.

Uśmiecha się.

– No tak. Choć to nieco dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że odpowiedziałas na mój ukłon promiennym uśmiechem. Wydawało mi się wtedy, że twoje oczy, no cóż, jestem na tyle doświadczony, by móc to ocenić, że twoja obojętność to tylko gra. Myślę, że jesteś zdolna do niezobowiązującego i hedonistycznego pieprzenia się, a twoja bezwstydną frywolność mówi sama za siebie.

– Jestem mężatką. – Nie daję za wygraną.

– Powtarzasz się.

– W dodatku szczęśliwą.

– Jak długo? – Szczerzy się bezczelnie.

– Dziewięć miesięcy.

– Dziewięć miesięcy i pozwalasz sobie na takie gierki?

Przez moment wkurza mnie ta bezpośredniość wypływająca z samozadowolenia osiagającego szczytowy poziom.

– Jesteśmy razem od czterech lat.

Robi minę, jakby już to słyszał. Wściekam się na siebie, że próbuję usprawiedliwić swoje zachowanie.

– Przez cały ten czas nawet nie spojrzałam na innego faceta...

– Aż do teraz.

Kończy za mnie zdanie i choć to straszne, trafia w samo sedno.

– Napijesz się jeszcze?

Waham się.

– No, jeszcze jednego – zachęca.

Wstaje i kieruje się w stronę baru. Spoglądam na brylant w złotej oprawie na lewej ręce i podejmuję ostateczną decyzję, kurczowo trzymając się resztek przyzwoitości.

– Możemy sobie flirtować, nie ma w tym nic złego, bo ja naprawdę jestem szczęśliwą mężatką i nie posunę się dalej. Nigdy w życiu nie wpakuję się w żaden romans. Nie będę się kochać z żadnym innym mężczyzną, poza moim mężem.

Staram się wyrażać jasno i precyzyjnie, byleby tylko nie pomyślał sobie Bóg wie czego, byleby ja nie zrozumiała czegoś opacznie! Tyle że jak tylko wracam na właściwy tor i

odzyskuję na moment panowanie nad sobą, słyszę swój głos:

– Ale jeśli się mylę i jednak pójdę z kimś do łóżka, to będziesz to ty.

– Taaaaaaaaaaaaak.

Zwycięsko bije powietrze pięścią i dosłownie pędzi w stronę baru.

Nieeeeeeeeeeee. Siedzę sama w tłumie, przerażona sobą. Jak tylko odwraca się do mnie plecami, ruszam biegiem do pokoju. Zamykam za sobą drzwi i ciężko się o nie opieram. Cała się trzęsę. Jednym kopnięciem ściągam szpilki na stalowym obcasie od Gucciego, powoli się rozbieram i wspinam na łóżko.

Niewiele brakowało. Bardzo niewiele.

Wściekle ubijam poduszkę i formuję męża z pierza. Owijając się ciasno w pościel, uroczyście ślubuję spędzić resztę konferencji, żarliwie unikając towarzystwa tego faceta.

Rozdział 1

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu, kochanie.

Chwilę walczę, zanim udaje mi się otworzyć oczy i usiąść, a tymczasem Luke ostrożnie kładzie tackę ze śniadaniem na łóżku. *Pain au chocolat*, sok ze świeżo wyciskanych pomarańczy, kawa, śliczne kartki z gratulacjami i lilie. Rocznicowy jarmark przyjemności.

– Ojej, dziękuję ci. – Uśmiecham się.

Wykorzystuję mój wyjątkowy uśmiech: seksowny i wyrażający pełne zadowolenie, zarezerwowany jedynie na specjalne okazje, takie jak noc poślubna, rocznice, urodziny, uwodzicielskie wieczory i podobnie wyrafinowane święta. Co prawda odkąd wyszłam za mąż, ten zakres się nieco poszerzył i obejmuje również weekendy, dni powszednie, słoneczne, deszczowe, dni miesiący z „r” w nazwie, a także dni tych miesięcy, które „r” nie posiadają. Nic na to nie poradzę. Umieram ze szczęścia. Szaleję z miłości. Wiem, że te utarte frazesy przyprawiają o mdłości niejednego singla albo ludzi uwiązanych w gównianych małżeństwach, którzy z definicji mnie nie cierpią. Trudno.

Tacka ostrożnie ląduje na naszym łóżku, ja klaszczę wdzięcznie i krzyczę:

– Cudownie!

A potem pocałunek, długi i delikatny.

– Dziękuję ci.

– Nie, to ja ci dziękuję za najlepszy rok w moim życiu – uśmiecha się Luke.

– O nie, to ja dziękuję tobie – nalegam.

Uwielbiam te rozmowy, przeciągane w nieskończoność, kto z nas wygrał los na loterii, wychodząc za drugie. Kto kogo uszczęśliwił bardziej w tym małżeństwie. Twierdzę, że to ja miałam farta. Ale tym razem, zanim damy się ponieść emocjom, Luke zrywa się z łóżka.

– Nie ruszaj się – rozkazuje.

Jakbym miała taki zamiar. Zbiega na dół i chwilę później wraca z butelką *bolle* i dwoma kieliszkami do szampana.

– *De rigueur* – mówi pogodnie.

A potem obchody pierwszej rocznicy ślubu: czytamy kartki, pijemy szampana i kochamy się. Bez przerwy pada pytanie: „Jesteś szczęśliwa/y?”.

– Szalenie. A ty jesteś szczęśliwa/szczęśliwy?

– Jak nigdy dotąd.

To jeden z naszych kolejnych ulubionych skeczy. Te słowa padają, tak często że odpowiadam bez zastanowienia. Zresztą nie ma nad czym się zastanawiać. Szalejemy za sobą.

Nigdy dotąd nie czułam się tak szczęśliwa, spełniona i pewna siebie. Nie kryłam pogardy, kiedy moje trzy młodsze siostry popędziły przede mną do ołtarza. I miałam to gdzieś, że rodzice wyrażali całkiem inne zdanie na ten temat. Nie posiadali się z radości i szczęścia, które sięgnęło zenitu, kiedy wszystkie trzy uwiły swe gniazdko w Sheffield, w promieniu mniej więcej pięciu

kilometrów od rodzinnego domostwa. Biedna mama prawie padła trupem, kiedy uparłam się na hulaszczę życie w Londynie, gdzie, jak powtarzała mi w kółko: „Czekają na ciebie same kłopoty”. I tak mijały lata, a ja z każdym następnym rokiem utwierdzałam się w przekonaniu, jak bardzo ją rozczarowuję. Z tą hańbą i wstydem było mi nawet do twarzy, szczególnie w koktajlbarach i nocnych klubach. I chociaż moja matka żyła w przekonaniu, że zachorowałam na nieuleczalne dupczenie się, moi przyjaciele nie mogli wyjść ze zdziwienia, kiedy zaręczyłam się tak młodo. I że w ogóle się zaręczyłam. Nie uchodziłam za dobry materiał na narzeczoną. Zanim poznałam Luke’a, uważałam siebie za stuprocentową kobietę kategorii „Cosmopolitan”. Zawsze byłam gorącą zwolenniczką bezwstydnego flirtu, a kiedy miałam dość, przechodziłam na stronę niestrudzonych orędowniczek rewolucji seksualnej. Jak wiele podobnych kobiet desperacko dążyłam do pozbycia się kłopotliwego braku doświadczenia, nie szczędząc sił, by dać się poznać z każdej możliwej strony. Pędziłam na oślep, szłam przebojem, jeśli było trzeba, przepychałam się w kolejce, by beztrósco porzucić swą niewinność. Zostawiłam za sobą obraz świętej Madonny, a jako wzór obrałam jej wersję gwiazdy pop. Żadnej rezerwy. Zero skrupułów. Przecwiczylam wszystkie pozycje z *Kamasutry* (poza przerażającym „oddechem smoka”). Korzystałam z wszelkich możliwych okazji, by zaspokoić swoją ciekawość w niezliczonych romantycznych i seksualnych związkach.

Rozkwitałam dla wyzwania.

Do życia budziło mnie polowanie.

Za zdobycz gotowa byłam umrzeć.

Z wdzięcznością przyjmowałam fakt, że poznawane dziewczyny poszłyby za mną w ogień. To była frajda należeć do paczki „więcej niż pięć, mniej niż dziesięć”. W końcu laski były naprawdę super, wyglądały bosko i, jak mi się wtedy wydawało, kochałam je wszystkie, no przynajmniej jedną na trzy. Szybko awansowałam do bardziej licznego grona („więcej niż dziesięć, mniej niż dwadzieścia”). I znacznie częściej to do mnie należało ostatnie słowo. Przerobiłam wszystko: przygody jednej nocy, związki długofalowe, spanie z tymi, których pożądał cały świat, spanie z tymi, których nikt nie chciał, seks, bo był wysportowany lub fajny, albo był kapitanem drużyny futbolowej, bo był starszy albo młodszy, bo pomógł mi pozbierać się po skończonym związku albo żeby jemu pomóc zapomnieć, bo miał dłuższe niż wszyscy włosy albo całkiem krótkie, bo byłam zbyt zmęczona, żeby czekać na taksówkę, a raz nawet, bo zrobił fajną sztuczkę z papierka od ciasteczka o smaku amaretto. To wtedy przestałam liczyć i zaczęłam się zastanawiać, czy puszczanie się na lewo i prawo jest na pewno tym, o co chodziło sufrażystkom. Nawet taka różnorodność zaczęła być nudna.

No i spotkałam Luke’a. Na weselu. Odprowadzał gości na wskazane miejsca i skorzystał z okazji, by poflirtować, wiodąc mnie do wyznaczonej ławki w kościele. Ma metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, opadające, jasne włosy, które proszą się, by mierzwić je palcami, a przede wszystkim posiada ten cudowny, wszechogarniający uśmiech, a na dodatek wtedy odziany był w najprawdziwszy frak. Zapragnęłam go natychmiast. Nie mogłam oderwać od niego oczu.

Obserwowałam, jak rozdawał śpiewniki, gawędził z ciotkami i babciami, sprawiając, że nagle czuły się ważne i interesujące. Zanim Rose zaczęła kroić ślubny tort, zadurzyłam się po uszy. Kiedy rzuciła ślubnym bukietem, byłam zakochana.

Luke.

Technika uwodzenia Luke'a należała do niecodziennych. Mój mężczyzna okazał się dosłownie chodzącym przewodnikiem *Wolny czas dla aktywnych*, z nim po prostu nie dało się nudzić. Zapalony poszukiwacz wrażeń, nieprzejmujący się trudnościami i niezdolny do traktowania czegokolwiek po łebkach, należał do tych gości, którzy muszą spróbować wszystkiego: tańca ceroc, body paintingu, wspinaczki, dyskusji radiowych, kajakarstwa, rolek, wyścigów chartów.

– Co byś powiedziała na meczyk squasha?

– Nie umiem grać w squasha – odparłam, przeklinając w duchu mój wyjątkowy brak talentu w koordynacji oko-ręka-piłka.

– Nauczę cię.

I tak zrobił. Bo nagle okazało się, że jego towarzystwo ma na mnie zbawienny wpływ. Oto robiłam rzeczy, które do tej pory były poza moim zasięgiem. Jego wrodzona, zrównoważona pewność siebie była zaraźliwa i działała jak balsam na moją niecierpliwą i żywiołową naturę. Nie zdarzyło się, żebyśmy spędzali randki w pubie czy przed telewizorem. Zawsze robiliśmy coś niezwykłego, ekscytującego i cudownego. Tak jakoś się składało, że „akurat” miał bilety do Comedy Club na premierę oryginalnego przedstawienia alternatywnego, rozgrywanego w miejscach o tak śmiesznych nazwach jak Cebulowa Szopa albo Księżycowa Kraina. Zawsze było coś do roboty: pływaliliśmy, surfowaliśmy, zwiedzaliśmy galerie albo organizowaliśmy przyjęcia. I wszystko robiliśmy razem, a on stał się moim nowym, najlepszym przyjacielem. Najlepszym z najlepszych. Dosyć szybko dotarło do mnie, że był mężczyzną, na którego czekałam wieki.

Poczułam się wolna i ulżyło mi. Cudownie było odkryć na nowo seks wolny od gierek, bólu i wstydu. Po paru miesiącach Luke wręczył mi piękny brylantowy pierścionek, który przyjął bez cienia wątpliwości. Połączyła nas prawdziwa miłość. Pokochanie go było tak naturalnie rozsądne. Ten szybki obrót spraw wydawał mi się romantyczny. Przeciwnie niż mojej matce, która węszyła podstęp i uparła się na trzyletni okres narzeczeńskiej próby, by uciszyć plotki o wizytach w sklepie z artykułami dla niemowląt.

Przy boku Luke'a czuję się bezpiecznie, on zapewnia mi ochronę i przyzwoitość. Żadnej z moich przyjaciółek, mężatce czy nie, ani na trzeźwo, ani po pijaku nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Z dziewczynami przerabiamy tematy kalorii, doświadczeń z dzieciństwa, takich jak kradzieże w sklepach, liczbę tamponów użytych przy obfitych okresach i wszystko, co można sobie wyobrazić. Ale z jakichś powodów dzielenie się tymi nowymi doświadczeniami jest dla mnie kłopotliwe i nie na miejscu; zdradziłabym swoje zaangażowanie.

W nieskończoność przeciągamy leniuchowanie w łóżku. Dostaję gęziej skórki z radości na myśl, że resztę dnia spędzimy razem. Ostatnimi czasy norma w pracy Luke'a to czternaście

godzin na dobę, a on – choć rzekomo należy do grona normalnych facetów – ma całkowitego bzika na punkcie swojej roboty. Kiedy zdarza mu się nie pracować, wspólnie bierzemy się za domowe obowiązki. Toczymy niekończące się walki z popękkanymi ścianami i z ogrodem, który uparcie zarasta. Rozrywki typu teatr alternatywny czy windsurfing to zbytki, na które nie możemy już sobie pozwolić. Dzisiaj jest święto, więc rozmawiamy. Wspominamy naszą wspólną przeszłość, filmy, które obejrzelśmy, zwiedzane miejsca, wrzaskliwe kłótnie i pojednania. Planujemy wspólną przyszłość, która jawi się nam na różowo. Ubolewam nad moją pracą w Looper Jackson, marudzę, jak bardzo jestem nią znudzona. Luke przypomina, że dobrze płacą, a nadchodzące zmiany szykują nowe wyzwania. To miłe, że próbuje mnie pocieszyć, sprawić, bym poczuła się ważna i doceniona, ale nie daję się przekonać. On uwielbia swoją pracę i mój problem jest poza zasięgiem jego rozumowania. Nie mam o to pretensji. Rozmowa o mojej pracy dołuje nas oboje, więc zmieniam temat. Obwieszczam mu, że pralka przecieka, a on rewanżuje się historyjką o kocie sąsiadów, który sika na nasze zioła. Choć to bez sensu, ogarnia nas histeryczny śmiech (to pewnie szampan) i kiedy ledwo udaje mu się dojść do puenty, ja odczuwam przymus odwiedzenia łazienki. Nie chce mnie puścić i muszę sięgnąć po groźby złowieszcze. Intensywność emocji, które przeżywamy, jest proporcjonalna do głębokości zażyłości, jaką osiągnęliśmy. Za oknem słońce. Moje ciało ogarnia fala motyli pocałunków, a ja po mistrzowsku obciążam mu druta, po czym zaspokojeni zasypiamy.

Budzimy się nagle o jedenastej i odgrywamy scenkę z filmu *Cztery wesela i pogrzeb*. Tę, w której Hugh Grant i jego współlokatorka zaspali, potem wstają i latają dookoła, krzycząc: „Kur-wa! W kinie wszyscy leżą z tego momentu. Nie żeby scenariusz był taki zabawny, ale to doświadczenie znane każdemu z autopsji. Zwykle dzieje się tak wtedy, gdy masz rozmowę kwalifikacyjną o pracę życia albo prawdziwą superrandkę lub jest pierwszy dzień wyprzedaży w Harvey Nichols, albo właśnie spodziewasz się pięćdziesięciu gości zaproszonych na uroczysty lunch i szampana mniej więcej za dwie godziny. Pędzimy pod prysznic i z powrotem, latamy w górę i w dół po schodach, do lodówki i po ogrodzie. Sprzątamy, ubieramy się, smażyjemy, doprawiamy, rozkładamy leżaki, krzesła i parasole. Układamy gazety, a w miejscach strategicznych lokujemy przekąski. Całość ozdabiamy setką srebrnych balonów wypełnionych helem, ładujemy film do aparatu, polerujemy kieliszki do szampana i ubieramy się w nasze wyjściowe kreacje od Armaniego. I często krzyczymy: „Kurwa!”.

Firma cateringowa przygotowała i przywiozła jedzenie, więc jedyne, co zostało do zrobienia, to zdjęć folię z tacek. Dobrze i to, bo lubię uczucie, że coś zrobiłam, a robota kosztuje trochę wysiłku. Wszystko prezentuje się fantastycznie na naszym ogromnym drewnianym stole (zainwestowaliśmy w ten mebel, gdyż oboje pochodzimy z licznych rodzin i planujemy mieć przynajmniej czwórkę dzieci). Patrę na jedzenie z dumą zmieszaną z rozbawieniem. *Zucca gialla intere al forno eon pomodori secchi* (pieczona papryka nadziewana suszonymi pomidorami), *zucchini carpaccio* (cieniutkie plasterki cukinii), *insalata prosciutto efichi* (szynka plus figi – gdyby coś takiego znalazło się w kanapce do szkoły, nie znalazłby się nawet jeden

chętny do konsumpcji) i jeszcze cała góra makaronu, sałatki z polenty, stopy warzyw, których nazw i tak nikt nie zna, a do tego masa świeżych owoców leśnych (dobrych kolorystycznie). Wszystko wygląda jak z gabloty supertrendy hipermarketu BlueBird przy King's Road, co zresztą nie powinno dziwić, bo catering zamówiłam w supertrendy hipermarkecie BlueBird przy King's Road. Szaleństwo to niezła zabawa, więc latam dookoła z aparatem w ręku i strzelam artystyczne zdjęcia: jedzenie ujęte przez kieliszki do szampana, odbicie jedzenia w balonach wypełnionych helem, odbicie kieliszków w balonach wypełnionych helem i balony wypełnione helem, odbite w kieliszkach. Luke, zwolennik bardziej praktycznego zachowania, przypomina, że mamy cztery skrzynki szampana do schłodzenia i podczas gdy ja udaję wytrawnego fotografa, on napełnia wannę lodem i dwudziestoma butelkami z bąbelkowym płynem. Jak tylko udaje nam się upchnąć gdzieś zawartość wielkiej jak słoń lodówki, wciskamy tam resztę szampana. W końcu, za pięć pierwsza wznosimy gratulacyjny toast na cześć tak serdecznie gościnnych gospodarzy, wysławiając ich klasę, styl i osiągnięty sukces.

A pięć po pierwszej sprawdzam, czy na zaproszeniu aby na pewno wydrukowano datę dwudziestego szóstego lipca. Jeszcze nikt nie dotarł. Siedem po pierwszej upewniam się dwa razy, że dzwonek działa bez zarzutu. Dziesięć po zaczynam snuć koszmarnie wizje, że nikt się nie pojawi. Luke nalewa mi drinka.

– Ludzie nie lubią naszych imprez – ubolewam.

– Myślisz, że mamy reputację skapiradeł? – pyta, podając mi drinka i głaszcząc moje ramię.

Kiedy pogrążam się w rozpaczliwych teoriach, on częstuje czułym całusem prosto w czubek głowy.

– Co za głupota zakładać, że ludzie zostawią swoje niedzielne sprawy i przylecą do nas, by świętować naszą rocznicę.

Jedenaście po pierwszej zaczynam z powrotem pakować *zucca gialla intere alforno eon pomodori secchi*, pocieszając się w myślach, że na jakiś miesiąc możemy sobie odpuścić zakupy.

Dzwonek. Luke zrywa się do drzwi. Uśmiecha się do mnie i powstrzymuje się przed durnymi uwagami typu: „A nie mówiłem” albo „Cierpliwość jest cnotą”, o czym zresztą przypominam sobie nieustannie. Dobrze wie, że odpaliłabym mu w stylu: „Ze wszystkich cnót cierpliwość jest najbardziej przereklamowana”. Przyjaciele zaczynają się schodzić, dosłownie ciągną jeden za drugim. Wszyscy mówią coś miłego na temat naszego domu, jedzenia i mnie. I wszyscy wyglądają bosko, znoszą jeszcze więcej procentowych płynów do tankowania.

Nasi przyjaciele są świetni. Naprawdę super. Każdy to przykład człowieka sukcesu. Są zdrowi, inteligentni, zabawni, piękni, a do tego dobrzy i serdeczni. Pewnie, trudno nie być serdecznym, skoro osiągnęło się sukces, jest się zdrowym, inteligentnym, zabawnym i pięknym. Jednak nie wszystkie te atuty posiada się ot tak i na zawsze. Każdy z nas, bez wyjątku, na jakimś etapie swojego życia miał pod górkę. Na głowę zwały się różne rzeczy: nieudane związki, egzaminy, praca. Przytrafiały się choroby, na szczęście nic bardzo poważnego (odpukać w niemalowane drewno), z tego, co pamiętam, to grypa i rozklekotane kolana, którym nie

przysłużył się zbyt intensywny trening przed londyńskim maratonem. Zdarzają się okresy, kiedy ludzie stają się nerwowi, nudni, spięci lub pryszczaci, a ja z Luke'm nie stanowimy tu wyjątków. Ale ogólnie mówiąc, towarzystwo jest boskie – wysportowane, mądre i przystojne. Co prawda, może nie jestem obiektywna, bo w końcu to moi przyjaciele.

Kiedy więc pojawiają się te wszystkie młode, opalone, pełne ufności twarze, nastawione na popołudnie wypełnione śmiechem i frywolną zabawą, rozpiera mnie duma. Jestem dumna z Luke'a, dumna z naszego życia, przyjaciół i z siebie.

Ludzie, których można kochać i nienawidzić. Tak to już w tym życiu jest, że różnimy się od siebie bardziej lub mniej, i choćby nie wiem jak się człowiek starał, nie da się uwielbiać wszystkich dookoła. Może byłoby prościej, gdybyśmy się wszyscy kochali, ale z pewnością i nudniej.

Luke – kochany, cudowny, uprzejmy, szczodry i mądry Luke. Z Lucy i Daisy przyjaźnimy się od studiów. Przyszła i Rose, siostra Daisy, ze swoim mężem, Peterem. To właśnie na ich ślubie poznaliśmy się z Luke'm. I Sam, moja najlepsza kumpelka z pracy.

Lucy jest szczuplutka (brytyjski rozmiar 8), wysoka, ma nieskazitelną, piękną cerę, ogromne, zielone oczy i długie, proste naturalne blond włosy (sza!), miękko opadające na plecy. Każdy przyzna, że to chodząca piękność, olśniewająco urodziwa kobieta, do tego właścicielka zgrabnego tyłeczka, sporych piersi i talii osy. Oczywiście Lucy jest w pełni świadoma swojego wyglądu. Musiałaby być głucha, ślepa i tępa, a w dodatku żyć w pustelnicznym odosobnieniu, by nie zauważyć swojej modelowej urody. Trzeba jej oddać, że nie traktuje tych atutów jako karty przetargowej w życiu, a radzi sobie w nim całkiem nieźle. Zajmuje się handlem instrumentami pochodnymi (cokolwiek to jest; głupio pytać po tak długim czasie), zarabia na tym niesamowitą masę pieniędzy i cieszy się powszechnym szacunkiem w City. Co, zważywszy na jej urodę, wcale nie jest łatwe. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety uważają powszechnie, że takie piękności muszą być głupie. Każda z płci ma swoje powody, by w to wierzyć. Faceci, gdyż takie stereotypy chronią ich przed niezbyt wygodnymi dla nich wnioskami. Kobiety zaś sądzą, że musi istnieć jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

Lucy trudno znaleźć przyjaciół. Mężczyźni wychodzą co prawda z założenia, że warto by poznać ją głębiej, ale nie chodzi im bynajmniej o sferę psychiczną. A dla kobiet jest zbyt poważnym zagrożeniem. Lucy się tym nie przejmuje. Zresztą to byłby szczyt głupoty zamartwiać się z powodu urody, mądrości, sukcesu zawodowego i bogactwa. Zamiast więc ubolewać nad swym losem, przystosowała się do życia w samotności.

I lubi to.

Do pewnego stopnia.

Lucy pociesza się myślą, że na tym świecie żyje paru ludzi równie interesujących, jak ona. I to nie tak, że łatwo ją spotkać bez towarzystwa. Zawsze znajdzie się ktoś gotów, by stać się jej bratnią duszą, nawet jeśli ta zażyłość trwa do momentu ustalenia, jaką ona stosuje dietę i ile ćwiczy (w obu kwestiach stosuje wyważony umiar). Nie brak też facetów z zaproszeniami na

eleganckie kolacje i niezmiennie są to nieprzyzwoicie bogaci, gwiazdorskiej urody, z dożywotnim członkostwem w Mensie przedstawiciele płci brzydkiej. Szkopuł w tym, że nie zdarza się, by następnego dnia ta sama dziewczyna rozprawiała z Lucy na temat diety albo ten sam mężczyzna próbował ją trochę podtuczyć. W rezultacie Lucy uzbroiła się w szorstką, nieprzeniknioną skorupę rezerwy. To jej obrona, a uroda gra w ataku. Większość ludzi uważa, że Lucy jest straszna. Pewnie mają rację. Pewnie zżera ich zazdrość. Pewnie mają trochę racji i trochę zżera ich zazdrość. Ona zaś twierdzi, że jestem jej pierwszą, najlepszą, prawdopodobnie jedyną prawdziwą przyjaciółką. I nie sądzę, by powtarzała te słowa komukolwiek innemu.

Spotkałyśmy się całe wieki temu, pierwszego dnia naszej studenckiej kariery. Ojciec Lucy zaparkował ich daimlera dokładnie w tym samym momencie, kiedy mój tato wyłączył silnik w naszym citroenie na parkingu przed akademikiem. Roznosiła mnie wtedy przekraczająca zdrowy poziom energia, żywiołowość i optymizm. Od razu dostrzegłam Lucy, a mojej uwagi nie uszedł fakt, że wyćwiczonym okiem zmierzyła mnie od stóp do głów. Odnotowała następujące informacje: Connie (to ja), rozmiar 10, małe cycki, ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, niezła (choć bez rewelacji) figura, długie włosy (takie miałam wtedy). Teraz są równo podcięte, ale (w przeciwieństwie do Lucy) na głowie piętrzą mi się szalone pukielki i loki, i nie są one w jednolitym kolorze srebrzystego blondu, tylko tworzą ciepłą gamę refleksów w niezliczonych złotych odcieniach (bełkot z magazynów), czyli dziwnie wyglądające żółtawe pasemka (trafny werdykt jury). Są moim przekleństwem, choć wszyscy dookoła są innego zdania i uwielbiają je. Później Lucy wyznała mi, że uznała moją twarz za nieskończenie piękną i to ona właśnie przykuła jej uwagę. Porównuje ją do anielskiej buzi, cherubinka, który kryje w sobie jakąś wyuzdaną, niecną i ekscytującą tajemnicę. Ten opis nieco mnie zawstydza, niemniej traktuję go jako komplement pierwszej klasy.

Jedziemy dalej. Z Daisy też poznałyśmy się na uniwerku. Obie czekałyśmy, by zapisać się na przedmioty uzupełniające. Obserwowałam Daisy, kiedy stała pokornie w kolejce, nieco zdenerwowana, gorączkowo unikając wzroku innych studentów. Ja zaś, zupełnie odwrotnie, rozdawałam uśmiechy na prawo i lewo, gadałam z kim popadnie i desperacko próbowałam się integrować z każdym, kto dawał mi szansę. Pomyślałam sobie, że to wyważona, spokojna, zdystansowana dziewczyna. I kiedy Daisy doczekała się swojej kolejki i właśnie miała zniknąć za drzwiami, za którymi szczęśliwcy zapisywali się na przedmioty, by zaraz potem zająć miejsca w barku, zawołałam ją, nieco głośniejszą, niż zamierzałam. Mój głos przebił kilka toczących się konwersacji, siejąc nieznośnie koszmarną ciszę. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

– Jakie uzupy wybierasz?

Posługiwanie się studenckim slangiem należało do uniwersyteckiej poprawności. „Uzup” – przedmioty uzupełniające, „uni” – uniwersytet. Klub dla juniorów to JK. Biegłe opanowanie tego języka zajęło mi dwa dni. Żadna ze mnie poliglotka, ale zdaję sobie sprawę, jak ważne jest naturalne wtopienie się w środowisko. Nigdy nie zabieraj ze sobą mapy, nie pytaj o drogę i nie ufaj kierowcom w kapeluszach.

Uznałam, że Daisy wygląda naprawdę interesująco i inteligentnie. Oczekiwałam, że właśnie kogoś takiego spotkam na uniwerku – uosobienie powagi, szacunku i rywalizacji. Spojrzała na mnie osłupiała ze zdziwienia, kiedy odezwałam się do niej w tak bezpardonowy sposób. Przyznała się później, że zamurowała ją na amen nie dlatego, że wydarłam się na cały głos, ale że zwróciłam się właśnie do niej.

Nie odpowiedziała mi od razu, myśląc, że pytam kogoś obok. Nie grzeszyliśmy wtedy wygórowanym mniemaniem o sobie! Przede wszystkim brakowało nam pewności siebie, a do tego nie ufałyśmy otaczającej rzeczywistości. Cudowny okres młodości marnuje się przez bycie młodym. Trudno przecież cieszyć się młodością, kiedy jest się zbyt ubogim, zarówno w dobra materialne, jak i emocjonalnie. Stuknęła mi trzydziestka, wiek dojrzałej wiary we własne możliwości, więc wiem, co mówię. Poza momentami, kiedy urządzam imprezę. Jestem pewna siebie, ale nie niepokonana.

Daisy kombinowała, jakby odpowiedzieć nie tylko zabawnie, ale i zachęcająco. Zbita z tropu, postanowiła trzymać się faktów, oznajmiając mi, że wybrała filologię klasyczną. Siedząc później w barku, na pomarańczowych krzesłach firmy Formica, odkryłam, że Daisy miała całe mnóstwo powodów przemawiających za jej wyborem. Wiedziała już coś niecoś na temat greckiej i rzymskiej mitologii, którą uważała za fascynującą. Miała nadzieję, że głębsze poznanie świata bogiń i Diomedesa pomoże jej w zrozumieniu klasycznych wpływów na literaturę angielską (jej główny przedmiot).

Zapisałam się na filologię klasyczną, bo tak zrobiła Daisy.

Później dzieliłyśmy się notatkami, sekretami, stresami, sukcesami, czyli tym wszystkim, co niesie ze sobą studenckie życie. Dzień po dniu stawałyśmy się sobie bliższe. I podczas gdy ja pracowałam usilnie nad poszerzaniem kręgu moich znajomych do gigantycznych rozmiarów (wśród nich zdarzały się jednostki wyjątkowe, acz trudne w obyciu, lub nieco za płytkie luzaki), Daisy ograniczyła się do kilku bratnich dusz. Dziś twierdzi, że jest moją najbliższą i najnudniejszą przyjaciółką. Lucy uważa siebie za moją najbliższą i jednocześnie najbardziej fantastyczną przyjaciółkę. Śmiem twierdzić, że każda w połowie ma rację.

Daisy ma metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i uważa siebie za niezgrabną olbrzymkę. Toczy jednoczesną walkę z wagą i samooceną, a kiedy jedno rośnie, drugie proporcjonalnie maleje. Wstydzi się swoich okularów, rudych włosów, ciuchów z M&S i pryszczycy. Zalicza siebie do zdolnych, ale zupełnie nijakich dziewczyn. I dziwi ją niebywale, że nikt nie zwraca uwagi na jej niedoskonałości. Daisy ma cudne oczy, dowcipny język, serdeczne usposobienie i niespotykane wysoki stopień uczciwości oraz wrażliwości. I choćbym nie wiem, jak się starała, nie dostrzegam wad, przy których ona się upiera.

– Mam takie gęste włosy, nie da się ich normalnie ułożyć.

– Są takie jak moje, tylko rude.

Gapiliśmy się na siebie, w pełni świadome konsekwencji tej zasadniczej różnicy. Próbowałam innych pocieszycielskich argumentów.

– Dla preraphaelitów byłabyś muzą.

Przez te wszystkie lata Daisy doszła w końcu do wniosku, że jeśli ja potrafię dostrzec w niej to, co piękne, i jeśli Lucy też to widzi, to może (ale tylko może) rzeczywiście ma jakieś powody do dumy. I w momencie, kiedy miałyśmy z Lucy dość i poddałyśmy się, uznając, że Daisy nigdy siebie nie polubi, ta nagle zaczęła kumać, o co chodzi. Zamieniła okulary na szkła kontaktowe, a jej cera, nieobciążana permanentnym stresem, odwdzieczyła się redukcją pryszczy. Włosy zaś pozostały rude i kręcone.

Rose jest siostrą Daisy, starszą od niej o całe trzy lata, czyli liczy sobie trzydzieści dwie, no, prawie trzydzieści trzy wiosny. Pierwszy raz spotkałam ją na uniwerku, kiedy przyjechała odwiedzić Daisy. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, ale już wyglądała na trzydzieści dwa – wiek dinozaurów – można więc pomyśleć, że Rose ma teraz pięćdziesiąt dwa lata. I to nie wygląd ją tak postarza. Właściwie Rose prezentuje się bardzo dobrze. Wygląda jak trzydziestodwulatka, a może raczej trzydziestodwulatka w wyobrażeniu osiemnastolatka. Jej rozmiar to wygodna, obszerna 16. Też jest ruda, ale ma ciemniejsze włosy niż Daisy. Uprawia ogródek. Potrafi szyć. Robi konfitury. Bynajmniej nie dlatego, że nie ma co robić z wolnym czasem. Po prostu posiada takie osobliwe skłonności. Rose jest żoną Petera. Kiedy po raz pierwszy przywiozła go, by poznał Daisy, Lucy i ja wisiałyśmy w oknie naszego pokoju, dźgając się bezlitośnie łokciami i walcząc o lepszy widok. Warto było. Peter jest wysoki, ma wysportowane ciało, to bardzo przystojny mężczyzna. Później dane nam było się przekonać, że jest równie mądry, jak czarujący. Lucy nie mogła przyznać, że Rose wygrała los na loterii, zamiast tego wydusiła z siebie, że „nie jest taki zły”, co w jej ustach brzmiało jak największy komplement. Mają bliźniaków, dwóch ślicznych chłopców – Sebastiana i Henry’ego. Cała czwórka wygląda na szczęśliwych i spełnionych; dobrze jest ich zapraszać na przyjęcia, bo Luke lubi Petera, wszyscy przepadają za chłopcami, a Rose zawsze pomaga w zmywaniu.

Została jeszcze Sam. Co nie znaczy, że nie mam więcej znajomych. Ona wieńczy listę najbliższych mi przyjaciół, których znam na wylot i obdarzam płomiennym uczuciem. Chociaż kiedy sobie o tym myślę, wydaje się, że czwórka naprawdę drogich przyjaciół to całkiem sporo. Takich od serca. Doskonały materiał na zaufane druhnny. Do diabła, wyszłaby niezła kombinacja całej damskiej rozmiarówki spowitej w niemowlęcy błękit. Nie brałam tego pod uwagę, nawet kiedy przyszło mi połączyć swoje imię z nazwiskiem Luke’a. Od czasu tego odkrycia zawsze radzę świeżo upieczonym narzeczonym, by krytycznym okiem przyjrzały się swoim najlepszym przyjaciółkom i uczciwie się zastanowiły, jaka różowa kreacja mogłaby dodać Sue parę centymetrów wzrostu, wydłużyć nogi Jane i wyszczuplić Karen w pasie.

Sam znam zaledwie od dwóch lat. Pracujemy razem. Jest bardzo zabawna. Wygląda na niewiniątko, ale potrafi pokazać rogi, jeśli wypije o parę kieliszków za dużo. To kochana dziewczyna. Życzliwa i dobroduszna, empatyczna i hojna, a te wszystkie przymioty są zmiksowane z końską dawką dobrego humoru. To taka osoba, która cieszy się wiosennymi porankami i jesiennymi wieczorami. Ale jeśli trzeba, lubi jesienne poranki, wiosenne wieczory i

całą resztę pomiędzy. Ma trzydzieści trzy lata, co dziwi wszystkich, jej nie wyłączając. Gdyby musiała siebie opisać, z pewnością nie dodałaby, że ma dosłownie masę bardzo fajnych, oddanych przyjaciół, których zjednała sobie niezachwianą lojalnością. Przemilczałaby fakt, że posiada najcudowniejsze brązowe oczy, ogromne, aksamitne plamy, (choć to niezbyt poetyckie porównanie dla tego niezziemskiego zjawiska). Nie wspomniałaby słowem, że potrafi powalić ludzi na kolana i rozśmieszyć ich do łez, kiedy zaczyna się wygłupiać. Przedstawiłaby się mniej więcej tak: „Witam, nazywam się Sam Martin, mam trzydzieści trzy lata i jestem singielką”. A że jest rozbijającą szczerą, dodałaby: „I to mnie martwi”. A że ma lekką obsesję na tym punkcie, posunęłaby się trochę dalej i dopowiedziałaby: „Nawet bardzo”. Albo poprosiłaby o krzesło i z wszelkimi detalami, skrupulatnie udokumentowałaby wszystkie – od A do Z – przeżyte romanse i uczuciowe katastrofy, które miały miejsce od piętnastego do trzydziestego trzeciego roku jej życia.

Sam, mniej więcej od połowy swojego życia, próbowała wyjść za mąż. To przedziwne, że kobiety takie jak ona jeszcze istnieją. Piękne, lubiane, ambitne, z klasą i wciąż samotne. Jest ich mnóstwo, setki podobnych siedzą w biurach, a całe armie maszerują wzdłuż i wszerz londyńskiej metropolii. Można je spotkać w towarzystwie małżeństw, zdeklarowanych singli czy ludzi, których mało obchodzi ich matrymonialno-romantyczny status (nie sądzę, by ta ostatnia grupa należała do najliczniejszej, ale słyszałam, że odnotowano podobne przypadki). Kobiety takie jak Sam łatwo zidentyfikować, bo w wyglądzie mają coś takiego, co w późnych latach dziewięćdziesiątych zaczęto odczytywać jako: „Co jest ze mną nie tak? Dlaczego mojej matce poszło tak łatwo, a mnie jest tak cholernie ciężko?”. Na próżno wachają swe pachy, szukając śmierdzącego dowodu na swą samotność, te kobiety nie śmierdzą potem. To boskie stworzenia. Mówię zupełnie poważnie, ożeniłabym się z Sam i byłabym dumna. Nie jestem lesbijką. Ale gdybym była i gdyby Sam nią była, i gdyby małżeństwo dwóch zdeklarowanych dorosłych tej samej płci było możliwe, to ożeniłabym się z Sam.

Nie daje mi to spokoju.

Przyjęcie udaje się rewelacyjnie. Picia i jedzenia jest pod dostatkiem i wszyscy nasi piękni znajomi bawią się świetnie. Ludzie tańczą albo przynajmniej podrygują w tę i we w tę, wykonują gwiazdorskie skoki i gestykują szaleńczo. Damska część pożąda czekoladowych łakoci, podczas gdy męskie grono mierzy od stóp do głów piękne panie. Obfitość szampana porywa nas do odtąnczenia macareny, co prawda nie w takt kultowego wykonania *Birdie Song*, zarezerwowanej na okazje zakrapiane whisky. Impreza jest fantastyczna, ludzie piją z butelek, inni karmią się *zucchini carpaccio*, chociaż niezmiennie części karmionych i karmiących nie przystoi ten publiczny flirt. Są i tacy, którzy inhalują się helem z balonów, a potem zgięci ze śmiechu piszczą: „Cześć, jestem Myszka Miki”. Nasze przyjęcie spełnia wszystkie kryteria udanej zabawy; są więc elementy niespodzianki, jest zachwyty, hałaśliwy śmiech, żywiołowy płas, zawadiacki ton, flirt, szczypta sceptycyzmu, upojenie, absurd. Sukces mierzę liczbą upitych ludzi

i tych, którzy próbują zachować pozory trzeźwości. Na naprawdę urąbanych wyglądają jedynie pechowi kierowcy, w rzeczywistości zupełnie trzeźwi świadkowie szampańskiej zabawy. Taki to obyczaj. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale wszystko skrupulatnie uwieczniam na zdjęciach.

Obserwuję, jak Luke uwija się między gośćmi, napełnia kieliszki, śmieje się z usłyszanym dowcipów i cierpliwie wysłuchuje kolejnych historii o niespełnionej miłości. Ludzie chętnie mu się zwierniają, ufają mu. Wszyscy za nim przepadają, a i on lubi wszystkich. W sumie to wspaniała sprawa, ale ma dwa zasadnicze minusy. Po pierwsze Luke nigdy nie plotkuje. Mój rachunek telefoniczny za rozmowy z Lucy jest astronomiczny. Mam ją w opcji „tanie gadanie” i różne takie, często łapiemy się na bonus w postaci dwudziestoprocentowej zniżki. A i tak kwota jest zawrotna. Po drugie, czasami zastanawiam się, jak to jest być lubianym przez tylko cudownych ludzi i kochanym przez jedynie wyjątkowe osoby. Ale te chwilowe braki pewności siebie są natychmiast wypierane na myśl o Lucy.

– Tańczysz? – szczerzę się z nadzieją do Luke’a.

– Zapraszasz? – śmieje się w odpowiedzi.

Zawsze go proszę, bo uwielbiam tańczyć. Jestem w tym dobra. Ubóstwiam uczucie, kiedy zupełnie zatracam się w tej przyjemności. Wymachuję w powietrzu nogami i rękami, potrząsam głową, rozluźniam mięśnie, wykonując swobodne ruchy. Przeważnie nie dbam o to, jaka leci melodia, jaki jest rytm, bo i tak nie ma to żadnego znaczenia. Mój entuzjazm sprawdza się przy każdej piosence. Luke też jest niezłym tancerzem. Kiedyś regularnie odwiedzaliśmy najbardziej roztańczone kluby. Mój mąż ma nieco inny styl. Wpierw skrupulatnie uczy się kroków i ruchów. Jest ostrożny i wyważony. Kiedy ja wracam z parkietu, czuję spocony brzuch, włosy lepią mi się do karku, mam rozmazany makijaż, ledwo zipię i bolą mnie wszystkie mięśnie. Luke poci się bardzo rzadko.

– A więc? – pytam ponownie i wolno ruszam w kierunku dywanu, który naturalnie wyznacza granice parkietu.

Ale Luke nie podąża za mną. Prawdopodobnie zauważył pusty kieliszek albo że grillowane papryki z anchois i kaparami stoją zupełnie zapomniane w kącie. Luke jest o niebo lepszym gospodarzem ode mnie. Nie troszczę się o ludzi na imprezach. Bardzo często, żeby nie powiedzieć zawsze, jestem zdolna do zatroszczenia się jedynie o siebie samą. Dla mnie idealna gospodyni to taka, która zapewni góry dobrego jedzenia, morze szampana oraz atrakcyjnych i pasjonujących gości. Te wszystkie składniki umieszczam w jednym pokoju i czekam na efekty. Lubię obserwować chaos, kiedy towarzystwo zaczyna się mieszać. Nie przyszłoby mi do głowy przedstawić sobie Billa i Jo, bo oboje interesują się filmami Alfreda Hitchcocka. Zakładam, że moi znajomi dysponują wystarczającym zasobem słów, by sprostać wzajemnemu przedstawieniu się, że sami znajdą drogę do łazienki, i byłabym szczerze zaniepokojona, gdyby nie potrafili samodzielnie napełnić swoich kieliszków. Na szczęście mój stosunek, określany mianem *laisserfaire*, kontrastuje dla równowagi z bardziej tradycyjnym podejściem Luke’a. Ten nie spocznie, póki nie upewni się, że w łazience na dole nie brakuje czystych ręczników i papieru

toaletowego, a do tego ma tak praktyczne zdolności, jak zagwarantowanie, * że każdy opuści przyjęcie w swoim płaszczu i z właściwym partnerem. Tak naprawdę to dzięki Luke'owi nasze przyjęcia są udane. Więc jest całkiem zrozumiałe, że Luke nie może sobie zrobić przerwy na taniec ze mną. Może to i ciut frustrujące. Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu kolejnej ofiary i doprowadzam Petera do stanu skrajnego wykończenia. Następnie tańczę z Daisy, Sam, Bobem, Philem i Claire. Nie dyskryminuję nikogo, w doborze partnerów czynnikiem decydującym jest umiejętność wirowania moją osobą do momentu, kiedy zaczyna mi się kręcić w głowie.

Oddycham z ulgą, kiedy machamy z Lukiem na pożegnanie ostatnim gościom. No, niezupełnie ostatnim, bo Sam, Daisy, Lucy, Rose i Peter jeszcze zostają. Ale to zacne grono jest nam bliskie jak rodzina. Uśmiecham się do Luke'a, kiedy szczerze napełnia nam kieliszki brandy. Kiwa głową w stronę ogrodu, dając do zrozumienia, że on i Peter oddalają się tam na cygare i kontemplację ciepłego lipcowego wieczoru. Wolałabym, żeby został i zabrał się do ogarnięcia bałaganu, ale on słusznie zauważa, że nie lubimy, kiedy ktoś pali w środku. Święta prawda, posiadamy tyle pięknych przedmiotów, że byłoby przestępstwem wypalić dziurę w antycznej francuskiej, haftowanej poduszce czy zabrudzić popiołem ręcznie tkany, marokański dywan. Do takich wniosków trzeba dojrzeć, przychodzą z wiekiem, zupełnie jak zatwardzenia. Lucy dotrzymuje towarzystwa chłopakom i oddala się na papierosa. Nie jest tajemnicą, że pali, w końcu na uniwerku popalałyśmy razem. Tyle że robiłyśmy to dla efektu, nigdy dla przyjemności. Opanowałyśmy technikę sztachnięcia i tyle.

Na łebka wypadło około półtorej butelki szampana, więc absurdem byłoby nie polepszyć tego wyniku. Wyruszamy na poimprezowe poławianie resztek. Znajdujemy trzy butelki z mniej więcej połową zawartości. Butelki są ciężkie, a że alkoholu było pod dostatkiem, nikt nie cierpiał z powodu presji picia do dna, oprócz nas, teraz. Wcale nie uważamy, że to zachowanie w złym guście, wręcz przeciwnie, stwierdzamy, iż nie ma nic bardziej rozsądnego pod słońcem. Kiedy trzymamy już pełne kieliszki, wracamy do kwestii sprzątanania.

– Nie, zostawcie – stwierdzam wielkodusznie. – Posprząta się rano.

Tylko nadmiar zatankowanych procentów sprawia, że wierzę we własne słowa.

– Siadajmy i pogadajmy.

Niewątpliwą zaletą zniknięcia Luke'a z zasięgu słuchu jest to, że mogę z czystym sumieniem oddać się przyjemności sprawozdania z przyjęcia. Kto co powiedział? Kto wyglądał zabójczo? Kto okazał się ofiarą? Kto komu się podoba? Kto zjadł za dużo? I sprawa ważna – kto się porzygał na mój tybetański, ręcznie rzeźbiony stojak na parasole? Co było do przewidzenia, Sam i Daisy nie dają się długo namawiać i dosłownie porzucają wszystko, co mają w rękach (odnotowuję w pamięci: dokupić dwa talerzyki) i zwalają się na nasze wielkie, skórzane fotele. Rose, Bogu dzięki za takich ludzi, kontynuuje dokładne zdrapywanie resztek jedzenia z talerzy i serwetek. Ponownie nalewam dziewczynom szampana, a następnie wracam do ładowania zmywarki. Nic, że operacja przebiega zatrważająco chaotycznie. I tak dobrze wiem, że nie spocznę, póki przynajmniej jedna porcja naczyń nie zacznie się zmywać. Całkowitą winę za to

zachowanie ponosi moja matka.

Nieco zamroczone, pełne po brzegi, trochę w nostalgicznym nastroju, wszystkie czujemy się świetnie.

– Puść kasetę z waszego ślubu. – Propozycja pada z ust Sam.

– E tam. Widziałyście to setki razy – odmawiam uprzejmie, acz niezbyt przekonująco.

– Ale to taki uroczy film. – Sam dobrze zna formułkę.

– No dalej, przecież o niczym innym nie marzysz – mówi Lucy, wchodząc do pokoju.

Jej akurat nie bardzo wychodzi udział w mojej grze.

Pojawia się też Luke, by napęłnić kieliszki brandy. Unosi brwi i potrząsa głową. Obojętna reakcja, trochę podszyta pobłażliwym zniecierpliwieniem, oczekiwane męskie zachowanie, kiedy baby dobierają się do kaset ze ślubu i różnych takich (te „różne takie” obejmują podziwianie zdjęć dzieci, pianie nad fotografiami z dzieciństwa, wspomnianie pierwszych randek albo oświadczeń, wybieranie bielizny lub kartek walentynkowych). I chyba nikt tak naprawdę nie wierzy, że faceci nie mają głowy do podobnych spraw albo że mają je po prostu gdzieś. To wielki, globalny spisek, dzięki któremu możemy tkwić w przeświadczeniu, jacy oni są twardzi i poważni, a my zachowujemy wyłączne prawo do wszelkich ckliwych dyrdymałów. Cały świat się tak kręci. A więc Luke maszeruje obok telewizora, wywracając oczyma, a ja nie uświadomię towarzystwa, że wczoraj o trzeciej nad ranem przyłapałam go, jak gapi się w ekran, na którym leciał nasz ślub.

– Ochhhh... – Dziewczyny zaczynają chóralne jęki i przysuwają się do telewizora, tuląc poduszki.

Nawet oblicze Lucy łagodnieje. Tak jakby.

– Świetną miałam wtedy fryzurę.

Ta kasetka, a właściwie wszystkie ślubne filmy mają szczególny wpływ na kobiety. Dzielimy tyle wspólnych cech: przepadamy za czekoladą, uwielbiamy dobry alkohol, posiadamy encyklopedyczną wiedzę na temat sklepów przy głównej ulicy. Każda z nas czytała wszystko, co kiedykolwiek wyszło spod pióra Jane Austen, i wszystkie żywymy nierealne, płomienne nadzieje na świat pełen szczęśliwej miłości.

Sam i Daisy, dwie singielki, przeobrażają się w inne zwierzęta, jak tylko zaczyna się film. Sam zaczyna płakać. Płakała zresztą, gdy kupowałam sukienkę, przechlipała całą ceremonię, gdy śpiewaliśmy hymny, gdy kroiliśmy tort weselny, gdy rzuciłam bukiet i gdy ruszyliśmy w podróż poślubną. Zanosila się tak rzewnymi łzami, że moja babcia myślała, iż to jedna z byłych Luke’a. Babcia uznała, że to dość szczególne („ale typowe dla ukochanej Connie”), by jedna z byłych Luke’a („która zachowywała się tak, jak można się było spodziewać”) brała udział w ceremonii. Dostało się Sam za to, że miała czelność się pojawić. Biedna Sam. Oglądała ten film częściej niż *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, a zaczyna ryczeć, jak tylko odzywają się organy, i jestem pewna, że nie użala się nad ich smętną jakością. Ciche łzy spływają po policzkach. I nie jest to żaloszny skowyt, ale tkliwe wzruszenie, że „mnie-to-też-kiedyś-spotka”. Przypuszczam, że w tych

momentach, kiedy śmieje się pod nosem, myśli sobie: „Na pewno nie popełnię tego błędu, by trzymać bukiet tak wysoko, zasłania cały dekolt”. Sam dogłębnie przestudiowała tę taśmę.

Reakcja Daisy jest o niebo bardziej powściągliwa i kontrolowana. Co prawda, ta miała w swoim życiu paru chłopaków, ale nigdy jeszcze dla żadnego nie straciła głowy i serca. Cierpi na syndrom Tego Jedyne. Daisy popada w stan zadumy i wypowiada kwestie typu: „Dobrze wiesz, kiedy to nadejdzie”, „Miłości nie można przyspieszyć”, „Gdzieś na świecie istnieje druga połówka pomarańczy”. Chociaż wszystkie kochamy Daisy, ten pseudopocieszający bełkot gra nam na nerwach. Rose i ja zaliczamy się do grona oddanych członkiń klubu, którego dewizą jest: „Wiedziałam, ale to on mnie przekonał”, „Miłość można przyspieszyć, a jeśli trzeba, nawet z szybkością Schumachera”, „Kto, do cholery, ma ochotę wychodzić za połówkę pomarańczy?”.

Lucy czerpie przyjemność z oglądania filmu z całkiem innego powodu. Zakłada cynicznie, że udało się jej nie paść ofiarą spisku każdego przyjęcia weselnego, na które uczęszcza. Dziękuje Bogu, że to nie ona jest tą nieszczęsną marionetką przystrojoną niczym drzewko świąteczne i zmuszoną do odegrania groteskowej roli w przedstawieniu. Właściwie, to nawet podobało się jej moje wesele, bo skomentowała je w stylu: „Tak niewiele przyjęć ma klasę. Konwencja i tradycja robią swoje i zdrowy rozsądek oraz dobry smak szlag trafia. Ale twoje, Connie (pauza dla wzmocnienia efektu), nie przyniosło wstydu”. Cieszyliśmy się z Lukiem z tego komplementu. A Lucy lubi oglądać film, bo powierzyłam jej rolę głównej drużyny na ślubie, dzięki czemu kamera rejestrowała ją bardzo często. Wypowiadane przez nią komentarze ograniczają się głównie do uwag typu: „Świetnie wyglądałam” i tylko czasem pada wskazówka pod naszym adresem: „Patrząc wstecz, czy dziś wybrałybyś te same buty?”. Trzeba przyznać, że tamtego dnia spisała się na medal. Do mojego domu wparowała bladym świtem i od razu przejęła dowództwo nad sztabem fryzjerek, wizażystek, panią od dekoracji kwiatowych, szoferem i resztą druhen; czyniła to z taką werwą i zapałem, że miałam cały ten bałagan z głowy i mogłam w pełni cieszyć się ceremonią. Szefowanie, dyrygowanie i tym podobne umiejętnie połączyła z wlewaniem we mnie i moją mamę nieprzebranych ilości szampana. Twierdziła, że to jedyny sposób, bym dała radę przejść przez to wszystko, ale wiem, że żartowała. A więc kiedy Lucy tak sobie siedzi i odgrywa superdziwkę, doskonale zdajemy sobie sprawę, że to tylko taka poza. Bo ona nie jest superdziwką.

Rose śledzi akcję ze spokojem i subtelną mądrością. Sama już przez to przechodziła, więc nie ma potrzeby współzawodnictwa, porównywania, ubolewania, wyrażania nadziei. Zauważa, że wyglądaliśmy na bardzo szczęśliwych i wyśmiewa przemówienie Petera, drużby pana młodego.

Mnie zaś rozpiesza duma, kiedy oglądam kasetę. Mam wrażenie, że podziwiam kogoś obcego. Wszystko jest takie perfekcyjne.

Co prawda, to fakt, że ledwie pięć minut po ślubie twoja sukienka to przebrzmiały hit, za fryzurę można się tylko wstydzić, a makijaż jest marną podróbką z „Top of the Pops”. [Brytyjski program muzyczny poświęcony muzyce pop. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).] Nie wspominają o tym w ślubnych magazynach. W zamian dostajesz niezliczoną ilość porad na temat

październikowych kwiatów, kiedy powinnaś zdjąć welon albo co to dokładnie jest *croque en bouche*. Trudno uznać to za kwestie życia i śmierci. Z pewną dozą współczucia traktuję jeszcze sprawy typu: „Jak mam ustalić miejsca przy stole, skoro i tato, i ojczym pojawią się na przyjęciu?”, mniej wyrozumiałości mam dla: „Chciałabym mieć irlandzkich tancerzy/dudy/tancerzy Morris – czy wiecie, gdzie można zamówić podobne atrakcje?” (z pewnością rada byłaby: „Daj sobie spokój”). „Czy wiecie, gdzie można nabyć ślubne pantofelki w rozmiarze 44?” to problem, który jestem w stanie jeszcze zrozumieć, ale naprawdę, wrzucmy na luz z takimi bzdetami i przejdźmy do arystotelesowskich kwestii dotyczących ślubnej ceremonii. „Jak mogę uchronić się przed wyjściem z mody mojej sukienki, tak bym na piątą rocznicę ślubu, kiedy mąż wyciągnie ślubny album, nie musiała chować się za sofą?”. Kolejna rzecz: „Czy potraficie dyskretnie doradzić taki makijaż, by uniknąć wstydu, jaki przeżyła Olivia Newton John, występując niegdyś w getrach?”. Ale magazyny milczą na temat tak ważkich kwestii, więc nie marnujcie czasu, szukając ich w kioskach.

Taśma z filmem to najbardziej czadowa rzecz, jeśli chodzi o nasze wesele. Uwielbiam ten film. Myślałam, że mi się nie spodoba. Sądziłam, że kamerzysta będzie zbyt nachalny (nie myliłam się). Przypuszczałam, że przyjaciele będą pękać ze śmiechu (tak też się stało). Stwierdziłam, że będzie to tylko kolejna rzecz na głowie (i tak było), ale mamusia uparła się, że kamera to niezbędny element wesela i że kiedyś będzie mi droższa niż ślubna sukienka (prawdopodobnie powiedziała, że będzie mi droższa niż własny mąż, ale muszę wyważyć nieco jej ton dla celów komercyjnych). Tak czy siak, miała rację. Uwielbiam ten film.

Zawsze twierdziłam, że nie chcę imprezy w wielkim stylu. Wyobrażałam sobie prostą, kremową i skromną (ma się rozumieć to wizja sukni, a nie, broń Boże, czegoś do jedzenia lub kogoś do poślubienia) ceremonię w gronie oddanych przyjaciół. Najbliższy i najdroższy memu sercu ledwo powstrzymał wybuch gromkiego śmiechu. Właściwie nikt nawet nie zakpił: „Ale przecież uwielbiasz być w centrum uwagi. Nie wyobrażam sobie, żebyś przepuściła taką okazję”. Nikt też w zasadzie nie szydził: „Przecież urządzasz przyjęcia częściej, niż przeciętny człowiek zakrywa narzutą nieposłane łóżko”. Zamiast tego-moja mama kupiła bieżący numer „Naszego Ślubu”. Artystyczna dusza, moja mamusia.

Wciągnęłam się maksymalnie. Uległam fascynacji. Dostałam totalnego bzika. Za chwilę miałam zostać panną młodą.

Nie byłoby nic wyjątkowego w tych magazynach, gdyby nie fakt, że całkiem rozsądne kobiety, z przeciętnie zdrowym ciałem i duchem, nie tylko kupują te gazety, ale i nader często zaopatrują się w kolejne numery wszystkich tytułów dostępnych na rynku. Co więcej, święcie wierzą w każde wydrukowane słowo! Artykuły i zdjęcia stają się nagle bardzo ważne, przejmują rolę zaufanych przewodników, oddanych przyjaciół czy Biblii, jak kto woli. Dokładnie pamiętam moment, kiedy mama wręczała mi magazyn. Moment fenomenalnego olśnienia. Od tej pamiętnej chwili heroiczne słowa „prosta”, „kremowa”, „skromna”, „grono najbliższych przyjaciół” przeszły do historii. Nagle nawrócenie. Zrozumiałam, że więcej znaczyło więcej. Okładka była...

jakby to określić, taka... obiecująca, różowa, radosna, różowa, pouczająca, różowa. Nawet jeśli nie jest różowa, tylko niebieska, to ma się wrażenie, że jest różowa. Rozmarzona, dziewczęca, wymarzona, niewinna. Nagle musiałam znać dokładnie przepis na „Idealny makijaż i fryzurę krok po kroku” czy odpowiedzieć sobie na pytanie: „Ile naprawdę kosztuje ślub?” albo „Gdzie posadzić rozwiedzionych rodziców?” (moi przetrwali w sakramentalnym „tak”). Zapragnęłam tego wszystkiego. A ten magazyn natchnął mnie do walki o: „... a potem żyli długo i szczęśliwie”, bo właśnie tu znalazłam czarno na białym: „Tego dnia zamień się w księżniczkę”. Całe to objawienie jedynie za niecałe trzy funty. Sprzedane pani po lewej. I pani po prawej. I tej stojącej z tyłu też.

Poświęciłam całe godziny, które przeszły w tygodnie, na wybranie sukienki, kwiatów, samochodów, menu, butów, stroików na głowę. Z panem młodym poszło gładko. Bardziej niepokojące było to, że poświęciłam całe godziny, które przeciągnęły się w miesiące, na wyćwiczenie uśmiechu w-tym-dniu, sposobu poruszania się w-tym-dniu, pierwszego tańca w-tym-dniu, niewinnego rumieńca w-tym-dniu (wcześniej nigdy się nie rumieniłam), wreszcie podziękowań w-tym-dniu.

Zapomniałam się zupełnie w fantastycznym świecie ślubnego kobierca i nie mogę powiedzieć, by było mi tam źle.

Film sprowadza mnie na ziemię. Gwiazdorski wygląd panny młodej, uwieczniony na kasecie, ma się nijak do wizji skromnej, tajemniczej księżniczki w barwach sepia. Widać za to hałaśliwą, apodyktyczną, zabawną, szczęśliwą, technikolorową, dwudziestoparoletnią pannę młodą, która bawi się znakomicie z bandą swoich hałaśliwych, apodyktycznych, zabawnych, szczęśliwych, technikolorowych, dwudziestoparoletnich przyjaciół. Uwieczniony jest Peter, jak robi Luke’a w konia, udając, że zapomniał obrączek, czy Daisy, która zatrzymuje mnie dosłownie w momencie, kiedy mam wejść do kościoła, by poprawić mój welon. Widać naszego kolegę, Roba, z rozpiętym rozporkiem, Sam i Lucy sprzeczące się o to, która złapie bukiet (obie obeszły się smakiem, bo kwiaty wylądowały w rękach Daisy). Sfilmowany jest młodszy brat Luke’a przechwalający się, że trzymał Jakąś ptaszynę” za włosy, kiedy ta rzygała, mój tatuś potykający się co chwilę w nieco chwiejnym marszu w stronę taksówki, już pod koniec imprezy, i mama wzdychająca czule: „Odkąd cię znam, czyli od trzydziestu pięciu lat, nie zdarzyło ci się wrócić trzeźwym z wesela”. Słodkie.

Romantyczne kawałki nie mają nic wspólnego z obrazkami z magazynów, są prawdziwsze. I o wiele prostsze. Luke uśmiechający się do mnie. Ja spoglądająca na niego promiennie. Nasze splecione ręce.

Oglądamy film jak leci, ani razu nie korzystamy z pilota, by przyspieszyć akcję. Kiedy kaseta się kończy, nie ma w domu jednej suchej pary oczu. Lucy roniła łzy z nudów.

Następny dzień dłuży się niemiłosiernie. To normalne, że po fantastycznym weekendzie, w poniedziałek jest zawsze więcej papierkowej roboty. Głowa mi pęka od niezdrowej kombinacji,

którą sobie zafundowałam: brak snu, nadmiar spożytego alkoholu, dół po weekendowym uniesieniu. Znudzona wzdycham na myśl, że od kolejnych wolnych chwil dzieli mnie pięć dni pracy. Co prawda, moja praca nie jest wcale taka zła. Nie tkwię w permanentnej nienawiści do mojego życia zawodowego. Ale to praca. Z definicji skazana na niechęć. Jestem tutaj, bo mi płacą. Wygrana na loterii z pewnością odmieniłaby moje życie.

Na ludziach zawsze robi to wrażenie, kiedy przedstawiam się jako konsultant do spraw zarządzania, tyle że w istocie moja rola ogranicza się do wklepywania danych do systemu. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy w miarę upływu lat, jako bardziej doświadczony pracownik, zacznę decydować, w jaki sposób i które informacje mają być wpisane. Szczytem awansu będzie moment, gdy to ode mnie będzie zależało, jakie oprogramowanie wybrać i kto ma być podłączony do systemu. Zero wyzwania. Zero kreatywności. Kiedy spotykam ludzi na imprezach i wyjawiam, co robię, a oni reagują podekscytowani: „To musi być fascynujące” albo „Pracujesz dla świetnej firmy, jakim cudem załatwiłaś sobie u nich robotę?”, czuję się nieszczerze i głupio. Chamsko byłoby odpowiedzieć po prostu: „Nie, to nic niezwykłego, każdy dałby sobie radę. Więcej adrenaliny zapewniłoby mi gapienie się w bęben pracującej pralki”.

Mimo wszystko moja praca ma pewne zalety. Na przykład Sam, która siedzi trzy biurka dalej, jest zawsze pod ręką, kiedy człowiek ma ochotę na pogawędkę albo na zjedzenie kanapki w porze lunchu w miłym towarzystwie. Nasze komputery ustawione są w jednym z tych ogromnych, otwartych pomieszczeń z tak zwanymi „gorącymi biurkami”, co jest równie wścibskie, jak i nieefektywne. Nikt tak naprawdę nie spala się za tymi biurkami. Jak tylko nowo zatrudniona dziewczyna złapie się na krzykliwą reklamę w prasie i zajmie miejsce przy którymś ze starych biurek, wkrótce zdaje sobie sprawę z własnego błędu. Dobrą stroną biura bez ścianek działowych jest to, że z obrączką na ręku nie mam nic parszywego do ukrycia i dlatego nie przeszkadza mi dogłębna, publiczna analiza mojego życia prywatnego. Jeśli zaliczamy z Lukiem upojną noc w weekend, opinie puszczone w obieg kolejnego dnia są pełne uznania, że ten facet nadal mnie pożąda po roku wspólnego pożycia. I odwrotnie, brak fizycznego zbliżenia nie dziwi nikogo, nie wzbudza podejrzeń, no bo w końcu jesteśmy ze sobą od lat i okres seksualnego pożądania mamy już dawno za sobą. Jako jedyna mężatka w tym departamencie korzystam z możliwości oferowanych przez otwartą przestrzeń i zupełnie za friko przeżywam miłosne uniesienia, zarówno te z miękkim, jak i twardym lądowaniem, doświadczane przez koleżanki zza biurek. Nasz wydział zwie się Doradztwo Organizacyjne, zupełnie świeżutki pomysł. Firma jest odpowiedzią na postępujący technologicznie świat. Doradztwo Organizacyjne ma na celu pomoc wszystkim małuczkim w dostosowaniu się do zmian narzuconych przez wielkich tego świata. A że jest to „praca dla ludzi”, jak łatwo się domyślić, nasz wydział stanowią w przeważającej mierze kobiety. A że w całej firmie pracują głównie faceci, to zawsze znajdzie się jakaś panna z naszej drużyny obściskująca się z gościem z innej drużyny, co oczywiście stanowi złamanie wszelkich zasad i dlatego pokusa jest nie do odparcia. Poza tą wewnątrzzakładową rozrywką, niewątpliwym atutem mojej pracy jest fakt, że placówka znajduje się w centrum Soho, czyli

wszelkie odlotowe miejsca stworzone dla nocnych, zakrapianych balang mam pod ręką, tak samo jak siłownię (cha, cha), a do tego dosłownie za sąsiednimi drzwiami znajduje się naprawdę fajny Pręt a Manger. [Sieć barów ze zdrową żywnością.]

Ranek wlecze się niemiłosiernie. Ułożyłam trzy (nieudane) pasjansy na komputerze, odebrałam dwa osobiste telefony i wysłałam sześć prywatnych e-maili. By uniknąć oskarżenia o całkowite nadużycie zaufania mego pracodawcy, wpisałam trochę danych, odebrałam jeden służbowy telefon, wykonałam jeden służbowy telefon i wysłałam trzy służbowe e-maile. Wytropiłam też jedną zawodniczkę naszej drużyny, udającą przepisywanie czegoś z dyktafonu, a tak naprawdę zasłuchaną w nowy album Now 310. Dziewczę dostało nauczkę i szybko znalazłam jej coś bezsensownego i otepiałającego do roboty.

Mam już serdecznie dość na dziś i obserwuję, jak wskazówki zegara ślimaczą się do wpół do pierwszej. Punktualnie o wytęsknionej porze głowa Sue wychyla się zza mojego komputera.

– Masz ochotę na szybkiego?

Rozpoczynamy debatę. Propozycje na poniedziałek to: a) odwiedziny siłowni i ekspresowy trzydziestominutowy seans cielesnych tortur lub b) chłodny kieliszek chardonnay w barze obok. Zbijać albo ładować kalorie. Hodować lub unicestwiać tłuszcz. Decyzja przychodzi stosunkowo łatwo. Łapię portmonetkę, kopniakiem wsuwam torbę ze strojem na siłownię głębiej pod biurko. Należę do gorących zwolenników dewizy „Co z oczu, to z serca”. Wino to wino. Dzwoni telefon. Daisy. Gestykułuję gorączkowo do Sue i reszty koleżanek zgromadzonych już wokół mojego biurka i mówię bezgłośnie: „Postawcie sobie kolejkę na mój koszt”. Odmaszerowują, wlokąc nogę za nogą, z naburmuszonymi minami, pewne, że padły ofiarą podstęp. Że zaplanowałam ten telefon i teraz mam czysty teren, by wymknąć się cichaczem do siłowni, podczas gdy one pod wpływem mojej namowy wleją w siebie setki kalorii. Boże, gdybym była na tyle mądra, by wpaść na taki plan, pracowałabym dla MI5. Nadaśane opuszczają biuro.

– Cześć, to ja – zaczyna Daisy.

– Cześć ja, co tam?

– Dzwonię, by podziękować za przyjęcie. Świetnie się bawiłam.

– No, wyszło nieźle. Ale teraz muszę za to zapłacić.

– Wyszło tak drogo? Podejrzewam, że tak. Kupiliście tyle szampana, ten catering i cała reszta.

– Nie, nie chodzi o kasę. Od rana walczę z kacem.

– Och, oczywiście. Chyba nie bardzo mogę ci pomóc.

– Wszystko w porządku, Daisy?

Może jest jeszcze pijana? Jeśli tak, to niezła ze mnie szuja. Daisy jest nauczycielką i nie powinnam była zachęcać jej do tej sówicie zakrapianej rozpusty. Czuję się zbita z tropu, bo Daisy jest zwykle taka bystra, a ta rozmowa zupełnie się nie klei.

Poza tym w pracy ma dostęp jedynie do telefonu w pokoju nauczycielskim, traktowanym z

takim szacunkiem, jakby chodziło o święte relikwie. I przeznaczonym jedynie do korzystania w nagłych wypadkach. Nie ma więc rozmów z Daisy o kolorze lakieru, jakim zamierza sobie pomalować paznokcie u nóg na wieczór. Często zdarza mi się godzinami omawiać tak ważne sprawy z innymi przyjaciółkami. Kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, dochodzę do wniosku, że wczoraj Daisy zachowywała się dziwnie, była nieobecna, jakby urwała się z innego świata.

– Chyba nie jesteś chora. – Pełna troska.

– Hmm? – Mglista odpowiedź.

– Chora, no wiesz. – Nieco zdenerwowana.

– Potrzebuję pomocy. – Niesprecyzowana.

– O co chodzi? Masz problemy? – Głęboko zaniepokojona.

Tak naprawdę nie mam żadnych powodów, by zakładać, że Daisy wpakowała się w kłopoty. Nie mogłaby zataić przed nami swego drugiego, ciemnego oblicza czy pełnej kartoteki policyjnej. Zdarzyło się raz, że nie uściła w terminie opłaty za kablówkę, bo była na wakacjach. Stała się wtedy nie do zniesienia, myślałam już, że będziemy musiały lecieć z powrotem do domu. Nie bierze narkotyków. Żadnej bigamii. Wcale nie ma męża. Może chce mi zakomunikować, że jest lesbijką?

– Znasz kumpla Luke’a, Simona...

Aha, więc chodzi jak zawsze o to samo, o faceta. Przez chwilę jestem głęboko rozczarowana. No bo przecież nie można spodziewać się wiele, kiedy przyjaciółka romansuje z kumplem męża. Totalna nuda. Siadam wygodnie i próbuję skupić się na słowach Daisy.

– No.

– Jaki on jest?

– No jak to, jaki jest? Widziałaś go wczoraj. Ma coś około metra osiemdziesięciu dwóch wzrostu, brązowe włosy, brązowe oczy, fajnie się ubiera.

– Nieee – przerywa mi, pewnie myśli, że robi mi się niedobrze. – Chcę wiedzieć, co to za typ.

Oczywiście, od razu wiedziałam, o co jej chodzi, ale fajnie ją trochę nakręcić, w końcu od czego ma się przyjaciół.

– Aha, już łapię. Co jest w jego typie? Nie znam go aż tak dobrze, nie potrafię wymienić jego wszystkich upodobań, ale myślę, że typowe dla niego będą piwo Budvar i, co dziwne, jajka po szkocku.

– Connie! – Totalne niezrozumienie żartu.

Odpuszczam sobie.

– No dobra. Jest super. Naprawdę w porządku. Luke pracował z nim nad kilkoma projektami i ma o nim jak najlepsze zdanie. I o ile mi wiadomo, nie ma nikogo. Jest szczery, ma poczucie humoru, odpowiedzialny i mądry.

– No tak, to gej. – Zrezygnowana.

– Nie, nie jest pedałem. – Zapewniająca.

– Więc o co mu chodzi? – Podejrzliwa.

– Wiesz co? O nic mu nie chodzi. Może to dziwne, ale facet ma czyste zamiary. Pracował długo za granicą i nie chciał się przywiązywać, to znaczy ustatkować – szybka zmiana słów – ale z tego, co zrozumiałam, wrócił już do Londynu na stałe i pewnie do tego dąży.

– Dąży? – Brak poczucia pewności siebie Daisy nigdy nie zasypia. – Czy to znaczy, że pieprzy się ze wszystkimi dookoła?

– Słuchaj, Daisy. – Czuję, że jestem już bliska rozpaczy. – Nie wiem. Nie mam zwyczaju prosić gości o wypełnianie formularza na temat swych moralnych kryteriów, zanim przestąpią próg mojego domu. Gdybym tak robiła, kto by przychodził na nasze imprezy?

Daisy zaczyna chichotać i po raz pierwszy w czasie tej rozmowy odpręża się.

– Przepraszam, Connie. Po prostu zaprosił mnie na randkę.

– No to super, co?

Nie ma chyba fajniejszej rzeczy na świecie niż przejęcie odpowiedzialności za tworzenie par ze znajomych. Mimo że – prawdę mówiąc – to nie ja przedstawiłam ich sobie, właściwie nawet nie zauważyłam, żeby mieli się specjalnie ku sobie. Ale kiedy się nad tym zastanowić, to oczywiste. Bomba, fantastyczna z nich para.

– Świetnie. Rewelacja. Cholernie świetnie, rewelacja. Uważam, że on jest wspaniały. Jest taki bystry, zabawny, zainteresowany i interesujący. Och, Connie, dzięki za informację, że nie ma nikogo. Dzięki, że przyznałaś, że jest szczerzy, ma poczucie humoru, jest odpowiedzialny i mądry. Dzięki, że zorganizowałaś to przyjęcie.

Rozkręciła się maksymalnie. Czekam, aż zacznie mi dziękować, że wyszłam za mąż i mogłam świętować rocznicę albo że wymyślono jajka po szkocku i Simon mógł wyrobić sobie tak świetny gust. Daisy łączy się ponownie ze swoim umartwiającym się drugim ja.

– Pewnie myśli tylko o jednym, skoro dąży do tego, co? Czy to napalony typ?

Boże, w jakim świecie my żyjemy.

– No co ty! Uważam, że to bardzo przyzwoity człowiek z zasadami. Kiedy powiedziałam, że „dąży do tego”, miałam na myśli, że szuka kogoś wyjątkowego. Dąży do stałego związku.

Co zrozumiałe, Daisy nie kupuje tego od razu. Przecież to singielka mieszkająca w Londynie u schyłku dwudziestego wieku.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – wydusza z siebie nieśmiało.

– No więc, jak mam ci pomóc? – próbuję przyspieszyć tempo.

– Dzwonie, żebyś mi powiedziała, w co mam się ubrać.

No, wreszcie czuję mocny grunt pod nogami. Odwieczny problem wszystkich kobiet na świecie, wzdłuż i wszerz planety Ziemi: „W co mam się ubrać?”. Sam, Daisy, Lucy, Rose i ja obracamy się w kółko wokół tego tematu. Dorastałyśmy z tym pytaniem. I chociaż same sobie nie potrafimy udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi, zawsze służymy praktyczną radą jedna drugiej. A sieci telefoniczne popierają nas z wdzięcznością. Niezła fortuna została

zainwestowana w te regularne i częste porady niecierpiące zwłoki.

- Kiedy się spotykacie?
- Wieczorem.
- Ekstra. Gdzie?
- W mieście, jak tylko skończy pracę. Umówiliśmy się w pubie obok jego firmy.
- Hm, to chyba będziesz musiała iść w tym, co masz na sobie.
- No, niby tak.

Wahanie w jej głosie naświetla mi fakty. Oczami wyobraźni widzę, jak skanuje teraz zawartość szafy, którą przytaszczyła do pracy. Przywlokła ze sobą wszystko, co tylko posiada, no może z wyjątkiem sukienki od Laury Ashley, którą kupiła na chrzciny bliźniaków. A teraz gapi się na kolorowy zbiór fatałaszków wiszących dookoła, dochodząc do wniosku, że nic nie wchodzi w rachubę, oprócz owej kreacji od Laury Ashley.

- Skąd dzwonicz?
- Z pokoju nauczycielskiego – szepcze z powagą.
- No, chyba nie powiesz, że z tego telefonu?
- W rzeczy samej.
- Ale to wbrew zasadom?
- Tak.
- I przyniosłaś do pracy parę ciuchów?
- Tak.

W szkole jest właśnie przerwa. Wyobrażam sobie, jak reszta nauczycieli przedziera się przez gąszcz ciuchów Kookai' i French Connection, by zaparzyć sobie rozpuszczalną kawę i dobrać się do zafoliowanych kanapek. Sprzeczą się przy tym o ciastka i najwygodniejsze miejsca przy stole. Starsze, męskie grono pedagogiczne będzie cmokać niecierpliwie, wyrażając głęboką dezaprobatę wobec poczynań Daisy, która dzięki prezentacji zawartości swej szafy utrwali w nich tylko głęboko zakorzenione stereotypy o młodych nauczycielkach. Panie podziela się w reakcjach: ponure oblicza, zachmurzone gniewne miny lub podekscytowane, konspiracyjne uśmiešky. Podsumują ją ze wszystkich możliwych stron. Wiem, że to wszystko właśnie się dzieje, bo Daisy często rozbawia nas do łez, zdradzając kulisy pokoju nauczycielskiego.

– Domyśla się, że liczysz na coś więcej. Gdzie są ciuchy? Powiesiłaś je? Jak się pogniotą, nie będziesz miała z nich żadnego pożytku.

- Rozwiesiłam je po całym pokoju.

Chichoczę. Widok, który sobie wyobrażam, uważam za rozbajający. Pudło. Daisy warczy na mnie rozdrażniona.

- Przestań się śmiać i truć. Błagam, pomóż mi, w co mam się ubrać?
- Kobieta naprawdę cierpi.
- Przepraszam cię, już nie będę.

Nawet ja w to nie wierzę. Ale próbuję się skoncentrować. Dla niej to kwestia życia lub

śmierci. Minał szmat czasu, odkąd czułam się podobnie. Pewnie zapomniałam, jakie to ważne.

– A więc twoja mała czarna nie wchodzi w grę. Zabójczego wampa zostawimy na inną okazję.

– Zgadza się.

Każda z nas ma tę jedną kieckę. Nie musi być mała, nie musi być czarna, to nawet niekoniecznie jest sukienka, ale taki jeden, wyjątkowy ciuch mamy wszystkie. Ubranie z odpowiednim certyfikatem. Stuprocentowo uwodzicielski szyk, kreacja pod tytułem: „Pieprz mnie”. Moja odpowiedź to gładkie, czarne spodnium, Daisy ma klasyczną małą czarną, Sam – długą, czarną suknię z rozcięciem do tyłka. A każdy ciuch Lucy zalicza się do tej kategorii. Jak się dłużej nad tym zastanowić, to nie jestem pewna, czy Rose posiada ekwiwalent małej czarnej. Odnotowuję w pamięci, żeby ją przy okazji o to zapytać. Przesłanie wyżej wymienionej kreacji jest równie łatwo rozpoznawalne, co abstynent w dzień świętego Patryka, i dlatego uznajemy z Daisy zgodnie, że na pierwszą randkę to nieodpowiedni strój. Rozumie się samo przez się.

– Co macie w planach?

– Kolację.

– Kolacja... Bardzo dobrze. Nie jest to uroczysty obiad niedzielny, ale większa inwestycja niż drink. Brzmi obiecująco. Nie chcesz wyglądać tak, jakbyś starała się nie wiadomo jak bardzo, ale chcesz zrobić wrażenie, jakbyś olśniewający wygląd wyssała z mlekiem matki.

– No właśnie – odpowiada Daisy i mogę się założyć, że przygląda się teraz swoim dzinsom poplamionym farbami i rozciągniętemu T-shirtowi, zdając sobie boleśnie sprawę, jak ten opis dalece odbiega od jej obecnego, dość ekscentrycznego wyglądu.

– A może te niebieskie spodnie Jigsaw plus bawełniany top Next, ten z dekoltem V?

– Za szkolnie, próbowałam już.

– Czarne, jedwabne spodnie French Connection, kremowa góra z wycięciem na plecach?

– Które spodnie? Jedwabne?

– No te, na które namówiła cię Lucy. Nie błyszczą się jak klasyczny jedwab... i wydłużają ci nogi.

– Naprawdę?

Walkujemy temat dalej. Dziewczyny z biura wracają już po jednym szybkim (właściwie dwóch lub trzech, sądząc po ich wyglądzie). Widać ulgę na ich twarzach, bo wciąż wiszę przy telefonie i nie miałam okazji wymknąć się do siłowni. Toczemy właśnie debatę „dekolt okrągły czy V”, kiedy pojawia się głowa Sam i za chwilę kanapka z serem ląduje na moim biurku. Kochana.

– Co z tobą? – pytam ją, doprowadzona już do ostateczności, ponieważ propozycja białych, lnianych spodni i czarnego, kusego topu została odrzucona jako „zbyt szczeniacka”. – Słuchaj, to nie jest zbyt szczeniacki zestaw tylko taki z serii „Fajna ze mnie laska”.

– No właśnie, a mnie bliżej już do Archaniola Gabriela. Sama nie wiem. On mi się tak podoba. Naprawdę coś mnie do niego ciągnie. Kurde, dzwonek na lekcję. Muszę wracać do

klasy. Przemyśl sprawę i zadzwoń do mnie, jak wpadnie ci coś do głowy.

– Na telefon zarezerwowany do nagłych wypadków?

– To jest nagły wypadek. Do usłyszenia.

– Cześć.

Odkładam słuchawkę.

– Kto dzwonił? – pyta Sam.

– Daisy. Zakochała się.

– Nieeeeeee, żartujesz chyba. – Oczy Sam powiększają się. – W kim, no w kim? Mów zaraz.

– W Simonie, był wczoraj na imprezie.

– Niezły.

– Naprawdę?

Odkąd mam Luke'a, nie potrafię tego ocenić.

– Tak się cieszę – kontynuuje Sam. A potem uśmiech na jej twarzy gaśnie. – A kiedy ja spotkam tego jedynego?

O Boże.

Obowiązkowe spotkanie sprawozdawcze odbywa się w każdy środowy wieczór w Ali Bar One w Covent Garden. Zjawiamy się z Sam pierwsze po kolejnym gorączkowym dniu spędzonym na wysyłaniu wulgarnych e-maili. Rose jest następna, podekscytowana, że ma wieczór wolny od bachorów, a potem pojawia się Daisy (dzisiejszy gość specjalny), na końcu Lucy, która – zgodnie z obowiązującym teraz trendem – przybywa spóźniona.

– Pieprzyliście się? – rzuca na przywitanie Lucy.

„No tak – myślę sobie – jak zawsze krótko i zwięźle, byle do sedna sprawy”. Reszta mierzy ją lodowatym spojrzeniem. Nic sobie z tego nie robiąc, Lucy łąduje się na drewnianą ławkę, wyświeconą od dzinsowych tyłków niczym szklanka. Zapala papierosa i wzrusza ramionami.

– Darujcie sobie tę pruderyjną ściernę, moje drogie, przecież umieracie z ciekawości, żeby się dowiedzieć. Niby po co Rose załatwiłaby opiekunkę? Pędzę prosto z pracy i wy też gnałyście tu na złamanie karku. – Macha niedbale w stronę Sam i mnie. – Odwołując po drodze kolacyjkę z zaprzyjaźnionym klientem, albo co tam innego miałyście do roboty.

Ma rację. To wyjątkowo ekscytująca okazja. Na horyzoncie Daisy pojawił się kawaler do wzięcia, spełniający wszystkie kryteria.

– Nie pieprzyłam się.

– No, ale chyba chciałaś, co? – głos Sam brzmi alarmująco.

Może podejrzewa, że Daisy jest lesbijką. Co bardziej jednak prawdopodobne, obsesyjnie porównuje swoje reakcje i zachowania z innymi ludźmi. Odwieczna i niezmordowana poszukiwaczka właściwych odpowiedzi.

– No oczywiście, że tak. Ale pohamowałam się.

– Bardzo mądra dziewczynka – aplauz ze strony Rose i mojej.

Oczywiście żadna z nas jej nie wierzy.

– Ale wieczór i tak był cudowny.

– No dalej – popędzamy ją, napełniając szczerze kieliszki chablis, by poluzować trochę jej język.

– Przesiedzieliśmy, przegadaliśmy i przepiliśmy wszystkich pozostałych ludzi siedzących w restauracji. Kelnerzy już dawno ustawili stoliki i krzesła, zaczęli zamiatać dookoła, a nam nie przyszło do głowy się wynosić. Obsługa zabiła się we wrogą i zmęczoną grupkę przy barze. Cmokali na nas niecierpliwie i gapili się ostentacyjnie na zegarki. Minęło sporo czasu, zanim zorientowaliśmy się, że mają nas dość. Jak tylko zdaliśmy sobie z tego sprawę, zostawiliśmy przepaszający, bardzo wysoki napiwek i czmychnęliśmy czym prędzej.

– Ale z ciebie mięczak – wyjeżdża Lucy ze swą porcyjką dezaprobaty.

Jej nigdy nie zdarza się przepłacać lub nie dopłacać do napiwków. Obce jej są uczucia zażenowania lub zakłopotania, jeśli się zdarzy, że kelner upomni się – niekoniecznie grzecznie – o swoje po dobrze wykonanej robocie. Nigdy nie wychodzi z hotelu, grzebiąc w portmonetce w poszukiwaniu monet dla obsługi. Człowiek ma wrażenie, że jej nigdy nie kończy się zapas „odpowiedniej kwoty”. Reszta z nas albo zbyt szczerze nagradza kelnerów, albo uparcie odmawia jakiegokolwiek gratyfikacji. Jedno i drugie rozwiązanie to społeczna porażka.

– Zamknij się, Lucy – uciszamy ją. – Nie chodzi o parę funtów w tę czy drugą stronę. Dajmy Daisy dojść do konkretniej szych kwestii.

Lucy z kwaśną miną milknie i oszczędza nam wykładów o napiwkach i ich procentowym stosunku do rachunku czy podobnych bzdetach.

– Zachowywał się tak słodko. Przy wszystkich trzymał mnie za rękę.

Naszą aprobatę manifestujemy zgodnym potrząsaniem głów. Zazwyczaj ten gest obwieszcza oficjalnie światu, że oto spotkały się dwa single.

– Stwierdziliśmy, że złapiemy taksówkę, więc poszliśmy w stronę Piccadilly. Ulice zalały tłumy turystów i tubylców wylewających się z pubów. Cały czas powtarzaliśmy sobie, jak to wszyscy dookoła wyglądają młodo, zdrowo i szczęśliwie.

– Chcesz powiedzieć, że to wam wydawało się, iż wszyscy byli opaleni, dobrze ubrani i zadowoleni? – docieka Rose.

– Właśnie tak – Daisy entuzjastycznie podchwytuje tę myśl.

Wymieniamy spojrzenia.

– Powiedz mi – odzywa się Sam. – Czy trafnie zgaduję, że choć wszyscy dookoła wyglądali na szczęśliwych, zdrowych, opalonych, dobrze ubranych, zadowolonych i tak dalej, to nikt nie roztaczał tyle blasku, co ty i Simon?

– Tak, dokładnie tak! – Daisy się śmieje. – Myślisz, że to coś znaczy?

– Nie, to kwestia alkoholu – parska Lucy.

– Wkrótce doszliśmy do Regent’s Park. Simon zaproponował skrót.

– O, to podejrzanie klimaty – komentuje Rose, której zrzędła mina.

– Dzięki Bogu. Już myślałam, że nigdy nie dojdziemy do pikantniejszej akcji – dodaje.

– Chyba przejął się, że pomyślałam sobie, iż to ryzykowne posunięcie. W kółko opowiadał, jakie to bezpieczne miejsce i że latem zawsze chodzi tym skrótem. Powiedział, że właśnie o tej porze dogrywano szczegóły ze *Snu nocy letniej*.

Gapimy się na nią, nie bardzo kumając, o co chodzi.

– Szekspir. Słyszałyście chyba.

Ciskamy w nią obrażone spojrzenia. Pospiesznie zaczyna usprawiedliwiać swoje dalsze poczynania, choć wiemy doskonale, że przecież marzyła tylko o jednym. Tłumaczy się więc dalej ze swojej żądz.

– Tak czy siak, pomyślałam sobie, że przecież to wasz znajomy, Connie, więc niepodobna, by miał na myśli coś złego, a że nigdzie nie widać było wolnej taksówki, ten skrót wydawał się najrozsądniejszą rzeczą. Być może nasze umysły zaćmiły dwie butelki wypitego wina albo ten surrealistyczny nocny spacer przez londyński park zamieszkały przez chochliki i wróżki, ale było tak romantycznie.

Jesteśmy pod wrażeniem. Nie tylko pod wrażeniem, cieszymy się. Mimo że bez przerwy robimy sobie jaja jedna z drugiej, tak naprawdę przepadamy za sobą. Romantyczne historie miłosne są zawsze fajne, ale ta – z naszą przyjaciółką w roli głównej – jest super. Każda z nas zaczyna odwoływać się do własnych „romantycznych” doświadczeń.

– Żeby było jasne – mówię. – Jeśli dobrze rozumiem, mamy do czynienia z romantyczną historią przez duże R. Nie jakiś tam romansik zaliczany w niezliczonych dusznych i gorących knajpkach z niewypowiedzianą liczbą bajecznie przystojnych facetów, ściemniających zawsze na tę samą nutę?

– Nie, to było lepsze – Daisy przytakuje nieśmiało.

– Nie jakieś tam romantyczne zdarzonko, w którym zamykasz oczy i snujesz pobożne życzenia, by prawidłowo odgadli twe imię, dzięki czemu poczujesz się tą jedyną i wyjątkową? – pyta Sam.

– Racja, to też nie to. – Daisy uśmiecha się zadowolona.

– I to nie przygoda jednej letniej nocy? Całkiem intensywna ze względu na swą krótkotrwałość? – dorzuca Lucy.

– Z pewnością nie. – Daisy stanowczo potrząsa głową.

– Czy to aby nie początek tej szczególnej, zapierającej dech w piersiach, naprawdę romantycznie miłosnej historii? – pyta naiwnie Rose.

Daisy przytakuje. Siedzimy zafascynowane i bez słowa sączymy wino.

Lucy udaje się do baru po następną butelkę. Kiedy wraca, zastaje nas w totalnej ciszy, wciąż kontemplujemy prawdziwie romantyczną, miłosną historię Daisy.

– I co dalej? – pyta niechętnie Lucy.

– No więc w restauracji dogadywaliśmy się super. A potem doszłam do momentu, w którym wyczerpałam cały zapas zabawno-mądrych sekwencji i innych rozbajająco rozrywkowych

tekstów. On chwycił mnie za rękę, która cała się kleiła i było mi wstyd, więc wypaliłam: „Ale dziś gorąco”.

Gapimy się na nią zamurowane i głęboko zniesmaczone. Jak mogła wyskoczyć z czymś tak prozaicznym? Gadki o pogodzie, na miłość boską. Nie musimy nic mówić, rozumie się samo przez się.

– Nie wiem, dlaczego palnęłam tak bezmyślnie. Wściekłam się na siebie. W życiu nie przypuszczałam, że mogę być taka tępa.

– Sama nie wiem – stwierdza Lucy.

Nie jestem pewna, czy Lucy sili się na uprzejmość. Mam też głęboką nadzieję, że historia Daisy zacznie być choć trochę ekscytująca. W końcu na emeryturę wybieram się dopiero po sześćdziesiątce.

– Żeby zrekompensować ten beznadziejny początek konwersacji... – Daisy waha się, licząc, że któraś ją miłosiernie poprawi.

– Początki macie już za sobą – wyręcza nas Sam.

Chyba nie o to chodziło Daisy. Zaczyna przyspieszać akcję, domyślając się, że traci publiczność.

– Wyrwało mi się, że skoro jest nam tak gorąco, to możemy popluskąć się w stawie.

Daisy wygląda na przerażoną, sprawozdając wypadki tamtego wieczoru. Wyrażamy pełne współczucie. Facet weźmie ją teraz za jakąś szaloną hipiszkę, taką z typu jednoczących się z matką ziemią. Może już o nim zapomnieć, sprawa pogrzebana.

– A on, że to niesamowite, bo właśnie miał zaproponować dokładnie to samo, ale bał się, że wezmę go za szaleńca albo spękam przed policją. Czy to nie zdumiewające?

Rzeczywiście, siedzimy zupełnie osłupiale.

– Nie bałaś się, że mogą was za to wsadzić do więzienia? – Rose ustala fundamentalne kwestie.

– Albo że to wyznawca New Age w przebraniu? – pyta Sam?

Daisy uśmiecha się łagodnie.

– Nie. Po prostu pociągnęłam za sznurowadła i zaczęliśmy brodzić w wodzie w podwiniętych do kolan spodniach. A potem kochaliśmy się w fontannie.

Każda z nas głośno przełyka wino. Wygląda na to, że Daisy znalazła swoją połówkę pomarańczy.

Rozdział 2

Ludzie są szczęśliwi, bo lato jest niesamowicie gorące. Wspaniale widzieć roześmiane maluchy w wózkach, starszych ludzi odpoczywających na leżakach w przydomowych ogródkach i młodych, bawiących się w hałaśliwych grupach, beztrudnie popijających piwo na wzór bardziej stylowych przyjaciół ze Starego Kontynentu. Trzeba jednak sprawiedliwie oddać, że nie do końca opanowaliśmy to *je ne sais quoi*. Dwa tygodnie pełnego słońca w roku i pięćdziesiąt tygodni deszczowej, przygnębiającej brytyjskiej pogody wywołuje ZOS (Zespół Otepienia Słonecznego). Symptomy ZOS rozprzestrzeniają się szybko i łatwo je zdiagnozować; są przy tym upierdliwe i niepokojące. U kobiet zespół ten manifestuje się niezdrową bladością skóry i niezdolnością do prawidłowego oszacowania rozmiaru garderoby, skutkiem czego są krzykliwe, źle dopasowane, nieodpowiednie stroje typu obcisłe topy, kwieciste minispódniczki do pępka, rozciapane pantofle, spodnie do kolan (tolerowane jedynie przed zakończeniem ósmego roku życia). Mężczyźni także cierpią na ZOS i poszczególne części garderoby noszą nie tam, gdzie trzeba: chustki do nosa na głowach, pod sandały wciskają skarpety oraz rezygnują całkowicie z T-shirtów (zarezerwowane jedynie dla panów występujących w „Gladiatorach”) – Europa na szeroką skalę produkuje opalone, pozbawione cellulitu ciała, nasz kraj nie ma takich tradycji. My, Brytyjczycy, stanowimy jednolitą, bezkształtną masę.

Choć ta ekscentryczna elegancja, zasługująca jedynie na miano *faux pas*, stanowi integralną część brytyjskiego lata, co wynagradzamy sobie zimą, nosząc się bardziej stylowo, ja wciąż preferuję słoneczne miesiące. W tym roku, ze względu na wyjątkowe anomalie pogodowe, ciepłem i słońcem cieszymy się już od czerwca, więc zaczynamy się przystosowywać. Większość z nas pozbywa się jednolitego i bezkształtnego charakteru i choć osiągnięty poziom nie przypomina jeszcze głębokiej, złotej opalenizny, to białe ciała nabierają beżowego odcienia albo przynajmniej z sinych stają się białe. Efekty widać też na wciśniętych w sandały, poobcieranych stopach, pozaklejanych dotąd plastrami, a teraz pokrytych odpornym na pęcherze naskórkiem. Większość z nas zmusiła się, by przekroczyć próg siłowni i choć daleko nam do greckich posągów bóstw, nasze ciała stały się mniej gąbczaste. Do sierpnia udaje nam się zapomnieć o koszmarnym różu (odcień fuksji), zapoznać bliżej z bielą i beżem oraz wprowadzić ponownie czerń, tradycyjnie zakazaną w okresie letnim. *Summa summarum*, spacer po Covent Garden nie jest już taką zniewagą dla zmysłów, jak to miało miejsce w czerwcu.

Nieprzerwanie piękna pogoda zachęciła nas do podjęcia ryzyka i planujemy niedzielny piknik na świeżym powietrzu. Dokładnie o wpół do pierwszej Luke, Sam i ja stajemy przy bramie Hyde Parku, czekając na resztę. Obserwujemy małe dziewczynki, jak zajądają się lodami i bawią się w sklep i dom, oraz chłopców, którzy piją colę i od czasu do czasu, namierzywszy żywy cel, z zabójczą dokładnością fundują komuś słodki prysznic przez szpary w zębach. Grube, starsze panie okupują ławki. Zbyt potężne zwały tłuszczu uniemożliwiają zamknięcie rozchylnych bezwstydnie ud, ale one nic sobie z tego nie robią, siedzą w nieprzyzwoitym

rozkroku i chichoczą na widok psów uganiających się za swoimi ogonami. Studenci, nieobarczeni już horrorem powtórek i egzaminów, grają we frisbee na spalonej trawie albo uczą się jazdy na łyżworolkach. Dobijają do nas Daisy i Simon. Trzymają się za ręce i wymieniają maślane spojrzenia. Sam robi miny i udaje, że wymiotuje. Ja tylko się szczerzę. Jestem z Lukiem, więc nie mogę być zbyt dziecinna. Pod wpływem ich ckliwych oczu zbiera mi się na czułości i sięgam ręką, by zmierzić włosy Luke'a. Jest nieco zdziwiony, ale śmieje się i czule całuje czubek mojej głowy. Dwadzieścia po pierwszej Sam wskazuje palcem na ulicę, mierząc celnie w Petera, Rose, Lucy i chłopców.

– No, wreszcie są.

Jak tylko udaje się nam zobaczyć ich wyraźnie, rozumiemy, dlaczego są spóźnieni. Sam, Luke i ja dzielimy jedną torbę. Zawiera wszystko, co udało nam się dostać w delikatesach po drodze do parku. Chrupiący chleb, kuskus z owocami morza, zestaw różnych serów, czarne i zielone oliwki w oleju, dwie litrowe butelki wody mineralnej i parę butelek schłodzonego wina. Przynieśliśmy też koc i na specjalne życzenie Luke'a jego frisbee. Daisy i Simon trzymają siatkę podobnych rozmiarów, wypełnioną mniej więcej tym samym. Lucy dźwiga papierową torbę i, sądząc po kształcie, ma w niej cztery butelki szampana. Latem nie przejmuje się jedzeniem. Dla kontrastu, Rose i Peter taszczą ze sobą bagaż o wymiarach i ciężarze odpowiednim na dwutygodniowe wakacje. Dodatkowo dźwigają po jednym dziecku, z których każde obarczone jest przynajmniej trzema obszernymi siatkami. Dla nas, przyjaciół przyglądających się z oddali, jest oczywiste, że trwa tam awantura. Lucy maszeruje przed nimi, robiąc śmieszne miny i wywracając oczami. To nasz wspólny znak rozpoznawczy, gdy grozi domowe trzęsienie ziemi. Peter, cały czerwony na twarzy, wyprzedza Rose i próbuje dotrzymać kroku Lucy.

Słońce, niemal dokładnie nad naszymi głowami, razi oczy i piecze skórę, sprawiając, że jest nam nieprzyjemnie gorąco. Nie mogę się doczekać, by wyciągnąć się na trawie i zacząć bezpieczne opalanie. Peter zawdzięcza purpurowy kolor spoconej twarzy częściowo spiekocie i ciężarowi wleczonych siatek, ale również – co udaje mi się rozpoznać – maksymalnej furii. Niesie Henry'ego i potrząsa chłopcem w dół i w górę, trochę zbyt energicznie jak na mój gust. Henry wygląda, jakby cierpiał na chorobę lokomocyjną i choć ma dopiero osiem miesięcy, jego wrodzony instynkt samozachowawczy podpowiada mu, że nie ma większego sensu ujawniać się z tym dyskomfortem. Widok Rose nie kojarzy się z wściekłością i przegrzaniem, tylko z rozpaczą i przegrzaniem. Dźwiga wyjącego Sebastiana, który wykazuje się mniejszą tolerancją na doznawane krzywdy i nie podziela zachowania brata pogodzonego z faktem, że jego głowa telepie się we wszystkich możliwych kierunkach. Rose manewruje na ścieżce, starając się nie zderzyć z dziećmi na deskorolkach i ludźmi prowadzącymi psy na smyczach. Dystans między nią a Peterem powiększa się, kiedy on zostawia ją samą na polu bitwy z siatkami pełnymi jedzenia, z piknikowym ekwipunkiem i drącym się dziećmi.

Czy właśnie to mnie czeka za parę lat?

Luke wręcza mi nasz bagaż i pędzi w stronę Rose. Mówi „cześć” Lucy i chłodno kiwa głową

w stronę Petera, jest najwyraźniej wściekły na niego, że zostawił żonę na pastwę losu. Rose nie wie, co zrobiła nie tak. Pamięta, że na początku ich związku Peter był pod wrażeniem jej matczyno-opiekuńczych zachowań. W kółko nawijał o ogromnych piersiach, do których uwielbiał się przytulać, i kredensie pełnym leków. Jednak rzeczywistość przerosła świat jego wyobrażeń. Widać, jak dusi w sobie niechęć do ciekących mlekiem piersi Rose i złość, że musi dzielić się uwagą żony z bliźniakami. Z dumą obserwuję Luke'a. Jego twarz zalewa olśniewający uśmiech skierowany do Rose i Sebastiana. Rozluźnia atmosferę i opanowuje sytuację. Uwalnia Rose od ciężarów, przemawia ożywionym i pogodnym głosem, komplementuje jej sukienkę i przekonuje, że czekamy dopiero jakieś dwie, góra trzy minuty. Zanim dochodzą do bramy, Rose śmieje się i wygląda na znacznie bardziej odprężoną. Nawet Peter się uspokoił, wyluzował. Zaczynamy powitalny rytuał rozdawania buziaków i uścisków.

– O tylu rzeczach trzeba pamiętać, kiedy chłopcy idą z nami – usprawiedliwia się Rose.

Przytakujemy ze zrozumieniem i zapewniamy, że nie ma sprawy. W duchu my, dziewczyny, czujemy respekt przed Rose, która urodziła niejedno, ale dwoje dzieci na raz, co się zdarza tylko w filmach. Co więcej, nie skończyło się jedynie na wydaniu potomstwa na świat; teraz je karmi, dba o nie i nawet wyciąga na światło dzienne, zamiast zamknąć w domu na cztery spusty przynajmniej na pierwsze dwadzieścia lat ich żywota.

– Szczególnie jeśli musisz je przebierać trzy razy przed wyjściem – mruczy ze złością Peter.

Szybko proponujemy inne tematy rozmów: po pierwsze, gdzie powinniśmy się rozlokować, a po drugie, kto najbardziej w towarzystwie zgłodniał.

– Bałam się, że dostaną poparzenia słonecznego. Trudno znaleźć im coś odpowiedniego do ubrania. Nie mogą się przegrzać, ale trzeba pamiętać o zapewnieniu ochrony przed słońcem – rozsądnym głosem przemawia Rose, nie pozwalając, by krytyczne uwagi Petera uszły mu na sucho.

Peter gniewnie marszczy brwi.

– Rose ma rację, Peter – dodaje Lucy. – Chłopcy odziedziczyli po mamie rudawe włosy i bardzo jasną karnację, więc lepiej dmuchać na zimne.

Rose wygląda na wdzięczną za to poparcie. Ja, na jej miejscu, dostałabym szału za aluzje na temat rudych czupryn chłopców – kwestia skrupulatnie przez nas unikana. Wysyłam Rose współczujący uśmiech, ale ta jest zbyt praktyczna, by użalać się nad sobą po uszczypliwościach Petera, i rozważa teraz poważniejsze sprawy, takie jak ewentualne przegrzanie się butelek chłopców.

Wywiązuje się gorąca debata. Gdzie znajduje się idealne miejsce na piknik? Przemierzamy w poszukiwaniach tego zakątka cały Hyde Park i w końcu udaje nam się zakotwiczyć. Potrzebujemy cienia dla Rose, Daisy i chłopców; Sam i ja, ignorując ostrzeżenia ministerstwa zdrowia o dziurze ozonowej, pragniemy pełnego słońca. Musimy znaleźć coś dostatecznie blisko toru dla śmiałków na łyżworolkach (życzenie Lucy, nie wiem tylko, czy ma ochotę sama się przejechać, czy raczej chce zezować na męskie tyłki). Potrzebujemy też otwartej przestrzeni na

grę we frisbee (Luke, Simon, Sam), ale niezbyt blisko głośnych bachorów (warunek wszystkich, prócz Rose). Nie możemy ulokować się w pobliżu par cicho spędzających czas, na wypadek gdyby bliźniaki rykiem miały zakłócać spokój (Rose), i kosza na śmieci (ja). Nie chcemy za bardzo oddalić się od kiosku z lodami (wszystkie panie) albo rozłożyć się w okolicy toalet (wszystkie panie). Negocjacje w stylu UE przynoszą jednak rezultaty i udaje nam się znaleźć coś, z czego zadowoleni są wszyscy. Ściśle mówiąc, Lucy stwierdziła, że nie robi kroku więcej, i bojąc się wybuchu jej złości, kapitulujemy. Podekscytowani rozkładamy koce i wyjmujemy jedzenie. Wygląda to wspaniale, jak ze zdjęcia w modnym magazynie.

Mimo że letnia elegancja w ubiorze dla większości Brytyjczyków to rzecz wyklęta, moi przyjaciele zdają sobie sprawę, jak ważne są to kwestie. Daisy promienieje. Roztacza ten specyficzny blask, osiągalny jedynie dla tych, którzy są szczęśliwie zakochani w nowym obiekcie. Ma na sobie liliową, koronkową sukienkę Elspeth Gibson, którą kupiła na majowe wesele w zeszłym roku. Jest to oczywiście zbyt droga kreacja na wylegiwanie się na trawie, chyba że w grę wchodzi pierwszy okres upojenia romantyczną miłością, kiedy kobieta poświęci wszystko, by wyglądać zarówno uwodzicielsko, jak i kobieco. Udało się jej osiągnąć ten efekt. Niedbale upięła włosy (artystyczny nieład), usta zaledwie musnęła błyszczkiem, a oczy podkreśliła toną eyelinera i mascary. Całość składa się na nieposkromiony, frywolny wygląd, który przekazuje: „Pieprz mnie i kochaj mnie”. Przyglądam się Simonowi, najwyraźniej działa to na niego. Czuję dyskomfort, kiedy łapię ich czułe spojrzenia.

Są tak nienasyconie pochłonięci sobą, że mam wrażenie, jakbym przeszkadzała. Sam patrzy w dal wytęsknionym wzrokiem. Biedaczka. Luke i ja mamy już za sobą ten etap pełen mdłej tkliwości, niezaspokojonego pożądania, kiedy nie można na chwilę oderwać łakomych rąk od obiektu westchnień. Doświadczaliśmy tego wszystkiego, a teraz nasz związek wkroczył w bardziej stabilną i dojrzałą fazę, ale Sam nie ukończyła jeszcze poszukiwań swej drugiej połowki.

Sam wybrała zupełnie wyjątkową letnią kreację: biała koszulka na ramiączkach od DKNY (kosztowała majątek, zaprojektowana tak, by wyglądała na „stary ciuch”), czarna spódnica marki Richard Tyler, króciutka, nawet bardzo, i baseballowa czapka, założona odwrotnie. Wygląda jak kelnerka i to nie jest krytyka, bo właśnie o taki efekt jej chodziło. Jest singielką, więc goli nogi, które są gładkie i apetycznie brązowe. Nie może usiedzieć w spokoju nawet pięciu minut; czynnie uczestniczy w misji udowodnienia otoczeniu swych umiejętności: a to, że jest świetną sportsmenką, a to, że super z niej gospodyni, że potencjalnie będzie cudowną matką. Nikt tak naprawdę nie zwraca na to uwagi, bo Peter, Simon czy Luke nie odważyliby się spojrzeć na inną kobietę w towarzystwie żon i swoich dziewczyn. Sam nie próbuje za wszelką cenę zdobyć uznania naszych mężczyzn, z drugiej strony traktuje ich jako przedstawicieli płci brzydkiej, a jej całe życie podporządkowane jest desperackiej potrzebie męskiej akceptacji. A więc kiedy Luke stwierdza: „Hej, co za uderzenie, dziewczyno, ale z ciebie sportowiec”, Sam prawie rozplywa się z radości. Nie zniosłabym, gdybym musiała zachowywać się jak ona, permanentnie tkwić w potrzebie udowodnienia całemu światu, kim to ja jestem. Bez chwili przerwy, nawet w niedzielne

popołudnie. Spróbuj tak w kółko być najzabawniejszą, najlepiej zorientowaną, najatrakcyjniejszą. Dziękuję Bogu, że jedyne, co mnie obchodzi, to osiągnięcie zdrowej opalenizny. Uśmiecham się ciepło do Luke[^]: Nie ma pojęcia, o czym myślę, ale i tak czuły pocałunek ląduje na moim policzku.

Lucy ma ogromne okulary od Armaniego, białe dżinsy, biały T-shirt i białe klapki. Wygląda nieskazitelnie i ten nieskazitelny wygląd udaje jej się zachować przez cały dzień, mimo że zdążyła zagrać w koszykówkę, ponosić Henry'ego i zjeść piknikowe rarytasy. Ja mam na sobie czarną wersję kreacji Lucy (choć jestem pewna na sto procent, że w drodze do domu będę wyglądać tak, jakbym została przeciągnięta tam i z powrotem przez króliczą norę). Rose ubrała się w praktyczną, ale ładną, luźną, granatową sukienkę. Zawsze wkłada coś ciemnego, raczej bezkształtnego, by ukryć swe ciało, które zdążyło już zapomnieć, co to znaczy aerobik albo wizyta w salonie kosmetycznym. Faceci mają na sobie typowo męskie ciuchy, szorty w kolorze khaki i T-shirty. Z tą jedynie różnicą, że górna część garderoby Luke'a i Simona jest obcisła, podczas gdy Peter wybrał coś mniej kępującego. Przypuszczam, że nie tylko Rose brakuje czasu na siłownię.

Jedzenie, alkohol i – co najważniejsze – rozmowa nie ustaje, więc popołudnie upływa w błogiej atmosferze. Gadamy na temat rodzin, pracy, szefów, ogrodów. To naprawdę spokojne, luźne popołudnie. Takie, podczas którego każdy ma okazję poprzebywać z każdym. Naturalnie dzielimy się na grupy i podgrupy dyskusyjne (coż, trudno zarzucić językom Daisy i Simona brak aktywności, ale wyartykułowanych słów w tym jest niewiele). Kiedy w końcu udaje się nam ich rozdzielić, następuje kolejne, a potem jeszcze następne przegrupowanie. Wszystko jest idealne i na miejscu. Simon i Luke rozprawiają na tematy zawsze poruszane przez bliskich sobie kumpli – samochody i sport. Każdą przejściową dziurę w pogawędce zgrabnie wypełniają żartami. Męska zażyłość. Lucy dyskutuje z Peterem o sprawach zawodowych. Od czasu do czasu ktoś podchodzi, by napełnić im kieliszki i wyperswadować tematy związane z pracą.

– No nic, swój do swego ciągnie – stwierdza Daisy, gdy wraca z tacą *tapenade* [Pasta z kaparów, anchois i czarnych oliwek.] i bułeczkami salami. – Lucy ma typowo męską ambicję.

Współczujemy więc serdecznie tego niesamowitego poczucia sukcesu, które towarzyszy Lucy, kiedy opowiada nam o sfinalizowaniu intratnych kontraktów czy nieziemskiej premii, litujemy się nad tą ćwierćmilionową pensją i wyrażamy głębokie ubolewanie z powodu ogromnego, luksusowego apartamentu w Soho.

Z resztą dziewczyn siadamy wygodnie, by oddać się plotkarskiej, gawędziarskiej, głęboko zażyłej rozmowie. Charakter tych obrad jest niezmienny od lat.

Sam uaktualnia nasze dane, z kim ostatnio się obcałowuje. Pomimo faktu, że formalnie jest singielką, nie rezygnuje z seksu. Obecnie gra na dwa fronty i spotyka się z dwoma facetami. I choć brzmi to światowo, tak naprawdę te fakty są dołujące. Sam nie ma ochoty sypiać z dwoma mężczyznami. Tak naprawdę nie zależy jej na seksie. Za to marzy o fizycznej miłości w stałym i monogamicznym związku. Każdego tygodnia zalicza kluby i spotyka się z jednym czy drugim

gościem. Ona za każdym razem liczy na coś więcej, podczas gdy on zainteresowany jest jedynie nawiązaniem cielesnych stosunków. Cele te niekoniecznie muszą się wykluczać; mają taką tendencję, kiedy stosunki cielesne stawiane są na pierwszym miejscu. W przypadku Sam dzieje się tak prawie zawsze, bo nie starcza jej odwagi powiedzieć „nie” na propozycję łożka, by nie na niej spoczęła odpowiedzialność za popsucie całej zabawy. Nasze ostatnie spotkanie w Ali Bar One upłynęło głównie na znajdowaniu podobieństw i różnic między Dave’em a Mikiem. Nie mogę powiedzieć, by którakolwiek z nas entuzjastycznie podjęła tę grę, bo żadna nie wykazuje entuzjastycznego stosunku do któregośkolwiek z tych amantów. Nie wyłączając Sam, która otwarcie przyznaje: „Sęć w tym, że jestem gorącą zwolenniczką zasady, iż lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu”.

Dave – przystojny rugbista-zboczysta. Nie jest to jednak okaz szczególnie mądry, zabawny lub interesujący, ale ma niezłe ramiona (!). Poznany na pseudostudenckiej imprezie, ma obsesję na punkcie zaspokajania potrzeb seksualnych. Po dwóch wolnych kawałkach zaproponował drinka u niego, a nie miał czym zapłacić za taryfę. Jazda taksówką upłynęła Sam na rozważaniach, czy przespać się z Dave’em, czy może dać sobie spokój. A jak pomyśli, że jest zbyt łatwa? Czy rano będzie ją wciąż szanował? Rose podaje odpowiedź: „Tak i nie, tylko w tej kolejności”. Akademickie pytania. Dave garbi się nawykowo. Sam sugeruje, że to džentelmen w rozbrajającym starym stylu (?). Następnego ranka zachowuje się nienagannie.

Mike – przystojny finansista-onanista. Nie jest to okaz szczególnie mądry, zabawny lub interesujący; może się jednak pochwalić dobrą pracą i gładką skórą. Poznany na imprezie u znajomych. Jedyne męski singiel. Ogromna presja, bo reszta towarzystwa szykuje się do publicznej debaty na temat planowania rodziny i najdogodniejszej londyńskiej lokalizacji rodzinnej siedziby. Przypadek Mike’a od przypadku Dave’a różni się jedynie tym, że do fizycznego zbliżenia dochodzi w jej mieszkaniu.

Ogarnia mnie smutek, kiedy słucham Sam. Jestem tak bardzo wdzięczna za Luke’a.

– Mam to gdzieś, jeśli żaden z nich nie zadzwoni. My też mamy sprawę gdzieś, ale to niezbyt przyjacielska postawa ujawniać takie przemyślenia.

– Serio? – pyta Daisy.

– Całkowicie – potwierdza Sam. – Może seks nie był zły, ale to żadne wyjątkowe towary, tak więc zaliczam ich do kategorii „dobry seks i tyle”.

Wyrażamy nasze poparcie, a potem zapadamy w ciszę, myśląc o wypowiedzi Sam. Jest coś niezwykle ekscytującego w przygodach na jedną noc. Dobrze pamiętam. Oczywiście satysfakcję gwarantują jedynie takie zbliżenia, po których człowiek ma siłę wstać, prysnąć i zapomnieć o sprawie. Podobnie jak Sam, mnie było zawsze trudno odpuścić. Nie posiadam umiejętności oddzielania seksu od uczucia. Znam dziesiątki facetów mówiących: „Kocham cię”, którzy w rzeczywistości mają na myśli: „Chcę cię zerznąć”. A kobiety, przynajmniej te, które znam, mówiąc: „Chcę się z tobą pieprzyć”, dają do zrozumienia: „Chcę, żebyś mnie pokochał”. Nie mam pojęcia, dlaczego działa to w ten sposób, nie ja wymyśliłam te reguły.

– Ale jestem rozpalona – jęczy Sam.

Bynajmniej nie chodzi jej o fizyczne pożądanie drzemiące w seksownej-rozpalonej-lasce, tylko o rozgrzane, spocone-klejące-się-uda.

– Dużo bym dała, by Richard Gere podszedł do mnie, z kostką lodu w zębach i roztopił ją na moich udach. Wolno, bardzo wolno. – Wzdycha.

To jedna z naszych ulubionych zabaw. Snucie erotycznych fantazji z nieosiągalnymi mężczyznami w rolach głównych.

– Albo Antonio Banderas pojawia się znikąd z butelką olejku do opalania – przyłącza się Daisy.

– A co dokładnie robi z tą butelką? – pytam.

Chichoczymy, a potem znowu milkniemy. Rozważamy różne opcje we własnym zakresie.

– Albo lepiej George Clooney podchodzi do mnie z wiklinowym wachlarzem i zaczyna mnie wachlować.

Obsada Rose budzi najwyższe uznanie, ale scenariusz jest koszmarny.

– Ale to tylko marzenia. – Wzdycham ogarnięta niespodziewanym i niezrozumiałym uczuciem, że mam serdecznie dość.

Dlaczego jestem poirytowana? Mamy piękny dzień, leżę sobie w towarzystwie moich wspaniałych przyjaciół, podziwiam cudownego męża, nie brak nam pysznego jedzenia i wyborowego szampana. A mimo to czuję się... jakbym... sama nie wiem... Rozglądam się dookoła i widzę uwieszoną na sobie, młodą parkę całującą się namiętnie. Ten widok sprawia, że ogarnia mnie... no właśnie, sama nie wiem.

– Życie to nie seksowni faceci smarujący twoje plecy, nie mówiąc już o udach – odzywam się gburowato.

Sam gapi się na mnie, a jej oczy wielkości spodków od filiżanki przypominają teraz talerze od pizzy.

– No właśnie, twoje życie jest dokładnie takie – mówi zaskoczona. – Twoje życie to bajka, a ty nurzasz się w romantycznej rozkoszy, doskonałej i perfekcyjnie dojrzałej.

– Nie rozmawiamy o bajkach, tylko o pornosach – mruczę pod nosem.

– Niewdzięczna dziwka.

Nie potrafię obalić jej tezy, tym bardziej że tak wymownie argumentuje. Moje życie to bajka. Co prawda, nie wyszłam za księcia w błyszczącej zbroi, ale bardzo miłego architekta w lewisach 501. Nie mieszkamy w zamku z wieżyczkami, ale w wygodnym domku w Clapham. I oto jestem, mniej więcej w połowie „a potem żyli długo i szczęśliwie”. Cudowne życie. Jestem taka szczęśliwa. Pełne małżeńskie szczęście i naprawdę jest wspaniale, po prostu bosko.

– Przydałyby ci się wakacje – stwierdza Daisy.

Strzał w dziesiątkę. Popieram całym sercem.

– Tak, ale to tylko pobożne życzenie, bo Luke pracuje całymi dniami. Nie bardzo rozumiem, dlaczego w takim upale ludziom chce się budować domy. Podejrzewam, że najwcześniej uda

nam się wyrwać późną jesienią albo zaliczyć narty w zimie.

Tak odwleczony urlop nie jest dla mnie rozwiązaniem.

– O czym gadacie? – pyta Lucy, która podeszła, by uzupełnić kieliszki.

– Connie jest najwyraźniej znudzona – odpowiada Sam.

– Nie znudzona – poprawiam ją. – Znudzona to za mocno powiedziane. Bardziej, no... sama nie wiem...

– Rozpuszczona? – podpowiada Lucy.

– Zniecierpliwiona – kończę.

– Powinnaś zacząć uprawiać jakiś sport – radzi Sam.

Patrzę na nią z przerażeniem.

– Albo zaszaleć na zakupach – mówi Daisy.

To jest myśl godna rozważenia.

– Najlepiej zrobi ci romans – stwierdza Lucy.

Wybuchamy śmiechem. Ta propozycja jest równie przerażająca, jak niedorzeczna. Sporo czasu mija, zanim udaje nam się uspokoić. To naprawdę zabawne. Ja i romans? Ja? Przecież mam Luke'a i jestem taka szczęśliwa, że nie muszę brać udziału w tej szalonej, puszczałskiej bieganiu za mężem. Lucy naprawdę mnie rozbawiła.

– Już wiem, o czym możesz zacząć myśleć – zaczyna Sam.

Poziom jej ekscytacji dorównuje pięciolatkowi w teatrzyku dla dzieci. Ten entuzjastyczny wybuch jest zaraźliwy.

– Co takiego?

– We wrześniu wybieramy się do Paryża na konferencję zarządu. Oficjalne obchody fuzji Peterson Windlooper. To już za trzy tygodnie.

Mgliście przypominam sobie, że czytałam na ten temat e-maila.

– Paryż jesienią – Sam kontynuuje wątek. – Będzie tak romantycznie.

Nieustające poszukiwania romantycznej miłości sprawiają, że ma jakiś cel.

– No widzisz – pociesza mnie Daisy. – Konferencja to właściwie wakacje.

Daisy jest nauczycielką i nie ma pojęcia o realiach życia firmy. A mimo to udało jej się sformułować bardzo trafne podsumowanie.

– Paryż jest wymarzonym miejscem na zakupy.

– I na romans – śmieje się Lucy, wracając do Petera, by dokończyć debatę na temat wprowadzenia euro.

Rose obserwuje męża w towarzystwie Lucy. Jest nadzwyczajnie cicha. Zastanawiam się, czy zdarzają jej się chwile tęsknoty za zawodowym życiem, które prowadziła, zanim pojawiły się bliźniaki. Całym sercem angażowała się w pracę. Co wydaje się niepojęte, bo była księgową. Obserwuję, jak całuje Sebastiana w głowę, promieniuje z niej czysta miłość. Pewnie czasami brakuje jej spełnienia w pracy, ale zrekompensowała sobie tę stratę, dokonując właściwego wyboru. Właściwego wyboru dla siebie.

– Peter ostatnimi czasy też nieprzerwanie pracuje – wzdycha.

Podnoszę Henry’ego i przytulam go. Mruczę i nucę przy tym w ten szczególny, głupawy sposób, towarzyszący dorosłym przy braniu na ręce małych dzieci. Bo nikt tak naprawdę nie wie, jak się zachować, obcując z cudem.

– Ale za to masz Sebastiana i Henry’ego, którzy dotrzymują ci towarzystwa.

Muskam pieszczotliwie mały brzuszek i wącham cudowny zapach młodziutkiej skóry. Spoglądam na Rose, wygląda na zmęczoną. Zerka w stronę Petera, upewniając się, że jej nie usłyszy. Nie ma na to najmniejszych szans, jest zupełnie poza zasięgiem, pogrążony bez reszty w dyskusji z Lucy na temat indeksu giełdowego. Wygłasza teorie w niezwykle ożywiony sposób.

– Nie jestem pewna, czy tu tkwi problem.

Ostrożnie okrąża temat, próbując znaleźć najwłaściwsze słowa, by nazwać to, co jej leży na sercu, nie wykazując się przy tym brakiem lojalności w stosunku do Petera. Rozumiem ją. Jak człowiek wyjdzie za mąż, nie jest już tak łatwo dzielić się wszystkim z przyjaciółkami. Jako świeżo upieczonej mężatce, zdarzyło mi się parę razy popełnić ten błąd – wyzalić się Daisy i Lucy, że Luke zachował się wobec mnie egoistycznie. Nie pamiętam nawet, o co mi wtedy chodziło. Naprawdę żałuję, że się wygadałam. Co prawda żaden lincz w stosunku do mojego męża nie miał miejsca, nie uświadomiły go wtedy, że okazał się okrutnym barbarzyńcą niezasługującym na ich przyjaciółkę. Ale kiedy następnego tygodnia Luke i ja wróciliśmy do swojej szczęśliwej bajki, a ja zupełnie zapomniałam, że był wstrętnym draniem, który nie potrafił nawet wyprać swoich cholernych skarpetek, Daisy zapytała zatroskana, czy z nami aby wszystko w porządku. A do tego ten ton. Pełen współczucia, sondujący i dociekliwy ton, ten sam, który zawsze kochałam, a który nagle wydał mi się impertynencki. Czyżby miała nadzieję, że moje małżeństwo nie układa się idealnie? Czy było jej mnie żal? Zgroza. A może próbuje dać mi do zrozumienia, że wybrałam nieodpowiedniego mężczyznę? Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że nic takiego nie przyszło jej do głowy. To niepodobne do niej, mimo wszystko jednak nie czułam się swobodnie. Od tamtego zdarzenia zachowuję wszelką ostrożność, by nigdy, pod żadnym pozorem, nie marudzić na Luke’a. Wolę, jak dziewczyny tkwią w przeświadczeniu, że w naszym związku sprawy układają się idealnie, co zresztą nie jest zbyt przesadnym określeniem. Tak więc w pełni rozumiem opory Rose przed krytykowaniem męża.

– Mów śmiało – zachęca Sam.

Jest przy tym tak niezmiernie życzliwa, kojąca i przyjazna, że nie sposób nie udzielić odpowiedzi.

– No cóż, odkąd urodzili się chłopcy – Rose zaczyna z wahaniem – mam wrażenie, że Peter woli spędzać czas w pracy niż w domu. W biurze, na rybach czy w siłowni, właściwie wszędzie, byle jak najdalej od nich... to znaczy od nas.

Żadna nie odpowiada, bo już dawno to zauważyłyśmy. Kiedy Rose nie ma wśród nas, rozwodzimy się drobiazgowo nad jej biednym losem, że wyszła za egoistycznego drania, niepomagającego przy bliźniakach, a ona wygląda na bardzo zmęczoną. Ale do tego momentu

nie zdawałyśmy sobie sprawy, że Rose zaczyna myśleć podobnie.

– Ciężko pracuje na ciebie i dzieci – przekonuje Sam.

Sam jest zdania, że Peter nie robi źle, pracując godzinami.

Dla niej to normalka, że faceci spędzają większość czasu na łowach, by zapewnić byt rodzinie. No, ale w końcu to nie ona jest mężatką. Prawdę mówiąc, jej najdłuższy związek przetrwał zaledwie parę miesięcy. Nigdy nie dotrwała do tego nużącego etapu, w którym posiłki jada się w samotności, a obiad dla niego łąduje w lodówce. Aby zabić czas, kobieta gapi się w telewizor, skacząc z kanału na kanał, obserwuje ślamazarnie przesuwające się wskazówki zegara i kiedy te dochodzą do dwudziestej trzeciej, stwierdza, że coś jest nie tak z zegarem.

Nie jest w stanie zrozumieć tej frustracji, kiedy wreszcie pojawia się wyczekiwany godzinami mąż, zbyt skołowany, by sklecić choćby jedno zdanie, zbyt zmęczony, by docenić odgrzany obiad, zdolny jedynie do uwalenia się na łóżku, bez choćby muśnięcia twojego policzka. Ja natomiast rozumiem ją doskonale.

– On naprawdę ciężko pracuje.

– Wiem, przecież dobrze wiem – odpowiada Rose, momentalnie czując się winna, a po chwili dodaje cicho: – Aleja też ciężko pracuję. Tak bardzo chciałabym, żeby czasami trochę mnie odciążył.

Zamilkłyśmy. I chociaż zazwyczaj uwielbiamy poprawiać sobie samopoczucie, słuchając o nieszczęściach innych (w możliwie najbardziej miły sposób), to dziś jest zbyt słonecznie na poważną debatę o utopijnych mrzonkach – małżeńskiej sielance. Henry zaczyna płakać. Jesteśmy wdzięczne za ten przerywnik.

– Trzeba mu zmienić pieluchę – informuje Rose już w pełnej gotowości, by się nim zająć.

Po niepokojących sygnałach wysłanych przez siostrę, Daisy najwyraźniej potrzebuje zapewnienia o istnieniu „I żyli długo i szczęśliwie”.

– Opowiedz nam o oświadczeniach Luke’a – prosi.

– Słyszałyście setki razy – odpowiadam ze śmiechem.

– No i co z tego, uwielbiamy tę historię. Prooosiiiiimyyy – Sam i Daisy łączą swe głosy w chóralnym wyciu.

– Niepoprawne z was romantyczki – drażnię się z nimi, ale w gruncie rzeczy jestem zachwycona wizją powrotu do tamtych chwil. – Wędrujemy szlakami w West Highlands.

– Jak jesteście ubrani? – pyta Sam.

– Eee, buty trekkingowe oczywiście.

– No tak, oczywiście – przyznaje nieco zawstydzona.

– Nie wiadomo, jakim cudem udało się nam z pogodą. Wymarzona aura na górskie wędrówki. Jasne, bezdeszczowe, świeże dni. Błękitne niebo, słońko przygrzewa na tyle, że można włożyć krótkie spodnie. Luke ma wspaniałe nogi, takie mocne i pokryte jasnymi włosami, australijski typ. Nasz plan zakładał wyprawę od Loch Lomond do Fort William.

– Kiedy mówisz „nasz plan”, to... – przerywa mi Daisy.

- Słuszna uwaga. To był plan Luke’a, a ja miałam poważne wątpliwości, czy dam radę.
- Ale oczywiście nie dałaś tego po sobie poznać – żywiłowo reaguje Sam.

Znają tę historię prawie tak dobrze jak ja. Zachowują się zupełnie jak dzieci, które domagają się ulubionej bajki, opowiadanej niezmiennie w ten sam sposób. Ku ich radości wspaniałomyślnie spełniam te oczekiwania. Mają w tym swój babski interes: mogą w szczegółach dopracować scenariusze własnych oświadczeń. Taka gierka, którą podejmujemy wszystkie, no przynajmniej kiedyś tak do tego podchodziłam, teraz już mi nie wypada. Za każdym razem, kiedy na horyzoncie pojawia się nowy facet, wyobrażamy sobie, w jaki sposób się nam oświadczy, jak będzie wyglądało nasze wesele i jakie cechy odziedziczy po nim potomstwo. Ta gra jest popularniejsza niż monopol i gdyby jakiś producent zdołał wsadzić ją do pudełka, zbiłby na niej majątek. Detale sukienki, pierścionek i przemówienie weselne ulegają pewnym modyfikacjom, ale fundamentalne założenie planu jest niezmiennie: kochana-do-grobowej-deski panna młoda zajmuje centralne miejsce na scenie.

– Moja kostka dawała mi się we znaki. Spuchła niemilosiernie i zsiniała. – W tym momencie zawsze trochę przesadzam. – Ale nie mogłam przecież narzekać. Dla niego miałam być ideałem.

Przytakuja. Rozumieją tak bezdyskusyjne kwestie.

– Zwijasz się z bólu – podsumowuje Sam.

Jej słowa brzmią tak, jakbym właśnie przez sześć tygodni była poddana najgorszym męczarniom w Tower of London. Najważniejszym elementem tej gry jest fizyczne cierpienie bohaterki (ja), więc kiedy w finale otrzymuje ona zasłużoną nagrodę (w tym przypadku Luke), tym bardziej cieszymy się jej szczęściem. Nie dzieje się tak bynajmniej dlatego, że moje słuchaczki są pełne współczucia; one cały czas wyobrażają sobie siebie w roli cierpiącej bohaterki. I kiedy oczyma wyobraźni widzą finałowy sukces, tak naprawdę przeżywają go osobiście. Uwielbiam być w centrum ich uwielbienia i żywego zainteresowania. Luke przerywa nam tę nostalgiczną scenę, wręczając każdej rożek lodowy. Uśmiecha się znacząco, kiedy słyszy, o czym rozmawiamy, i zaraz wraca do Simona. Prawdopodobnie, żeby go ostrzec.

– Opowiadaj dalej. W końcu musisz zdjąć but – popędza mnie Sam.

– A Luke widzi twoją kostkę. Jest przybity tym, tak bardzo zmartwiony, że ma łzy w oczach.

– Ciszej, Daisy.

Denerwuję się, że Luke może ją usłyszeć. Nie, żeby za bardzo ubarwiła tę część opowieści, naprawdę pojawiły się łzy troski w jego oczach na widok wielkiej, sinej, opuchniętej kostki. Ale gdyby dowiedział się, że zdradziłam ten fakt dziewczynom, byłby zażenowany.

– I co wtedy powiedział?

A więc im mówię.

Opowiadam, jak zapytał mnie, czy uważam, że potrafi się mną zaopiekować, a ja roześmiałam się, zapewniając go, że nikt dotąd nie wykazał się lepszymi kwalifikacjami. I chociaż udawałam, że nie mam pojęcia, do czego zmierza, wiedziałam dobrze. A jednocześnie wcale nie miałam pewności. Nie śmiałam nawet snuć takich przypuszczeń. Bo to był najbardziej

prerażający, ekscytujący, wspaniały i straszny moment w moim życiu. Mimo wszystko miałam głęboką nadzieję, że poprosi mnie o rękę. A moją nadzieję podsycalo wewnętrzne przekonanie, do tego stopnia, że zaczynałam nabierać pewności, a mimo to przeżywałam wtedy najbardziej przerażający, ekscytujący, wspaniały i straszny moment w życiu.

– I wtedy wyznał, że czułby się zaszczycony, gdyby mógł troszczyć się o mnie i kochać mnie do końca życia.

Dziewczyny zaczynają wymieniać uśmiechy, które przypominają wyraz szczęścia goszczący na twarzach sześciolatek na wieść, że pantofelek Kopciuszka pasuje idealnie. Słodki, sentymentalny i rzewny obrazek.

– A potem wręczył mi pierścionek.

Zaczynamy podziwiać pierścionek na lewej ręce, jakbyśmy widziały go po raz pierwszy, a nie setny. W jednym rzędzie mienią się trzy brylanty tej samej wielkości.

– Powiedz jeszcze, jak wybrał to cudeńko.

– Opowiadał, że przejrzał tysiące kamieni w przeróżnych kształtach i wymiarach: markizy, kwadraty, owalne, potrójne. I wtedy sprzedawca wskazał na tak zwane pełne brylanty. Od razu wiedział, że znalazł dokładnie to, czego szukał.

– Coś absolutnie olśniewającego, błyskotliwego, niezwykłego, żywiołowego, promiennego, jasnego.

– Jak najprawdziwszy brylant.

Wzdychają.

Rozdział 3

Umawiamy się z Sam na stacji Waterloo. Mój jedyny problem to poradzenie sobie z tłumami w WH Smith i tunelem pod kanałem La Manche. Stacja wypełniona jest ludźmi, którzy – jak przypuszczam – spędzają dni na bohaterских czynach: wynajdują leki na śmiertelne choroby i dożywwiają głodujące dzieci. Musi tak być, skoro przepychają się chamsko, taranując wszystko, co stanie im na drodze. Ta desperacja nie może być spowodowana chęcią dostania się do wnętrza środka lokomocji. Walczę dzielnie, by utrzymać trzy błyszczące magazyny, baton Galaxy rozmiaru XXL, torbę podróżną i laptopa, kiedy odzywa się Sam.

– A wiesz, że ten John Harding też będzie.

Trwa parę sekund, zanim łapię, o kim mowa. I jak tylko udaje mi się go zlokalizować w głowie, czuję też jego obecność w moich kusych majtkach. Taki mały, kręcący dreszcz. Przypomina mi to uczucie podczas kąpieli w Oceanie Indyjskim, gdy o moje stopy otarła się ryba – łaskotanie, dreszcz emocji i niepokój w jednym. John Harding to napalony gagatek. Totalny dziwkarz. Miałam z nim krótko do czynienia na konferencji w kwietniu.

– Podobasz mu się.

– Co ty. Niespecjalnie. Zresztą jemu akurat każda się podoba.

– Naprawdę wpadłaś mu w oko. Ty to masz cholerne szczęście. Dlaczego właśnie ty? Jesteś szczęśliwą mężatką i niepotrzebny ci nowy facet. – Sam wzdycha głęboko. – Zdaje się, że tylko mężatki mogą liczyć na nowe i intrygujące oferty.

– Mężczyźni nie potrafią zapanować nad wrodzonym instynktem rywalizacji, to ma związek z epoką łowców-zdobywców. A obrączka ma najbardziej podniecające działanie od czasów pończoch.

– Może i tak – śmieje się Sam. – Ale ty rozkwitłaś, z małżeństwem ci do twarzy. Roztaczasz ten niesamowity blask, od którego jest mi niedobrze, kiedy widzę szczęśliwie związane kobiety.

– W takim razie Luke’owi trafiła się okazja.

Ta próżność nas rozśmiesza. Sam wybacza mi, bo jest świadoma, że dość często równoważę ją końską dawką braku poczucia bezpieczeństwa. Nie może się jednak powstrzymać, by nie utrzcć mi trochę nosa.

– Mimo wszystko to dziwne, że tylu rycerzy, z mniejszym lub większym zapalem, próbuje cię strącić z tej wieży z kości słoniowej – dodaje.

– To wcale nie jest takie dziwne – bronię się. – Zresztą i tak mam ich w nosie.

– Johna Hardinga z Peterson Wind wcale nie miałaś w nosie.

Na dźwięk jego imienia znowu czuję łaskotanie w majtkach, co kojarzy mi się z sześciotygodniowym szczeniakiem na kwasie.

– Nudzą mnie. Tyle im brakuje.

– John wcale cię nie nudził. Wyglądałaś na zafascynowaną.

– To była zaledwie odrobina niewinnego flirtu.

Próbuję pokierować Sam do windy i jak najdalej od tego tematu.

– Po waszym pierwszym spotkaniu wysłał ci e-maila.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie.

– Tak, jestem tego pewna.

– Skasowałam go.

– A więc przysłał ci e-maila.

– Zamknij się, Sam – wybucham, prawie gubiąc mojego „Vogue’a”. – Wątpię, czy będę miała okazję go zobaczyć w tłumie tysięcy delegatów wybierających się na tę konferencję.

Pierwszą osobą, którą widzę, jest John Harding.

Wpadam na niego zupełnie przypadkiem, kiedy przedzieram się przez tłumy, nieprzebrane, hałaśliwe zbiorowisko ludzi z klasą, jeśli porównać ich do zgromadzenia oczekującego na otwarcie Harrodsa w pierwszy dzień wyprzedaży. Na widok Sue w oddali, z zapalem toruję sobie drogę przez maszerującą masę. Dziecięcy entuzjazm na widok przyjaciółki pryska jak bańka mydlana, kiedy wpadam na błękitne spojrzenie. Mruga do mnie, a ja zaczynam drzeć, bo jego rzęsy łaskoczą i omiatają całe moje ciało. Ziemia wzywa Connie! Zgłoś się, Connie! Halo, Connie! Tu jestem do cholery. Stoję dokładnie naprzeciw tego boskiego, zgrabnego, szczupłego, umięśnionego ciała. Długie, jasne rzęsy miękko opadają mu na posągowe, wspaniale zarysowane kości policzkowe, wszystko wraca do mnie w jednej chwili. Przypominam sobie, że ma cudowne piegi, które ubóstwiam. Dziwne. W życiu nie zaliczałam piegów do listy niezbędnych fizycznych atutów męskiego ideału.

Jest zdenerwowany i niemal w tym samym momencie odzyskuje pewność siebie.

Piłka jest po mojej stronie. Czy nie olałam go, zostawiając samego przy barze w Blackpool? Czy nie zignorowałam e-maila? Z drugiej strony mam do czynienia z totalnym próżniakiem. Trudno się dziwić tej pewności siebie, skoro od dwudziestu dziewięciu lat jest nieprzerwanie ubóstwiany przez płęć piękną, a od jakichś piętnastu nie znalazła się jedna, która zdołała mu się oprzeć. Jest w nim taka niezwykła, subtelna intensywność, oczarowująca natychmiast. Nie mogę wyobrazić sobie jego skóry podczas upałów. Wygląda tak, jakby przebywał w chłodnym, rześkim klimacie, sprzyjającym entuzjastycznym gonitwom za piłką na boisku albo radosnemu przestępowaniu z nogi na nogę w oczekiwaniu na otwarcie pubu; ręce zajmuje energicznym klaskaniem, pocieraniem lub trzymaniem zapalonym papierosem. Taki surowy i szorstki. Typ, o jakim zawsze myślał D. H. Lawrence, kreśląc postać kolejnego bohatera. Wyobraź sobie najbardziej nieprzyzwoitego i najseksowniejszego mężczyznę na świecie. Przystojniak z windy, rozbierający cię wzrokiem. Nieznajomy na ulicy, odwzajemniający twoje spojrzenie i sprawiający, że uginają się pod tobą kolana. Ten pozbawiony wszelkich skrupułów, bezpardonowy i zabójczy obcy to John Harding.

John pokrywa się rumieńcem.

– W życiu bym się tu nie zjawiała, gdybym tylko wiedziała, że tu będziesz.

Oczywiście zdarzyło mi się już użyć bardziej oziębłych formułek powitalnych. Ta

klasyfikuje się na poziomie tekstu typu „Nie jesteś tak wstrętny, jak można się było tego spodziewać”, użytego raz przy spotkaniu jednego z byłych chłopaków Sam (jej wina zresztą, bo twierdziła, że chłopak ma niesamowitą osobowość). John znów się rumieni. Jestem zachwycona, że na tyle udało mi się wytrącić go z równowagi, iż wywołało to rumieniec na jego obliczu, ale zbija mnie nieco z tropu opanowujące, a niedozwolone uczucie podekscytowania. Natychmiast wykonuję zamaszysty obrót na obcasach i z wigorem przeciskam się przez ludzką chmurę w kierunku mojego miejsca.

Sala konferencyjna wygląda jak tuzin znanych mi sal konferencyjnych. To hańba, że niegdyś tak piękne miejsce przeznaczone do tańca i miłych pogawędek zostało sprzedane na siedzibę konferencyjnych rozrust. Osiatkowane żyrandole i białe obrusy wyglądają groteskowo w towarzystwie nowoczesnych reflektorków i mikrofonów. Luksusowe krzesła i miękkie dywany gryzą się wściekle z garniturami, laptopami i biznesowym slangiem. Klimatyzacja buczy nieprzerwanie, zakłóca ją jedynie pojedyncze kasznięcie albo brzęk szkła, kiedy delegaci nalewają sobie, jedną po drugiej, szklanek wody. Paru uczestników konferencji śpi w najlepsze, z głowami opartymi na stole, cienkie strużki sączą się z kącików ich ust; jeden budzi się nieświadomy obecności plastikowego długopisu bic na głowie. Po mojej głowie krążą nic nieznaczące strzępy zdań: „... tworząc z większym rozmachem... „, „... . firma konsultingowa przyszłości... „, „... zintegrowana oferta rynkowa zapewniająca optymalną obsługę...”. O czym oni gadają? Całe ciało, umysł i stan ducha koncentruje się jedynie na fakcie, że on też tu jest, siedzimy na tej samej sali. Omiotam spojrzeniem twarze naprzeciwko, które falują i się zlewają. Siedzą wbici w garnitury i wypastowane buty, jedna bezkształtna masa. Doradcy do spraw zarządzania mają całkiem wyraźne wyobrażenie o tym, jak powinni wyglądać pracownicy. Chociaż nie jest to ujęte w żadnych procedurach czy statutach, ten styl jest bardzo charakterystyczny, a potrzeba przynależności jest tak ogromna, że naturalnie ukształtował się służbowy ubiór. Wszyscy faceci mają krótkie włosy, żadnych dodatków typu broda czy wąsy.

Niby z wierzchu wygląda jak cała reszta, ale emanuje z niego coś szczególnego, coś, co wyróżnia go z tłumu. Ślizgam się wzrokiem od krzesła do krzesła, skanuję poszczególne postacie, odrzucam kolejne towary do momentu, kiedy moje oczy docierają do miejsca, na którym siedzi on. Roztacza nad sobą blask, promienieje. Zaczyna mi się kręcić w głowie od tej iluzji. Ogarnia mnie lęk, kiedy uświadamiam sobie, że jedynym ratunkiem przed nim jest ucieczka.

Konferencja nowo zawiązanej Peterson Windlooper przeciąga się maksymalnie. Oficjalne zakończenie następuje dopiero piętnaście po siódmej, czyli dokładnie kwadrans przed zaplanowanym wieczornym bankietem. Z pośpiechem zgarniam ołówki i skórzany notes do torby i pędzę do hotelowego pokoju. Muszę podjąć błyskawiczną decyzję, o co zadbać – czy o higienę osobistą, czy raczej o stylowy wygląd. Kwadrans to trochę mało, by wziąć prysznic, wybrać strój i poprawić makijaż. Wybieram prysznic, bo jestem nienaturalnie spocona i cała się kleję. Można powiedzieć, że zachowuję się jak Tygrysek przed szampańską zabawą. Głowa mi pęka, nie mogę

myśleć. Nie będę w stanie nic przełknąć. Już teraz jestem tego pewna. Z ledwością mogę oddychać. W głowie tłoczą mi się same zdania zakończone rażącym wykrzyknikiem. Wpakowałam się w niezłą kabałę.

Z pośpiechem układam włosy, ujarzmiam niesforne loczki i rozczesuję je w modne, faliste kaskady. Wciągam czystą, białą bluzkę, a na nią dość formalną garsonkę, którą miałam na sobie cały dzień. Ta biznesowa kreacja wydłuża mi optycznie nogi i sprawia, że wyglądam poważniej. Poza tym nikt nie powie, że mizdrzyłam się przed lustrem godzinami, skoro mam na sobie te same ciuchy. Mam nadzieję, że i tak zrobię na nim wrażenie. Te odważne myśli przyprawiają mnie o dreszcze. Oczywiście, że to bardzo niebezpieczna gra, oczywiście, że nie dają rady opierać się dłużej.

Sala wypełniona rozbawionym towarzystwem faluje. Korporacyjny bankiet od razu klasyfikuję jako nieuniknioną katastrofę – nieprzebrane ilości alkoholu plus przerośnięta ambicja. Zamiast trzymać się bocznej linii i czerpać przyjemność z zabawnych opowiadań znajomych z pracy, ładuję się w sam środek imprezy. Sięgam po kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera, opróżniam szkło jednym łykiem, szybko odstawiam pusty kieliszek, by zaraz sięgnąć po następny. Wita mnie przerażony wzrok Sam.

– Wyglądasz olśniewająco – rzucam niby od niechcienia.

Ignoruje zupełnie tę śmiałą próbę skierowania uwagi na inny tor. Jej wielkie oczy olbrzymieją, kiedy kiwa pytająco w stronę szampana.

– Mam ochotę się napić, to chyba nic wielkiego – informuję trochę nadąsanym głosem.

Nie potrzebuję niańki. Sam, przyjaciółka-chodząca świętość, śmieje się pobłaźliwie.

– Uważaj, Connie – ostrzega łagodnie.

– Tak jest – odpowiadam. – Słuchaj, jeśli zobaczysz, że mogę zrobić coś głupiego, że zaczynam przeginać, przyjdź na ratunek, okej?

– Obiecuję – zapewnia.

Już po mnie. Gdybym wiedziała, że sama jestem w stanie zapanować nad sobą, nie prosiłabym Sam o pomoc. Dobrze wiem, że ta odsiecz Sam to tylko ścierna, bo jeśli zajdzie konieczność, to i tak ją wyroluję, używając odpowiednich technik manipulacyjnych. Ale chcę stworzyć wrażenie przyzwoitej walki z sumieniem, tyle że zarówno serce, jak i głowa dobrze wiedzą, że żadnej walki nie będzie.

Przyzwoitość i koniec, kropka.

Wiem, że pozory są ważne, bo kiedy przychodzi co do czego, i tak podejmuję pochopne decyzje, począwszy od przystawek, na mężach kończąc.

Wybieram miejsce obok Sam, chociaż to Sue siedzi z Johnem. Mogłabym przysiąc się do Sue (Johna), ale bezpośredni atak zostawiam na później. To sprawdzona technika odraczania przyjemności, nie mająca nic wspólnego z wahaniem. Mam świadomość, że jeśli przystopuję na chwilę, on zapragnie mnie jeszcze bardziej. Rolę wyrachowanej dziwki dla podgrzania atmosfery mam świetnie opanowaną.

Wieczór toczy się dalej, wypełniając przestrzeń serią kolorowych obrazów i mocnych, ostrych zapachów: drogie perfumy mieszają się słodko ze spoconymi ciałami, woń sosów z jagnięciny i mięty ubarwiona jest smakiem metalowych naczyń. Hałas panoszący się dookoła ogłusza mnie, rozbawienie i podekscytowanie zderzają się z nieprzyzwoitym pożądaniem i niecierpliwym oczekiwaniem kolejnych atrakcji. Mamy przepustkę umożliwiającą podróż do świata nieposkromionej rozpusty. Kobiety, które zwykle ograniczały się do nieregularnych dawek dzinu z tonikiem, nagle wlewają w siebie kolejkę za kolejką, śmieiej niż George Best, [Piłkarz północnoirlandzki, odsunięty od gry po wieloletnich problemach z alkoholem.] tocząc przy tym pojedynki na pięści. Całkiem skromne, jak mi się wydawało, koleżanki zza biurek wzbudzają teraz aplauz, tańcząc kankana na stole. Grupa ludzi w kolorowych czapeczkach na głowach odbekuje melodię hymnu narodowego. Wszelkie standardy dobrego zachowania poszły z dymem. Trajkotanie, nieustające trajkotanie wypełnia salę, akompaniuje mu głuchy dźwięk talerzy lądujących na białych obrusach, brzęk butelek uderzających o krawędź napełnianych kieliszków, łoskot noży i widelców obijających się o zęby i porcelanę, strzelające korki od szampana. Ludzie dwoją się i troją, przekrzykują wzajemnie w wyścigach o najzabawniejszy kawał. Rozlegający się śmiech, wrzaskliwy i niewspółmierny do sytuacji, krąży dookoła stolików. Właśnie tak reagują szczęśliwi uciekinierzy. Koniec z dyktaturą formalnych, uprzejmych, zdawkowych pogawędek z nieznanymi czy serdecznych i ciepłych rozmów z bliższymi kolegami. Sala tętni niczym nieskrępowaną, bezwstydną zabawą.

Każdy z nas marzy tylko o jednym.

Silny strumień szampana sływa mi przez gardło, nasilając tylko wrażenie niezaspokojonej i uzależniającej suchości. Tysiące, biliony szalonych bąbelków roztańczone w moich ustach.

– To ostatni kieliszek szampana – narzekam, opróżniając jedyną pozostałą butelkę na naszym stole.

Sam podaje mi białe wino. Chwilę później i ta butelka jest pusta, sięgamy więc po czerwone. Udaję żywe zainteresowanie rozmową toczącą się przy stole. Chociaż poziom docinków i przekomarzań jest całkiem wysoki, a ja – jak zawsze – szybko i trafnie strzelam ripostami, poświęcam na to jedynie część swojej uwagi. Wydłuża mi się szyja, ciało szczupleje, na kremowej skórze pojawiają się pod wpływem alkoholu rumieńce o truskawkowym odcieniu. Pochylam się do przodu, łokcie opieram na stole, splecione palce podtrzymują podbródek. Niezbyt wygodna, acz kokieteryjna pozycja. Zdejmuję żakiet. Robi się za gorąco. Zbyt wiele stłoczonych, napalonych ciał na tak małej powierzchni. Moje opalone ramiona kuszą. Jestem atrakcyjna. Ta niezwykła metamorfoza bynajmniej nie odciągnęła mojej uwagi od niego.

– Przestań natychmiast. – Sam częstuje mnie kopniakiem pod stołem.

– O co ci chodzi?

– O to bezwstydne wytrzeszczanie oczu.

Nieco zawstydzona próbuję odwrócić wzrok, ale to bardzo trudne. Rejestruję jego najmniejszy ruch. Doskonale wiem, kiedy siedzi, a kiedy stoi, kiedy pije, je czy patrzy na mnie.

Zdaję sobie sprawę, kiedy się śmieje, a kiedy flirtuje, i dobrze wiem, że cały czas dławi go pożądanie. Pragnie mnie. Wiele razy moje niedyskretne spojrzenia wynagradzane są jego rozmarzonym wzrokiem utkwionym we mnie. Świadomość, że jestem obiektem jego zainteresowania, dodaje mi pewności. Sama jego obecność działa na mnie kojąco. Jest tu, w moim świecie. Nie wiem, dlaczego tak mnie to uspokaja, a że w głowie mi się kręci od wypitych procentów, nie zastanawiam się nad tym ani chwili dłużej. Ale z niego totalnie nagrany kutas. Pragnę go całą sobą. Ludzie twierdzą w takich sytuacjach, że jeszcze nigdy wcześniej nie czuli się podobnie, a ja zawsze sceptycznie traktowałam podobne wynurzenia. Wciskanie kitów dla samousprawiedliwienia. Normalna rzecz.

Jak już do tego doszłam, jestem pewna, że nigdy wcześniej nie czułam się podobnie.

Starannie go unikam, jednocześnie polując na niego nieprzerwanie. Choć trzymam się w pewnej odległości, staram się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Nie może mnie nie zauważać, ale nie może mnie mieć. Atmosfera na sali ulega kompletnemu chaosowi. Żarty i wino zlewają się. Kiedy prawie każdy zaczyna wędrować od stołu do stołu, podchodzę do niego. Siedzi sam przy filiżance kawy i miętowych czekoladkach, otoczony porozrzucanymi korkami i tuzinami niedopitych kieliszków. Zdaję sobie sprawę, że mam do czynienia z niezwykle towarzyską duszą i zastanawiam się, czy fakt, że postanowił wycofać się z zabawy, jest znakiem dla mnie. Bez żadnej fałszywej skromności siadam koło niego. Zapala papierosa i podaje mi go, a potem sięga po kolejnego dla siebie. Nie paliłam, odkąd skończyłam jedenaście lat, kiedy to z przyjaciółką raczyłyśmy się tym zakazanym owocem w jej domku na drzewie, ale natychmiast biorę papierosa i zaciągam się. To nie najlepszy moment, by uświadamiać go o zdrowotnych konsekwencjach dymiącego nałogu.

– Wiesz, że to nieuniknione – stwierdza prosto z mostu.

Pulsująca cipka i suchość w gardle zmuszają mnie, by przyznać mu rację. Nagle odzyskuję przytomność umysłu.

– Nie, to wcale nie jest nieuniknione – jąkam się. – Wcale. Nie i jeszcze raz nie – bez przekonania powtarzam zaklęcie.

– To dziwne, w kółko nawijasz, że mnie nie pragniesz, ale jednocześnie zdradzasz, jak bardzo tego chcesz. – Śmieje się do siebie. – „Słabości, imię tve kobieta”.

Brzmi jak mężczyzna, który jest pewny swego. Wstaję energicznie i potracam stół.

– Oj, oj, o jednego za dużo – komentuje, szczerząc się.

To oczywiste, że chce mnie zerznąć, ale nic z tego. Wracam na swoje miejsce. Zaczyna się gra nie w czy podejdzie, ale kiedy podejdzie.

W głowie wiruje mi karuzela.

Dłubię widelcem w talerzu z deserem, ale jakoś nie udaje mi się trafić do ust.

– Straciłaś apetyt? – Oczy Sam wyrażają troskę. – Zwolnij trochę. Flirtujesz wręcz skandalicznie.

– Naprawdę tak sądzisz? A mnie się wydaje, że idzie mi całkiem dobrze – dowcipkuję.

– Jesteś mężatką – oświadcza ze szczerością, która wydaje się zbyteczna.

Gromię ją spojrzeniem. Ta próbuje jeszcze raz.

– Posłuchaj, nie ma nic złego we flircie dopóty, dopóki wiesz, dokąd on zmierza i kiedy przestać. Dopóty, dopóki potrafisz postawić sobie granicę.

Uśmiecham się i wiercę na krześle. Wiem, co mnie czeka, i zaciskam uda. Bogu niech będą za to dzięki!

– Napiję się jeszcze – stwierdza Sam i próbuje napęlić sobie kieliszek czerwonym winem. – Kurde – wymyka się jej, kiedy rozsypuje sól na obrusie i tworzy małe słone górki w czerwonym morzu.

– Dla mnie ani kropli więcej – obwieszczam, napęliając jednocześnie swój kieliszek. – Mam już naprawdę dosyć – dodaję i obie chichoczymy.

– Masz więcej niż dosyć. Wypiłaś całe morze.

– Jak wszyscy tu zebrani – bronię się.

Chociaż dochodzi dopiero wpół do jedenastej, doprowadzenie kieliszka do ust bez rozlania zawartości staje się nie lada wyzwaniem dla moich motorycznych zdolności. Kelnerzy próbują uprzątnąć nasze stoły, a szefostwo usiłuje zniechęcić towarzystwo do picia, bo przecież jutro czeka nas ciąg dalszy konferencji. Niestety, brak ich finansowego wsparcia dla naszego pijaństwa ma odwrotny skutek.

Większość pracowników udaje się w stronę hotelowego baru, gdzie drinki są zastraszająco drogie, naszą intencją więc staje się umieszczenie ich na liście „nieprzewidzianych kosztów podczas negocjacji”. Niespodziewanie, wykorzystując zamieszanie, on zjawia się przy mnie. Prawą rękę kładzie mi na głowie, odwraca moją twarz i całuje mnie. Na samym środku, na oczach wszystkich.

Ciepłe, pełne usta, niesamowity puls.

Znów czuję smak szampana musującego mi w ustach, roztańczone bąbelki i pęcherzyki powietrza przypominają spernę niekontrolowanego wytrysku podczas obciągania druta; są zadziwiająco intymne. Pocałunek nie jest długi, ale zdecydowany. Z pewnością nie jest to przyjacielski buziak, to coś znacznie więcej. Tłum ucichł. Kobiety są wściekłe z zazdrości, że John pocałował właśnie mnie, mężczyźni zaś niechętnie okazują swoje uznanie, że oddałam pocałunek. Rozglądam się za Sam, na szczęście nie ma jej w pobliżu. Jego usta są miękkie i jednocześnie twarde. Całowanie się z nim jest takie inne. Smakuje zupełnie inaczej niż całowanie się z Lukiem. To wspaniały pocałunek, pełen obietnic i zamiarów.

– Mam w dupie takie byle co.

Wywraca oczyma w kierunku hotelowego baru. Zwykle doprowadza mnie do szału, kiedy ktoś nagle wyskakuje ze zmianą planów. Zazwyczaj mam już w czubie, zanim pomysł zostaje poddany dyskusji, i nie chce mi się ruszać z miejsca. Kulminacja wieczoru następuje więc przy barze z niezliczoną liczbą sztucznych roślin, tandetną muzyką i znacznie droższym alkoholem. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. A mimo to, kiedy John rzuca taką propozycję, uważam, że to

najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek usłyszałam w życiu.

Wspaniały.

Zdumiewający.

Sam stwierdziła, że na dzisiaj ma już dosyć, ale zostaje z nami Sue i w gronie mniej więcej piętnastu osób ruszamy do centrum w celu znalezienia „przyzwoitego miejsca” i nocnego klubu. Sam wygląda na zatrwożoną, kiedy wskakuję do taksówki.

– Uważaj na nią, Sue – mamrocze niewyraźnie.

Sue odpowiada kiwnięciem, a chwilę później wychyla się z taksówki, by puścić pawia, i oddycha z ulgą, bo tylko znikoma część rzygowin zostaje na jej włosach. Z uporem powtarzam, że jestem zupełnie trzeźwa, wyznaję Sue miłość od pierwszego wejrzenia i sugeruję, byśmy znaleźli bar karaoke.

Wysypujemy się z taksówki, miło zaskoczeni, że tym razem nie skończyliśmy w naprawde zatechłej melinie. Mieliśmy sporo szczęścia, bo na czele konwoju taksówek wiozącego niesforną bandę dzikich zwierząt, znalazła się jakaś rozumna dusza, która miała pojęcie, jaki kierunek obrać. Szczodrze wynagrodziliśmy napiwkami straty moralne taksówkarza, który wściekle krzyczy: „Agielskie szwinie”. Jeszcze w tym momencie nie jest świadom, że ktoś właśnie rzyga na tylnym siedzeniu samochodu; przyznaję więc niechętnie, że jego oskarżenia nie są zupełnie bezpodstawne. Kierowca taryfy za nami wykazuje się większym sprytem i zmusza jedną z ofiar alkoholowego miksu do wytarcia pozostawionych wymiocin krawatem od Armaniego.

Knajpka jest mała, zadymiona i pełna lokalnych klientów. Próbuje wtopić się w towarzystwo, nie tracąc przy tym fasonu. Natychmiast z tłumu wyławiam Johna, który macha do mnie, zapraszając do swego stolika.

– Spadajcie stąd, zróbcie dla niej miejsce – zwraca się uprzejmie do współbiedniaków.

Przy stole siedzi z pół tuzina ludzi i już wiem, że nikogo z nich nie chcę spotkać na korytarzu w pracy. Odwraca się do mnie.

– Więc z iloma już spałaś?

– Nie przesadzasz z bezczelnością?

– Aha, straciłaś rachubę – śmieje się.

Jest taki arogancki, pewny siebie i nieokiełznany.

Tak samo jak w Blackpool nasza rozmowa ogranicza się do tematu seksu. Uważa mnie za niesamowicie seksowną. Za jak bardzo seksownego faceta ja go uważam? Wymieniamy się statystykami: kto, jak często, z kim, kiedy i gdzie. Współzawodniczymy w tych porównaniach. Przebija mnie ilością, ja jestem górą, jeśli chodzi o różnorodność. Opisuję z satysfakcją, z najmniejszymi detalami podboje (sporo) i konsekwencje (zabawne). Czuję się jak kobieta świadoma swego seksapilu i doświadczenia, w żadnym razie jak zdzirowata szmata. On rozumie wszystko. Jest dokładnie taki jak ja, jeśli nie gorszy. Stosunki seksualne utrzymywał z najbardziej zróżnicowaną erotycznie plejadą kobiet, jaką tylko można sobie wyobrazić, co działa rozkosznie na zmysły. To dopiero wyzwanie.

– Fajnie jest się urodzić facetem.

– Dlaczego?

– Bo nawet jeśli zachowujesz się jak ostatni drań, łatwo uchodzi ci to na sucho. Płeć piękna nie ma tak lekko.

– Co za pech.

– No, zaprzecz.

Miota się, raz błagając, bym się z nim przespała, to znów udzielając mi reprimendy, bo wciąż upieram się, że tego nie zrobię. W jednej minucie, z pełnym przekonaniem, podkreśla nieuchronny, łóżkowy finał naszej znajomości, a chwilę później wymachuje rękoma w powietrzu w geście desperackiej rezygnacji. To rozkoszna i wciągająca bez reszty forma przesłuchania. Nie potrafię mu odmówić. Wcale nie chcę. Czuję się nieprzytomnie nieodpowiedzialna, zauroczona, opętana. Uwielbiam go.

– Przyznaj się, że dokładnie wiesz, o czym mówię. Po prostu nie znasz ludzi, którzy się do tego przyznają.

– Boże, ale ty jesteś próżna. – Tłumi śmiech.

– Nie bardziej niż ty.

– A więc się przyznajesz.

Spogląda na mnie, potem milknie na chwilę. Odwraca się, by zaraz z powrotem zatrzymać wzrok na mnie. Potrząsa głową i śmieje się. Zastanawiam się, o czym myśli. Przypuszczam, że się we mnie zakochał.

– Lubisz gry, co? – drażni się ze mną.

– O tak – odpowiadam i dodaję kokietyjnie: – Szczególnie te, w których wygrywam.

– Co powiesz na warcaby?

Mmm. Spodziewałam się raczej zabawy w doktora i pielęgniarkę albo w mamusię i tatusia. Wyciąga nie wiadomo skąd drewniane pudełko. Jesteśmy w takim miejscu, gdzie podczas drinkowania goście mogą się zabawić grą w karty, szachy lub warcaby. Uważam, że jest to pomysł dla ludzi, którzy nie bardzo wiedzą, o czym gadać, ale John zapewnia mnie, że to ukłon w stronę facetów, by mogli z wdziękiem zaproponować rozbieranego pokera.

– Czarna czy biała? – pyta, rozkładając pionki.

– Zawsze biała.

– Niezupełnie.

– Ty jesteś czarny.

– Ależ, moja droga. – Uśmiecha się. – Niezupełnie.

Mówi bardzo wolno i klarownie, a jego słowa wylizują do czysta moje sumienie. Sprawnie zaczynam rozstawiać białe pionki. John chowa w dłoniach po jednym pionku z każdego koloru.

– Losuj, kto zaczyna.

Klepię dłoń, która triumfalnie prezentuje przedstawiciela czarnych. Jego oczy śmieją się. Wrzuszam ramionami, to tylko marna potyczka, nie cała wojna. Możemy zaczynać, ale

oderwanie od niego wzroku i skupienie się na planszy sprawia mi nie lada problem. Przez roztargnienie gram nierozważnie i impulsywnie. On wykazuje się większym doświadczeniem w przesuwaniu pionków; rozgrywa bezkompromisową i taktycznie zaplanowaną partyjkę. Ja zachwygam się, kiedy udaje mi się zaskoczyć go i zgarnąć pionka, nawet za cenę narażenia na niebezpieczeństwo mocniejszej figury. On rozważa kolejne posunięcia, a każdą stratę popija solidnym łykiem Jacka Daniel'sa.

– Naprawdę zależy ci na wygranej? – pyta z niedowierzaniem, kiedy tracę kolejnego pionka, a następnego wystawiam na zgubę po impulsywnym ruchu.

– Jak zawsze. – Chichoczę, unosząc kieliszek do ust.

Udaję niepokój i konsternację, gryząc dolną wargę, na której pojawia się krew. Myślę, że efekt może okazać się prowokacyjny. Delektuję się moją nagle odkrytą, wysoce rozwiniętą seksualnością.

– Wiesz, jaka jest stawka – przypomina mi. – I masz świadomość, że zgram dla siebie wszystko, co mi się należy.

Liczę na to.

– Najpierw ty weźmiesz mnie – kontynuuje wolno i z namaszczeniem. – A potem ja wezmę ciebie.

Wskazuje na moją damkę. Pragnę, by wskoczył na mnie.

– Że też dałam się tak głupio podejść.

Wyciągam się wygodnie w bujanym fotelu, ulegam chwilowemu przygnębieniu; ale właściwie nie przejmuję się za bardzo. Próbuje rozgryźć nieco to całe *double entendre*.

– Zaplanowałaś to sobie od samego początku.

Owijam kosmyk włosów wokół wskazującego palca, mam nadzieję, że wygląda to słodko i dziewczęco.

– Nawet gdybyś domyśliła się wcześniej, i tak nic byś z tym nie zrobiła.

Bez wątplenia chodzi mu o rżnięcie.

– Czy miałam jakieś inne wyjście? – Śmieję się, jednocześnie wielbiąc ten pewny siebie, kokieteryczny ton, podkreślony alkoholem.

– Nie. W momencie, kiedy zdecydowałaś się właśnie na taką formę ataku, z której zresztą z determinacją nie chciałaś zrezygnować, nie zostało ci nic innego, jak tylko czekanie na konsekwencje.

Zabawne. Analogia jest oczywista.

– Jesteś pijany – stwierdzam, nie zwracając się do nikogo konkretnego, a jednocześnie myśląc o tej całej bandzie przy barze.

– To prawda, ale nawet będąc pijanym, potrafię być śmiertelnie poważny.

„P” od „poważny” przeszywa powietrze i zawisa nad nami.

– Twój ruch, gra się jeszcze nie skończyła.

– W rzeczy samej.

Przypatruję się planszy, na której zostały dwie białe damki i jeden pionek oraz trzy czarne damki z jednym pionkiem.

– Szanse są wyrównane. Ta noc wciąż może być twoja.

– Naprawdę chcesz wygrać? – pytam, przesuwając damkę.

– Tak.

Rusza pionkiem po planszy, zastyga na chwilę i kontynuuje posunięcie.

– Chcesz więc, bym przegrała – stwierdzam i prowadzę pionka.

– O nie, tego wcale nie chcę – odpowiada błyskawicznie. – Oboje możemy wygrać.

Przesuwa się do kolejnego pola.

– Remis jest nudny i nie rozstrzyga niczego – stwierdzam ostro.

Mój ruch.

– Twoja stawka? – pyta.

Jego ruch.

– Ty – odpowiadam jednym tchem i unoszę wzrok, by sprawdzić jego reakcję.

– A więc twoje życzenie zostaje spełnione – wyrokuje, zbijając ostatniego białego pionka.

Potem idziemy tańczyć. W samym środku małej kafejki, z około trzydziestką stłoczonych ludzi na parkiecie wielkości chustki do nosa. On jest mężczyzną w typie północnym, więc nie okręca mnie dookoła, prezentując solową interpretację *Wirującego seksu*. Jest wspaniałym tancerzem. Może się to wyda płytkie, ale dla mnie jest cholernie ważne. To znak rozpoznawczy, nie ma zbyt wielu facetów, którzy potrafią dobrze tańczyć, choć większość uważa, że mogłaby pokazać niejedno Travolcie, a Michael Jackson błagałby ich o lekcje. A poza tym dobre wyczucie rytmu jest wielce obiecujące. Dobrzy tancerze są tacy jurni. Jestem pewna, że pachnę seksem, mam przemoczone figi, które kapią dla niego; mogłabym je wyżyć. Pragnę go z przeraźliwą i przejmującą intensywnością, która zamiast zawstydzać, podnieca jeszcze bardziej. Tańczymy, sugestywnie ocierając się o nasze intymne partie ciała. Spokojnie kołyszące się biodra niewiele pola zostawiają wyobraźni. Muzyka przyspiesza i wpadamy w maniakałny trans, wirując na parkiecie. Zazdroszczę kropelkom potu, które pojawiają się na jego czole, a potem spływają po skroniach i policzkach. To ja chcę po nim spływać. Wracamy do naszego stolika, gdzie cała banda rozgorączkowanych mężczyzn kłóci się nad grą w wista. Decydujemy się wykorzystać ten hałas i wymykamy się niezauważeni.

Jest rześka, jasna noc, zimne powietrze wślizguje mi się pod rękawy i smaga ciało. On obejmuje mnie ramieniem, bym nie przemarzła, i macha na taksówkę. Jest tak niezwykle uzdolniony. Każdy ruch emanuje seksapilem, którego nie można się tak po prostu nauczyć, wyćwiczyć czy pojąć. Jak zwykle francuska taksówka pędzi na złamanie karku. Jednak zamiast siedzieć z zaciśniętymi pięściami ze strachu i przeklinać, że nie ma pasów bezpieczeństwa, gorączkowo ponaglęm kierowcę. W zaistniałych okolicznościach nawet rydwan Ben Hura nie byłby wystarczająco szybki. Nie rozmawiamy podczas jazdy; nie ma już nic więcej do powiedzenia.

Biegniemy obok recepcji, on trzyma mnie za rękę. Uważam, że to uroczy gest, za który przyznaję duży punkt.

– Mój pokój – rozkazuje.

Minęło już sporo czasu, odkąd spałam z innym (niż mąż) facetem i choć pewne niuanse mogły mi umknąć, podstawowe zasady dobrze pamiętam. I nie chodzi o proste stymulatory. Podczas gdy on miota się chwilę z kluczem, ja masuję obolałe łydki. Zmusiłam stopy, by wcisnęły się w buty typu „pieprz-mnie” i teraz skóra pod dużym palcem piecze niemiłosiernie. Twarz wydaje się ściągnięta i zmęczona. Powinnam czuć się jak szmata. Otwiera drzwi do pokoju, a ja mogę jeszcze dokonać wyboru.

Wejść.

Albo nie wejść.

Popycha mnie na ścianę i zasypuje natarczywymi pocałunkami. Owijam się wokół niego lewą nogą. Moje ręce eksplorują to cudne męskie ciało, a jego ręce zamykają drzwi i zdejmują buty. Nie silimy się na żadną fałszywą skromność. Opadam na łóżko, a on wspina się na mnie. Pomalutku uwalnia mnie z lepiącego się zakietu przesiąkniętego zapachem potu. Ubranie ląduje na podłodze, czuję muśnięcie chłodnego powietrza, które unosi mnie, uwalnia, omiata ramiona. Zrzucam buty, oswobodzone palce u nóg poruszają się radośnie. Całuje z namysłem, rozkosznie, pieszczotliwie, wnikliwie. Zaczyna muskać mi skórę, głaskać, dotykać. Pragnę go do bólu. Pożądam go. Słyszę siebie powtarzającą „nie”. Mój wewnętrzny głos uwziął się na to monosylabiczne słowo, tyle że moje ciało upiera się przy „tak”. Plecy wyginają się do niego – T – uda drżą – A – w głowie się kręci – K.

TAK. Pieści moje ramiona i szyję, talie, brzuch, a potem uda. Zanim przelotnie przemknie po piersiach, obezwładnia mnie pożądliwe oczekiwanie, chcę wepchnąć jego rękę między moje nogi. Cipka się ślini. A on powoli, bardzo powoli rusza w kierunku piersi, drażniąc brodawki, które sterczą z podniecenia. LUKE.

– Przestań.

Odpycham go, wstaję i maszeruję dookoła pokoju. Nie zbijam go tym z tropu. Przygląda mi się, kiedy zapalam papierosa. Połączone teraz w siłę antynikotynowe doświadczenia z domku na drzewie i paryskiej knajpy utwierdzają mnie w przekonaniu, że poziom przyjemności równy jest zeru, więc gaszę papierosa.

– Nie mam odwagi tego zrobić.

– Czego, pozamałżeńskiego seksu? – pyta, źle mnie zrozumiawszy.

– Palić. Nie wyglądam ani fajnie, ani nawet seksownie z ćmikiem. Raczej komicznie.

To dziwaczne wyznanie prawdy uratowało mnie prawdopodobnie od okrutnej śmierci. Chociaż jestem przygotowana na kłopoty z kręgosłupem od noszenia Wonderbra i na żyłaki zafundowane sobie dzięki często zakładanym trzydziestocentymetrowym szpilkom, to przynajmniej skutki uboczne zaciągania się dymem mi nie grożą. Przerywa te zdrowotne rozważania.

– Jesteś niesamowita. Pragnę cię – oznajmia.

Spoglądam na niego, a on wpatruje się we mnie tak, jakbym była pierwszą kobietą, którą spotkał po pięćdziesięciu latach siedzenia na bezludnej wyspie. Poskramia swą seksualną żądzę, tuż zanim ona zniewala mnie.

– Napijesz się?

Niedbale otwiera minibarek, łapie puszkę piwa i połyka jej zawartość. Beka, ociera usta wierzchem dłoni i bełkocze: „Przepraszam”. Uśmiecha się. Jest jak mały chłopiec przyłapany na zabawie zapalkami. „Przepraszam bardzo, ale sprawa warta jest ryzyka”. Sięga po maleńką butelkę whisky, otwiera ją i pije do dna. Wyciąga kolejną z lodówki i rzuca niedbale w moim kierunku. Niesamowite, ale łapię ją pewnie jedną ręką.

– Jezu, masz fantastyczne cycki. Jesteś taka...

Przerywa i potrząsa głową. Najwyraźniej moje cycki go usłyszały. Prostuję plecy, a klatka piersiowa wypina się do przodu. Miesiące ćwiczeń pilates nie wystarczą, by osiągnąć tak prawidłową postawę. Przyglądam się piersiom. Rzeczywiście wyglądają świetnie. Dokładnie tak jak piersi, którym przyglądam się ukradkiem na siłowni. Próba lakmusowa: mam bardziej czy mniej jędrne? Mniej czy bardziej pełne? Czy są chociaż wystarczająco jędrne i pełne? Weryfikowane są również inne parametry: płaskość brzucha, ilość cellulitu na udach, obwisłość pośladków. Robią tak wszystkie kobiety, kiedy spuszczaają głowy, susząc włosy, albo zwyczajnie pytają^ czy ktoś może pożyczyć funta na żeton do szafki. To nie jest ani bezczelne, ani bezwstydne zachowanie. Nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki teraz John gapi się na mnie, wyrażając pełne uwielbienie i pożądanie.

– Muszę iść do kibla.

Próbuję przemknąć obok niego, ale kiedy go mijam, przyciąga mnie do siebie. Może już umarłam i właśnie jestem w niebie. Jeśli tak, to wszystko gra. Powiedzmy, że taki stan bardzo mi odpowiada.

Udaję się do łazienki i rozglądam dookoła, rozszyfrowując, z kim mam do czynienia. Odkrywam, że to osoba zarówno czysta, jak i wybredna (niezadowolony z oferty hotelowych specyfików, przywiózł ze sobą własne mydło, a także żel pod prysznic, dezodorant – duży plus – i szampon), nosi szkła kontaktowe (jednorazowe, czyli próżność oraz preferowany szybki i wygodny styl życia, za który gotowy jest przepłacać; a może właściwie jest uczulony na twarde szkła), dobrze zarabia (markowe mydło oraz żel pod prysznic, szampon i cała reszta).

Dziwnie się czuję, analizując te intymne szczegóły.

Siedzę na kibelku i próbuję się uspokoić. Z niewiadomych mi przyczyn zimna porcelana przynosi ulgę, wreszcie coś znajomego. Luke. Tętno mi podskoczyło, serce wali jak szalone, niemal widzę ten puls. Obmyślam plan. Oto on. Po powrocie z łazienki siadam na sofce i trzymam się daleko od łóżka. Wciąż możliwe, że możemy pozostać jedynie dobrymi kumplami, że możemy pogadać, pośmiać się, a potem uprzejmie powiem „dobranoc” i udam się na spoczynek do swojego pokoju.

Sama.

Próba generalna wyjścia: „Było fajnie, ale muszę już iść”. Pogodnie i krótko. Decyzję mogę ujawnić, trzymając już rękę na klamce. „Dzięki za drinki, ale czas na mnie”. Nie, lepiej uniknąć wszelkich prowokacyjnych aluzji. „Gdyby sprawy miały się nieco inaczej, to kto wie. Ale jest, jak jest, więc najlepiej będzie, jak sobie pójdę. Dobranoc”. Zbyt żałośnie. „Może innym razem, w innym miejscu, a teraz już na mnie pora”. Jak w kiepskim filmie. Co za mordega. Zanim udaje mi się dobrać do końca z układanym scenariuszem, dociera do mnie jego głos.

– Co tam mówisz, Connie? Nie słyszę.

– Eee... nic takiego.

Sikam i pospiesznie wracam do pokoju.

Szok.

Stoi nagusieńki.

Potężny, ogromny. Wita mnie uśmiechem, zadowolony z siebie, z tego, co może mi zaoferować. Jest taki męski, taki potężny. Tak bardzo seksowny i potężny. Potężny. Nie, żeby wielkość liczyła się przede wszystkim. Właściwie całą sobą popieram wyższość jakości nad rozmiarem. W tym przypadku jednak pieszczotliwy dotyk i pocałunki, których dane mi było skosztować gwarantują spektakularny sukces. Mistrzowska kombinacja.

Celuje we mnie gotowym do akcji penisem. To niesamowicie podniecające uczucie, kiedy jest się pożądanym w tak nieskrywany i oczywisty sposób. Jego ogromny, pragnący klejnot manifestuje swoje pożądanie ogromną pulsującą... eee... erekcją. To naprawdę piękny fiut.

– Było fajnie, ale muszę już iść – mamroczę, przesuwając się obok niego.

Robi mały krok w moją stronę i się uśmiecha.

– Dzięki za drinki, ale na mnie już czas.

Niby maleńki kroczek, a jednak wystarczający, by koniuszek kutasa otarł się o moje udo.

– Może innym razem, w innym miejscu, teraz już na mnie pora.

Mam wrażenie, że to laser parzy mi dogłębnie skórę w miejscu, gdzie mnie dotyka.

– Gdyby sprawy miały się nieco inaczej, to kto wie. Ale jest, jak jest, więc najlepiej będzie, jak sobie pójdę. Dobranoc.

Ale nie ruszam w kierunku drzwi. Moje podniecenie sięga zenitu. Poznałam już niepowtarzalny zapach jego skóry; pachnie dzieckiem, świeżo wykąpanym po kolacji. Koniuszek wspaniałego penisa, jedwabisty, a zarazem twardy, wygląda jak rzeźba z alabastru. Pochyla się i całuje mnie w kącik ust. Mamroczę jeszcze coś w stylu: „Naprawdę było miło, ale muszę już iść”. Całuje mnie znowu, potakując w takt moich słów. To przyznawanie mi racji jest ciosem poniżej pasa.

– Dzięki za... wszystko... – Oddaję pocałunek. – .. . Ale lepiej dajmy spokój, to znaczy, najwyższy czas...

Potrząsam bezradnie głową.

– Chciałam powiedzieć, że muszę już wracać do pokoju.

Pochyla się nade mną jeszcze bardziej i kciukiem gładzi mnie po karku. Nic nie mówi, tylko gapi się na mnie.

– No... może innym razem... w innym miejscu – próbuję jeszcze raz prawie niesłyszalnym szeptem. – ... A teraz już na mnie pora. Gdyby sprawy miały się... nieco inaczej, wtedy oczywiście, ale jest, jak jest...

Osacza mnie nagością, brutalnie dąży do swego. Opieram się symbolicznie. Serce mi w tym nie pomaga.

Ciuchy mam cały czas na sobie, ale musiałam się skurczyć albo co, bo ubranie wisi na mnie jak namiot nad harcerzem, zakazany dotyk ma mnóstwo przestrzeni. Z łatwością znajduje dostęp do każdego cielesnego zakątka. Całuje wszystkie możliwe miejsca; rozpina powoli bluzkę, by sięgnąć brzucha, talii, piersi; rozpina powoli spodnie, by musnąć biodro i miednicę. Błędzi ustami po mojej szyi, ramionach, głowie i włosach. Całuje też mniej popularne miejsca: powieki, rzęsy, nos. Ja też go całuję, liżę, ssę i kosztuję. Zanim wślizguje się palcami w głąb mnie, jestem przesiąknięta podnieceniem. Lodowate palce na jasnym, rozgrzanym ciele. Szczytuję natychmiast, mocząc jego ręce. Cudownie wyjątkowy orgazm wysyła spazmy wstrząsające moim kręgosłupem. Łapię jego penisa, zaczynam zwinnie i pewnie poruszać ręką w górę i w dół, aż on zalewa mój brzuch.

Pijemy, rozmawiamy, śmiejemy się przez resztę nocy i znaczną część świtu. On szczytuje jeszcze kilka razy, tak jak ja. Spoglądam na zegarek, dochodzi piąta rano. Zmęczenie i alkohol w końcu wygrywają. Zamykam oczy.

W jego objęciach.

Trzęsąc się z podniecenia i wyczerpania, lokalizuję buty i marynarkę. On śpi snem kamiennym. Taki piękny. Pochyłam się i całuję go delikatnie. Odpada mi głowa i toczy się z hukiem pod łóżko. To go budzi. Jak zwierzę rzuca się na mnie i oplata mnie ramionami.

– Która godzina? – pyta.

– Siódma.

– Wychodzisz?

– Tak, muszę zaliczyć parę miejsc i zrobić wrażenie na kilku osobach.

– Nie idź.

– Muszę.

Opada z powrotem na poduszkę i zasypia, zanim zamykam za sobą drzwi.

Nie będzie widać plam na dywanie. A ściany są głuche. Udaje mi się wrócić do pokoju i natychmiast odkręcam prysznic. Wchodzę do kabiny i wtedy uświadamiam sobie, że nie zdjęłam skarpetek. Ubieranie staje się wyzwaniem godnym Mensy. Podążając za zapachem bekonu i jajek, trafiam do sali z przygotowanym śniadaniem. Zaczynam powoli kontaktować i widzę, że niemal wszyscy odpokutowują noc rozpustnych uciech. Twarze przypominają rozpląszczone tyłki. W przeciwieństwie do mojej, należącej do superlaski.

– Wszędzie ciebie pełno – warczy Sue, kiedy rozlewam kawę na jajecznicę, a rękaw żakietu moczę w pomidorowym sosie.

Wystarczyłoby mi być wszędzie tam, gdzie on.

– Jajecznica na śniadanie? To u ciebie chyba coś nowego – zauważa Sam.

Święta racja; w całym moim życiu zdarzyło mi się może ze trzy razy zjeść jajecznicę. Zawsze martwię się o tłuszcze nasycone. Cóż, może pewne rzeczy ulegną zmianie. Być może za dużo od siebie wymagam i powinnam trochę wyluzować.

– Lubię jajecznicę – bronię się. – Bez żadnych wkładek – dodaję mętnie.

Sam wywraca oczami.

– Masz kaca? Nie powinnam była puścić cię samej wczoraj wieczorem. Konferencja dopiero się zaczęła. Będziesz się czuła jak kawał gówna, siedząc skacowana na tych nudnych prezentacjach. Przyprawiają o mdłości nawet jeśli człowiekowi nic nie dolega – wymądrza się, mając dobre intencje.

Zaliczyłam już całą masę podobnych konferencji i biznesowych wyjazdów, które charakteryzują się przeciąganymi w nieskończoność, męczącymi posiedzeniami i znacznym nadużywaniem alkoholu. Zwykle po trzech dniach moje zęby pokrywają się nalotem, oddech zalatuje starym piwem beczkowym, powieki ołowieją, a ręce i nogi utrzymują lodową temperaturę. Więc Sam wychodzi z całkiem uzasadnionego założenia, że dokucza mi jedynie kac, nierozzerwalnie związany z przebiegiem konferencji. Zresztą wątpię, by ktokolwiek chciał brać udział w tych spotkaniach, gdyby nie było możliwości upicia się do nieprzytomności. Wczoraj wypiałam cztery, pięć, sześć razy więcej, niż zwykle mi się to zdarza, mimo to czuję się wypoczęta i świeża, a żołądek mam pusty. Do tego jestem w radosnym nastroju, pełna werwy i odkryta na nowo. Odkryta i poznana całkowicie, z dobrej i złej strony. I jeszcze czuję się taka seksowna. Tak jakby nadseksowna. Boli mnie dosłownie każdy miesiąc. Najmniejszy nerw, dziko seksowny, naciągnięty jest do granic wytrzymałości.

– Nie mam kaca. Wciąż jestem pijana. I wcale nie mam ochoty wytrzeźwieć.

– Co między wami zaszło? – pyta Sue, ścinając czubek ugotowanego jajka.

Sam nie bardzo wie, o co chodzi.

– Zaszło?

– Tak. Zaszło. Między nią a Johnem Hardonem – warczy Sue.

– Hardingiem – prostuję.

– Znam nazwisko. Nie musisz mnie poprawiać.

Oddycham głęboko, a potem zaczynam rozlewać krew.

Patrzą na mnie w osłupiałym milczeniu. Niezbyt to przyjemny widok, kiedy bawię się keczupem, tworząc strupy dookoła szyjki butelki.

– No co? – pytam zaczepnie.

– Co z Lukiem? – pytają jednocześnie z różnym podtekstem.

Sue jest zniesmaczona, Sam zatroskana.

– Nie zżera cię poczucie winy?

– Poczucie winy dało dyla. Bez zezwolenia. Wezwałam nawet jednostkę specjalną policji, ale na razie nie wpadli na żaden trop. Przepadło bez śladu – odpowiadam ze śmiechem.

– Kiepski żart – stwierdza sztywno Sue. – Pomyśl, jak bardzo go zranisz, kiedy się dowie.

– Cóż, nie dowie się i już – mówię, a one przypatrują mi się w milczeniu. – Nie mam zamiaru zamieniać Luke’a na Johna.

– W pewnym sensie to byłoby uczciwsze – prychna z niezadowoleniem Sue.

Uświadamiam sobie, że nie dam rady jej przekonać. Zwracam się więc do Sam, która, z historycznego punktu widzenia, potrafi wykazać się większym zrozumieniem.

– To żaden romans – wypowiadam to słowo pogardliwie.

– Więc co? – pyta z powagą.

– Nie poszliśmy na całość.

– Nie jestem pewna, czy szkarłatna litera występuje w różnych odcieniach, by odzwierciedlić powagę wykroczenia – dowcipkuje Sue.

– Być może to on jest moim przeznaczeniem.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wykluczam takiej możliwości – zasłaniam się. – Na razie panuję nad sytuacją, po konferencji też, a potem będę się dalej zastanawiać.

– Tylko nie zrób głupstwa – błagalnym tonem przemawia Sam.

Jako niepoprawna romantyczka i skrajnie pobłażliwa wobec mnie osoba, próbuje znaleźć dopuszczalny poziom swobody seksualnej, który byłaby w stanie zaakceptować w mojej sytuacji. Coś, co będzie znaczyć, że właściwie nie zdradziłam Luke’a. Ma nieprzeciętne zdolności do przedstawiania faktów w takim świetle, w jakim ludzie chcą je zobaczyć. Rzecznik prezydenta Clintona mógłby skorzystać z jej rad.

– Całowanie bez języczków jest w porządku – oświadcza na dobry początek.

Moja mina wyznaje cięższe grzechy.

– Czasami to właściwie z języczkami jest okej, pod warunkiem, że kończy się tylko na całowaniu – pociesza się.

Wciąż za mało. W końcu oświadcza, że dotykanie piersi, jeśli kobieta nie czerpie z tego satysfakcji, też jest dopuszczalne. Ostatecznie zgadzamy się, że jednorazowy skok w bok da się przełknąć.

– Gadki szmatki – karci nas Sue. – To nie jest żadna wyjątkowa sytuacja, a w zdradzie nie ma krzty romantyzmu. To typ bez skrupułów, kurdupel z północy, co lubi zabawy z panienkami. Podła szumowina, wiadomo, czego się można po takich spodziewać.

Mam już serdecznie dosyć tego trucia.

– Ty po prostu nie lubisz czarujących mężczyzn, z zasady.

– Niby jaka to zasada?

– Boisz się przystojniaków, wysportowanych sylwetek, dżentelmeńskich manier. Sama przed

sobą udajesz tylko, że tacy faceci cię nie kręcą.

– Są beczelnie pewni siebie – parska pogardliwie.

– No cóż, mają podstawy, co? – wnioskuje.

Milkniemy. Straciłyśmy apetyt. Porzucone płatki i skorupki jajek zdają się prawić nam kazania i szydzić z nas. Masuję skronie i wzdycham.

– Może masz rację, Sue. Żałuję, że w ogóle go spotkałam. Chciałabym, by zapadł się pod ziemię.

– Prześpij się z nim, to pomoże ci rozwiać wszelkie wątpliwości.

Zaczyna pakować swoje notatki z wykładu; Sam też się zbiera.

– Idziesz?

– Dogonię was.

Zostawiają mnie z moimi myślami.

Trzeba nazwać rzeczy po imieniu. Zdradziłam Luke'a. Zdradziłam go w momencie, kiedy John mnie pocałował, a ja oddałam pocałunek.

Nie sądziłam, że jestem zdolna zrobić coś takiego.

A jednak jestem.

Odprowadzam wzrokiem Sam i Sue, które wzburzone opuszczają salę. Klóć się. Ta sytuacja robi się nieznośna, nie mogę ciągnąć tego dłużej. Co za wstyd. Muszę natychmiast przestać. Staję się tematem plotek. Zostawiam rozgrzebaną jajecznicę i zmywam się do swojego pokoju. Rzucam w kąt materiały konferencyjne, z powrotem wychodzę, skręcam w lewo, wsiadam do windy, jadę na dziesiąte piętro, skręcam w prawo i pukam do jego drzwi. Muszę pukać wielokrotnie, bo nie raczył jeszcze wygrzebać się z łóżka. Zaspany otwiera drzwi. Nie kryje radosnego zaskoczenia na mój widok.

– Moja piękna, wskakuj z powrotem do łóżka. Jest jeszcze ciepłe.

Przyrodzenie staje mu na baczność, jest gotowy do startu. Nie mogę mieć o to pretensji, bo czuję się bardzo podobnie.

– Urywam się z zajęć.

– Aha.

Pociąga nosem i przeciera go wierzchem dłoni, zapala papierosa i pierdzi – wszystko naraz. Kto powiedział, że mężczyźni nie są zdolni wykonywać kilku czynności jednocześnie?

– Dobry pomysł.

Pochyla się i próbuje mnie pocałować, ale ja robię unik, nurkując pod jego ramieniem. To nie jest łatwe, bo już sam zapach jego potu sprawia, że nogi uginają mi się z pożądania.

– Nie daję rady, kiedy wszyscy tam na dole rozprawiają na temat wczorajszych ekscesów.

Spogląda na mnie podejrzliwie.

– Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz, zawsze chodzi o to samo – mówię. – Wypiłam dwadzieścia pięć dużych piw, przeleciałam dwóch paryżan, szwedzkiego turystę, a przed snem zafundowałam sobie

kieliszek czegoś mocniejszego – stwierdzam drwiąco.

– E, to jeszcze nic. Ja wypilem trzydzieści pięć dużych piw, całego guinnessa, przeleciałem dwie paryżanki jednocześnie, – szwedzką turystkę, jej babcię, wypilem kieliszek czegoś mocniejszego i dotąd się nie porzygałem.

Śmiejemy się oboje, uświadomiwszy sobie testosteronowe rekiny pływające teraz dookoła sali konferencyjnej.

– Przecież dobrze wiesz, że to wszystko kłamstwa – stwierdza.

Patrzę na niego zakłopotana.

– Jeden facet naprawdę zwymiotował.

Znów się śmiejemy.

– Też to robisz? – pytam, gdy udaje się nam uspokoić.

– Co? Czy rzygam? Zdarza się, zależy, co mieszam.

– Nie – przerywam. – Chodzi mi o przechwalanie się następnego ranka, koloryzowanie akcji.

Wygląda na zakłopotanego. Nieco zmieszana, próbuję wytłumaczyć, co mam na myśli.

– No wiesz, coraz mocniej ubarwiasz akcję przed każdym następnym gościem, któremu się wygadujesz. W efekcie prosty uczynek w zakonie kończy jako niemoralny skandal z udziałem zwierząt i kosiarek do trawy.

– Znam to. Wiem, o co pytasz – odpowiada szczerze.

– A więc, czy ty też?

Lepiej wiedzieć, na czym się stoi.

– Tak, normalnie byłbym już na dole z resztą facetów i rozprawiałbym na temat moich miłosnych podbojów. – Spogląda na zegarek. – No, może nie tak wcześnie, Connie, ale jestem dokładnie taki jak cała reszta. Idę do łóżka z panienkami, o których nic nie wiem, a potem opowiadam o tym. – Jest nieco zmieszany. – To część frajdy – dodaje.

Obejmuje mnie i zaczynam drżeć. Boże, jest tak nieziemsko przystojny.

– Jestem stuprocentowym facetem „GO”. [Amerykańskie czasopismo dla mężczyzn.] Maksymalnie naładowany. Jestem kobieciarzem. Powiedziałem ci przecież, że spałem dosłownie z dziesiątkami kobiet, nie pamiętam nawet imion niektórych. Zazwyczaj wystarczy mi, że przelecę taką raz, a potem nie chcę mieć z nią do czynienia. Zwykle każdemu, kto ma ochotę mnie wysłuchać, z najmniejszymi szczegółami opowiadam, co robiliśmy w łóżku, a do tego oceniam dany występ w skali od zera do dziesięciu. Jestem kapryśnym i leniwym egoistą. Nie będę cię okłamywał. Nie będę udawał, że nie zachowywałem się tak w przeszłości. Spójrzmy prawdzie w oczy, możesz popytać tu i tam na mój temat i od razu będziesz wiedziała, co ze mnie za numer.

Przerywa, by zgasić niedopalek, i natychmiast zapala kolejnego papierosa.

– Bardzo różnię się od twojego męża, Connie. Bez wątplenia wyszłaś za przyzwoitego, uczciwego gościa.

Jeszcze w życiu nie słyszałam, by te słowa brzmiały tak odpychająco. Chwilę milczy.

– Ale z tobą, Connie, to coś zupełnie wyjątkowego.

Wyjątkowego.

Jestem wyjątkowa.

Walczę z opanowującą mnie ulgą i radością, by znów wsłuchać się w jego słowa.

– Nie mam najmniejszej ochoty opowiadać komukolwiek o tym, co zaszło ostatniej nocy. Nawet gdybym spróbował, wystawiłbym się na pośmiewisko. Nie wpuściłaś mnie do środka i musiałem zadowolić się ciągnięciem druta. Jesteś mężatką i szanuję to.

Przyciąga mnie do siebie i głaszcze po głowie. Chowam twarz w jego rozkosznej klatce piersiowej.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Zrozumiałem to wczoraj wieczorem. Postępujesz zgodnie ze swoimi uczuciami. Ja też. To będzie nasz sekret, dobrze?

Unosi moją twarz i całuje mnie. W piersiach zaczyna mnie mrowić. Jestem wulkanem seksu. Odczuwam delikatne łaskotki, jakby dotykały mnie skrzydełka szykującego się do lotu owada.

– W porządku – mówię, przełykając grudkę w gardle.

– Teraz poczekaj parę minut, wezmę prysznic, a potem ruszamy w Paryż.

*

Mkniemy metrem do samego centrum. W czasie jazdy, już po odbytym stosunku seksualnym, zaliczamy intensywny kurs poznawania siebie. Taki jest styl lat dziewięćdziesiątych.

– Ulubiony kolor? – zaczynam.

– Niebieski. A twój?

– Zależy od humoru. Srebrny, obecnie czerwony, często zielony.

– Rodzeństwo?

On ma starszą siostrę.

– Ulubione jedzenie?

– Curry. Twoje?

– Frytki, ale nigdy ich nie jem. Zajadam się makaronami. Ulubiony film?

– *Butch Cassidy i Sundance Kid*. Twój?

– *Niebezpieczne związki*.

Unosi brwi.

– Czytasz?

– Oczywiście – odpowiada nieco urażony.

– Co mianowicie?

– Ulubiony wiersz to *List do syna* Kiplinga.

– Nie wierzę ci.

– Mogę go zarecytować.

Jeżeli zdołasz zachować spokój, chociażby wszyscy go stracili, ciebie oskarżając; Jeżeli

nadal masz nadzieją, chociażby wszyscy o Tobie zwątpili, Licząc się jednak z ich zastrzeżeniami...

Recytuje dalej, a ja przepadałam. Wyskakuję z bielizny, gdy facet zaczyna wymieniać wyniki meczów piłkarskich, ale jeśli zna poezję, jest już po mnie.

... Twoja jest ziemia i wszystko, co na niej i co najważniejsze – synu mój – będziesz Człowiekiem.

– Mama mnie tego nauczyła.

– Ale chyba pokręciłeś, w oryginale jest „i co jest najważniejsze” – zauważam.

Rzuca spojrzenie, jakby było mu mnie bardzo żal.

– Sama możesz się przekonać, że jest „i co najważniejsze”.

Właśnie w tym momencie poczułam, że chcę urodzić jego dzieci, tak bardzo zżera mnie żądza. Sporną kwestię na razie odpuszczam, ale odnotowuję sobie w pamięci, żeby sprawdzić to po powrocie do domu. Mimo wszystko, to ja mam dyplom z literatury angielskiej.

– Constance Baker, a twoje panięskie nazwisko?

– Green.

– O, proszę, Greenie.

Należy do tych osób, które zawsze muszą nadawać ludziom przezwiska, choćby nawet banalne.

– O, proszę, Twardzielu – odpowiadam i wybuchamy śmiechem, jest naprawdę wesoło.

Nagle poważnieje.

– Dlaczego wyszłaś za męża? – pyta. – Podaj trzy dobre powody.

– Bo...

Spoglądam za okno i przez chwilę obserwuję mijane widoki. Zastanawiam się, jak powinnam odpowiedzieć, by oddać właściwy sens.

– Po pierwsze, małżeństwo oznacza, że już na zawsze masz kogoś, kto jest dla ciebie, nieważne, gdzie jesteś na świecie, nieważne, z jakim gównem masz do czynienia, ta osoba jest na sto procent z tobą. Nawet jeśli fizycznie nie jest obok, masz świadomość, że jest z tobą i dla ciebie. Nigdy nie jesteś sam. A poza tym...

Milknę. Jestem świadoma faktu, że on ma prawo zakwestionować moje wywody pytaniami: „A jak się ma do tego wczorajsza noc? Czy wczoraj też był przy tobie? Co z chwilą obecną? Czy teraz też myślisz o tym, co dla niego jest najlepsze?”.

– Jeden powód wystarczy.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. Czytamy graffiti na siedzeniach.

– Ulubiony dzień tygodnia? – John przerywa ciszę.

Znajdujemy jedną z tych małych, francuskich kafejek, które zawsze pojawiają się w filmach. Jedną z tych, w których można napić się gorącej czekolady, posiedzieć w bujanym fotelu czy spotkać chamskich kelnerów. Zamawia śniadanie i dochodzimy do wniosku, że parę łyków

czegoś mocniejszego jest najlepszym rozwiązaniem na kaca; butelka piwa dla niego, dla mnie kieliszek czerwonego wina. Następnie wznawiamy grę w pytania. Opowiadamy o sobie. Dzielimy się nie tylko śmiesznymi historyjkami; rozśmieszanie innych to w końcu nic trudnego, z życiorysów wyciągamy wszystko. Pęka ze śmiechu, słysząc opowieści, których nigdy wcześniej ani nie przećwiczyłam, ani nie opracowałam. On z kolei zasypuje mnie historiami o przerażających pubach, których jest częstym gościem, o miejscach, gdzie więcej metalu można znaleźć na ludzkich twarzach niż w kasie. Dla takich klientów pies na smyczy to równie ważny, modny dodatek, co telefon komórkowy w winiarniach, w których ja często przesiaduję. Pochodzi z Liverpoolu, do Londynu przeprowadził się parę lat temu. Mieszka we wschodniej części miasta; wyobrażam go sobie w modnym Clerkenwell, w przestronnym, jasnym wnętrzu. Widzę, jak spędzamy niedzielne poranki w łóżku. Nie czytalibyśmy gazet, tak jak robimy to z Lukiem, pewnie przywiązałyby mnie do łóżka i wziął od tyłu. Z Lukiem mieszkamy w bardzo ładnym co prawda, ale w sumie konwencjonalnym, wiktoriańskim szeregowcu w Clapham. Urocze miejsce. Niczego mu nie brakuje. Nie posiadamy zestawu stolików wsuwanych jeden pod drugi ani kredensu uginającego się pod ciężarem bibelotów; za to mamy meble marki Heals i wyszukaną, gustowną zastawę porcelany firmy Conran, a barometr naszego sukcesu można zmierzyć brakiem estampaży, roślin w doniczkach czy kryształowych waz. Wszystko jest w dobrym guście, na właściwym miejscu, grzeczne, pod kontrolą. A jednak nagle zaczyna mi czegoś brakować na tym sielskim obrazku.

Śmiejemy się z Johnem na tyle, na ile pozwala kaca. Często wpadamy sobie w słowo, wspominamy zapachy i wrażenia z lat szkolnych.

- Pamiętasz sale gimnastyczne, całe zakurzone i przepocone?
- Smród taniego środka dezynfekującego?
- Kleiste, żółte mydło w płynie i szorstkie, papierowe ręczniki?
- Mam coś lepszego: obiady w szkolnej stołówce. Żyłaste mięso plus papka z beczki.

Dociera do mnie, że jest dokładnie tak jak przed małżeństwem, tyle że jeszcze fajniej. Co jest dość szczególne i zastanawiające. Małżeństwo daje mi wolność. Odzyskałam panowanie nad sobą. Nie muszę grać. Nie jestem na sprzedaż. W żaden sposób nie próbuję złapać go w sidła. Zachowuję się tak jak mam ha to ochotę. Zero pozorów. Mogę mówić, co chcę. Mam gdzieś, jeśli pomyśli, że jestem nienażartą świnią, skoro zamawiam gorącą czekoladę z podwójną porcją bitej śmietany i czekoladowe ciastka na śniadanie. Albo jeśli stwierdzi, że jestem alkoholiczką, bo zaczynam dzień od wina. Może pomyśli, że zupełnie mi odbiło, gdyż sączę oba napoje niemal jednocześnie. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, z żadnym z dotychczasowych facetów nie czułam się tak swobodnie. Wygłaszam swoje zdanie na dany temat, bo w nie wierzę, a nie, żeby zaszpanować czy pokazać, że potrafię budzić kontrowersje lub przyznawać rację. W życiu nie przypuszczałam, że mam wyrobione opinie w tylu różnorodnych dziedzinach, tyle myśli i pomysłów, a teraz, zupełnie niespodziewanie, w towarzystwie Johna moje głęboko ukrywane, prywatne „ja” zaczyna wypływać na powierzchnię. Luke dobrze zna tylko zrównoważoną,

przyzwoitą kobietę, której zdarza się zapomnieć uregulować rachunki, ale zawsze pamięta daty urodzin czy imienin. Nie ma pojęcia o dziewczynie, która właśnie się ujawniła. O tej, która pozwala sobie na obciążanie fiuta na tylnym siedzeniu taksówki.

– Ulubiona muzyka?

– Dusty Springfield.

Zwykle wstyd się do tego przyznać, jeśli nie jest się gejem czy na HTZ, [hormonalna terapia zastępcza.] ale czuję, że Johnowi mogę powiedzieć wszystko.

– Uwielbiam Toma Jonesa, to mój idol.

Obserwuje mnie bardzo badawczo.

– A jak byłaś małą dziewczynką, o czym marzyłaś?

– O co ci dokładnie chodzi?

– No, nie powiesz chyba, że bawiąc się lalkami Sindy, mówiłaś sobie: „Pewnego dnia będę doradcą do spraw zarządzania”?

Wybucham śmiechem.

– Masz rację. Zawsze marzyłam, by zostać producentem filmowym albo fotografem sławnych ludzi Szeroko rozpościeram ramiona, kołyszę biodrami i głośno się śmieję.

– Więc co cię powstrzymało?

– Dobre pytanie. – Natychmiast przestaję się śmiać. – Sama nie wiem. Potrzeba dużo determinacji i czasu, by zrealizować takie marzenia. Ja dość szybko wpadłam w życiowy wir: hipoteka do spłacenia, odpowiedzialność, szara rzeczywistość. Pogrzebałam gdzieś pasję i znalazłam przyzwoitą pracę.

– Wymieniłaś aparat na kalkulator?

Przytakuję.

– Byłaś w tym dobra?

– Wciąż robię zdjęcia. Niektóre są całkiem okej.

Nigdy wcześniej nie ujawniłam moich ambicji związanych z zawodowym fotografowaniem. Nie przyznałam się nawet Luke’owi. Zawsze uważałam to za zbyt niedorzeczny pomysł.

– Powiedz mi, Greenie, co ty kombinujesz? – pyta, kiedy opowiedziałam mu trochę o Luke’u, naszym domku, przyjaciołach, pracy.

– Konkretnie, o co pytasz?

– Jak się ciebie słucha, jesteś perfekcyjnym uosobieniem kobiety lat dziewięćdziesiątych. Wydaje się, że niczego więcej ci nie trzeba. Masz męża, który dzieli z tobą obowiązki domowe, i to w większym stopniu niż wynoszenie śmieci. Wygląda na to, że facet cię szanuje, kocha, ubiera się z gustem. Masz wspaniałych przyjaciół, kupę forsy, ładny dom. Może to wszystko bujda, ale nie sądzę, byś zmyślała. No, więc powiedz mi, co ty kombinujesz?

– Potrzeba mi tylko kochanka, najmodniejszy dodatek, nie domyśliłeś się? – żartuję.

– Co kombinujesz, Connie? – powtarza bardzo powoli, próżny na tyle, by wiedzieć, że musi znaczyć coś więcej.

Dobre pytanie. Nie potrafię znaleźć odpowiedzi. „Nie sposób ci się oprzeć” brzmi trochę tak, jakby zależało mi na odkryciu wszystkich kart. Pomocny okazuje się drugi kieliszek wina, zanim wybija wpół do dwunastej.

– No dobra, jeśli nie jesteś tylko najmodniejszym dodatkiem, to może formą eksperymentu.

Unosi brwi.

– Chcę się przekonać, czy potrafię pragnąć tak bardzo, że może doprowadzić mnie to do autodestrukcji. Chcę się przekonać, czy potrafię się zatracić w pragnieniu i raz na zawsze rozstać się z samokontrolą.

Nie zawracam sobie głowy, czy powiedziałam prawdę, czy nie. Zabrzmiało super. Zupełnie odlatowo.

– Aha.

Cztery godziny, dwie gorące czekolady, jajka na bekonie, cztery piwa, butelka wina, na deser paczka papierosów, a potem ruszamy dalej, na wycieczkę bez określonego kierunku. Spacerujemy wzdłuż rzeki, trzymając się za ręce; on dotyka mnie cały czas. Zatrzymujemy się i na straganie przy ulicy kupujemy pomarańcze od pomarszczonego sprzedawcy. Mężczyzna ma zupełnie białe włosy i skórę złuszczoną od słońca, która układa się w fałdy i obramowuje bezzębny uśmiech. Moje zmysły są wyostrzone, z łatwością rozpoznaję zapach zatechłego potu na bawełnianej koszuli handlarza i woń ziemi na pomarszczonych dłoniach. W Anglii świeżo kupione owoce ładuje się do dziwacznych, niebieskich, plastikowych siatek, on zaś robi zupełnie coś innego – wacha pomarańcze, wyciera je o swoje brudne spodnie i wręcza je nam do rąk. Włóczymy się dalej i dochodzimy do wesołego miasteczka. Zapachy hamburgerów i smażonej cebuli mieszają się z mdłą, słodkawą wonią waty cukrowej; czyste, wilgotne powietrze jest zimne i ciężkie. Dochodzą do mnie opary oleju i parafiny, którymi posmarowana jest ciężka maszyna. Próbuje wepchnąć się w ciasne krzeselka karuzeli i wygłupiamy się podczas jazdy. Marznie mi tyłek od siedziska, ręce drętwieją, kiedy zaciskam palce na metalowych barierkach ochronnych, mimo to na policzkach mam gorące rumieńce, a nad górną wargą gromadzi się pot. John spogląda na zegarek. – Kurde.

– O co chodzi?

– Cholernie późno.

Wygląda na szczerze rozczarowanego.

– Kto to powiedział: „Wszystko, co dobre, szybko się kończy”?

– Kimkolwiek był ten nieszczęśliwy kutas, trafił w samo sedno.

Śmiechem próbuję rozproszyc narastający ból w klatce piersiowej. Co za niepojęty ucisk.

Wolno ruszamy z powrotem w stronę Le Metro, a potem prosto do hotelu. Pomaga mi w pakowaniu, ja pomagam jemu. Odprowadza mnie na stację kolejową. Mówimy bardzo mało. Gadanie o byle czym jest ohydne.

– Dosyć to frustrujące, kiedy brakuje człowiekowi odpowiednich słów, by opisać zapach

mokrych chodników po letniej burzy, tę wilgotną słodycz, tak niepowtarzalną i wyjątkową – komentuje John.

Bilety mieliśmy wykupione już wcześniej i tak się składa, że nie wracamy tymi samymi pociągami. Zupełnie niespodziewanie całuje mnie na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że nie skomplikujemy sobie życia przez to jawne okazywanie uczuć – mówię z uśmiechem.

Wzrusza ramionami. Mam nadzieję, że nie. Mam taką nadzieję.

Droga powrotna do Londynu jest zupełnie inna niż ta do Paryża. Przede wszystkim jestem niesłychanie zmęczona. W dodatku czuję się dosłownie i całkowicie zerżnięta, choć przecież w rzeczywistości było nieco inaczej. I chociaż od razu nie mogę sobie przypomnieć słów, którymi mnie rozśmieszał, mam wrażenie głębokiego spełnienia. Jest mi wspaniale, radośnie, niesamowicie, zwycięsko.

Przez jakieś dziesięć minut.

Potem głowa zaczyna mi pękać, a oczy wypełniają się łzami. Trzeźwieję.

– Weź się w garść – cmoka zniecierpliwiona Sue.

– Jestem zmęczona. – Patrzę na nią ze złością.

– Zachowujesz się jak pięciolatek po przyjęciu. Pokazałaś wszystkim swoje nieprzeciętne zdolności do rozrabiania i hałaśliwych, niebezpiecznych oraz destrukcyjnych zabaw, a teraz stroisz fochy, bo czas do domu.

– No, no, kto by pomyślał, że znasz takie fajne pięciolatki – odparowuję.

Kłóciłabym się dalej, ale ona trafia celnie. Sprzeczki, kiedy jedna ze stron w duchu przyznaje rację, ale żołądkuje się, byle tylko postawić na swoim, zostawiam facetom.

– Spróbuj zjeść kiełbaski – miękko odzywa się Sam, klepiąc mnie po dłoni.

Do domu docieram o dziesiątej, w środku ciemno i głucho. Kartka od Luke'a przypomina mi, że on spędza weekend na wędkowaniu z Peterem. Cholera, gdybym pamiętała, zostałabym w Paryżu, z Johnem.

W sumie może lepiej, że nie pamiętałam.

Jestem strasznie, wręcz boleśnie podekscytowana. Komu mogę powiedzieć? Dzwonię do Daisy, w końcu znamy się od zawsze. Jeśli ktokolwiek może wszystko zebrać w sensowną kupę, to tylko ona. Nalewam sobie spory kieliszek meursault, paczka popcornu ląduje w misce, i sadowię się wygodnie przy telefonie. To nasz rytuał od lat, za każdym razem, jeśli którakolwiek z nas ma jakieś rewelacje (rewelacje rozumiane jako seksualne nowinki), chwytamy za słuchawkę. W ciągu ostatnich ośmiu tygodni zaliczyłam mnóstwo wieczorów w moim zapadającym się fotelu, wysłuchując gadaniny Daisy na temat Simona. Jaki to z niego mądry człowiek, a jaki seksowny facet, jaki jest olśniewająco przystojny. Teraz moja kolej. Zupełnie jak za dawnych czasów, tych sprzed Luke'a, to ja siadam na gorącym krześle. Wykręcam numer, mając nadzieję, że Simona nie ma. Jeśli go zastanę, będę musiała zadowolić się zdawkowymi odpowiedziami „tak”, „nie”, „OK”; monosylabiczna rozmowa. Ale jeśli go nie ma, odbędziemy

Kompletną Psiapsiółkową Naradę. Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu ta parka ochłonie i przyzwyczai się do siebie. Skończy się wtedy czeze gadanie o banalnych sprawach zadurzonej po uszy Daisy.

– Czy mówiłam ci już, że on ma najpiękniejsze na świecie palce u nóg?

– Tak, wspominałaś o tym. Z sześć razy!

– Naprawdę? Jejku, chyba cię zanudzam. – Chichocze dziewczęco.

Zgadłaś, moja droga.

– Nie, no co ty.

Przedstawiam jej istotne szczegóły, ale nie wspominam o pikantniejszych zajściach. Być może powiedziałabym jej to i owo, ale Daisy nie reaguje tak, jakbym się tego spodziewała.

– Boże, Connie, czy to nie zabawne? To dokładnie taki sam typ, z jakimi się kiedyś spotykałaś.

– Naprawdę?

Jestem dogłębnie rozczarowana.

– Piekielne podobieństwo. Pamiętasz tego lekarza? Jak on miał na imię?

– Nie pamiętam żadnego lekarza.

– Na pewno pamiętasz. Irlandczyk, oczy jak klejnoty, kruczoczarne włosy, bardzo wysportowany, totalna gnida. Jak się nazywał?

– Fergus – uzupełniam dane.

– No właśnie.

Nie pamiętałam o Fergusie, do chwili obecnej.

– A ten wykładowca... no, jak mu było? Coś tradycyjnego. Thomas czy David?

– Paul – informuję.

– Właśnie. Kolejny łajdak, totalny kobieciarz. A pamiętasz żeglarza?

– Andrew. To był żołnierz piechoty morskiej.

– Ta sama historia. Więcej kobiet niż tatuaży. A mimo to zawsze leciałaś na co bardziej napalone towary; zresztą do świętoszek nie należałaś, stara flirciario, liczyły się tylko kolejne wyzwania.

Marzę, by się w końcu zamknęła.

– Nie pamiętam tego.

– Ej, Connie, no co ty! Dlatego było tak wspaniale, kiedy zakochałaś się w Luke’u. Co za ulga. Oczywiście, przyznaję, zazdrościłyśmy ci tej nieziemskiej zdolności uwodzenia co smaczniejszych kąsków, ale powiem szczerze, że na dłuższą metę można było zwątpić we wszystko, bo żadnego z nich nie zatrzymałaś przy sobie na dłużej. Jakie szanse miałyśmy my, zwykłe śmiertelniczki? Pamiętasz, jak twoja mama się ucieszyła, gdy poznałaś Luke’a? Zaraz zadzwoniła do mojej, by się pochwalić. Prawie śpiewała do słuchawki: „To nie jest basista, nie. Żadnych prochów. Nie jest żonaty. Bezdietny. Stała pensja, o tak!”.

Uśmiecham się do siebie. Daisy nadaje dalej, nie zważając zupełnie na moje wymowne

milczenie.

– John wygląda mi na dokładnie takiego samego palanta, z jakimi Sam marnuje teraz czas.

– Co ty? – Zatkanę mnie.

Czy Sam kiedykolwiek umówiła się z takim seksownym i interesującym gościem?

– No tak, „przerywnik”. Nie mów, że nie wiesz, o co mi chodzi, sama wymyśliłaś to powiedzonko.

Rzeczywiście. Znaczący tyle, co nieokazujący szacunku, nieodpowiedzialny, nierokujący na dłuższy związek, całkowicie zepsuty łajdak. Wpadłam na to hasło, by opisać większość facetów, z którymi randkowałyśmy przez wszystkie lata. Zostawiam rozmyślania i przełączam się z powrotem na paplaninę Daisy. Słyszę, jak żuje do słuchawki swoje ulubione twiglety. Wylicza teraz dziesiątki katastrofalnych związków Sam.

– Ale John ani trochę nie przypomina Jeda, Williama, Tima, Karla ani nikogo innego – przerywam jej.

Wreszcie to ona się czemuś dziwi.

– Naprawdę? Z twojego opisu wygląda, jak cała reszta. Odda wszystko za seks, nieziemsko przystojny, no i gadanie o byciu wolnym duchem. Sama powiedz, jaki w miarę przyzwoity facet startowałby z takim przedstawieniem do mężatki?

– Znalazłoby się wielu – obstają przy swoim.

– Mówimy o przyzwoitych mężczyznach – nie daje za wygraną. – Przecież to oczywiste, że jesteś dla niego tylko smakowitym wyzwaniem. Musisz być z siebie dumna, że nie dałaś się skusić.

Ooo.

– Musisz pękać z dumy, mając za męża faceta, takiego jak Luke. Pewnie łatwiej splawić wtedy napalonych rogaczy.

– Tak – mruczę pod nosem.

– Chodzi mi o to, że zaliczyłyśmy tyle bezsensownego i niegodziwego pieprzenia, że aż trudno wszystko spamiętać. Twój związek z Lukiem pomógł mi zrozumieć, co tak naprawdę jest ważne w życiu i czego właściwie chcę.

– Naprawdę? – pytam z ciekawości i próżności, bo lubię inspirować.

– Dokładnie tak. Pomogłaś mi odzyskać wiarę w „I żyli długo i szczęśliwie”. To dzięki wam zdecydowałam, że nie pójdę na kompromis. Chcę być kochana, szanowana, doceniana. Z moim mężczyzną chcę móc śmiać się tyle, co z wami. Chcę, by był moim najlepszym przyjacielem. Chcę stworzyć podobny do twojego związek, oparty na partnerstwie. Chcę...

Z Daisy naprawdę można sensownie pogadać, kiedy ma dobry dzień, ale ten wieczór do najszcześniejszych nie należy. Poza tym walczy temat, przy którym popada w zbyt liryczny ton. Zupełnie jak bomba atomowa – jeśli odpali, nie ma odwrotu. Co prawda, konsekwencje są może mniejszego kalibru, ale dzisiaj nie jestem w stanie przez to przejść.

– Daisy, ktoś dzwoni do drzwi. Muszę kończyć.

– Szkoda. No, dobra. Trzymaj się. Do zobaczenia w Ali Bar One.

– Okej, pa.

Odkładam słuchawkę i siedzę nieruchomo, słucham ptaków i obserwuję, jak ostatnie, skąpe promyki dziennego światła padają na patio. Uwielbiam tę porę dnia. Nawet tu, w Londynie, wczesne jesienne wieczory wydają się takie spokojne. Rozglądam się po dużym pokoju pełnym ciepła i znajomych rzeczy. Nasz piękny dom. Wstaję i podchodzę do kominka, gdzie – jak można się spodziewać – dumnie stoi nasza ślubna fotografia. Zaledwie rok temu uśmiechaliśmy się z błogim wyrazem twarzy w kierunku fotografa; radośni i bezgranicznie szczęśliwi. Prawdę mówiąc, tak czuliśmy się jeszcze całkiem niedawno; nie dalej jak trzy dni temu ten sielski stan uległ zniszczeniu. Zaczynam panikować. Do diabła. Co mi strzeliło do głowy? Dlaczego puściły hamulce i zachowałam się tak nierealnie? Muszę natychmiast wybić sobie Johna z głowy. Na zawsze. I żyć dalej, jakby nic nigdy się nie stało. Zapomnieć o nim tak szybko, jak to tylko możliwe.

Szkoda tylko, że choć staram się ze wszystkich sił, nie mogę wykrzesać z siebie odrobiny wyrzutów sumienia.

Ten weekend zdaje się trwać jakieś sześć miesięcy. Zabieram się za porządkowanie kredensu, sortuję szufladę z bielizną i pudełka z biżuterią. Odkurzam pod łóżkiem, ścieram kurze z najwyższych półek i szafy. Segreguję zawartość szuflad w biurku, wprowadzam nowy system przechowywania poczty. Szoruję, myję, odkurzam, czyszczę, dezynfekuję, usuwam kamień, pleśń i pył z każdego milimetra i tak już nieskazitelnego wnętrza. A kiedy już odegrałam rolę szczęśliwej pani domu w stylu lat pięćdziesiątych i dom dosłownie błyszczy, zabieram się do wiosennego porządkowania mojej skromnej osoby. Opilowuję paznokcie, oczyszczam, detoksykuję, szoruję, wycinam, depiluję, wyrywam każdy meszek i włos, wyciskam wszystkie zaskórniki na ciele. Wybieram się do fryzjera, zaliczam podwójną dawkę fizycznych tortur w siłowni i funduję sobie cudowny masaż. Zostały jeszcze jakieś cztery miesiące z weekendu do zagospodarowania. Wyrzucam pełne torby ciuchów, których w życiu już nie włożę, i natychmiast wydaję ponad tysiąc funtów na garsonkę i bluzkę od Josepha. Jeszcze nigdy w życiu nie przetrwoniłam takiej sumy na siebie. Trochę mi z tym nieswojo, więc w sklepie Paula Smitha zostawiam jeszcze więcej pieniędzy za marynarkę dla Luke'a. Porzucam wszelkie normalne zachowania, które składają się na życie. Nie śpię, nie jem, nie myślę.

Późnym niedzielnym popołudniem do domu wraca Luke z ogromnym pstrągiem, którego niewątpliwie kupił po drodze w Sainsbury.

– Cześć, kochanie, tęskniłaś? – pyta, obejmując mnie ramionami.

– Tak – odpowiadam szczerze.

Kiedy mnie całuje, czekam na pojawienie się poczucia winy.

Czekam na przytłaczającą potrzebę wyznania prawdy. Czekam, aż mój żołądek i gacie zaczną fikać koziołki. Na próżno. Nic się nie dzieje. Wycofuję się rozczarowana i maszeruję do łóżka.

W końcu nadchodzi poniedziałkowy poranek, który witam bez wczesnponiedziałkowych daśów. O siódmej rano prawie biegiem opuszczam dom, desperacko pragnę już być w pracy, jak najdalej od mieszkania. Teraz, oficjalnie pracując w tej samej firmie, będziemy z Johnem dzielić jeden budynek i chociaż nie oczekuję, że się spotkamy, pracujemy w końcu nad różnymi projektami, to nigdy nic nie wiadomo, może przypadkiem na siebie wpadniemy. Jestem przekonana, że przyśle mi e-maila, tak samo jak wtedy, po konferencji w Blackpool. Co zrobię, jeśli się odezwie? Co pocznę, jeśli tego nie zrobi? Ważę jakieś czterdzieści pięć kilogramów, oczy mi błyszczą, cera promienieje. Jestem boginią. Z malutkim wyjątkiem: mój podbródek omal nie odpadł od nadmiernej ilości pocałunków, które wymieniliśmy. Nierozważnie potraktowałam obolałe miejsca toną kremu Vaseline – duży błąd, bo teraz świecę suchymi plackami, urozmaiconymi gdzieniegdzie białymi kropkami. Poza tym drobnym mankamentem czuję się jak bogini.

Nadzwyczajnie dobry humor towarzyszy mi nawet na stacji metra, gdzie kiwam wesoło w stronę pasażerów, rozdaję uśmiechy na prawo i lewo, wpuszczam ludzi przed siebie i ustępuję miejsca. Takie zachowanie w Londynie w najlepszym wypadku może uchodzić za dziwaczne, a biorąc pod uwagę, że mamy poniedziałkowy ranek, grozi mi umieszczenie w zakładzie dla obłąkanych. Wpadam do biura, mijam strażnika Boba.

– Dzień dobry – śpiewam.

– Masz plakietkę, Connie?

– Eee... nie... ale przecież wiesz, że tu pracuję, Bob.

– Nie o to chodzi, Connie. Ostrożności nigdy za wiele. Nie mogę cię wpuścić, dopóki ktoś nie poręczy za ciebie.

– Kto jeszcze jest w budynku?

– Nikt, za wcześnie. Będziesz musiała skoczyć obok na kawę. Przyjdę po ciebie, jak się ktoś pojawi.

Ta bardzo wkurzająca scenka rozgrywa się przynajmniej raz w tygodniu. Zwykle w punkcie kulminacyjnym zaczynam wrzeszczeć na Boba i oznajmiam mu, że jest formalistą, a jak w końcu dobiore mu się do skóry, to formalnie będzie bez szans na znalezienie jakiegokolwiek pracy. Tak naprawdę obydwójce w głębi serca lubimy te awantury. Zdajemy sobie sprawę, że to najbardziej ekscytujący moment w naszym dziennym rozkładzie pracy. Zawsze rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie, kiedy akurat mam firmową plakietkę przy sobie. Dzisiaj uśmiecham się promiennie i mówię, że sama wrócę o dziewiątej. Zostawiam go w stanie kompletnej konsternacji i głębokiego rozczarowania. Udaję się do sąsiedniej kafejki na kawę i croissant, którego i tak nie jestem w stanie przełknąć, tylko dziobię go w sposób charakterystyczny dla beznadziejnie zakochanych. W końcu pojawia się Sam, by zgarnąć mnie do pracy. Wpycha moje ciastko do buzi, zadając sto pytań jednocześnie: „Skończyłaś już? Udany weekend? Co ty masz na brodzie?”. Zatrzymuje się na chwilę, gapi się w oniemiałym przerażeniu. „Czy to aby nie pamiątka po zbyt namiętym obcałowywaniu się?”.

Cały ranek spędzam na bolesnym oczekiwaniu. Sam zasypuje mnie zatroskanymi spojrzeniami, które z czasem zamieniają się w zaniepokojone spojrzenia, gdy nie dają rady zjeść rytualnego, wczesnopołudniowego batonika kit-kat.

– Powiedz mi, Connie, co to za historia z tym macho Johnem?

– Nie ma żadnej historii.

I właśnie wtedy moja skrzynka pocztowa oznajmia nową wiadomość. W jednej chwili dobieram się do e-maila, ale to nie od niego; przypominają mi tylko, że moje pracownicze karty kontrolne jeszcze nie wpłynęły. Sam potrząsa głową, ale mądrze pomija całe zdarzenie milczeniem. Do południa podobna sytuacja ma miejsce jeszcze sto trzydzieści pięć razy. Siedzę przy biurku i gorączkowo zastanawiam się, jak mam zrozumieć i usprawiedliwić swoje szokująco lekkomyślne, grzeszne zachowanie. Nie żałuję, że stało się, jak się stało, ale to jednorazowy wybryk, który nie ma prawa się powtórzyć. Co prawda, nic wielkiego nie miało miejsca, nie poszliśmy przecież na całość. Nie zamierzam ani rozmawiać, ani rozmyślać na jego temat. Komu mogłabym się wygadać? Gdybym tylko miała kogoś takiego. Może zwierzyć się Sam? Luke nie może się dowiedzieć. Nie żebym bała się, że mnie zostawi. Nie odszedłby ode mnie, ale przede wszystkim nie chcę go zranić. Bycie tą złą jest karą samą w sobie, a gdybym została przyłapana, chyba tego nie przeżyła. Przecież nic takiego się nie wydarzyło. Pomyłka. Błąd, który mógł przytrafić się każdemu. Po prostu muszę o nim zapomnieć. Zaraz, o kim właściwie mowa?

Podczas gdy tak sobie rozmyślałam, notes na moim biurku bezwiednie wypełnia się bazgrołonym imieniem „John”. Ze złością przekreślam to imię. Ku mojemu szczeremu przerażeniu, stwierdzam, że wcale nie wymazałam go z pamięci. Poza tym nie przeklinam go ani nim nie pogardzam. Nie ma o czym mówić. Na szczęście w realnym życiu niczego mi nie brakuje i nie dam się złapać na tę błyszczącą i atrakcyjną przynętę, która przyniesie ze sobą tylko ból i zamieszanie. On smakuje jak dobry, mocny alkoholowy drink: rozkoszny dla podniebienia i zapomniany natychmiast po przełknięciu.

John, John, John.

Powinno być się z nim kochać. Byłoby lepiej oddać mu się w pełni i przekonać się, że to nie miało żadnego znaczenia. Po wszystkim dalej robić swoje, wrócić do normalności. Nie byłoby mowy o obsesyjnym zadreżaniu się. Nie przespałam się z nim i dlatego czynię z tego wielką sprawę. Kto wie, może powinno sprawić sobie takiego kochanka? Pełnowartościowe pieprzenie, żadne tam miętoszenie się w ciuchach. Frustrująca sytuacja. Mogłabym przeżyć jednorazowy skok w bok bez zranienia Luke’a. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wystarczyłoby tylko ten jeden raz. To nie miałoby żadnego znaczenia. Czysty seks. Czysta ciekawość. Zadzwoń na pewno, bo się nie pieprzyliśmy.

13. 10 – żadnych wiadomości.

13. 50 – wciąż brak e-maila.

14. 20 – nie zadzwonił.

14. 50 – nie ma informacji.

Nie przejmuję się. To zupełnie zrozumiałe. Prawdopodobnie nie zdążył jeszcze połączyć się z Internetem. Może jestem troszkę rozczarowana, w końcu można było oczekiwać, że coś przyśle. Ja się pierwsza nie odezwę, to byłaby totalna porażka.

15. 15 – eee... może krótkie, neutralne zagadnięcie, jak mu minęła podróż.

15. 30 – nie, kobieta nigdy nie powinna podkręcać tempa, lepiej poczekać. Wkrótce coś przyśle.

15. 45 – no tak, ale on nie ma ułatwionego zadania. W końcu jestem mężatką.

16. 20 – to może być dla niego za trudne.

O 16. 50 lokalizuję świeżo wydaną książkę telefoniczną z numerami wewnętrznymi i wykręcam jego numer.

– Czy mogę rozmawiać z Johnem Hardingiem?

– Nie ma go w tej chwili, czy mam mu coś przekazać?

Imponująco szybko odkładam słuchawkę. Wytrzymuję aż dziesięć minut i dzwonię ponownie.

– Czy mogę rozmawiać z Johnem Hardingiem? – pytam, wykorzystując, najlepiej jak potrafię, znajomość australijskiego akcentu. Ufam, że sekretarka nie rozpozna mojego głosu.

– O, to znowu pani. Nie ma go w tej chwili. Czy mam coś przekazać?

– Coś nas przed chwilą rozłączyło.

Nawet ja krzywię się, słysząc własne słowa.

– Mmm... aha – odpowiada niezbyt przekonana.

Nieproszony image jego sekretarki sam ładuje mi się do głowy. Ma pewnie metr siedemdziesiąt wzrostu, nogi do brwi. To super-duper laska, od stóp do głów ubrana w Kookai. Wszystko leży na niej jak ulał, nie wygląda jak laleczka Tiny Tears w ciuchach Barbie (moje doświadczenie z marką Kookai) i... och nie, Boże, tylko nie to. Tak. Nie. Widzę wyraźnie... Kochają się na biurku, przy czym jej fryzura wychodzi z tego bez szwanku. Na pewno tak jest. Dlaczego nie miałyby się z nim pieprzyć? Każda kobieta o zdrowych zmysłach poszłaby z nim do łóżka. Jest taki boski. Oprócz mnie oczywiście, bo jestem taka głupia, głupia!

– Czy mam coś przekazać? – pyta wystarczająco uprzejmie.

No pewnie, chciałyby to zrobić zapewne osobiście, czemu nie. Ma tak nasycony głos, nie przesadzam. Prawdę mówiąc, brzmi, jakbym jej w czymś przeszkodziła; czy to możliwe, że właśnie uprawiają seks? Pewnie, kiedy wciska mi kit: „Nie ma go w tej chwili”, ma na myśli, że stan jego fizycznego uniesienia nie pozwala mu utrzymać słuchawki. Zanim krzyknę: „Podaj mi go natychmiast, ty zdiro!”, oddycham głęboko i uzmysławiam sobie, że to wszystko jest raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że dochodzi siedemnasta.

– Proszę zostawić wiadomość, że dzwoniła Connie.

– Czy zna pani telefon?

Niewinne pytanie brzmi co najmniej impertynencko.

– Nie – odpowiadam i rzucam słuchawkę.

Super. Wcale. Nie. Jest.

Udzielam sobie nagany. Czas zreasumować złote zasady walki. Nigdy nie rób pierwszego ruchu. Nigdy więcej nie waż się do niego zadzwonić. Jeśli już musisz dzwonić, to przynajmniej wyduś coś z siebie, nie odkładaj słuchawki. Nie zostawiaj dziwacznych i niezrozumiałych wiadomości – wystawiasz się na pośmiewisko – przypomnij sobie swój numer! Zaczynam wolno zbierać manatki, pakuję laptopa, odwracam się do windy i kiedy już drzwi mają się zamknąć, dochodzi do mnie głos sekretarki.

– Szukasz Connie? Przykro mi, właśnie wyszła.

Walę zaciekle w drzwi windy, wprawiając w stan pogotowia wszystkich współpasażerów, przeciskam się przez trzymilimetrową szczelinę i pędzę korytarzem niczym Seb Coe, [Brytyjski biegacz, wielokrotny medalista olimpijski.] dopadam zadyszana stanowiska sekretarki w momencie, kiedy ona odkłada słuchawkę.

– Kto to był? Kto? – żądam natychmiastowej odpowiedzi.

– Nie dosłyszałam imienia – odpowiada zupełnie zaskoczona.

– Nie rozpoznałaś go? Nie brzmiał znajomo? Dzwonił ktoś z zewnątrz czy to numer wewnętrzny? Miał liverpoolski akcent?

– Ona się nie przedstawiła.

Mam wrażenie, że sekretarka wie więcej, niżbym sobie życzyła. Wkłada płaszcz i wolno kieruje się w stronę windy.

– Jest za dwadzieścia szósta, od dziesięciu minut pracuję za darmo. Dobranoc – rzuca na pożegnanie.

Dzwoni telefon, z szybkością błyskawicy podnoszę słuchawkę.

– Constance Baker, wewnętrzny 3469, słucham?

– Greenie.

Przeżywam orgazm na miejscu.

Najważniejszy ludzki organ skacze mi do gardła.

– Twardziel! – radośnie.

– Greenie – erotycznie.

– Twardziel – sugestywnie.

– Greenie? – z wahaniem.

– Twardziel – bez pomysłu.

– To ty, prawda?

– Tęskniłeś? – taktownie, zabawnie, wrażliwie... niezupełnie: prosto z mostu i bezpardonowo.

– Nie wytrzymam chwili dłużej. Pragnę cię. Muszę cię mieć. Chcę się z tobą pieprzyć, Connie.

Schlebia mi tak bardzo, że oddałabym mu się natychmiast, gdyby tylko był w pokoju. Napięcie i podniecenie wytryskują z każdego pora mojej skóry.

Rozdział 4

Nie umówiliśmy się dokładnie, dokąd się wybieramy i co mamy w planach. Więc nie wiem, co mam włożyć na randkę. Nie było łatwo zaaranżować wszystko, wymyślić wiarygodne alibi w pracy i w domu. W biurze sądzą, że wzięłam urlop, Luke uwierzył w bajkę o szkoleniu. Szef Johna wie, że jego podwładny uczestniczy w ważnych spotkaniach na mieście. Nie znoszę kłamstwa, ale przy tej okazji z wielką radością skorzystałam ze wszystkich możliwych wykrętów, by usunąć przeszkody stojące na drodze potajemnej schadzki. Najważniejsze to zobaczyć się z nim jak najszybciej. Dwanaście dni upłynęło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Przez cały ten czas ani na chwilę nie przestałam o nim myśleć. Kąpię się w zmysłowym płynie z Body Shop, spłukuję, szoruję, ponownie spłukuję, a następnie wmasowuję w siebie balsam ujednabiający Clarinsa. Czy w ciągu dwóch godzin przyniesie pożądane efekty? Następnie aplikuję pięć substancji odżywczych. Jedną na szyję, drugą pod oczy, trzecią wokół ust, czwartą na policzki i ostatnią dla dobrego rachunku. Robię pełny makijaż – wypada zbyt pretensjonalnie, więc zmywam go. Ale muszę wyglądać tak, by widział, że się starałam. Zaczynam wyć z rozpaczy. Ponownie maluję twarz, usiłuję uzyskać „naturalny” wygląd. Pora na bieliznę. Jejku. Zwykle zakładam podkolanówki i szare lub białe figi marki M&S. Luke nawet nie zauważa po powrocie do domu, czy jestem naga, owinięta jedynie w *chaise longue*, czy ubrana w długą, bawełnianą koszulę nocną Walton Family. Bielizna, odwieczny problem. Zaprojektowana, by działać na męską wyobraźnię, co nie zawsze idzie w parze z komfortem noszenia. Mimo to podziałanie na męską wyobraźnię jest dla mnie w tej chwili bardzo ważne. Przymierzam podwiązki i gorset (odpada, bo efekt zbyt wyzywający), potem samonośne pończochy i koronkowy, dopasowany komplet (tylko na specjalne okazje) La Perla. Próbuję koronkowy stanik i figi w czterech kombinacjach kolorystycznych: białej (zupełnie jak panna młoda), czerwonej (jakbym urwała się z burdelu), czarnej (za bardzo *Rocky Horror Show*), kremowej (zestaw dla początkujących). Gorączkowe przymierzanie i rozbieranie sprawia, że zaczynam się cała kleić, więc znów ląduję pod prysznicem. W końcu wybieram wersję bez stanika z białymi, bawełnianymi figami od Calvina Kleina. Przymierzam cztery czarne topy, dwa białe, dwie pary czarnych spodni, jedną granatowych, parę brązowych, khaki i beżowych. Zostawiam trzecią z kolei białą górę i czarną spódnicę. Następnie znów ściągam z siebie ciuchy, by zaraz z niepokojem wciągnąć je z powrotem. Kolejna bluzka zahacza mi o głowę; zastygam w bezruchu, zerkam do lustra, syczę ze zniecierpliwienia i wciągam ją z powrotem jednym szarpnięciem. Zabawiam siebie nieprzyzwoitymi fantazjami, jak penetruje mnie w głąb. To będzie prawdziwa ulga mieć to z głowy; przecież, jeśli w końcu się prześpimy, to z łatwością o nim zapomnę. Widzę prawie dokładnie: oplatam go nogami, a on wpycha się we mnie, moje stopy wciskają się w jego kręgosłup. Przypominam sobie Paryż i błękitne, wpatrzone we mnie oczy. I ten cholernie bezczelny uśmiech, kiedy ze mnie zląził.

Spotykamy się na stacji Euston. Widzę go z daleka. Zamiast posuwać się miarowym,

spokojnym krokiem, podskakuje, porusza się susami i dopada mnie, szczerząc się szeroko. Wydaje się być nieco niższy, niż go zapamiętałam. Całuje mnie. Miednica podskakuje mi do ust. Nieważne. Jest tak nieprawdopodobnie seksowny.

– Wyglądasz zajebiście. Mam rzeczy na piknik.

Jestem pewna, że wygranie miliona byłoby nudą w porównaniu z tym, co przeżywam. Zachwycona rozglądam się za wiklinowym koszykiem, wyobrażam sobie szeleszczące liście, dojrzałe sery, czarne oliwki, humus [Arabski sos z grochu, ziaren sezamowych, czosnku i soku z cytryny.] i jesienne owoce. Teraz, kiedy jesteśmy w końcu razem, zaczynam odczuwać głód, pierwszy raz od czasów Paryża... Wręcz umieram z głodu. Już widzę nas siedzących na kocu, wymieniających pocałunki pełne szampana. Dostrzegam kilka toreb i osiem butelek piwa. Przez ułamek sekundy czuję rozczarowanie. No cóż. Nieważne. Przybyłam tu po seks, a nie żadne romantyczne uniesienia, czyż nie? Na nic mi brie i winogrona.

– Przejdziemy się? Hampstead Heath? [Park w Londynie.] Trochę heteroseksualnego cudzołóstwa jest niczym w porównaniu z tym, co się tam dzieje.

Zgadzam się. To dostatecznie daleko od moich ulubionych miejsc, więc mogę się wyluzować, a poza tym – jeśli o mnie chodzi – poleciałabym się z nim pieprzyć na Księżyc, gdyby to zaproponował.

Jest jasny, wczesnojesienny dzień. Nad nami góruje czyste, ciemnoniebieskie niebo, które dziś bardziej przypomina morze. Słoneczne promyki tańczą wśród drzew, a zapach palonego drewna dryfuje po parku. Idziemy przed siebie, trzymamy się za ręce, a w wolnych dłoniach niesiemy otwarte butelki piwa, mimo że takiego zachowania sumiennie unikałam przez ostatnich trzydzieści lat życia. Mam nadzieję, że nie dostanę wzdęcia albo nie zacznę pierdzić.

Heath jest opustoszały. Wyjątek stanowią dziwna kobieta, emeryt i narkoman. Młoda matka pcha przed sobą pusty wózek, a bobas biegnie obok niej. Porusza się drobnymi kroczkami i najwyraźniej trudno mu dotrzymać tempa matce. Ma na sobie czerwone kalosze, na oko trochę za duże, rozbryzguje po drodze wszystkie mętne kałuże. Mała, przypominająca aniołka, okrągła twarz pochyła się nagle i chłopiec z mokrej ścieżki podnosi brązowego kasztana. Jego rękawiczki, dyndające na sznurkach, wloką się po ziemi, zostawiając za nim srebrną, ślimakowatą wstęgę. Widok malca sprawia, że John zamienia się w dzieciaka, popisuje się i jak zawodowy piłkarz celuje w innego kasztana. Włączam się do zabawy, kopię na chybił trafił niewyćwiczonym ruchem; rozbryzguję dookoła liście i błoto. Obydwoje uważamy to za bardzo śmieszne.

– Chodź.

Szybko prowadzi mnie w kierunku kępy nieznacznie oddalonych drzew.

Klamka zapadła.

Wyszło mi w gardle, ręce poruszają się niezgrabnie. Rzucamy się na ziemię pod drzewami i natychmiast zaczynamy dobierać się do ubrań, wprawnymi i doświadczonymi ruchami rozbieramy się wzajemnie. Jestem zupełnie naga od pasa w górę, spódnica zadarta jest do bioder.

On zrzuca z siebie koszulę i bluzę, spodnie zatrzymują się na jednej nodze. Folguję sobie i pozwalam oczom oderwać się od jego twarzy, przesuwam wzrok na ramiona, dalej na ładnie umięśniony brzuch, niżej na oczywisty dowód namiętności i nogi opryskane błotem. Leżę i przyglądam się. Po tych oględzinach wracam do jego twarzy; on badawczo lustruje moje ciało. Bez cienia wstydu, za to z dumą pozbawioną strachu czekam, aż jego oczy oderwą się od ust i spoczną na piersiach i moim futerku. W mgnieniu oka on nurkuje i całuje mnie tam. Powoli, rozbijając powoli, całuje mnie, liże i kąsa, aż zaczynam piszczeć z rozkoszy. Delikatnie kładę się na wznak, gołe ciało dotyka wilgotnej ziemi i zimnej trawy, od czasu do czasu twardy kamień wbija się boleśnie w plecy i pośladki. Muszę trzymać się blisko naszych bardzo już wilgotnych i wymiętych ubrań. Czuję zapach mokrej trawy i ta woń uderza mi do głowy. Rozkosznie powoli jego język błądzi po moim ciele. Całuje mnie i odkrywa strefy rozkoszy, co sprawia, że jęczę i wilgotnieję jednocześnie: środkowa część dłoni, wewnętrzna strona łokcia, zgięcie za kolanami, kostka. Kąsa mój brzuch i ssie pepek. Kiedy zaczynam myśleć, że nie jestem w stanie wytrzymać więcej i pożądanie rozerwie mnie na strzępy, jeśli będzie kontynuował swoje motyle odkrycia, on nagle wpycha się we mnie. Opada na mnie, dźga głęboko, spala się, łapie i naciera, aż zaczynam skomleć płonąca mieszaniną bólu i pożądania.

Jestem wykończona z podniecenia, ale wiem, że teraz kolej na mnie. Nie jesteśmy małżeństwem, więc opcja z wdzięcznym uśmiechem, zgaszeniem światła i przewróceniem się na bok do snu nie wchodzi w rachubę. Muszę grać dalej. Przewracam go na plecy i dosiadam go. Sprawia, że czuję się taka seksowna, doświadczona i pewna siebie. On jęczy, wiję się i ślizga pode mną, skręca się z rozkoszy, dostaje spazmów i traci oddech... W końcu krzyczy. Przeszywający ciszę krzyk płoszy ptaka, który przenosi się na inne drzewo, w oddali szczeka pies. Ja zaś, spocona i wykończona, opadam na jego rozgrzane ciało.

Myślę, że mu się podobało.

Badam jego twarz, ale trudno z niej cokolwiek wyczytać.

Spocone włosy lepią mi się do karku, cycki są wilgotne od pocałunków, a uda i brzuch od jego miłości. Nie bardzo wiemy, co sobie teraz powiedzieć, więc leżymy w ciasnym objęciu i czekamy, aż nasze oddechy się uspokoją. Wdychamy i wydychamy powietrze równocześnie. Ręce pachną mu spermą, błotem i trawą; zupełnie jak mnie. Jestem pewna, że już nigdy w życiu nie zdołam się oczyścić. Instynktownie obejmuję dłońmi jego twarz, twarz, z której bije radość, promienny blask, pozytywne spełnienie. A więc od teraz koniec z miganiem się czy omijaniem tematu. Żaden złotousty rzecznik mi tu nie pomoże; jestem cudzołożnicą i już.

– Co za seks – wzdycha zadowolony.

Przewracam się na bok i leżę na zimnej trawie. Żeby sprawdzić jego uczciwość, mówię ostro:

– Daj spokój eufemizmom. To czyste rżnięcie.

Spogląda na mnie, a na jego twarzy maluje się zakłopotanie wielkości Gór Skalistych, Alp i Everestu razem wziętych.

– Jeśli bardziej ci odpowiada takie określenie. – Potem wyraźnie się rozchmurza. – Pewnie masz rację.

Wygląda, jakby trafił los na loterii. Nie jestem pewna, czy właśnie o to mi chodziło. Nie jestem *żadną femme fatale*. Ubieramy się prawie bez słowa. Żartujemy sobie z niego, że niepotrzebnie zmarnował tyle czasu na prasowanie koszuli, która jest teraz w oplakany stanie. Mam nadzieję, że udamy się prosto do hotelu, który zarezerwowałam, i powtórzmy wszystko raz jeszcze, ale on mówi, że musi wracać do domu. Palimy papierosy, kupujemy herbatę w plastikowych kubkach z budki na skraju parku i ruszamy w drogę powrotną na stację metra. Mimo że temperatura spadła znacznie i zaczyna się ściemniać, nie narzekamy. Jest nam ciepło, bo trzymamy się siebie kurczowo. Piwo działa zadziwiająco mocno. Nawet przez sekundę nie martwię się, że ktoś może nas przyłapać na tych wagarach z pracy i małżeństwa.

Rozdzielamy się na stacji metra. Obieram kierunek na południe, on na wschód. Jadę wciśnięta między ogromną, czarną kobietą z siatkami pełnymi zakupów a nerwowym, młodym kierownikiem z laptopem i snuję rozważania nad jego poźegnalnym tekstem: „Zadzwoń”. Wolałabym, żeby tego nie mówił. Albo skoro już te słowa padły, mogłam chociaż zapytać, kiedy, albo stwierdzić, że to raczej ja zadzwonię. Wsiadam z metra i sprawdzam pocztę na komórce. „Masz jedną nową wiadomość”: „Hej, seksowna, a nie mówiłem, że zadzwonię?”.

Do domu wchodzę, wciąż uśmiechając się pod nosem. W środku, tak jak przypuszczałam, nie ma żywej duszy. Luke nigdy nie wraca przed dwudziestą. Co oznacza, że mam mnóstwo czasu na zmycie z siebie błota i innych dowodów niewierności przed jego powrotem do domu. Zanim wepchnę poplamiony spermą sweter do pralki, poczucie ulgi zmienia się w irytację. Bez wątpienia igrzm z ogniem. Zostałam do tego zmuszona, bo on mnie zaniedbuje. Ciągłe jestem sama. Poprawiam sobie humor, odsłuchując wiadomość Johna. Osiem razy. Nalewam uspokajającą dawkę dzinu i dochodzę do gorzkich wniosków, że nawet gdyby Luke był w domu, nie zauważyłby, jak brudna i rozczochna wróciłam. Wzdycham i wczolguję się na kute z żelaza łóżko. Ledwo żyję. Przed oczyma staje mi John przywiązujący mnie do łóżka i wykonujący całą gamę nieprzyzwoitych rzeczy. Skąd mi się to wzięło? Otrząsam się z tych sprośnych fantazji.

A właściwie, to czym mnie przywiązuje?

We wtorek Luke wybiera się na swoje lekcje hiszpańskiego. Próbuję nie wyobrazić sobie kochania się z Johnem na hiszpańskiej plaży.

W piątek Luke odkrywa, że ostatnio nie widzimy się za często i powinniśmy gdzieś razem wyskoczyć. Wybieramy się do kina, na jakiś artystyczny francuski film. Są napisy, a ja zapomniałam okularów. Nawet gdybym mogła coś odczytać, wątpię, czy fabuła byłaby w stanie mnie wciągnąć. Próbuję nie myśleć o zabawnym francusko-liverpoolskim akcencie Johna. W łóżku lądujemy o wpół do jedenastej, Luke zasypia dziesięć minut później. Leżę z otwartymi oczami i gapię się w sufit. Dobrze, że prowadzę taki aktywny tryb życia, bo nie marnuję czasu na rozmyślanie o Johnie. W sobotę umawiam się z Daisy na zakupy na King’s Road, podczas gdy

Luke grzebie przy swoim motorze. Nie potrzebuję nowych ciuchów, ale zamierzam sprawić sobie niezliczoną liczbę dziwkarskich kiecek, takich, w jakich John lubi swoje kobiety.

Daisy jest zakochana po uszy w Simonie, więc moja obecność zdaje się zbyteczna. Mogłabym iść obok niej, mając na sobie plakat oznajmiający: „Zbliża się koniec świata”, a ona i tak by nic nie zauważyła. Dlatego robienie zakupów z Daisy już nie jest taką frajdą jak kiedyś. Wypadki na miasto są nieregularne (wciśnięte między grę w golfa Simona) i frustrujące (nigdy nie kończą się zakupami, tylko decyzją „Muszę to przemyśleć” albo „Wrócę tu później i zobaczymy, co powie Simon”). Dzisiejszy dzień spełnia te wszystkie irytujące kryteria. Siedzę przed przymierzalniami, podczas gdy Daisy wkłada szesnastą parę identycznych, szarych spodni do kostek. Po założeniu pierwszej i trzeciej pary (każdą miała na sobie ze cztery razy) stwierdza, że może pójdziemy na kawę, by „mogła to sobie jeszcze przemyśleć”. Uśmiecham się konspiracyjnie do ekspedientki, ale ona jest wyraźnie rozczarowana i mija mnie lekceważąco. Nie mogę się nadziwić, że można zachowywać się tak obojętnie, dźwigając szesnaście par spodni.

– John Lewis, jak zwykle? – pyta Daisy.

– Nie, mam ochotę na zmianę.

Wpycham Daisy do zakopconej kafejki, tej, którą mijamy każdej soboty, ale nigdy nie weszliśmy do środka. Kawiarnia jest wypełniona po brzegi niesamowitymi ludźmi, wszyscy są albo niezwykle piękni, albo ubrani w najmodniejsze stylowe ciuchy lub łączą obie te cechy. Daisy w drzwiach się waha. Podejrzewam, że może rzucić się do ucieczki. Dobrze wiem, co teraz myśli. Wzruszam ramionami. Mam ogromną ochotę na odważne eksperymenty i czuję, że jestem właściwą osobą na właściwym miejscu.

– Mamy takie samo prawo wejść do tej kafejki jak każdy inny – syczę, kierując ją na miejsce przy samych drzwiach.

W końcu, długo po tym, jak zakończyliśmy naradę, czy podejść do baru, czy też czekać na obsługę, gdy już zaczęłam podejrzewać, że to wcale nie jest kafejka, ale część prywatnego mieszkania, wysoka, francuskiej narodowości kelnerka podchodzi do naszego stolika. Podobnie jak cała klientela jest niewiarygodnie atrakcyjna. Patrzy na nas ogromnymi, szarymi oczami w kształcie migdałów, obwód jej talii odpowiada obwodowi mojego nadgarstka, a jej błyszczące, proste włosy miękko podążają za ruchem głowy. W milczeniu przyjmuje nasze zamówienie. W skrytości ducha mam nadzieję, że czarna, przefiltrowana kawa jest trafnym wyborem. Oddała się w stronę baru, miękko kołysząc biodrami, kiwa na barmana i wręcza mu nieczytelnie zagryzoloną karteczkę. Biorę pod uwagę możliwość, iż na papierze napisane jest: „Ruszaj się szybko, sztywniaczki mają się stąd wynieść raz-dwa”. Podejrzliwie obserwuję chłopaka, ale on zupełnie nie zwraca na nas uwagi; zamiast tego ładuje dwa filtry do szklanych kubków. Kelnerka ospale stawia je na naszym stoliku i zostawia nas. Obserwujemy z Daisy, jak jej włosy kołyszą się wdzięcznie, balansując między ramionami a brodą.

– Pewnie nie ma krztyny charakteru – szepcze Daisy, skubiąc kręconą grzywkę.

Zdajemy sobie sprawę, że takiej nieziemskiej istocie nie jest on do niczego potrzebny. Biorę saszetkę z cukrem, a potem zmieniam zdanie, decydując się na słodzik.

– To daje do myślenia, prawda, Daisy?

– Co?

– Po świecie kręci się tyle piękności. Jak przeciętna babka ma w tych warunkach utrzymać swego faceta w wierności? Ale te piękności mają ten sam problem. Żadna nie ma gwarancji.

– Con, Luke szaleje za tobą. Nie spojrzysz nawet na inną kobietę.

Może ma rację, Luke nie ogląda się za innymi, ledwo mnie omiata spojrzeniem, ale John nie przejdzie obojętnie obok pięknej kobiety. Wzdrygam się i próbuję wybić sobie te myśli z głowy. Co mnie w ogóle obchodzi, że taki z niego kobieciarz. To przecież nie ma znaczenia. Ustaliłam, że będzie to tylko jednorazowy wyskok. To przecież i tak jest bez sensu. Jestem mężatką. Miałam szczęście wyjść za Luke'a, więc nie muszę martwić się o zdradę. Przynajmniej z jego strony.

– Co się dzieje, Connie? Wydajesz się taka nieobecna.

– Jestem zmęczona. Mam sporo roboty w pracy, wisi nade mną ważny projekt, który ciągnę już od kilku tygodni. Nie śpię przez to dobrze.

Daisy oddycha z ulgą.

– Przez jeden okropny moment pomyślałam, że między tobą a Lukiem coś się psuje.

– Chyba ci odbiło.

– Masz rację. Jedyny stały punkt w tym szalonym świecie stanowi pewność, że twoje małżeństwo z Lukiem jest wspaniałe.

Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa.

– Smakuje ci kawa?

– Niezła. Wiesz, Connie, naprawdę ci zazdroszczę. Jesteś taką szczęśliwą mężatką. Luke to wyjątkowy facet, szczególnie jeśli zdasz sobie sprawę, że na świecie roi się od łajdaków.

– Mmmm. Które spodnie wybierasz?

– Jest taki cierpliwy, mądry, wyrozumiały...

– Mnie podobają się te od Whistlesa.

– On naprawdę potrafi cię słuchać.

– Boże, siekierę można powiesić, nie sądzisz?

– Myślę, że Simon jest podobny do Luke'a.

To już lepiej, wolę przerabiać Simona niż Luke'a. Próbuję zachęcić ją do tego kierunku.

– Jak wam się układa?

– Naprawdę dobrze. Jest taki dobry. Inteligentny, czuły, kreatywny. Zupełnie jak Luke.

Doprowadzona do szewskiej pasji, oddycham głęboko. Oczywiście, ma rację, Luke jest dobry. W dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie znam Johna za dobrze, ale wiem o nim wystarczająco dużo, by stwierdzić, że nie jest dobrym człowiekiem. Jest zły. W dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie jest wystarczająco dobry dla mnie, a mimo to jeszcze nigdy w życiu nie

spotkało mnie coś równie dobrego, w życiowym i podłym sensie. Luke jest dobry, ale nie do końca. Nagle dociera do mnie, że to nudziarz. Jestem skazana na życie z seksem raz w tygodniu. Luke majstruje przy moim sutku, jakby miał do czynienia z włącznikiem światła, a cała akcja, z grą wstępną włącznie[^] trwa piętnaście minut. Jedyne erotyczne zabawki obecne w naszym życiu to spodnie od piżamy, a nowość ogranicza się do decyzji, czy robimy to przed czy po wyszorowaniu zębów. John, mój kochanek (nieśmiało próbuję tego słowa), nie jest aż tak uprzejmy ani bezinteresowny czy tak dobrze poznany. Cholera jasna. Nie jest poznany. To dlatego siedzi mi w głowie i łąduje w moim łóżku, a do tego jest niewiarygodnie seksowny. Piję małymi łydkami czarną, mocną kawę. Wysłałam za człowieka, który może zapewnić mi stabilizację i szacunek, taki facet zdarza się raz na dziesięć przypadków. Kocham go. Jest miły, czuły, inteligentny, uczuciowy. Jak mogłabym nie kochać takiego człowieka? Nasi przyjaciele znani są z tego, że na nasz widok klaszczą w dłonie i z rozmarzonym uśmiechem na twarzach wzdychają: „Och, wy szczęściarze”. Bo wszyscy uważają, że jesteśmy dla siebie stworzeni i tworzymy cudowne małżeństwo. Pieprzyć Johna za to, że udowodnił mi, iż przy moim boku jest ten jeden na dziesięciu. A nawet jedenastu. Ale siebie nie oszukam – rżnięcie się z Johnem pokazało, że nie jestem wierna sercu tylko organowi leżącemu niżej. Na sam dźwięk jego imienia mam orgazm. Myślę o jego oczach i moich cyckach sterczących w oczekiwaniu, błagających o pieszczoty i ssanie. Żałuję, że w ogóle się spotkaliśmy. Zamącił w moim życiu, zniszczył wszystko.

Takie myśli biegają mi po głowie, kiedy mówię Daisy, o której mają się zjawić na kolacji. Zauważam, że jej włosy zwijają się w atrakcyjne loczki i oplatają szyję, a facet siedzący obok świdruje mnie wzrokiem. Para z naprzeciwka jest obsesyjnie pochłonięta sobą. Nagle staję się świadoma wszechogarniającego seksu. Mojego, Johna, pana Sześciopaka stojącego za barem. Dziwne.

To nasza kolej zaprosić wszystkich na kolację. Dość często wypada na nas lub Rose. Rzadziej trafia na Lucy, a prawie nigdy na Sam czy Daisy. Jest co najmniej kilka dobrych powodów. Po pierwsze, komfort: Rose i Peter oraz Luke i ja mieszkamy w przestronnych domach, zaprojektowanych do zapraszania gości. Po drugie, obsługa: Rose i Luke to kucharze najwyższej *ii* klasy, a Peter i ja sprawdzamy się rewelacyjnie w nakrywaniu stołu i chłodzeniu wina. Lucy też kwalifikuje się do grona kucharzy *par excellence*, a do tego dysponuje eleganckim i obszernym wnętrzem. Kiedyś jeszcze często zapraszała nas do siebie, ale głównie po to, by zrobić wrażenie na nowym facecie. Gościła nas, by pokazać absztyfikantowi, że jest nie tylko spełnioną kobietą sukcesu, ale potrafi też pogodzić zawrotne tempo życia zawodowego z rozrywką i spędzaniem czasu z najbliższymi przyjaciółmi. Lucy wypracowała strategię, by mieć to wszystko. Zgodnie z założeniami, mężczyzna, o którym mowa, był nie tylko pod wrażeniem, ale czuł się poruszony i wzruszony. Niezmiennie, zanim czekoladowy suflet zdążył pojawić się na stole, Lucy i jej ofiara ruszali skosztować inny deser. A my – goście – pozostawieni sami

sobie, walczyliśmy z ekspresem do kawy.

Daisy jest nauczycielką w północnej części Londynu, więc istnieją dwa oczywiste powody, dla których nie gościmy u niej: Northern Line mówi samo za siebie, no i fakt, że mieszka w pudełku od zapalek. W bardzo studenckim pudełku. Sufit w łazience pokryty wilgotnymi plamami, stały niedobór srajtaśmy i istny nadmiar burdelowatych paciorków i różnorodnych zwisających płacht materiału oddzielających od siebie i tak dostatecznie małe przestrzenie. Poza tym Daisy nie ma wystarczającej liczby krzeseł dla nas wszystkich, zawsze ktoś musi czekać na swoją kolej. Tak więc kolacje u niej albo kończą się chaotyczną zabawą w krzeselka do wynajęcia, zgodnie z którą ktoś zawsze jest na wylocie po sól i pieprz tudzież zapalki czy wino, więc ktoś inny ma szansę spocząć na chwilę. Zdarza się, że wybucha kłótnia, bo Lucy ląduje na kolanach, bynajmniej nie moich czy Sam, ale Luke'a lub Petera, albo w bardziej niebezpiecznych sytuacjach, chłopaka Sam lub Daisy.

Mieszkanie Sam jest perfekcyjnie przystosowane do uroczych kolacyjek, ale niestety dzieli je ze współlokatorami z piekła rodem. Kiedyś mieszkała z Mikiem. Facet był niczego sobie i przez moment żyliśmy nadzieją, że między nim a Daisy zajdzie coś poważniejszego. Nie odczytałyśmy w porę rażących znaków. Spał z nią rzadko, przepadał jak kamień w wodę na całe tygodnie, ale jak tylko Daisy zaczynała umawiać się z kimś nowym, stawał na głowie, by do niego wróciła. Co zawsze zresztą robiła. Niestety nasze nadzieje zostały brutalnie zniweczone, gdy ogłosił, że wyprowadza się z mieszkania Sam i żeni się. Bardzo niezręczna sytuacja, szczególnie kiedy Sam zapytała Daisy, czy ta pożyczylaby jej jeden z kapeluszy na ślub.

Teraz wprowadziła się Liz. Liz nie próbowała uwieść nikogo z grona przyjaciółek Sam, ale tylko dlatego, że nie jesteśmy w jej typie. Najwyraźniej jesteśmy zbyt frywolne, a ona szuka partnerki z większą ilością oleju w głowie. Liz to zapalona feministka, choć zdaje sobie sprawę, że to już dawno wyszło z mody. Muszę jej jednak oddać, że to naprawdę interesująca babka, pełna ciekawych przemyśleń, pomysłów i poglądów. Jej towarzystwo jest nie tylko przyjemne, ale i bardzo pouczające.

Dopóty, dopóki nie jesteś facetem.

I jeśli nie pociąga cię płeć brzydka.

Mężczyźni to wrogowie, a kobiety, które się z nimi zadają, to zdrajczynie. Zaslugują jedynie na wysmarowanie smołą i wytarzanie w pierzu. Liz jest zdania (a często je wygłasza), że mężczyźni to egoistyczne, leniwe, płytkie relikty, które wraz z pojawieniem się banków spermy i Black&Decker nie mają czego szukać w dzisiejszym świecie. Prawdopodobnie zagłada tego gatunku nie miałaby większego ekonomicznego, moralnego czy praktycznego znaczenia, ale mimo wszystko, większości z nas jest ich po prostu szkoda. W końcu Luke to mężczyzna i dzięki Bogu za to; Sebastian i Henry, dwa przesłodkie bobasy, też kiedyś wyrosną na dojrzałych facetów (tu pada co prawda argument, że bliźniaki nigdy nie dojrzeją, jak zresztą żaden facet), nasi ojcowie to mężczyźni i wielu z nich da się tolerować. No i jest jeszcze John.

Liz wychodzi też z założenia, że jedynym powodem, dla którego zgraja dorosłych może

usiąść razem do stołu, jest polityczna lub religijna dyskusja. Jej głównym celem jest dogłębne wkurzenie wszystkich. Z misjonarskim zapałem próbuje pogłębić naszą świadomość. Żadne uprzejme próby skierowania uwagi na inne tory nie przyczynią się do rozluźnienia atmosfery.

– Co za śliczna sukienka, Daisy, nowa? – próbuje Rose.

– Czy wiesz, co demonstrujesz, obnosząc się w kiece z dekoltem, który dosłownie sięga kolan? Wzmacniasz tylko te wszystkie szowinistyczne poglądy, że rola kobiety sprowadza się jedynie do dekoracji, a nie kreatywnego myślenia i rzetelnej debaty – prycha gniewnie Liz.

Daisy jąka się, że dostrzegła nieszczęsną sukienkę w witrynie sklepu Karen Millen i że kupując ją, nie miała na celu wzmocnić żadnych szczególnych poglądów, po prostu ciuch jej się bardzo spodobał. Peter zazwyczaj wyskakuje z jakimś dobrze przemyślanym kontrargumentem, który nas rozśmiesza do łez.

– Lesba.

Wtedy Rose musi zacząć wszystko od początku.

– Co za pyszny sos, Sam, poproszę o przepis.

A więc dzisiaj nasza kolej. W królestwie państwa Baker wieczorne przyjęcia traktowane są z najwyższą powagą. Luke, w przeciwieństwie do wszystkich mężczyzn, jakich dane mi było spotkać, naprawdę własnoręcznie przygotowuje posiłki. Nie żeby tylko mówił, że to on szefuje w kuchni, a tak naprawdę całą robotę zostawia mnie. Nie robi też wielkiego przedstawienia z gotowania. Nie potrzebuje publiczności oklaskującej jego poczynania. Po prostu uczciwie gotuje w spokojny, metodyczny, rozsądny sposób, a rezultaty są zawsze przepyszne. Do mnie należy zapraszanie gości i nakrycie do stołu. Wkładam różnego rodzaju przegryzki do misek i gustownie rozstawiam je w pokoju gościnnym. No i sprzątam po wszystkim. W końcu Luke to tylko mężczyzna, a nie żaden święty.

Luke ślęczy nad różnorodnymi książkami z przepisami, które posiadamy. Mówię „my”, ponieważ teściowie, z nużącą regularnością, upierają się przy kupowaniu książek kucharskich na każde moje urodziny i Boże Narodzenie. Przypuszczam, że sama nawarzyłam sobie tego piwa, prosząc raz o *Biały żar* Marca Pierre’a White’a. Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru gotować czegokolwiek z tej książki. Moją intencją było jedynie poślinić się nad humorzastymi wyskokami niegrzecznego chłopca Marco. To bardzo niegrzeczny chłopiec, zupełnie jak John. Mam za swoje, bo teraz jestem dumną posiadaczką następujących pozycji: *Zimowe rarytasy* Delii Smith, *Letnie rarytasy* D. S. , *Kompletna książka kucharska „Sunday Times”*, *Mistrz Kuchni 1995*, *Mistrz Kuchni 1996*, *Mistrz Kuchni 1997*, *Grillowane specjały*, *Wyśmienicie i niskokalorycznie z Sainsbury* (sprzeczność sama w sobie), *Przepisy astrologiczne Sainsbury* (poważnie!), *Ryba na sto sposobów z Sainsbury*, *Tysiąc przepisów kucharskich z Sainsbury*, *Sosy*, *River Cafe książka kucharska część pierwsza* Michaela Rouksa oraz *River Cafe książka kucharska część druga*. Każdego roku entuzjastycznie im dziękuję, a po kolejnej Gwiazdce żałuję tej wylewności. Chociaż śmiem wątpić, że pani Baker seniorka umiera z radości, odpakowując co roku przybory toaletowe marki M&S, a pan Baker senior trzęsie się ze szczęścia nad pantoflami,

które niezmiennie kupuję, a mimo to zachowują się wystarczająco uprzejmie po otrzymaniu prezentów. *Raison d'être* świąt Bożego Narodzenia jest zapelnienie różnych domów prezentami, których nikt nie uważa za przydatne czy piękne. Przez cały listopad my i nasze portfele mają się czym zająć, kiedy to przeciskamy się w tłumie, polując na podarki. A potem w styczniu musimy z powrotem stawać do walki z taktyką obniżonych cen oraz jeszcze bardziej wściekłym i wzburzonym tłumem zwracającym otrzymane prezenty do sklepów. Cywilizowane czasy.

– Wydaje mi się, że podaję naszym gościom rozgotowanego tuńczyka. Według tej książki ta ryba potrzebuje jedynie chwilki w piekarniku – mówi Luke.

Prowadzi konwersację z żoną, bo nie wie, że ta wylizała fiuta obcemu mężczyźnie. Ale ja to wiem. I nie znoszę myśli, że po raz pierwszy od pięciu lat mamy różne informacje na ten sam temat.

– Czy uważasz, że wystarczy po prostu kochać, a niekoniecznie być zakochanym? – wyrywa mi się niebezpiecznie.

– Może natrzemy to pieprzem, powinno być dobrze.

– Czy fizyczne pożądanie ma cokolwiek wspólnego z prawdziwym uczuciem?

– Co myślisz? Może dodam bazylii?

Bazyli? Kto to, do cholery, jest Bazyli? Jego imię to John, a nie Bazyli. Gapimy się na siebie skonsternowani. Próbuje bardziej konwencjonalnego podejścia.

– Co jemy wieczorem?

Moje zainteresowanie jest udawane, co prawda udawane po mistrzowsku. Stać mnie jedynie na to, jeśli on zabiera się do gotowania.

– Myślę, że moglibyśmy zacząć sardyńską zupą z fenkułów, a potem spiedini z żabnicą i przegrzebki z grillowanymi karczochami, a na główne seler. Co sądzisz?

Szczerze mówiąc, nic nie sędzę, bo nie mam pojęcia, co to jest spiedini z żabnicą, więc wykręcam się niezobowiązującym: „Brzmi pysznie”.

– Co przygotujesz na deser? – pyta.

To część umowy; on bierze na siebie przystawki i główne danie, ale żeby dać mu szansę podchmielić sobie trochę przed imprezą, ja przejmuję kontrolę nad deserami. Nie sprzeciwiam się, bo z zasady specjały serwowane przez Luke'a są tak cudowne, że dowody uznania i tak spłyną. Mogę podać WalFs Viennetta i wszyscy zgodnie orzekną, że jestem mistrzem deserów.

– Ben&Jerry[Lody znanej marki.] – odpowiadam.

Przez ułamek sekundy na jego twarzy widać rozczarowanie.

– Dwa smaki – bronie wyboru. – chunky monkey, [Lody bananowe z kawałkami czekolady i orzechów.] twój ulubiony.

– A drugi smak? – pyta, próbując przy tym brzmieć gburowato, ale dobrze wiem, że nie jest na mnie zły.

– Czekoladowy, dla dziewczyn. – Uśmiecham się.

– Ile pań zaszczyci nas obecnością wieczorem?

– Pełny skład.

– Co? I każda przyjdzie z facetem?

– Niezupełnie, Lucy przyjdzie sama, ale reszta z osobami towarzyszącymi. Wyglądasz na zdziwionego.

Luke cierpi dość często, kiedy jedna lub druga psiapsiółka wpada do mnie w środku nocy, by dać upust złości lub żalowi po kolejnej nieudanej miłosnej przygodzie. Ale zawsze zachowuje się z klasą w takich awaryjnych sytuacjach. Zaparza herbatę i służy chusteczką do nosa. Ma w zanadru całą gamę odpowiednich tekstów, które wybiera adekwatnie do sytuacji: „Ten facet to dupek, żal mi go”, „Jego strata”, „Mam mu przyłożyć?”.

Teksty podlegają regularnej rotacji. Powtarza też dziewczynom, że mają wspaniałe nogi albo że wyglądają olśniewająco, dokładnie w tych momentach, kiedy one najbardziej potrzebują takich słów. Laski zaczynają się wtedy mizdrzyć i oczywiście biorą wszystko za dobrą monetę. Luke do wieści o nowych podbojach dziewczyn podchodzi z niepokojem. Chyba przeczuwa, że jest tylko kwestią czasu, kiedy znów zostanie poproszony o wstawienie wody na herbatę.

Zazwyczaj przygotowania do kolacji upływają w bardzo wesołej atmosferze. Luke zakłada swój olbrzymi biały fartuch szefa kuchni (albo fartuszek dziecięcy, bo lubię się z nim droczyć). Nalewam nam szczodre kieliszki wina i nastawiam muzykę. Podczas gdy on sieka, kroi, gotuje i obiera (co wydaje mi się bardzo pociągające; kwestia noży), ja tańczę po pokoju i udaję Tinę Turner (co wydaje mu się bardzo atrakcyjne; kwestia bielizny). Zanim otworzymy drzwi naszym gościom, wprawiamy się w stan *non compos mentis*, upojenie zawdzięczamy albo winu, albo dawce seksu. Ale nie dzisiaj. Oddycham z ulgą, bo Luke pochłonięty jest zupełnie żabnicą czy czymś tam. Starannie unikam wszelkich fizycznych zbliżeń.

Daisy i Simon zjawiają się pierwsi. Promienieją i chichoczą z byle czego, co wkurza mnie niezmiernie. Patrzą sobie głęboko w oczy, tak jak to się zwykle robi na początku znajomości, kiedy człowiek nie wierzy własnemu szczęściu i sprawdza w kółko, czy ta druga połówka naprawdę istnieje i jest obok. (Oczy Johna są niezrównane. Wpatruje się we mnie z taką intensywnością). Poza tym wyrobili sobie naprawdę denerwujący nawyk: jeśli jedno z nich zada pytanie, to drugie musi na nie odpowiedzieć. Analogicznie, jeśli jedno zaczyna zdanie, drugie musi je dokończyć. Wydaje mi się to dość dziwne. Nalewam im po dużym kieliszku dżinu z tonikiem, a Luke pędzi z powrotem do kuchni, by doprawić fenkuły. Moja obecność jest najwyraźniej zbyt dobra. Przyglądam się, jak Daisy i Simon gapią się na siebie nienasyconym wzrokiem nad plastrami limy, a potem dotykają czule swych dłoni zanurzonych w misce z orzeszkami. (Paryż). Gdyby trzeba było roztoczyć nad sobą aurę pożądania w momencie szukania wolnego miejsca na zatłoczonym parkingu, oni z pewnością daliby radę. Simon jest przeciętnego wzrostu (trochę wyższy od Johna) i charakteryzuje się ponadprzeciętnym poczuciem humoru. Taki zestaw nie podziałałby na kobietę, która ceni wysokich i nijakich mężczyzn, ale Daisy odpowiada całkowicie. By zrekompensować sobie deficyt wzrostu lub podkreślić nadwyżkę humoru, Simon jest niezmiernie życzliwy i uśmiecha się bez przerwy. Jest

architektem wnętrz, dzięki czemu poznali się z Lukiem. Simon wyrobił sobie niezłą markę i Luke powtarza mi, że „ten to daleko zajdzie”. W końcu udaje mi się odciągnąć Simona od zasypywania Daisy erotycznymi, gorącymi pieszczotami i zmusić go do konwersacji. W końcu naje się dziś dzięki mnie i może choć przez chwilę zająć czymś innym moją uwagę. Odkrywam, że zanim zrobił karierę jako architekt wnętrz, zajmował kierownicze stanowisko, a ta dająca władzę, korzyści materialne, emocjonująca i godna pozazdroszczenia posada znajdowała się w jednej z najpopularniejszych agencji reklamowych w Londynie. Tłumaczy mi, że jego ta praca przyprawiała o mdłości. Nie potrafił zmusić się do uwierzenia we wszechwładnego klienta albo w nieomylność Działu Nadzorczego, który to uważał za twór pozbawiony jaj. Na początku irytował się, a następnie bulwersował, widząc bezmyślne nadszarpywanie jego reputacji, więc rzucił pracę, przekwalifikował się i założył własną firmę. Podczas nieobecności mamy Daisy, uważam za swój obowiązek ustalić te wszystkie fakty.

Kolejni goście to Peter i Rose. Rose udaje się prosto do kuchni, by wspomóc Luke’a, a Peter wdaje się z Simonem w męską pogawędkę. Pragnie przy tym sprawdzić kwalifikacje Simona. Mężczyźni wychodzą z założenia, że jaka praca, taki człowiek, dlatego by dowiedzieć się czegoś więcej o sobie, przeprowadzają szczegółowy wywiad na temat kariery zawodowej. Dla mężczyzny takiego jak Peter (który pracuje w City i zajmuje się równie mądrymi rzeczami, co Lucy) przyzwoity gość musi wykazać się przyzwoitą pracą. Z tej przyczyny niekończący się korowód poetów, basistów i barmanów, których sprowadzała Daisy, nie zyskiwał aprobaty Petera. W końcu Peter będzie rodzinnie powiązany z ostatecznym wybrankiem serca Daisy. Na szczęście Peter jest na tyle dobrze wychowany, że nie częstuje kolejnych kandydatów pytaniem: „A więc, młody człowieku, jakie masz plany na przyszłość?”. To brzmi trochę za ostro. Ale to zasadnicza kwestia, by Peter poznał Simona i mógł w końcu trochę wyluzować. Na szczęście Simon ma na tyle dużo oleju w głowie, by domyślić się, że niekończące się pytania Petera na temat golfa, łowienia, bieżnika w oponach, przyrządów do treningu wioślarskiego, ubezpieczeń domu i hipoteki, to nie tylko miła pogawędka, ale zbieranie wszelkich informacji mówiących, z czego tak naprawdę żyje. Skraca więc cierpienia Petera, komunikując, że jest architektem i opowiadając dziwną historię o podatkach i ubezpieczeniu samochodowym; pokazuje przy tym, jak bardzo poważnie traktuje życie. Oblicze Petera wyraźnie łagodnieje, a siedząca na sofie Daisy ze szczęścia dostaje orgazmu. Nudzi mi się. Sami nudziarze dookoła. Bardziej obchodzi ich autocasco niż *List do syna* Kiplinga.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Co za ulga. Lucy wpada w sam środek towarzystwa, głośno obwieszając zgromadzonym: „Wybaczcie mi spóźnienie”, chociaż ton jej wypowiedzi ma się nijak do treści. To jedna z cech rozpoznawczych Lucy: spóźniać się i przeproszać za to wylewnie i nieszczerze. Lucy uprzejmie przyniosła mi kwiaty, które w rzeczywistości stanowią dopełnienie jej nieskazitelnego wyglądu. Kręcąc biodrami, podchodzi do mnie i teatralnie prezentuje lilie, przy czym jej kończyny tańczą we wszystkich możliwych kierunkach niczym wstążki na wianku z okazji święta wiosny. Nagle czuję się głupio i niezgrabnie. W przeciwieństwie do panów,

którzy pojaśniali niczym lampki na choince przy Regent Street. Osobą towarzyszącą Lucy jest Tarn. Drobny, posiada perfekcyjne fizyczne atrybuty i jest homoseksualistą; żywy dodatek do Lucy. Jej atuty, takie jak wysoka, smukła sylwetka i włosy blond, tworzą olśniewający kontrast z jego atutami – niska, zgrabna budowa i ciemne włosy. Tarn i Lucy z nieskrywaną radością pomagają sobie wzajemnie w sytuacjach, w których zachodzi konieczność pojawienia się z osobą towarzyszącą. Konieczność ma miejsce wtedy, kiedy Tarn potrzebuje partnerki dla kamuflażu swoich preferencji seksualnych. Jako prawnik konserwatywnej kancelarii często potrzebuje do towarzystwa egzemplarza płci pięknej. Lucy zaś umawia się z Tarnem, kiedy w grę wchodzi romans z żonatą mężczyzną i potrzebna jest zasłona dymna. Dziwne, że zaprosiła go dzisiaj, skoro żadna z konieczności nie ma miejsca. Ale cieszę się, że Tarn przyszedł. W obecnych czasach przyjaźń z gejem podnosi prestiż. A że Peter jest wyraźnie zawstydzony obecnością Tama, to mam z czego pochichotać. Poza tym Tarn, pomijając kwestię seksualności, jest ciekawym przypadkiem, co trudno powiedzieć o pozostałych.

Luke zaczyna się niepokoić, że smak sardyńskiej zupy z fenkułów zepsuje się, jeśli zaraz nie pojawi się Sam i jej pan. Bardzo to wygodne, że „Sam” rymuje się z „pan”, bo przynajmniej nie musimy się martwić o pamiętanie imienia jej kolejnej zdobyczy. Ta ogólna, określająca gatunek nazwa, jest znacznie łatwiejsza, biorąc pod uwagę częstotliwość, z jaką zmieniają się faceci Sam. W końcu zjawia się spóźniona, w stanie ogólnej rozpacz. Podczas gdy Luke częstuje przybyłego z nią pana drinkiem, a ona pomaga mi podać zupę, orientuję się, że ten facet, Mark, James lub Paul czy coś równie szybko uchodzącego z pamięci, wcale nie miał ochoty tu przyjść. Kłócili się całą drogę od jej mieszkania aż do naszego domu. Zatrzymywali taksówkę trzy razy. Najpierw, kiedy ona wrzasnęła: „No to nie jedź ze mną, żadna strata”. Następnie, kiedy on krzyknął: „Wszyscy twoi przyjaciele będą ode mnie czegoś oczekiwać, to taka presja”, i w końcu przy sklepie monopolowym, gdzie zaopatrzyli się w wino. Najwyraźniej punktem zapalnym okazało się pytanie Sam, jak Mark/James/Paul ma na nazwisko. To wywołało lawinę pytań i oskarżeń, że ona mu się narzuca i chce go uwięzić. Coś tu rzeczywiście nie gra, skoro ona wie, którą stronę łóżka on woli (John preferuje prawą), a nie ma pojęcia, jak ma go przedstawić towarzystwu. Wyrażam współczucie na tyle, na ile jest to możliwe, w sytuacji, kiedy umysł koncentruje się na niesieniu dziesięciu talerzy z dymiącą zupą, której nie chcę rozlać ani na podłogę, ani na szacowne grono przy stole.

Pomimo tego raczej niefortunnego początku, kolacja przebiega w dobrej atmosferze. Nie mogę nic przełknąć, ale sądząc po otoczeniu, jedzenie jest pyszne i chociaż żadna w tym moja zasługa, z zadowoleniem przyjmuję komplementy w imieniu męża. Dobrego rocznikowo wina mamy pod dostatkiem, za co mogę poręczyć osobiście, bo z pićiem nie mam problemów, pomimo niezdolności trawienia konkretnych posiłków. Im bardziej alkohol uderza mi do głowy, tym większa ogarnia mnie chęć, by zdradzić wszystkim obecnym, jak bardzo zżera mnie pożądanie. Z oczywistych powodów, w końcu jestem żoną gospodarza, nie wypada mi tego uczynić. Zmuszona więc jestem do wysłuchiwania najświeższych relacji Lucy z jej ostatniej

randki z zamożnym wydawcą poczytnego magazynu.

– Było bardzo przyjemnie. Zostałam podjęta wystawnie, ale obeszło się bez miłości francuskiej.

– Niemożliwe. Dlaczego? – pyta nierozsądnie Rose.

– Za dużo mówił o forsie, co za banalne podejście – odpowiada Lucy, nie przejmując się wcale założeniem, że w łóżku łąduje z każdym, kto zaprosił ją na randkę.

– Nie wolno ci tak mówić – stwierdzam.

– Niby dlaczego nie? Bo to żyd? Gdyby był katolikiem, narzekałabym, że nie ma za grosz odpowiedzialności, jeśli chodzi o środki antykoncepcyjne, albo że to żałosny mizogin.

(John jest katolikiem w symbolicznym sensie).

– Jesteś taka surowa – mówię czule.

– A muzułmanie? – zaciekawia się Daisy.

– Seksiści ograniczający swobodę.

– Protestanci? – pyta pan Sam, pełnym nadziei tonem.

– Łobuzy – odpowiada Lucy, nie rzucając nawet spojrzenia w jego stronę.

– Dla ścisłości, chodzi o anglikanów – facet nie odpuszcza.

– Maminsynki, mają głęboko zakorzeniony kompleks Edypa.

Uwielbiam, kiedy zachowuje się w ten sposób. Wszyscy mamy totalny ubaw.

– A wyznawcy kościoła szkockiego? – śmieje się Luke, rozpaczliwie potrząsając głową.

– Poganie; lubią zimno, są skąpi i nie znają jednej porządnej restauracji. Aczkolwiek, nie mogę powiedzieć, pociąga mnie ten perwersyjny zwyczaj nienoszenia bielizny.

– Prawosławni?

– Nigdy nie całuję owłosionej twarzy.

– Agnostycy?

– Słabeusze.

– Ateiści?

– Hedoniści.

– Lucy, nie możesz tak po prostu iść przez życie, szufladkując wszystkich według stereotypów.

– Oczywiście, że mogę. Co więcej, uważam to za absolutny mus, dzięki temu życie staje się prostsze. No dobra, po tej krótkiej wycieczce po religiach świata i męskich wcieleniach, przypuszczam, że uświadamianie mnie, ile kosztowała kolacja, nie jest znowu taką straszną rzeczą. Może do niego zadzwonię.

Rose wychodzi z pokoju, by sprawdzić opiekunkę, a Lucy korzysta z okazji, żeby nam oznajmić najświeższe rewelacje, którymi pragnie się podzielić. Wpakowała się w kolejny romans z kolejnym żonatym mężczyzną. Mam wrażenie, że zaraz eksploduję od siły, z jaką zmuszam się do zachowania milczenia. Ja też! Ja też! Ja też! Ale u mnie jest odwrotna sytuacja. Rose jest bardzo nietolerancyjna, jeśli chodzi o związki Lucy z żonatymi facetami. Moje prywatne zdanie

na ten temat było zawsze takie, iż są to romanse bez przyszłości, ze złamanym sercem w finale. Boże, czy jeszcze parę dni temu widziałam świat tylko w białych lub czarnych kategoriach i wygłaszałam tak bardzo świętoszkowate, infantylne i pochopne poglądy?

– Dlaczego to robisz? – pyta zirytowana Sam.

Ona spotyka się z facetami tylko w jednym celu: by wyjść za męża. A żonaci mężczyźni nie poprowadzą cię do ołtarza, więc w jej mniemaniu to tylko strata czasu.

– Cóż, wszyscy mili faceci to geje albo żonaci – broni się rozdrażniona Lucy, wysyłając buziaki w stronę Luke’a i Tarna.

– Panowie, chodźmy zapalić na zewnątrz. Najwyraźniej panie mają ochotę poplotkować – proponuje Luke, tłumiąc ironię w głosie.

Pan Sam, który oczywiście jest zahipnotyzowany przez Lucy, nie wydaje się zachwycony tym pomysłem.

– Uwierz mi – przekonuje go Luke – jeśli ominie cię odcinek z tego tygodnia, nadrobisz zaległości przy kolejnej emisji serialu w przyszły weekend. Zawsze i tak dzieje się to samo.

– Diabelskie nasienie – rzuca Lucy, a następnie celuje w Luke’a korkiem od wina.

– Chodźmy, panie robią się agresywne.

Faceci wychodzą, a my oddychamy z ulgą. Możemy teraz bezceremonialnie ładować w siebie duże porcje lodów prosto z pojemnika. To wynagradza żałosne dawki, do których się ograniczamy w mieszanym towarzystwie. Oczywiście ja stanowię wyjątek, kiedy Luke jest obok, mogę jeść wszystko w takich ilościach, na jakie mam ochotę. Naprawdę, nawet pierdę w jego obecności. Nie mamy przed sobą tajemnic. Raczej nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

– To dlatego umawiasz się z żonatymi facetami? – pyta Daisy, szczerze zainteresowana psychologicznym portretem Lucy. – Uważasz, że miłych facetów można znaleźć tylko wśród żonatych lub pedałów? Przecież poznałam Simona, a on nie zalicza się do żadnej z tych kategorii.

– Nie znasz go na tyle, by mieć pewność – odcina się Lucy okrutnie. Wzdycha: – Nie, tak naprawdę nie wierzę, że wszyscy fajni faceci to mężowie lub geje, choć przyznaję, że często to powtarzam. Jako nastolatka przyjaźniłam się z gejami, ale korzyści z tego nie za wiele. Oni piorą swoje ciuchy i generalnie można na nich polegać, jeśli potrzebujesz rady, jak uporać się z koszmarną plamą na tkaninie.

– Podziękuj za to Ikei – zauważam.

– Z żonatymi umawiam się, bo z nimi jest prościej. Są wdzięczni i spokojni. Niczego nie oczekują. Nie marzy mi się rodzinne szczęście, piękne, dopóki zostaje w sferze marzeń. W rzeczywistości takie bajki nie istnieją.

Lucy nie przejmuje się, że Boże Narodzenie obchodzi sama. Zwykle pracuje przez całe święta albo – w mniej żałosnej wersji – spędza je z nami.

– Żonaci to generalnie całkiem dobrzy kochankowie, zwykle są już wytresowani przez własne żony. Nigdy nie komplikują życia chęcią poznania ciebie, dotarcia do twojego wnętrza.

– A nie pomyślałaś nigdy o ich żonach? – pyta Sam, chociaż odpowiedź nasuwa się sama.

Oczywiście, że nie pomyślała.

– A czy pamiętasz, że jak byliśmy na uniwerku, uważaliśmy taki związek za grzech kardynalny, zupełnie jak całowanie się z facetem, który chodził z inną laską? – docieka Daisy.

– Tak, to śliski grunt – śmieje się gorzko Lucy.

Miętosi paczkę papierosów. Ponieważ nie pozwolę jej zapalić w środku, ma dwa wyjścia. Może dołączyć do zakopconego grona facetów w ogrodzie – jedna z jej ulubionych rozrywek – albo zostać z nami i dalej nawijać na swój temat – kolejna z typowych dla niej czynności.

Siedzimy w ciszy i słyszymy naszych mężczyzn w ogrodzie.

– Dlaczego kobiety mają orgazm podczas seksu? – pyta Peter.

– Żeby mieć powód do jęczenia.

Wybuchają pijackim śmiechem, a my im wtórujemy.

Kiedy w niedzielę myję samochód, zastanawiam się, jakim wozem on jeździ. Po południu zjawia się Lucy i wyciąga nas na spacer po Clapham Common, a ja nie mogę się powstrzymać i rozmyślam o mojej ostatniej wizycie w parku. Próbuje nie zaprzętać sobie głowy jedynie nim, tyle że nie potrafię skupić się na niczym innym. Plan był taki: ciężka praca, uniwersytet, nawiązać długotrwałe przyjaźnie, dostać dobrą pracę, czerpać radość z okazjonalnego seksu, spotkać kogoś wyjątkowego, ograniczyć się do seksu na wyłączność, wyjść za mąż i żyć długo i szczęśliwie. Wykoleiłam się w trakcie realizacji tego planu, uderzając głową prosto w otaczające barierki. Mało prawdopodobne, że dam radę dotrzeć do mety. Miotam się między desperackim pragnieniem, by do mnie zadzwonił, a jednocześnie mam nadzieję, że tego nie zrobi. Powiedziałam mu, żeby tego nie robił. Umrę, jeśli się odezwie. Mówiłam, że to już koniec. Sęk w tym, że obawiam się, iż to naprawdę koniec. Umrę, jeśli się nie odezwie.

– To ja.

Czuje, jak naprężony, elastyczny pas napięcia pęka z hukiem, gdy mogę w końcu skontaktować się z moim jaśniejszym, klarowniejszym, nieprzyzwoitym „ja”. Dziś wtorek, na ten telefon czekałam całe wieki.

– Oddzwonię.

Odkładam słuchawkę, łapię za torebkę.

– Idę po kanapkę. Chcesz coś?

Sam potrząsa głową.

– Nie, chyba że wpadniesz przypadkiem na spełniającego wszystkie warunki kawalera z Pręt.

– Mało prawdopodobne.

– Wiem.

Jak tylko wydostaję się z biura, z komórki wybieram jego numer. Rozlega się tylko jeden sygnał, kiedy odbiera.

– Hej, seksowna.

Jestem zachwycona. Musiał zaprogramować mój numer.

– Jak się masz?

– Zmęczona – odpowiadam.

Uradowana. Upojona. Zdumiona.

– I pewnie obolała, jak mniemam.

– Nie spałam za wiele w ten weekend.

Milczy, uraziłam go.

– Nie z powodu seksu z Lukiem – tłumaczę pospiesznie i natychmiast się zamykam.

Ktoś z mojego biura ma właśnie przerwę na papierosa i w zdumieniu unosi brwi. Próbuję opanować rozdrażnienie z powodu tego podsłuchiwania.

– Hmm? – W jego tonie słyszę zmieszanie i ból.

– Nie mogłam spać, bo jestem taka podniecona – mówię z fałszywą nieśmiałością.

– Dlaczego?

Dodaje coś jeszcze, ale go nie słyszę, bo kierowca przejeżdżającej taksówki trąbi na mijanego rowerzystę.

– Co mówiłeś? – wydieram się do słuchawki.

– Powiedz coś seksownego – instruuje mnie.

Czuję się głupio. Jest dopiero za piętnaście jedenasta, a ja stoję przed biurem, w którym cieszę się reputacją odpowiedzialnej i godnej zaufania mężatki.

– Ty zacznij.

– Chcę cię masować od stóp do głów, aż będziesz błagała, bym przestał. Chcę się z tobą zabawić i rozgrzać cię do czerwoności. Pozwól spełnić mi twoje wszystkie fantazje.

To nie jest poezja, raczej tekst na granicy kiczu, ale robi swoje. Zaczynam się więc, majtki wilgotnieją.

– Naprawdę byś chciał?

– Bardzo.

Czuję się dziwnie i ogarnia mnie narastająca frustracja, więc zmieniam temat.

– Co porabiałeś?

– Ściąłem włosy. Miałem niezły ubaw, podrywając ptaszynę, która mi myła głowę.

Opowiada ze śmiechem, jak ta biedna, zakochana po uszy praktykantka uratowała kosmyk jego włosów przed zachłanną miotłą i włożyła go sobie do kieszeni od spodni, na tyłku. Nawija w kółko, jak ta mała do niego startuje, kiedy tylko pojawia się u fryzjera.

– Podniecona na dzień dobry.

– Brzmi jak smutna reklamówka klubu samotnych serc.

Opisuje, z jaką precyzją ona masuje mu głowę podczas mycia, nigdy nie bierze forsę za odżywkę i zawsze ma przygotowany kubek kawy oraz najnowszy numer „GQ”. Rozmowa jest całkiem zabawna. Nie przejmuję się tym, że flirtuje z innymi kobietami. No bo w końcu z nimi nie śpi. Nie są dla mnie zagrożeniem, a poza tym trudno, bym żądała od niego wierności, skoro sama jestem z Lukiem. Nie jestem zazdrosna ani nic z tych rzeczy. Mam tylko ochotę wydrapać

jej oczy.

– Ile ona ma lat?

– Eee... Nie wiem, coś koło siedemnastki. Z Europejkami nigdy nie można być pewnym.

– Jesteś od niej prawie dwa razy starszy.

– A niby na ile wyglądam? Wyglądam na trzydzieści lat? Zresztą nie mam jeszcze trzydziestki. Nie czuję się na tyle.

– Tak, z pewnością nie zachowujesz się na tyle – zapewniam go.

– W każdym razie mówią, że masz tyle lat, ile...

– Kobieta, którą kochasz.

– Dobrze, te stare są najlepsze. – Śmieje się głośno do siebie.

– O to mi właśnie chodzi – Tobie. Myślałem, że rozmawiamy o tym, o co mi chodzi.

– Fiu, fiu.

– Ma fantastyczne cycki i zgrabniutki tyłek.

– No pewnie, że ma. W końcu pomijając fakt, że to siedemnastka, na dodatek jest Włoszką.

Pocieszam się faktem, że te przymioty zaprzeczają prawom grawitacji tylko do momentu wyjścia za mąż, później i tak wszystko staje się przyziemne. By upewnić się, że dotarło do niego, iż nie jestem ani trochę zazdrosna lub zaniepokojona, przyznaję, że w młodych jest coś szczególnego i niewątpliwie podniecającego.

– Może to ta gotowość pójścia na całość, mocne, wyczekujące lędźwie albo fakt, że młodzi zawsze są chętni zaspokoić swą ciekawość, a potem okazać wdzięczność. A może dlatego, że nie zależy im na żadnych rozmowach.

Odpowiada milczeniem. Irytuje się i gapię na pęknięcia w chodniku. Nie połykają mnie.

– Nie bądź taka. Dzwonię, bo mam dobre wiadomości. Moja dziewczyna, Andrea, wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Możemy się widywać choćby i codziennie, jeśli chcesz.

Dziewczyna! Dziewczyna.

– Dziewczyna?

– Co? Nie słyszę. To takie wkurzające, że ciągle coś przerywa.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że masz dziewczynę – jąkam się.

– Ej, Greenie, chyba nie jesteś zazdrosna? Ty masz męża.

Milczę.

– Jesteś zazdrosna. Och, Connie, to wruszające.

Rzadko zwraca się do mnie per Connie. Wymiękam.

– Myślałem, że to cię ucieszy. Nie musisz się bać, że stanę się facetem, który pewnego dnia wylądjuje u twoich drzwi z deklaracją dozgonnej miłości, robiąc z siebie pośmiewisko. To prawdziwa ulga.

– Tak.

Wcale nie.

– Jesteś zazdrosna? – w pytaniu słychać przerażenie.

– Nie.

Tak.

– Muszę już kończyć. Zadzwoń później, dogadamy się, co i jak w przyszłym tygodniu. Muszę przypomnieć sobie twe piękne ciało.

– A ty jesteś zazdrosny o Luke'a? – Nie mogę się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Bardzo.

Rozłącza się.

Człapię z powrotem do budynku, ślamazarnie wślizguję się do windy i udaje mi się przyczołgać do biurka. Ma dziewczynę.

– Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś wygrała w totka, a kupon zostawiła w dzinsach, które właśnie wywirowałaś w pralce.

Chowam twarz w dłoniach.

– Właśnie się dowiedziałam, że John Harding ma dziewczynę. – Mój syk wypełnia całą otwartą przestrzeń.

Sześciu ludzi łapie za długopisy i udaje, że nie słucha.

– Co za bezczelny bydlak, a tak się do ciebie przystawiał w Paryżu.

Sam, bardzo lojalna przyjaciółka, ma wygodną pamięć. Z całej haniebnej paryskiej przygody zapamiętała jedynie umizgi Johna. Ja zostałam oczyszczona z zarzutów. Dzięki Bogu, że nie wie, jak naprawdę rzeczy stoją, a ściślej mówiąc, jak leżą.

– Co za bezczelny bydlak! – powtarza i ze złością uderza w klawiaturę, trafiając w klawisz Delete.

– Zastanawiam się, jaka ona jest.

– A co cię to obchodzi? – pyta Sam racjonalnie, wcale mi nie ułatwiając sprawy. – Musiał ci kamień spaść z serca, że nie pozwoliłaś na coś więcej. To kompletny drań. Każdy mężczyzna, który ugania się za inną z wywieszonym jęczym, kiedy w domu czeka na niego nieskończenie piękna i dobra dziewczyna, jest po prostu najgorszym łajdakiem.

Gapię się na Sam, która wróciła do budżetowych obliczeń. Nie podoba mi się to, co powiedziała. Bardzo mi to nie pasuje. Jeśli w ogóle już musi mieć dziewczynę, niech to będzie ostatnia maska, zimna, wyrachowana, dwugłowy potwór. I nie podoba mi się pomysł, że „czeka na niego w domu”. Dom to poważna sprawa. No, chyba że ona też wychodzi, by zaliczyć paru typków. Najbardziej przeszkadza mi fakt, że ja sama mam absolutnie cudownego męża, który, jeśli nie siedzi teraz w domu, to z pewnością urzęduje w swojej szopie obok. Jeśli John jest skończonym łajdakiem, to ja jestem dziwką pierwszej klasy.

Sam przerywa moje rozmyślenia.

– Gdyby przynajmniej oszalał z miłości, mogłabym zrozumieć jego napalone uganie się za tobą. Ale ty mu się tylko podobałaś, potraktował cię jak wyzwanie, zależało mu jedynie na pieprzeniu, więc jakim prawem zawraca ci jeszcze głowę?

– No właśnie, o to mi chodzi.

– Ale to bez znaczenia, bo przecież nie udało mu się zawrócić ci w głowie, prawda?

Milczę.

– Udało się? – nie odpuszcza.

– Nie – odpowiadam markotnie i wracam do komputerowego pasjansa.

Ludzie odłożyli długopisy, wychodząc z założenia, że to koniec rozmowy i nie muszą już dłużej udawać zainteresowania pracą. Jakiś czas Sam i ja siedzimy cicho. Jedyne dźwięki to szelest przekładanych papierów i stukot komputerowych klawiszy. Prawie słyszę cykanie trybików w naszych mózgach. Problem polega na tym, że ja się z nim jednak przespałam. Niecały tydzień temu zdecydowałam się na kochanka. Teraz, na tak wczesnym etapie tej znajomości, wydaje mi się dziecinne przyznanie po prostu, że popełniłam błąd. Nie zamierzam na tym poprzestać. Nie potrafię na tym poprzestać. Poza tym Sam tchnęła we mnie iskierkę nadziei. Powiedziała, że gdyby on naprawdę oszalał dla mnie z miłości i okazałoby się, że jesteśmy sobie przeznaczeni, to jego umizgi byłyby w porządku, a ja z czystym sumieniem mogłabym odpowiedzieć na te zakusy. No, w każdym razie powiedziała coś w tym stylu.

– Skąd miałabym wiedzieć? – pytam szeptem.

Długopisy znów w ruchu.

– Co wiedzieć? – odmawia ściszenia głosu.

Myśli pewnie, że może mnie ośmieszać.

– Że mu naprawdę zależy, że oszalał dla mnie z miłości?

– Zachowywałby się tak jak Luke.

– Kiedy przypominam sobie, jak na mnie patrzył wtedy w Paryżu, jestem prawie pewna, że oszalał dla mnie z miłości.

– Nie bądź głupia, Connie.

– Zachowywał się tak, jakby stracił dla mnie głowę.

– Raczej zgrywał się, to odpowiedniejsze słowo. Uwierz mi, spotkałam już dziesiątki takich jak on. Sama prosisz się o kłopoty. Zapomnij o nim, zanim będzie za późno.

Myli się. Powiedział mi, że jestem jego ulubionym zapachem. Że nie można mi się oprzeć. Że jestem stworzona do pieprzenia, a przy tym można ze mną pogadać.

– Zachowuje się nonszalancko, ale w gruncie rzeczy wcale taki nie jest.

– A więc pieprzyliście się, tak?

Sama zbyt często dupczy się na prawo i lewo, by niewierność mogła ją zszokować, ale widzę wyraźnie, że mój przypadek ją zasmucił.

– Jesteśmy sobie przeznaczeni. Tyle że on jeszcze o tym nie wie.

– A co z Lukiem? – piszczy.

Luke?

– Spotkaaliśmy się z Lukiem, spodobałiśmy się sobie, zaczęliśmy razem chodzić, wyznaliśmy sobie miłość, zaręczyliśmy się, pobraliśmy i tyle. Wszystko było takie proste.

– Cudownie proste.

– Za proste. Nie wygląda to na przeznaczenie, chyba sama przyznasz. Chodzi mi o to, że w tej bajce brakuje zaginionych listów, rozdzielających nas kontynentów czy spóźnień na samolot lub innych dramatycznych zwrotów akcji. John może być moim przeznaczeniem i muszę się tego dowiedzieć.

Rozdział 5

Cudzołóżę już od sześciu tygodni. Sytuacja staje się poważna, ogłaszam narodowy stan wyjątkowy. John pochłania mnie zupełnie i chociaż robię wszystko to, co dotąd robiłam, nic nie jest już takie jak przedtem. W życiu PJ (Przed Johnem), kiedy chodziłam do pracy, to od poniedziałku do piątku przeklinałam każdą spędzoną tam chwilę i w kółko narzekałam. Bez przerwy. Teraz uwielbiam swoją pracę. Za biurkiem doświadczam stanu wyczekiwania, niemającego precedensu w dziejach świata. Praktycznie kocham się z telefonem za każdym razem, kiedy tylko dzwoni. Walczę z nim zaciekle, jeśli to nie John, a oświadczam się mu, jeśli słyszę ukochany głos. Czy napisze e-maila? A może pojawi się nieoczekiwanie przy moim biurku? Zdarza się, że przechodzi obok, unosi brwi i rzuca: „Cześć”; to taki potajemny znak, że zżera nas pożądanie i marzymy o szybkim bzyku-bzyku. Pełen romantyzm. Z drugiej strony, moje wieczory stały się znacznie mnie produktywne. Regularnie, jak w zegarku, kiedyś poniedziałek oznaczał Ali Bar One z dziewczynami. Urznąć się i zwierzyć z tych wszystkich rzeczy, za wyjawienie których nasi partnerzy gotowi byłiby nas zabić. Teraz Ali Bar One to jedna wielka nuda. Nie mam z kim pogadać.

Zwierzyłam się Sam, czego serdecznie żałuję. Sam jest po prostu zbyt dobrym człowiekiem i nie radzi sobie najlepiej z obłudą, której wymaga od niej utrzymanie w tajemnicy niecnego sekretu. Nie znosi spotykać się z Lukiem, wiedząc, co kombinuję za jego plecami. Jak tylko Luke cmoka ją w policzek na powitanie, czerwieni się po uszy i zaczyna się jąkać. Daisy, która zwróciła uwagę na rzucający się w oczy dyskomfort Sam, zapytała mnie, czy nie uważam, że Sam zadurzyła się w Luke’u. Boję się, że przez prostolinijność Sam i jej brak przebiegłości prawda wyjdzie na jaw. To tylko kwestia czasu, zanim ona zacznie wyć na cały głos i bić się w piersi, trąbiąc na prawo i lewo: „Nic nie wiem. Możecie mi żywcem wyrwać paznokcie, ale nie pisnę słowa o ohydny, niegodziwym romansie Connie”.

Przez jakiś czas rozważałam wtajemniczenie Daisy, ale nie mam serca burzyć jej świętego przekonania o „I żyli długo i szczęśliwie”. Ona musi w to wierzyć absolutnie i niezłomnie. A z bardziej egoistycznych pobudek – czy byłabym w stanie znieść brak jej akceptacji?

W żadnym wypadku nie przyznałabym się Rose. Już słyszę jej natchnione reprimendy albo, co gorsza, „rady z dobrego serca”.

Najlepszą kandydatką do tego typu zwierzeń jest Lucy, bo to niezwykle doświadczony ekspert, zarówno jeśli chodzi o mężczyzn, jak i o temat niewierności. W sprawach damsko-męskich i seksu potrafi kalkulować ekstremalnie chłodno. Lucy na pewno by mi nie truła. Ale jak dotąd nie miałam okazji, by spotkać się z nią sam na sam. Zaangażowała się w tę historię z żonatym facetem. Może niekoniecznie psychicznie, ale na pewno fizycznie. Brak innych zaufanych osób sprawił, że trzymam się z boku i jestem skryta. Nie jestem przyzwyczajona do utrzymywania tajemnic i nigdy nie byłam w tym dobra, więc żeby nie paść ofiarą zwierzeń pod wpływem alkoholu, unikam pijackich libacji z dziewczynami. One myślą, że

to forma przygotowań do ciąży. Rozumie się samo przez się, że jeśli człowiek zachowuje trzeźwość, podczas gdy jego współtowarzysze pragną jak najszybciej się nawalić, nie najlepiej wychodzi nawiązywanie przyjaźni i kontaktów.

John jest jedyną osobą pod słońcem, która od początku do końca zna mój sekret, ale trudno, żebym do niego zadzwoniła z tekstem: „Słuchaj, pogadajmy sobie o naszym ostatnim spotkaniu. Co dokładnie miałeś na sobie? A jak ja się ubrałam?”. Właściwie ledwo mogę zapytać: „A kiedy mówiłeś, że jestem wyjątkowa, to co dokładnie miałeś na myśli? Bardziej czy mniej wyjątkowa niż twoja dziewczyna? Skoro już poruszyliśmy temat twojej laski, to ona nie może być dla ciebie nikim ważnym, jeśli sypiasz nie tylko ze mną, ale i z niezliczoną masą innych babek”. Hmm. Serce prawie mi pękło, kiedy dowiedziałam się o tej niezliczonej masie innych. Pocieszam się, że liczba zaliczonych dup nie może być naprawdę tak wielka; przecież ogranicza go czas i wydajność energetyczna. Ale dość szybko stało się to oczywiste, że oprócz mnie jest jeszcze sporo innych.

Oprócz mnie.

I jego dziewczyny.

Zwykle są to przygody jednej nocy; nie bardzo obchodzą go powtórki. W normalnych okolicznościach nie zgodziłabym się na taki układ. Nawet wtedy, kiedy byłam jeszcze singielką i jakiś facet zaproponowałby mi miejsce w swoim damskim chórze, kazałabym mu spadać na drzewo. Choćby nie wiem, jak wielkiego miał kutasa. Albo jak słodko się uśmiechał. Ale to nie są normalne okoliczności. Moja pozycja jest niepewna. W końcu to ja jestem mężatką. Trudno, bym zaczęła głosić orędzie o moralnych podstawach lub wystąpiła z żarliwą mową o zobowiązaniach i wzajemnym oddaniu. To nie ja mam status stałej dziewczyny, więc nie do mnie należy trucie. Zresztą jego niezdolność zachowania wierności jednej kobiecie raczej mnie pociesza niż martwi. Najwyraźniej to nie ona jest jego przeznaczeniem, co daje mi pewną przewagę, jeśli zdecyduję się przyjąć rolę konferansjera w tym cyrku. W tej kwestii nie podjęłam jeszcze decyzji. Nie mogę sobie wyobrazić, że zostawiam Luke'a. A więc kiedy myślę o przeznaczeniu, chodzi mi o odgadnięcie finału tego przeznaczenia, a nie o przeznaczenie w stylu „ten albo żaden inny”. Problem w tym, że nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, jaki będzie finał.

Możliwość „bez niego” nie wchodzi w rachubę.

Wtorki i środy nadal należą do siłowni, którą z zapałem zaczęłam odwiedzać. Właściwie znalazłam sobie nową przyjaciółkę – siłownię. Pieprzenie na boku sprawiło, że zaczęłam dbać o ciało, choć nie jestem ani Roseanne, ani też Elle McPherson. Szczęśliwie dla mnie, życie w kłamstwie okazało się świetną kuracją odchudzającą. Daje mi to zupełnie nowe spojrzenie na diety cud. Na siłownię uczęszczam z fanatycznym zacięciem i nie ograniczam się tylko do wtorków i śród; rytuał powtarzam rano, cztery lub pięć razy w tygodniu.

W czwartki nadal wychodzimy z Lukiem na kolacje pod warunkiem, że on nie pracuje. Naturalnie mój brak zainteresowania jedzeniem oraz nowo nabyty status cudzołożnicy wywarł kolosalny wpływ na zażyłość i serdeczność tych wieczorów. Inaczej mówiąc, nie są one już tak

wesołe jak kiedyś. Wydaje się, że nie bardzo mamy o czym gadać. Nie słyhać hałaśliwego chichotu, kiedy on puszcza bańki przez nos, a ja przekręcam słówko *brasserie* na *brassiere*. Oczywiście nie rozśmieszamy się do tego stopnia, żeby wypraszali nas z restauracji, ale w pewnym sensie tęsknię za tymi wypadami. Chociaż mam naprawdę szczęście, bo John to niezły komik. Zawsze się z nim dobrze bawię.

W piątki robimy to, co każde małżeństwo z cywilizowanego kraju, to znaczy świętujemy w towarzystwie telewizora. Oglądamy „Coronation Street”, „Brookside”, „Przyjaciół” i „Streetmate”, zamawiamy pizzę, ignorujemy telefon i nie ruszamy się z kanapy.

Choćby nie wiem co.

Jedyny wyjątek to dostawa pizzy.

Teraz feta przed szklanym ekranem straciła swój dawny urok. Kiedy słyszę liverpoolski akcent w „Brookie”, podniecam się w niekontrolowany sposób. Nigdy wcześniej nie zauważyłam też, że seriale są takie wzruszające. Reszta weekendu to niekończący się maraton nudy, podczas którego doznaję ciężkich urazów fizycznych. W sobotnie ranki zaliczam obowiązkową walkę z innymi wózkami pełnymi zakupów w Tesco (okropieństwo). Natomiast sobotnie popołudnia upływają na siłowych potyczkach z innymi fanami zakupów przy King’s Road (wspaniałe). Wieczorem kolacja z dziewczynami i ich różnymi partnerami. Niedzielny poranek – śpimy do oporu. Po południu łyżworolki (przynajmniej to robiliśmy tego lata, w zeszłym roku graliśmy w siatkówkę). A niedzielny wieczór upływa mi na wyciskaniu naprawdę bolesnych pryszczycy i prasowaniu koszul Luke’a. I chociaż wciąż przygotowujemy sobotnią kolację i chodzimy razem na zajęcia sportowe, brakuje dawnego ciepła i serdeczności. Luke bardziej niż zwykle jest zajęty pracą, samochodem, wędkowaniem, więc nawet nie zauważył zmiany. Dosłownie całymi godzinami siedzi w tej swojej szopie. Nie mam pojęcia, co tam majstruje. Na samym początku naszego małżeństwa byłam wściekle zazdrosna o tę szopę, robiłam na nią naloty w przekonaniu, że znajdę tam tony przekartkowanych magazynów porno. Jedyne dowody winy, na które się natknęłam, to sterta starych łachów, o których myślałam, że już dawno je wyrzuciłam, a on musiał je uratować. Rose poradziła mi, bym nie widziała w szopie zagrożenia, ale raczej powinnam być wdzięczna: „Nie wnosi błota do domu i jest w zasięgu ręki, jeśli potrzebujesz czegoś akurat z górnej półki w kuchni”.

Główna zmiana w cotygodniowym planie zajęć polega na tym, że nie ma już żadnego planu. Zawsze istnieje możliwość niespodziewanego *rendez-vous*. Fakt, że osoba Johna pochłania mnie bez reszty, sprawia, iż jest mi bardzo trudno pamiętać o takich drobiazgach jak zabieranie parasola, prasowanie koszul czy oddanie książek do biblioteki. Te banalne detale nie są dla mnie wystarczająco interesujące, nie ma w nich jego. Zapominam o jedzeniu. Od wyjazdu do Paryża ledwo śpię. Gdy uda mi się w końcu zasnąć, jestem zbyt podekscytowana, by zatopić się w głębokim stanie nieświadomości; wolę czerpać rozkosz z sennych marzeń erotycznych na jawie. Sama myśl o nim sprawia, że podniecam się nieludzko, więc pozwalam sobie na nieprzyzwoite ilości masturbacji; mam brudne myśli, kiedy siedzę w autobusie, metrze czy samochodzie.

Fantazjuję, idąc ulicą, dłubiąc w talerzu, oglądając telewizję. Nieprzerwane marzenia o nim uderzają mi do głowy. Jestem cholernie napalona. Teraz, w drodze do Hen and Cock, niechlujnego pubu przy Caledonian Road, jestem cholernie napalona. Nigdy nie chodzimy do bardziej eleganckich miejsc. Zazwyczaj zabiera mnie do podejrzanych knajp, takich jak te, które opisywał w Paryżu. Ale dzięki temu nie grozi mi niebezpieczeństwo natknięcia się na kogokolwiek znajomego. Jest pięć po dwudziestej, czyli jestem spóźniona całe pięć minut. Niezły wyczyn, biorąc pod uwagę, że byłam gotowa już od ponad godziny. Pcham ciężkie, drewniane drzwi, obchodzę z boku rozchłapane na chodniku wymiociny. Ułamek sekundy trwa, zanim oczy przyzwyczajają się do panującego mroku. Za barem dostrzegam podstarzały symbol seksu w obcistej lamparczej skórce. Kiwa w moją stronę, prawdopodobnie daje mi do zrozumienia, że jestem jedyną kobietą w tej dziurze. Odgrywa stereotypową rolę dziwki ze złotym sercem, pozwalając jakiemuś parszywemu psu wylizać kufle po guinnessie. Zauważam, że po tym zabiegu kufle ledwo dotykają wody, zanim lądują jako czyste z powrotem na półkę. Odnotowuję w myślach, że nie będę zamawiać niczego, co może być podane w kufkach. Miejsce nie przypomina typowego *spit and sawdust*, [Bрудna i byle jaka knajpa. W dosłownym tłumaczeniu: „ślina i trociny”.] bo próżno szukać trocin na klejącym się linoleum. Bрудna podłoga, mętne naczynia, kible, w których ryzykuje się zdrowie. Z początku te spotkania w miejscach o wątpliwej reputacji obrażały mnie. Tęskniłam za możliwością wyboru spośród dwunastu gatunków win i ośmiu markowych piw. W życiu nie przypuszczałam, że chipsy mogą zastąpić mozzarellę, podawaną na chlebie z suszonymi pomidorami. Ale teraz jestem wdzięczna, że nie muszę przedzierać się przez tłumy modnych palantów z grubymi portfelami. Puby z podstarzałymi facetami w poplamionych spodniach są prawdziwsze. Jestem szczęśliwa.

John jest już w środku, kiedy się pojawia. Spostrzegam go i serce mi zamiera. Uśmiecha się i znowu to samo. Za każdym razem, kiedy się widzimy, jestem świeżo zaskoczona jego urodą. Omiata pub spojrzeniem, a jego wyćwiczone oko eksperta namierza automat z papierosami i ciemne zakamarki. Nie od razu prowadzi mnie w te ustronne miejsca, to byłoby zbyt oczywiste. Zamiast tego wybiera miejsce gdzieś w samym centrum sceny, byśmy odegrali nasze przedstawienie. Lubi się popisywać, chce, żebyśmy byli widoczni. Siedzę z wyprostowanymi sztywno plecami, dumna jak paw. Jest tak niezwykle przystojny, nie – raczej obłędnie boski. Zatrważająco piękna z nas para.

– Jak ci minął dzień?

– Do dupy.

– Twój?

– Szkoda gadać.

– Dlatego, że masz talent, który marnujesz.

Kiwam potakująco głową. Kiedy jestem pijana, myślę sobie, że mogłabym być następną Annie Leibovitz.

– Nienawidzę swojej pracy – mówi i opróżnia kufel piwa, jeszcze zanim siadamy.

– Jeszcze jednego? – pyta, wskazując na pusty kieliszek.

Ma się rozumieć.

Wraca z pełnymi naczyniami.

– Ale za to płacą mi fortunę, a ja nadzoruję tę dużą fuchę w londyńskim metrze. Detali nie mogę zdradzić, bo to informacje poufne. Gdybym pisał ci słówko, musiałbym cię zastrzelić. Nie miałbym wyboru. – Szczyrzy się i kontynuuje. – Jeśli mam być szczyry, to gdybym ci opowiedział szczegóły, umarłabyś z nudów. Nie musiałbym cię ukatrupiać własnoręcznie.

Śmieję się. Podobnie jak moja, także i jego praca to frustrująca mieszanka dumy i wstydu. Próbuję go rozweselić.

– Dobrze ci idzie.

Zarząd zwykle zatrudnia ludzi z południa, typki Oksbridge. [Absolwenci uniwersytetów Oksford lub Cambridge.] Dożywotnią ochronę zapewnia przede wszystkim poprawna wymowa z akcentem BBC, uległość i dobre nazwisko. Narzędzia, które umożliwiają otoczenie się murem arogancji. A mimo to, jemu udało się osiągnąć sukces z tym liverpoolskim akcentem, średnim wykształceniem i ogromnym fiutem. Oboje uważamy nasze zajęcia za nużące i niewiele o nich rozmawiamy. Nie znaczy to bynajmniej, że nie poruszamy konkretnych tematów. Zachowujemy się jak studenci, młodzi zapaleńcy, którzy chcą naprawiać świat przy piwie i placku. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęskniłam za tym nieodpowiedzialnym optymizmem; jednak nie brakuje mi stęchłej kwatery czy kryzysów twórczych przy pisaniu prac. Rozmawiamy o uczuciach, myślach i doświadczeniach, które są z krwi i kości, takie prawdziwe i szczyre. Nie interesują mnie „analizy deficytu” i „plan założeń”. Jedyne deficyt, który mnie martwi, to deficyt czasu spędzanego z nim, a jeśli chodzi o plan założeń... No cóż, zdaję sobie sprawę, z jakiego założenia on wychodzi.

Zmieniam temat i atmosferę przez ostrożne odgrzebanie dawno zapomnianych wspomnień. To mu się podoba. Opowiada mi o swoich marzeniach. Wierci się na krześle i z zadziwiającą łatwością zdradza najbardziej niewiarygodne i makabryczne fakty ze swojego życiorysu. Jest zdumiony, że obie kwestie interesują mnie do żywego. Przyklaskuję zapierającym dech sukcesom i z wyrozumiałością traktuję karygodne postęпки. Opowiada o swoim dzieciństwie i zaczynam rozumieć stęchły zapach papierosów na ciężkich zasłonach i uporczywy smród środków czyszczących. Wyteżam wzrok i umysł, próbując pokazać mu, że czuję to wszystko. Chcę, by wiedział, że jestem na niego otwarta, kiedy siedzę tak pochylona w jego stronę, z szeroko rozstawionymi nogami, i gestykuluję w powietrzu, by podkreślić swój punkt widzenia. Często powtarzam słowa: „Chodzi o to, że... „, kiedy walczę, by z jednej strony nadać sens mojemu życiu, z drugiej zaś (ta strona dotyczy we – i wewnętrznej części ud, cipki i piersi) mam świadomość, że pograżam się w totalnym chaosie. Rozmowa rozwija się. Częściowo dzięki temu, że zapominam, co chciałam powiedzieć, bo wypłam już całkiem sporo.

Pociąga mnie jego nieodpowiedzialność, męskość, seksapil, dochód, poważanie, jakim się cieszy. To nagrany typ, wyrrywający panienki na prawo i lewo. Zabawny, niegrzeczny, szybki,

pewny siebie, zuchwały wyścigowy gokart i fanatyk rundek po pubach. Nie ma dyskusji o izolacji poddasza, wymianie dachówek, naprawie pralki czy szorowaniu podłogi w kuchni (szczególnie tych klejących się zakamarków w kątach). Nawet nie muszę go prosić o zatankowanie samochodu. Beztróska wydajemy majątek, by się urżnąć. Nieważne, czyje pieniądze są trwonione, by osiągnąć stan kompletnego upojenia alkoholowego. Oboje mamy potrzebę wykazać się nieodpowiedzialną szczodrością, zademonstrować, jak bardzo beztróska jesteśmy hojni (szpanerstwo). Jest nam błogo, świat przestaje być realny. To jakby zafundować sobie znieczulenie albo narkotyki pierwszej klasy (nigdy nie próbowałam, ale mam bujną wyobraźnię). Odlotowa, wyjątkowa, błyszcząca, beztróska, ekscytująca niesamowitość.

Zabawa.

Jestem taka podniecona, taka seksowna, że moje kości policzkowe pędzą na spotkanie z brwiami, mięśnie wydłużają się o parę centymetrów, ściślej mówiąc, naciągają się. Jestem wyższa. Zupełnie szczerze. Nie o cały metr, ale przynajmniej o kilka centymetrów, tego jestem pewna. Paznokcie też rosną szybciej i nie łamią się tak często jak kiedyś, właściwie wcale się nie łamią. Włosy odzyskały blask, są podatne i pięknie się kręcą.

Są lśniące, a nie kędzierzawe. Nie są proste, jakbym chciała, ale pięknie błyszczą. I chociaż nie pierwszy raz słyszę: „Fascynujesz mnie. Jesteś cudowna. Jesteś niesamowita. Jesteś taka piękna”, nigdy dotąd te słowa nie brzmiały lepiej.

Atmosfera gęstnieje od dymu papierosowego i pożądania, zaczynamy więc się na krzesłach. Jesteśmy coraz bardziej spięci i drażliwi, bo koncentrujemy się na znalezieniu najwygodniejszego miejsca na dmuchnięcie. Siłą napędową stają się względy praktyczne, a nie dyskrecja. Dla niego to nic nowego, ja ryzykuję znacznie bardziej. Przejęłam jego zatrwającą nieodpowiedzialne zachowanie. Czy naprawdę zależy mi, by mnie ktoś przyłapał? Pijemy coraz więcej. Stajemy się coraz mniej uważni, a potem on zaczyna się rozglądać za okazją, by przenieść mnie w bardziej odosobnione miejsce. Już teraz zaczynam się zastanawiać, jak będzie wyglądał finał spotkania. Czasami lądujemy w taksówce i wygłodniali zaczynamy pospiesznie ściągać z siebie ubrania, łączywie dobierając się sobie do kroczka. Innym razem rzucamy się na siebie w pubie. Wkłada rękę pod stół i znajduje rozgrzaną przestrzeń między moimi nogami. Przysuwam się bliżej niego, też sięgam ręką pod blat, pewnie łapiąc jego sztywny arsenał. Nigdy się nie rozczarowałam, zawsze czeka tam twardy, długi, gruby i gotowy. Czasem wypadamy gorączkowo z pubu, nawet nie kończąc drinków, pędem szukamy ciemnego zaułka, gdzie on spuszcza spodnie, a ja padam z wdzięcznością na kolana, i jakby modląc się, biorę jego pałkę do buzi. Skręcamy się z rozkoszy, krzyczymy, jęczymy i szczytujemy. Uprawiamy brutalny, natarczywy, zachłanny seks. Zbliżenia są intensywne i szybkie, zawsze pieprzymy się w niedozwolonych miejscach. To najbardziej szalona, najbrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłam. Za każdym razem po tym dogłębnym rżnięciu czuję się odnowiona i oczyszczona.

Przez cały wrzesień dołowało mnie poczucie łamanych zasad moralnych i brak odpowiedzialności za Luke'a. Wahałam się, czy nie pogrozić diabłu palcem i trwać przy swoich

wartościach. To tylko podsycalo zapał Johna. Podczas gdy on powolutku, niemal z namaszczeniem ściagał ze mnie warstwy ubrań, moje sumienie się rozpuszczało. Rozbierał mnie do naga, jak cebulę z łupinek, tyle że obyło się bez łez. Moja pochwa kipiała żądzą. Pragnęłam jedynie, by się we mnie wbił.

Jemu również musi brakować zaufanej osoby do zwierzeń, bo spekuluje ze mną, co jest tak bardzo zniewalające i fascynujące w naszym romansie. Odzywa się jego doświadczenie w doradztwie do spraw zarządzania i wyklada swoje teorie na stół.

– Może to dlatego, że jesteśmy dla siebie kompletnie nieosiągalni. Naprawdę niedostępni.

– Może.

Często powtarzam, że nie zostawię Luke'a. I mówię to z pełną świadomością. Dla Johna nie przestanę nawet kochać męża. John odwdzięcza się, spędzając wiele czasu na uświadamianiu mi, jak bardzo nie znosi myśli o ustatkowaniu się i odpowiedzialności. Nie zagłuszę go słubnymi dzwonami ani nie złapię go w pułapkę fałszywych obietnic o oddaniu, które zadreczyłyby jego sumienie i zniszczyły poczucie bezpieczeństwa. Nie mogę tego zrobić. W jego towarzystwie wychodzi ze mnie moja skrywana, niegrzeczna natura i nie okłamuję się, że on kiedyś będzie chciał ode mnie czegoś więcej. John zaś potrzebuje świadomości, że ja nie będę liczyć na głębsze zobowiązania. Obydwoje zdajemy sobie sprawę, jak wiele korzyści czerpiemy z faktu, iż jestem mężatką. Próbuje na mnie inną teorię.

– Jesteś niewątpliwie atrakcyjna, ale nie jesteś najpiękniejszą kobietą, z jaką spałem. – Obserwuje mnie przez dym papierosowy. – Masz świetną figurę. Podobasz się sobie i to jest cholernie seksowne. Niewidoczny cellulit i talia osy to kompletne nudziarstwo.

Śmieje się ze swoich rozważań, a po chwili zastanowienia dodaje:

– No, może nie kompletne nudziarstwo, w końcu gola można wbić w każdą dziurę.

Potrząsa głową.

– Słuchaj, Connie, miałem już naprawdę oszałamiająco piękne dziwki, ale żadna z nich, nigdy, nie dotykała mnie tak jak ty – ciągnie wywód. – Jesteś prawdopodobnie najmądrzejszą kobietą, z jaką się kiedykolwiek spotykałem. A to prawdziwe wyzwanie, coś zupełnie nowego, świeżego i podniecającego. – Pochyla się nad stołem, mocząc łokieć w rozlanym piwie. – To zaraźliwe. Jesteś uosobieniem najbardziej stylowego zachowania. Kiedy jestem z tobą – spogląda na mnie, by upewnić się, że skupiam na nim całkowitą uwagę, co oczywiście ma miejsce – wiem ze stuprocentową pewnością, że staję się lepszym człowiekiem, lepszym, niż normalnie jestem.

Rumieni się nieznacznie.

– Wiesz dobrze, o czym mówię, co? – pyta.

Przytakuję w milczeniu. Wciąż z jakichś powodów jest ostrożny, kiedy wchodzimy na tematy uczuć. Jako kobieta mam za sobą trzydziestoletnie doświadczenie w tych sprawach. Nie dam się zbyć trywialnym: „Jestem głodny”.

– Tak, wiem, o co ci chodzi. Kiedy jesteś ze mną, masz wrażenie, że nie można się tobie oprzeć.

– Mogę zarwać każdą – zgadza się entuzjastycznie.

Znowu milcząc, potwierdzam.

– A co najdziwniejsze, prawdopodobnie zachęcam cię tylko, byś to sprawdził.

Wzruszam ramionami, a on mnie całuje. Nagle wycofuje się.

– Dlaczego zawsze nosisz spodnie, Greenie? Chciałbym zobaczyć twój tyłek opięty spódnicą. I twoje nogi też – bełkocze.

Uwielbiam, kiedy tak bardzo mu się podobam.

– Proszę, włóż spódnicę, tak jak wtedy, kiedy pieprzyliśmy się w Hyde Parku.

– W Hampstead Heath.

Sam jest na mnie zła. Wściekła w zasadzie.

– Nie powinnaś tego robić.

Atakuje mściwie swoją pizzę i pewnie wyobraża sobie, że ma do czynienia z Johnem. Sam próbuje spojrzeć mi prosto w oczy, a ja ze wszystkich sił staram się opanować rozbawienie. Najwyraźniej mi to nie wychodzi, bo ona cmoka tylko ze zniecierpliwienia i wraca do pizzy.

– Żyjesz w kłamstwie. Mogłabyś przynajmniej mieć na tyle przyzwoitości, aby być nieszczęśliwą. Właściwie powinnaś przechodzić katusze. Zamiast wyglądać tak cholernie bosko. To byłoby uczciwsze, godniejsze.

Nie jestem pewna, co bardziej ją martwi – czy moje upadające morale, czy zgrabniejsza talia.

– Nie powinnaś tego ciągnąć – powtarza się, potrząsa głową, a potem pyta nagle, jakby po raz pierwszy coś takiego przyszło jej do głowy. – Dlaczego to robisz, Con?

– Nie mogę się oprzeć.

Biorę do ręki nóż i widelec.

– A co z Lukiem?

– On nie ma najmniejszego pojęcia – rzucam gorzko i odkładam sztucce bez włożenia czegokolwiek do ust. – Słuchaj uważnie. Dobrze wiem, że zdradzam męża, ale wreszcie czuję, że żyję. Naprawdę nie mam wyboru. Gdybyś знаła Johna lepiej, zrozumiałabyś. Napijesz się wina?

Zanim Sam zdążyła odpowiedzieć, macham w kierunku kelnera i zamawiam karafkę domowego, czerwonego trunku.

– Czerwone, w porze lunchu?

Ignoruję ją.

– No dobra, słucham dalej, przekonaj mnie – proponuje.

– Ojej, on jest po prostu niesamowity – mówię ze śmiechem.

– Tak, mówiłaś już. Każdy facet z wielkim kutasem jest niesamowity. Spróbuj być bardziej konkretna.

Rozglądam się po pizzerii. Jak mam jej to wytłumaczyć? Z jego powodu zostałam stworzona kobietą. Spoglądam na Sam, która czeka cierpliwie. Wyraz jej twarzy mówi mi, że ten argument nie spotka się ze zrozumieniem.

– Jest inny niż wszyscy faceci, których znamy.

– Naprawdę? – pyta beznamiętnie.

– Naprawdę – nie zniechęcam się. – Ma marzenia i pasje. Ma serce.

– Większe niż Luke?

– Po prostu inne. On nie wyrósł w cieplarnianych warunkach, nie ma żadnych układów, do wszystkiego musiał sam dojść ciężką pracą.

– Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, kto pracowałby równie ciężko, jak Luke. Zawsze narzekasz, że za bardzo oddaje się pracy.

– Nie rozmawiamy o Luke’u. – Zaczynam się irytować. – John przyjechał do Londynu i wykiwał tych wszystkich pretensjonalnych kutasów.

Omiotam ręką restaurację, wskazując na dwadzieścia identycznych garniturów, jedzących identyczną porcję świeżo przyprawionego makaronu i raczących się najmodniejszym piwem. Sam ucisza mnie. Jest nieco przewrażliwiona, bo z tego, co wiem, chodziła z przynajmniej trzema obecnymi tu gośćmi.

– Pobił ich własną bronią i wygrał! – wyrzucam z siebie niemal z krzykiem.

– Tak. John wydaje się dobry w biciu.

– Oni wszyscy mają kupę szmalu, motory i...

– Cipy. Wiele cipek. Różnych cipek.

– Nic mnie to nie obchodzi, Sam.

– Cóż, uważam, że powinno.

Dąsamy się. Mnie lepiej wychodzi strojenie fochów, więc nic dziwnego, że Sam, choć niechętnie, odzywa się pierwsza.

– A więc jaka jest jego rodzina?

– Nieodpowiedzialny ojciec. John uważa, że prowadzi cygański tryb życia.

– Zamienił matkę na młodszy model?

Przytakuję.

– I, co naturalne w tych okolicznościach, Johna łączy z matką bardzo silna więź.

– A to oznacza, że będzie z niej wścibska teściowa.

– Nie mam zamiaru się o tym przekonywać.

– John jest podobny do takiego jednego, Toby’ego, z którym kiedyś kręciłam. Nigdy nie uzna, że żona potrafi przyrządzić sos równie dobrze, jak matka.

– On wcale taki nie jest.

Mam wrażenie, że jeszcze trochę i uda mi się zjednać sobie Sam. Jest zbyt wielką romantyczką, by w nieskończoność się opierać.

– Podobałyby ci się opowieści o jego rodzinie – dodaję jej otuchy.

Sam patrzy mi teraz prosto w oczy. Myślę, że zaczyna mięknąć.

– John pochodzi z bardzo dużej, hałaśliwej rodziny, utrzymującej ze sobą bliskie kontakty. To ciężko pracujący ludzie. Lubią się nawzajem i mają wiele wspólnych zainteresowań.

– Takich jak picie? – pyta Królowa Bez Serca.

– Może i picie, co z tego? My też lubimy się razem upijać.

Żeby to udowodnić, dopijam reszkę czerwonego wina i zamawiam następną karafkę.

– Podobają mi się rodziny, które spędzają razem czas.

Nie dbam już o to, czy Sam ma w ogóle ochotę mnie dłużej słuchać. Chcę się wygadać.

– Opowiadał mi o tych wszystkich rodzinnych spotkaniach. To było takie...

– Niesamowite.

– Właśnie. Na samym początku wieczoru atmosfera jest uroczysta. Wszyscy nie mogą się doczekać wspólnego biesiadowania, a wieczór zapowiada się bardzo obiecująco. Niezmiennie, późnym wieczorem, po kilku muzycznych interpretacjach najlepszych kawałków Toma Jonesa, kiedy zamieniają butelkę portera na tę z Jackiem Daniel'sem, atmosfera staje się coraz bardziej melancholijna i przygnębiająca.

– To pewnie kwestia Toma Jonesa.

– Prawie można to poczuć, dotknąć tej dokuczliwej mgiełki żalu i smutku. Jego matka wspomina ojca, wujkowie wyliczają wady swoich żon, a jego siostry przeklinają wszystkich facetów.

– Nie mylą się w tej kwestii.

– Przyznał, że Hardingowie nie są najlepsi w zawieraniu małżeństw czy w innych związkach.

– To ostrzeżenie.

Sam zaczyna wyliczać dziesiątki przypadków życiowych popaprańców, z którymi kiedyś była. Jest taka łatwowierna. Wpatruję się w nią, sprawiając opanowane do perfekcji wrażenie, że słucham uważnie, podczas gdy w rzeczywistości przypominam sobie naszą rozmowę z poprzedniego wieczoru.

Wytłumaczył mi wtedy.

– Ale w sumie to jest w porządku. Bo kiedy już wszyscy są wkurzeni i zdołowani, jeden z moich wujaszków czy braci, nigdy mamuśka, bo ona wie, że inni wyręczą ją z chwaleń, odwraca się do mnie i stwierdza, że przecież nie może być tak bardzo źle. Proszą mnie, bym wytłumaczył im dokładnie, co całymi dniami robię w pracy.

– To musi cię sporo kosztować – dowcipkuje.

Unosi brwi, nie jest zachwycony tym trafiającym w samo sedno kawałem.

Podczas gdy Sam nawija o kolejnym, absolutnie nierokującym przypadku, nad którym obecnie pracuje, by zaciągnąć go do ołtarza, ja w myślach snuję dalej moją opowieść o Johnie. Wyobrażam sobie, jak cała rodzina rozplywa się w uśmiechach, nigdy nie mają dość jego opowieści i pograżają się w jego humorze lekceważącym wszelkie sukcesy. Wymieniają w ciszy porozumiewawcze spojrzenia, że chłopak jest zbyt skromny, i przyglądają się sobie wzajemnie, jakby szukając odpowiedzi, po kim odziedziczył taki charakter. Przez krótki czas, kiedy mają przed sobą obiekt swojej dumy, nie dbają o wytarty dywan, który trzeba wymienić, czy okropny pech, jaki „towarzyszył im tamtego dnia przy obstawianiu wyścigów konnych. Potrafię sobie wyobrazić, że czasami, w zależności od ilości wypitego alkoholu, jeden lub dwóch Hardingów

uroni łzę z czystej radości. Sukces Johna zmienia atmosferę, a pokój znów wypełnia się obietnicami i Tomem Jonesem.

– Czy zdajesz sobie sprawę z reakcji Rose i Daisy, gdy się dowiedzą? – zwraca się do mnie Sam, próbując kolejnej taktyki.

– Jeśli Daisy kiedykolwiek zejdzie na ziemię. Teraz ma głęboko w nosie, co się dzieje dookoła.

– A twoja przysięga ślubna?

– Nie obchodzą mnie przysięgi ślubne.

Oniemiała z przerażenia. Pewnie myśli, że jestem niewdzięczna. Dobrze wiem, że mam wszystko to, o czym ona marzy.

– Przepraszam.

Próbuję skierować rozmowę na sprawy, które naprawdę mnie obchodzą.

– Nie uważasz, że w tych spodniach moje uda wyglądają trochę grubo?

– Nie, wyglądasz świetnie – odpowiada znużona. – To chwilowe zauroczenie, ekstrawagancki wybryk.

Patrzę na nią, nie bardzo rozumiem, o co jej chodzi.

– Cała Europa wielbi „Cool Britannia”, szczególnie sławiąc szorstkie i twarde typy. Faceci tacy jak John są na topie. Zauważyłam, że dają o sobie znać twoje korzenie z Sheffield, mimo że udało ci się pozbyć akcentu dziesięć lat temu.

Rzucam gniewne spojrzenie, ale ona się tym nie przejmuje.

– Nawet „Vogue” – kontynuuje – zaczął publikować artykuły o przecenionej modzie, o akcji „Szukaj okazji na ulicy” i promowaniu kiepskich restauracji. Osobiście uważam to za kompromitację. Zastanawiam się, czy dalej prenumerować magazyn. John nie jest prawdziwy. Chodzi mu jedynie o obcisłe ciuchy, szczupłe ciało, muzykę pop, palenie, picie i bycie luzakiem.

A o co jej chodzi? Wołam kelnera i proszę o rachunek.

Nadszedł listopad i wydaje mi się, że eksploduję, jeśli wkrótce nie porozmawiam z Lucy. Na samą myśl, że nasz nowo wyremontowany dom zapelniłby się flakami i krwawymi kawałkami ciała cierpnie mi skóra. Spotykamy się w absolutnie trendy restauracji, bo Lucy woli to niż zwykłą kolację w Cafe Rouge czy Ali Bar One. Lubi pokazywać się w modnych i eleganckich miejscach. A przy tym zdaje się nie zauważać znajomych twarzy.

Kiedy, kręcąc biodrami, suniemy po Le Pont, pół tuzina ludzi próbuje zwrócić na siebie uwagę Lucy. Niektórzy to jej koledzy z pracy, innych ledwo zna. Nie ma to zresztą znaczenia, nawet jakby siedziała tam jej babcia, reakcja Lucy jest zawsze taka sama. Właściwie to brak reakcji. W najlepszym wypadku odpowiada na desperackie machania ręką czy podobne gesty obojętnym, szerokim uśmiechem. Do perfekcji opanowała ten uśmiech, którego zadaniem jest dać jednoznacznie do zrozumienia zainteresowanym, że i tak ich nie rozpoznaje, nawet jeśli w rzeczywistości jest inaczej. Wytłumaczyła mi kiedyś, że takie zachowanie jest o niebo fajniejsze.

Tak czy siak, dzisiejszego wieczoru nie mam ochoty, by ktokolwiek nam przeszkadzał, więc z zadowoleniem przyjmuję jej lodowatą pozę.

Kelner prowadzi nas do stolika stojącego na samym środku. Przypuszczam, że chce się nami popisać. Lucy wygląda cudownie, jak zawsze zresztą. Ma na sobie niebieskoszarą spódnicę z kontrafałdą od Nicole Farhi, białą bluzkę i kaszmirowy kardigan od Lamberto Lasanisa, a całości dopełniają skórzane szpilki marki L. K. Bennett. Wyglądałabym w nich jak krzyżówka pańien Jean Brodie i Jane Marple, ale Lucy prezentuje się sztywnie, nie jak jakaś tam belferka. Przez wszystkie lata wspólnej znajomości Lucy nauczyła mnie znaczenia metek, więc na dzisiejszy wieczór postarałam się bardzo. Nie wyglądam może jak żywa reklama Bond Street, ale prezentuję się dobrze w spodniach Jigsaw i zamszowych botkach od Pied a Terre. Ostrożnie stawiam na stole kupioną za niebotyczną sumę torebkę od Tanner Krolle. Nowy nabytek, który z pewnością zostanie doceniony przez Lucy. Kwituje ją słowem „niezła”, ale zaraz potem wskazuje głową na podłogę, dając mi do zrozumienia przez sposób, w jaki unosi brew, że popełniłam okropnemu pas, kładąc torebkę na stole. Nie zbija mnie z tropu.

Jeszcze w życiu nie byłam tak pewna siebie.

Mam świadomość, że od dwóch miesięcy wyglądam nadzwyczajnie. Czuję się młodsza i z minuty na minutę bardziej atrakcyjna. Wiem, że kelner chce się popisać nie tylko przed Lucy. Zajmujemy wskazane miejsca, odrzucamy propozycję chleba, akceptujemy wodę, zamawiamy jedzenie i otwieramy butelkę szampana przysланą przez kilku facetów. Lucy zawsze się to zdarza. Zachowuje się super, kiedy pojawia się butelka. Po prostu wie, jak ją przyjąć bez wylewnej wdzięczności czy protekcyjnalnej obojętności.

– Nie pozwól, żeby się dosiedli – błagam ją. – Chcę z tobą w spokoju porozmawiać.

Lucy klepie mnie po dłoni.

– Wszystko pod kontrolą.

Skutecznie przegania kelnera. W końcu mamy święty spokój.

– No to wal – zachęca mnie.

– Mam romans.

Zauważam, że wypowiedzenie tych słów na głos przynosi chwilową, ogromną ulgę. Napięcie uchodzi z mojego ciała, by za moment wrócić ze dwojoną siłą do każdego organu. Szokujące doznanie. Grozi mi detonacja. Słowa urzeczywistniają romans, co jest podniecające. I równie przerażające.

– Z kim?

Lucy nalewa nam szampana i stuka o mój kieliszek. Nieporuszona.

Cholera jasna nieporuszona.

– Nie zdradzę ci jego nazwiska. Na imię ma John.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie można mu się oprzeć.

– W jakim sensie? Co masz na myśli? To wysoki, przystojny brunet?

– Nie, tak i wyjątkowo tak. Dokładnie w takiej kolejności – piszcze zachwycona.

Puszczają hamulce i opowiadam Lucy z najmniejszymi detalami przebieg każdego spotkania, randek i rozmów telefonicznych, które odbyłam z Johnem. Opisuję każdą emocję, którą czułam, założoną kreację, danie zjedzone w jego obecności. Następnie streszczam scenariusz opery mydlanej, czyli tego wszystkiego, co kiedykolwiek dane mi było od niego usłyszeć. Rozprawiamy o tym. Dyskutujemy. Konsumujemy. A cały sukces szczerze oblewamy.

Reakcja Lucy na moją niewierność to euforia. Jest najwyraźniej zadowolona, że zbliżyłam się do spraw, które potrafi zrozumieć na wylot. W końcu jest przyzwyczajona do żonglowania kilkoma piłeczkami, czy raczej sercami, naraz. Wielu z jej kochanków to żonaci mężczyźni. Ona pogardza świętym sakramentem małżeństwa, które nazywa „nieświęte poświęcenie się dla małżeństwa”. Uważam, że ta euforyczna reakcja jest w złym guście. Przecież była druhną na naszym ślubie, nie powinna być więc choć trochę zdruzgotana? A potem uświadamiam sobie, że Lucy nie należy do osób, które łatwo wpadają w zdumienie, i właśnie dlatego jej powierzyłam swój sekret. Uszami wychodzi mi krytyka ze strony Sam.

– W końcu wydorostałaś, myślałam już, że nigdy nie zaczniesz realnie stąpać po ziemi – stwierdza, napełniając kieliszki. – Ludzie nie urodzili się monogamistami. Super mieć cię z powrotem. Zupełnie jak za starych, dobrych czasów.

Przekrzywiam głowę na bok.

– Co masz na myśli?

– Pogoń. To twoje *raison d'être*.

– Uważasz, że jestem podobna do Sam.

– Niezupełnie. Jej pogoń jest zabarwiona desperacją.

Ulżyło mi.

– Twoja zaś jest zabarwiona arogancją.

Jestem wkurzona.

Zależy mi na jej opinii.

– W Londynie mieszka siedem milionów ludzi. Załóżmy, że połowa z nich to kobiety, odejmijmy dziewczęta poniżej siedemnastki i te powyżej czterdziestki, co, jak sędzę, mieści się w jego skali, przyjmijmy, że połowa z pozostałych ma urodę poniżej przeciętnej, więc nie zasługują nawet na jego spojrzenie, a ciężarne lub skrajnie świątobliwe nie spojrzą znów na niego, zostaje więc ponad milion kobiet, z których może wybierać. Jak mam go zatrzymać tylko dla siebie? – pytam i w tej samej chwili przychodzi mi do głowy przerażająca myśl. – Wyobraź sobie tylko te liczby, kiedy jedzie za granicę.

– Connie, daj spokój, nie sądzisz chyba poważnie, że facet jest tak bardzo przystojny.

– No właśnie, że jest.

Wydrążyłam dziurę w bułeczce, ale do ust nie wkładam ani kęsa. Przygląda mi się, nieporuszona.

– Znam smak i strukturę jego skóry – próbuję wytłumaczyć. – Każdy centymetr. Potrafię

dokładnie określić zróżnicowanie jego naskórka. Mogę ci powiedzieć, gdzie ma ile piegów. Lizalam skórę między palcami jego stóp. Znam na pamięć zapach jego włosów i potu. Znam różne smaki różnych potów, wiem, jak smakuje ten na brwiach, a jak ten całego ciała.

Nawet nie drgnie.

– Nie tylko znam kształt i smak jego genitaliów, ale rozpoznałabym nawet jego dziurę w tyłku wśród setki innych.

To ją w końcu rusza. Prawie spada z krzesła.

– Ciszej.

Rozgląda się po restauracji.

– Rozumiesz już, dlaczego mówię, że on pochłania mnie bez reszty?

– To wszystko brzmi porywająco. Wygląda mi na superseks.

– To nie tylko seks.

– Nie powiedziałam „tylko seks”. Właściwie sama nie wierzę w „tylko seks”. Myślę, że seks jest bardzo ważny. Ale nie powiedziałas dotąd słowa na temat tego, co jest między wami poza seksem.

Natychmiast zbija mnie z tropu.

– Okej, okej. Wczoraj włóczyłam się po Oxford Street.

– Connie, jak mogłaś? – pyta zatrwożona.

– Dobra, udajmy, że powiedziałam „Bond Street”, jeśli ci to bardziej pasuje. Wszystko jedno. Sto milionów ludzi przewija się wzdłuż i w szerz tej ulicy. A ci ludzie pojawiają się w każdym możliwym rozmiarze, wymiarze, kształcie i kolorze, pochodzą z różnych warstw społecznych. Masz dorodne, piersiaste kobiety i anorektyczki, głupków i adonisów.

– Tak – ponagla mnie zniecierpliwiona. – Potrafię to sobie wyobrazić.

– Ale wiesz, co łączy tych wszystkich ludzi?

Gapi się na mnie; choć to zupełnie do niej niepodobne, nie wie, co ma powiedzieć.

– Nikt z tych ludzi nie jest taki jak on. Żaden nie sprawi, że serce zacznę mi szybciej bić, nie zachęci mnie, bym rzuciła w kął ciuchy i zasady moralne, nikt nie skusi mnie do złamania małżeńskiej przysięgi. On jest jedyny, niezwykły. – Przerывam na chwilę, by odetchnąć. – Czy nie wydaje ci się, że jest moim przeznaczeniem?

Lucy cmoka zniecierpliwiona, w dużej mierze ignorując moje pytanie.

– Rozumiem cię. Wciąż spotykam się z moim żonatym kochankiem.

– No co ty?

To przedłużający się związek. Zastanawiam się, z kim i po co teraz sypia. Jeśli chodzi o Lucy, zawsze pojawia się racjonalne, całkowicie uzasadnione pytanie: „Po co?”. Alkohol za szybko uderza mi do głowy i nie potrafię dokładnie zdefiniować różnicy między nami, ale wiem na pewno, że mój romans to nieskalkulowany związek, za którym stoi rozsądek i przemyślenia.

Ja. Po prostu. Nie mogę. Się. Oprzeć. Próbuję to jaśniej wytłumaczyć.

– Uwielbiam to, ale nie ukrywam, że jeśli chodzi o mój cudowny plan na życie, jestem

rozczarowana. Wciąż wierzę w instytucję małżeństwa i chcę monogamicznego związku. Świat stanął na głowie. To mnie poraża, że z premedytacją, bez wątpliwości, metodycznie niszczy wszystko, w co pragnę wierzyć. Niemal cierpię fizycznie, rozdziera mnie gdzieś w środku, a jednak nie potrafię się powstrzymać.

– To byłoby niewygodne.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Jesteśmy takie same – upiera się przy swoim. – Dobrze wiem, o co ci chodzi, Connie. On jest jak deser: kuszący, niezdrowy, nadmierny i jest ci od niego niedobrze. Czarujący.

Czuję się nieswojo, słysząc te słowa. Bo trafiają w samo sedno.

Mimo że wypiliśmy beczkę alkoholu, Lucy nie mówi za wiele o swoim żonatym kochanku. Nie zdradza, jak się poznali, jak wygląda, ile ma lat, o czym rozmawiają. Za to przyznaje, że uważnie czyta jego horoskop. Opisuje, jak jej spocone palce zostawiają ślady na błyszczącym papierze. Te brudne plamy to jej podpis, podpis, który wysycha szybko i znika po zaledwie kilku chwilach. Tłumaczy ze złością, że jeśli pojawia się jakakolwiek wzmianka o rodzinnym szczęściu, wrywa natychmiast obrażającą stronę rękoma trzęsącymi się z wściekłości. Ugniata kartkę w zbitą, papierową kulę i trafia nią prosto do kosza. Zezłoszczona z powodu horoskopu, który może oznaczać zdradę; co za ironia, zdrady dopuszcza się z żoną. Wspomina też o jego dzieciach. Wnioskuje, że jest ich co najmniej dwoje, może troje. Z tego, co udaje mi się ustalić, wynika, że spotykają się każdego dnia. Mają na to swoje sposoby.

– Jeśli nie w łóżku, to w biurach; przed naszym spotkaniem wpadłam do niego i bzykaliśmy się na jego biurku. Jęczałam tak głośno, że musiał wsadzić mi koszulę w usta, żeby nie sprowadzić nam na głowę zaalarmowanych pracowników.

– Pracujecie więc razem? – pytam, nie ukrywając zdziwienia.

– Tak.

Szybko wraca do opisywania pikantniejszych detali ich związku, co jest wspaniałe, bo właśnie takie zwierzenia chcę słyszeć.

– Robimy to w toaletach, samochodach, głównie na stojąco. Szybkie, głębokie, intensywne rżnięcie. Jego spodnie zatrzymują się na kostkach, moja spódnica zadarta do bioder.

Te wszystkie niegrzeczne szczegóły wyjawia mi szeptem i zaraz porównujemy nasze doświadczenia.

– Jak zapina rozporek, musi się nieźle powstrzymywać, by nie powiedzieć mi, jakie to cholerne szczęście znaleźć sobie tak oddaną, nieskomplikowaną, znającą się na rzeczy kochankę, która posiada nieskończoną ilość niezachwianej pewności siebie. Ma to wypisane na twarzy. Mówi tylko, co to za ulga.

– Oj, Lucy, jestem pewna, że znaczysz dla niego znacznie więcej.

– Naprawdę tak myślisz? To jesteś głupia. Jesteśmy już na tyle dojrzałe, by dobrze wiedzieć, że chodzi jedynie o zaspokojenie potrzeb i zwrócenie na siebie uwagi. Rżnie mnie wściekle, bo jego żona jest zbyt zmęczona albo nie ma ochoty na seks.

Opróżnia kolejny kieliszek.

– Co nie znaczy, że nie mam czerpać z tego przyjemności. Kto wie, może uda mi się go nawet zatrzymać. Mogę przecież zamienić jego infantylną desperację w uzależnienie od siebie. Nawet wściekłe rżnięcie może stać się pewnego rodzaju miłością. Jestem cierpliwą dziewczynką, wiem, jaki będzie wynik.

Dosłownie opadła mi kopara. Lucy mówi o miłości i zatrzymaniu faceta. Lucy! Rozmowę przerywa nam kelner, przynosząc zamówione sałatki.

– Jak ma na imię?

– Pete.

– Ale śmiesznie. Będziemy mieli dwóch Peterów. Petera Rose i twojego.

– Mój to definitywnie Pete, a nie Peter.

Rozśmiesza mnie. Nie potrafi znieść dosłownie niczego, co byłoby wspólne z Rose, nawet takiej błahostki jak to samo imię partnera.

– A więc z tego, co mówisz, Pete nie dostarczy ci materiału do twojej książki z historyjkami typu „ci, których znałam i nienawidziłam” – mamroczę.

Niełatwo powiedzieć coś takiego, kiedy wypilo się ponad połowę butelki szampana. Lucy jest bardzo cicha.

– To coś innego, co? – pytam podekscytowana.

Jeśli tak, postawi sprawę jasno.

– Boże, Connie, jak możesz wierzyć w takie frazesy? Nigdy nie jest inaczej. Coś takiego nie istnieje.

Nie wierzę jej. Co więcej, uważam, że ona sama nie wierzy w to, co mówi. Milknie na chwilę.

– Zamówmy następną butelkę. Ta jedyna, wyjątkowa miłość nie istnieje. Nie ma drugich połówek, tych, co niby rozumieją człowieka bez słów, pasują do niego jak ulał. Są po prostu faceci bardziej lub mniej odpowiedni czy zabawni. Wszystko sprowadza się do wyczucia odpowiedniego momentu.

Kończy uniesieniem brwi i nalaniem nam kolejnego kieliszka szampana.

– Lucy – bełkoczę. – Jesteś taka cyniczna. Mylisz się.

– Jesteś pewna? Wszyscy są tacy sami, klepią to samo, że jestem najlepsza albo wyjątkowa.

Zaskoczyła mnie zupełnie, co musi być widoczne na mojej twarzy, bo Lucy zaśmiewa się pogardliwie.

– Chyba nie dajesz się nabrać na tę stertę gówna, Connie? Na te brednie, że jesteś najlepsza, najseksowniejsza, wyjątkowa?

Moje głuche milczenie potwierdza tylko jej podejrzenia. Wiercę się na krześle, Lucy przypomniała mi coś, o czym, dzięki bezpiecznej i pewnej więzi z Lukiem, udało mi się zapomnieć. Ich deklaracje-ckliwe-klamstwa są zawsze takie same, kiedy zaczynają myśleć swoją drugą głową.

– Co z tobą? – pohukuje Lucy. – Nie powiesz mi chyba, że wierzysz temu całemu Johnowi? Pomyślałaś, choćby przez sekundę, że niby znaczysz coś więcej niż łóżko? Jesteś jedynie kolejnym wyzwaniem.

Lucy często pod wpływem alkoholu staje się gorzka i nieprzyjemna.

– Słuchaj, Lucy, fakt, że spędziłaś swoje życie z facetami, którzy są równie ograniczeni, co nieodpowiedzialni, nie znaczy wcale, że wszyscy mężczyźni są łajdakami. Luke jest tego najlepszym przykładem.

– Wydaje mi się co najmniej nie na miejscu, że zasłaniasz się oddanym mężem, broniąc zachowania ordynarnego kochanka.

Czerwienię się i wypijam szampana. Kelner otwiera butelkę chablis i Lucy kontynuuje wywód.

– Wystarczająco długo miałyśmy do czynienia z facetami, by zrozumieć podtekst męskiego języka i psychiki. Dobrze wiemy, że gadka: „To nie jest dobry czas, by angażować się w coś poważnego” znaczy: „W moim życiu jest inna kobieta”. „Moi kumple dużo dla mnie znaczą” to pożegnalny całus przed wyjściem na piątkowe zarywanie panienek. „Nigdy nie sądziłem, że może połączyć nas coś poważniejszego” oznacza: „Chciałem się z tobą jedynie przespać, a nie pogadać”. „Nie zasługuję na ciebie” to: „Nie chcę cię”. „Moja żona/dziewczyna/naręczona nie rozumie mnie” sugeruje, że babka raczej kuma za dużo. „Moja żona/dziewczyna/naręczona jest moim najlepszym przyjacielem” znaczy: „Nigdy jej nie zostawię, z tobą mam ochotę jedynie się przespać”. Wreszcie: „Bądźmy przyjaciółmi” to: „Już mi się nie podobasz”.

Nic nie mówię. Przypuszczam, że to i owo brzmi zbyt znajomo.

– Dziękuję Bogu – ciągnie Lucy – że nasłuchiwałam się tego wystarczająco dużo, by wiedzieć, jak odegrać się jednoznacznie i przekonująco. Kobiety rzadko mówią podobne rzeczy mężczyznom, więc ci mają problemy z rozpoznaniem rażących frazesów, które każda babka widzi tak wyraźnie jak jaskrawą srajtaśmę pływającą po Tamizie. Nie mam zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za ich próżne i egoistyczne oszustwa. Ja nie jestem mężatką. Oni są żonaci.

Jak tylko wypowiedziała te słowa, wnioski nasunęły się same. Lucy co prawda nie dodała: „Podobnie jak ty”, po prostu nie musiała. To oczywiste, że nie jestem lepsza od tych próżnych i egoistycznych oszustów. Ani lepsza, ani gorsza.

– Słuchaj, Con, przepraszam cię – mówi, zapalając papierosa. – Hmm... Jestem pewna, że twój przypadek jest wyjątkowy.

Jestem zbyt oszołomiona, by przypomnieć jej, że nie wierzy w wyjątkowość. Ogarnia mnie bardzo niewygodne pieczenie rozprzestrzeniające się dookoła szyi, ramion i głowy.

Co za wstyd.

Opróżniamy kolejny kieliszek i zgodnie przystajemy na deser. Bardzo, ale to bardzo rzadko pozwalamy sobie na łakocie. Słodkości rezerwujemy jedynie na specjalne okazje, takie jak urodziny czy te dni, kiedy jedna z nas zostaje rzucona (wykluczając przypadek Sam, by zapobiec

nadwadze). Nie odzywamy się już ani słowem, dopóki drożdżowe ciasto nie ląduje głucho na naszym stole. Obie gorączkowo oddajemy się wymyślonym zajęciom. Ja zdrapuję etykietkę z butelki od wina, a Lucy zaciekle pastwi się nad papierosem. Jej twarz płonie. Głupio mi, że zakłopotalam ją do tego stopnia, więc spieszę na ratunek.

– Zateeeem – bełkoczę – czy kiedykolwiek próbowałaś zachować powściągliwość? Czy pomyślałaś choć raz: „On jest żonaty, nie powinnam tego robić”?

– Ani przez sekundę. – Niecierpliwie potrząsa głową. – Wręcz przeciwnie, pełną parą do przodu. A ty?

Żaden komentarz, pociecha czy potępienie nie wchodzi w grę. Poplątałam się i teraz brnę na oślep w świecie pozbawionym moralnych fundamentów, gdzie wszystko wydaje się tak niejednoznaczne i bezcelowe. Moja introspekcja jest smutniejsza.

– Nie, też nie. Zadaję sobie czasem pytanie, kiedy z tym skończę. Jak do tego doszło? Ale nie potrafię znieść myśli, że mogłabym to przerwać i nie robię nic, by do tego doszło. Tak bardzo go pragnę.

– Czy to rozsądne?

– Pewnie nie. – Język utknął mi w gardle. Nie mogę nic więcej wyartykułować poza: – Naprawdę go pragnę.

– A ściślej? – nalega.

– Chcę, żeby za mną tęsknił. Chcę, żeby się we mnie zakochał. To żadne wyzwanie dla nas zaciągnąć kogoś do łóżka. To akurat możemy zrobić z każdym. Ale rozkochać kogoś w sobie... Albo lepiej, sprawić, by poznał ciebie na wskroś i wciąż kochał, to dopiero ogromne wyzwanie.

– Luke zna cię na wylot i wciąż cię kocha.

– Pewnie, Luke – mówię z niechęcią – ale niewystarczająco mocno.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten kij ma dwa końce? Igrasz z ogniem i może będziesz musiała wezwać pomoc.

– O nie, ja na pewno się w nim nie zakocham. Kocham mojego męża – stwierdzam, próbując przybrać pewniejszy ton.

– Czyżby? – mówi Lucy, strząsając popiół prosto na ciasto. – Dlaczego więc jesteś tak okrutnie zdeterminowana, by ryzykować tak wiele? Z tego, co mówisz, Connie, jemu wcale nie zależy na tobie tak bardzo.

Kamienieję z przerażenia.

– Skąd to niby wiesz?

– Od ciebie.

– Oczywiście, że mu zależy.

– Nie, Connie, nie zależy – powtarza z naciskiem. – Ile razy się właściwie spotykaliście?

– Kto by tam liczył. – Śmieję się.

– Kobiety liczą – upiera się Lucy. – Więc ile razy?

– Nie pamiętam – odpowiadam, bawiąc się serwetką.

– Oczywiście, że pamiętasz.

–

– Może osiem. Sześć.

– Osiem razy w ciągu dwóch miesięcy!

– To nie takie proste. Jestem mężatką. Pamiętasz?

– Mówiłaś, że Luke często wyjeżdża ostatnimi czasy. Przypuszczam, że znam ten wzór: trzy razy w pierwszym tygodniu, dwa w drugim i po razie w tygodniu czwartym, piątym i siódmym.

– Nie mam pojęcia. To nie są kursy akcji – odcinam się, próbując desperacko przypomnieć sobie, kiedy dokładnie się z nim widziałam.

Potrząsam głową. O, nie. Lucy z całą pewnością grubo się myli.

– Moja droga – odzywa się, kładąc swoją dłoń na mojej. – Nie myśl, że nie jestem zachwycona tym, co przeżywasz. Chcę powiedzieć, że twój pierwszy romans to z pewnością coś ważnego. Z twojego opisu mniemam, że trafił ci się superfacet z ogromnym fiutem i wielkimi oczyma. Ale jeśli chodzi o sprawę przeznaczenia – potrząsa głową – spróbuj chociaż zachować dystans.

– Nic nie rozumiesz, Lucy. Jestem mężatką. Nie wpakowałabym się w całą tę historię, gdyby nasz związek nie oznaczał czegoś... – szukam w głowie trafnego określenia – ... wielkiego.

– Wciąż wałkujemy temat kutasa? – pyta Lucy Potrafi być bardzo prostacka.

– Gdzie byś go wsadziła?

Gapię się na nią, nic nie rozumiejąc.

– Gdybyś mogła go zatrzymać? – rozwija pytanie. – Jak wpasowałabyś go w swoje życie?

No dobra. Mam do czynienia z Lucy, więc czas na szczerłość.

– Od samego początku zdaję sobie sprawę, że nie zatrzymam go przy sobie. Szczerze? Nie wiem nawet, czy bym tego chciała. Jemu nie chodzi o stały związek i na tym polega jego atrakcyjność. – Spoglądam na nią, upewniając się, czy nadaża za mną. – W zamian wyciskam z niego tyle, ile mogę w tak krótkim czasie. Zapamiętuję jego wygląd, sposób poruszania się, słowa, ciuchy i poglądy. Wszystko wpycham sobie do głowy i koduję. Zupełnie tak, jak na tydzień przed maturą, kiedy zostaje ci określony czas na przebrnięcie przez tyle materiału, ile się da; choć dobrze wiesz, że po egzaminie ta wiedza do niczego ci się nie przyda.

– Ale mimo wszystko – dodaje Lucy – musisz pamiętać, że pewne fakty na zawsze zostaną ci w głowie i mogą dać o sobie znać w najmniej spodziewanych momentach.

Lucy z rozmarzeniem wpatruje się w dal i mam wrażenie, że tak naprawdę nie koncentruje się na mnie. Zależy mi bardzo, żeby to zrobiła.

– Różnica polega na tym, że wyciskanie z niego ile się da i wkuwanie go na pamięć nie zaspokoilo mojego apetytu. Trzymając się dalej metaforycznego porównania, powiem ci, że mam ochotę zdać przedmiot z Johna Hardinga w najbardziej poszerzonym zakresie. Studiuję jego formę, usiłując uchwycić go dokładnie takim, jaki jest. Nosi za długie spodnie, ręce trzyma w kieszeni, ciężar ciała opiera na lewym biodrze. Przy bliższym przyjrzeniu się stwierdzam, że ma

niedopasowane skarpetki. Te wszystkie wspomnienia zachowuję głęboko w głowie, gdzie są zupełnie bezpieczne.

– W tym momencie zdaje nam się, że wiemy o nich wszystko – kończy za mnie.

– Lucy – bełkoczę, sięgając nad stołem i gorączkowo próbując wyjaśnić swój punkt widzenia. – To wyjątkowo podniecające i zniewalające uczucie. Nie potrafiłabym żyć bez niego.

– Być może będziesz musiała – mówi ze śmiertelnie poważną twarzą. – Poprośmy o rachunek.

Jak tylko wsiadam do taksówki, zaczynam trzeźwieć. Po raz pierwszy, odkąd poznałam Johna, czuję się niemal ponuro. Lucy nie ma najmniejszego pojęcia o mężczyznach! Przecież gdyby знаła się na nich choć trochę, to czy wciąż byłaby samotna? To ja jestem mężatką.

Hmmmmmm?

Jezu, co za bagno. Opieram głowę o zimne okno taksówki i przyglądam się śmigającym światłom Londynu. Zupełnie wykończona zaczynam przysypiać. Ze snu wyrывa mnie dźwięk komórki z jedyną w swoim rodzaju melodyjką *Happy Birthday*, którą dla kawału zaprogramował mi John na swój numer telefonu.

– Greenie.

– Zadzwońiłeś!

– Dzwoniłaś wcześniej. Co tam?

Cała frustracja ogarniająca mnie po rozmowie z Lucy uleciała. Próbuję szybko wytrzeźwieć, by skoncentrować się na błyskotliwych i zachęcających odpowiedziach. On mnie do tego zmusza.

– Mam kurewską ochotę cię pieprzyć. – Walczy ze sobą i jąka się z podniecenia. – Kręcisz mnie tak bardzo, że mój fiut wyje z bólu. Mój kutas napręża się. Staje mi od samego gadania z tobą. Wkładam sobie rękę w obcisłe gacie i w tej chwili pocieram mojego penisa.

Zaciskam uda na skórzanym siedzeniu i natychmiast ogarnia mnie konsternacja. Sprawia, że czuję się taka niezwykczona. Nigdy dotąd w życiu nie byłam taka seksowna, tak pożądana. Podnieca mnie to i jednocześnie zawstydzają. Kiedy z Lukiem pozwalamy sobie na wypowiedzenie niegrzecznych świństw, wydaje się to takie nienaturalne, jakbyśmy udawali dorosłych. Z Johnem wszystko jest naturalne, realne, naturalnie realne, naprawdę przerażające.

– Gdzie go dokładnie dotykasz?

Pochyliłam się do przodu i zamykam szklane okno oddzielające mnie od kierowcy.

– No wiesz, ta bardzo wrażliwa obwódka na samym koniuszku.

– Oczywiście, że wiem. To ja odkryłam ją dla ciebie.

Śmieje się.

– Gdzie jesteś?

– W taksówce, w drodze do domu. Byłam z Lucy na kolacji. Wiesz, powiedziała coś zupełnie niesamowitego.

– Zawracaj. Przyjedź do mnie.

Waham się przez chwilę, sprawdzam godzinę. Za dziesięć pierwsza. Naprawdę powinnam wracać i wypuścić kota, poza tym Sam uzna za dziwne, że pojawię się w pracy w tych samych ciuchach drugi dzień z rzędu. Z drugiej strony Luke wyjechał na jakieś seminaria architektoniczne.

– Dziś śpisz u mnie.

Brzmi to raczej jak rozkaz, nie jak prośba.

– Podaj adres.

Przeszukuję torebkę i w końcu wygrzebuję stępioną kredkę do oczu. Próbuję zmobilizować mózg, by przejął kontrolę nad zdolnościami motorycznymi. Daję taksówkarzowi adres. Ten wywraca oczyma.

– Wie pan, gdzie to jest?

– Oczywiście, kochana. Najlepszy klub tańca erotycznego we wschodnim Londynie.

– Aha.

Trzydzieści minut później samochód zatrzymuje się przed klubem. Od razu spostrzegam Johna, a moje wnętrzości wywracają się do góry nogami. Płaci nieziemski rachunek i taksówka odjeżdża.

– Myślałam, że idziemy do ciebie?

– Idziemy. Stąd możemy pójść pieszo, ale muszę cię mieć tu i teraz.

Zimna noc przeszywa mnie i cała się trzęsę z oczekiwania. Powinnam była zjeść coś więcej niż tylko sałatkę, ledwie poskubałam drożdżowe ciasto, a teraz pusty żołądek sprawia, że alkohol krąży we mnie jak krew, prosto do mózgu. Maszerujemy żwawo, rozmawiając o tym i o tamtym. Nasze dłonie odnajdują się, jego długie palce splatają się z moimi w ciasnym uścisku. Prowadzi mnie do bramy. Spragnione usta natychmiast się spotykają. Rozpinam mu rozporek, a jego ręce gorączkowo penetrują ciało pod moją bluzką w poszukiwaniu piersi. Twarde brodawki i siła jego naporu sprawiają, że nie potrzebuję żadnych innych doznań. Serce wali mi w udach, a potem czuję wytryskający strumień. Wypełnia mnie, zdobywa mnie od środka, zapiera mi dech w piersiach. Kiedy jest już po wszystkim, zapina rozporek.

– Dalej, ruszajmy do mnie.

Jego siedziba zaskakuje mnie nieco, nie jest to jasne, przestronne lokum, ale maleńki dwupoziomowy szeregowiec w zaniedbanej części East Endu. Z siłą otwiera drzwi frontowe, torując drogę przez górę pozostawionych reklamówek i ulotek. Uderza mnie zatechłe powietrze. Zastanawiam się nawet, czy aby nie wynajął tego miejsca tylko po to, by mnie tu przyprowadzić. Pewnie ma żonę i trójkę dzieci ulokowanych wygodnie w milutkim domku w Fulham. Śmierdzi ohydnie i przez krótką chwilę bardziej odpowiada mi pomysł z żoną i dziećmi niż świadomość, że to on jest odpowiedzialny za te zapachy. John zachowuje się, jakby nie zdawał sobie sprawy z obrzydliwego odoru, na który składają się gnijące warzywa, przepocone skarpetki i ten nieokreślony zapach zamkniętych, męskich pomieszczeń. Dla odmiany pod deską

podłogową mogą rozkładać się ludzkie ciała. Natomiast on zawsze pachnie wybornymi mydlami i drogimi wodami kolońskimi. Zastanawiam się, jaki jest męski odpowiednik powiedzonka: „Grube futro, a pod spodem nic”.

Wnętrze jest pełne używanych, ciężkich mebli. Solidny, trzyczęściowy kredens z lat trzydziestych i kilka biblioteczek w stylu art deco. Fotele przykryte są narzutami w kwiecisty deseń, a obicie sofy rozkwita w musztardowym kolorze. Głaszczę brudne powierzchnie, szczęśliwa, że zaprosił mnie do siebie. W pewnym sensie tutaj nasz związek nabiera bardziej realnego wymiaru niż schadzki w hotelowych pokojach i ulicznych zakamarkach. Po schodach wspinamy się do sypialni. Macha odruchowo na drzwi i mruczy pod nosem przeprosiny za bałagan. Króluje totalny chaos: noszona bielizna i ubrania piętrzą się w przepoconych górach dokładnie tam, gdzie zwykł je rzucać. Wieże z ułożonych w sterty książek falują, co wygląda zdecydowanie niebezpiecznie. W kilku niedopitych kubkach rośnie pleśń. Dziesiątki pustych puszek po piwie walają się wszędzie; niektóre przypominają nowoczesne rzeźby, inne służą jako popielniczki. Ogromne, sosnowe łóżko dominuje w pokoju. Jest rozgrzebane. John zaczyna ściągać poszwę.

– Zmienię prześcieradła.

– Oszczędźmy sobie widoku zagubionych, obcych włosów łonowych.

Na to wszystko reaguję z dużym luzem, no bo w końcu to komplement; facetom naprawdę musi zależeć, by zabrać się do zmiany pościeli.

Inne sprzęty to: otwarty kominek, parę półek z książkami, kilka poduch i pokaźna szafa. Nie ma żadnych zdjęć czy pamiątek, jedynie popielniczki pełne miedzianych monet i spinaczy. Podłoga jest niepomalowana i częściowo przykrywa ją wytarty dywanik. Pokój jednocześnie uderza bezosobowością i zmysłowością. Sugeruje, że zubożały poeta może tu znaleźć pocieszenie w seksie. Nie mam czasu, by ogarnąć coś jeszcze, bo on się na mnie rzuca.

Jak na zawołanie, budzę się o wiele za wcześnie, z niemożliwym wręcz kacem. Leżę chwilę bez ruchu, zastanawiając się, czy Bóg nie zaczął przypadkiem używać tego pomieszczenia jako jo-jo. Decyduję się nie ryzykować wstania i zasypiam z powrotem. Budzę się po raz drugi na dźwięk pilnika zgrzytającego w drewnie. Podnoszę głowę i natychmiast dopada mnie kolejna fala kaca. Raz na jakiś czas zmuszam oczy do otwarcia, powoli wpuszczając jasność. Dzięki Bogu, że to tylko elektryczne światło, niezbędne w listopadzie, bo jest delikatniejsze niż pogodne dzienne promyki. Chris Tarrant gra na cały regulator z radiowego budzika ciśniętego któregoś dnia w kąt pod ścianą. Milknie na parę minut, a potem znów wyje na cały regulator. Nie podoba mi się taki początek dnia: pękająca z bólu głowa, zawroty głowy Tarranta i co to za zgrzytanie? Kiedy budzę się w domu, Luke jest już praktycznie w drodze do pracy, ale nie zostawia mnie nigdy bez świeżo zaparzonej herbaty i czekającej porannej kąpieli. Jestem kompletnie zdezorientowana, budząc się w smrodzie papierosów, oparach piwa, a na to nakłada się niepojęty widok Johna skradającego się do swojego sosnowego łóżka z nożem.

– Chcesz mnie zabić?

Całuje mnie przelotnie.

– Witaj, seksowna. Trudno byłoby odciąć ci tym głowę.

Macha w powietrzu narzędziem (nożem); wygląda mi to na nóż z kompletu obiadowego, ale nie mam pewności, bo moje oczy nie są jeszcze gotowe na takie wyzwanie jak ustawianie ostrości, Łeb mi zaraz odleci, tak czy siak, bez względu na to, czy on zamierza się do tego przyczynić.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Nacięcie.

– Nacięcie?

– To nowe łóżko. – Szczerzy się.

– Nie masz już nacięć? – pytam bojaźliwie.

Przerywa dłubanie w drewnie i zwraca się do mnie.

– Ty jesteś pierwsza, Connie.

Na na na na na, Lucy. Co ty tam wiesz!

Mam nadzieję, że odpuścimy sobie pójście do roboty i resztę dnia spędzimy w łóżku, leżąc koca i dochodząc do siebie. Niestety, szybko pozbawia mnie tych złudzeń, opowiadając o Ważnym spotkaniu w pracy, z którego nie może się urwać.

– Ale ty możesz tu zostać – mówi uprzejmie. – Właściwie będziesz musiała zaczekać przynajmniej godzinę, zanim znów nagrzej się woda. Kapałem się rano.

Biega po pokoju z miską płatków w jednej ręce i z butem w drugiej.

– Widziałaś gdzieś mój krawat?

– Który? Ten?

Wskakuję na jedwabnego Hermesa, którego użył w celu przywiązania mnie do łóżka poprzedniej nocy. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Wyszło jednak całkiem fajnie, choć był zbyt pijany, by zawiązać porządne węzły. Ale kokardy są niczego sobie.

– Lepiej go odwiąż, jeśli nie chcesz zniszczyć.

Wyciąga inny krawat spod łóżka.

– Tu jest klucz, kiedy zamkniesz drzwi, wrzuc go do skrzynki.

– Nie martwisz się, że dorobię sobie komplet? – żartuję.

Jakbym miała na to ochotę. Śmierdzi tu tak bardzo, że będzie mi musiał zapłacić, by zwabić mnie jeszcze raz. Najwyraźniej żart go nie bawi i przez chwilę wygląda na zmartwionego.

– Chcesz mieć swój komplet? – pyta w taki sposób, że omyłkowo można by pomyśleć, że jest zdenerwowany.

Potrząsam głową. Czy to aby nie wyraźna ulga maluje się na jego twarzy?

– Czy twoja dziewczyna – zmuszam się, by wypowiedzieć jej imię – czy Andrea ma swój klucz? – To pytanie zadają usta bez zgody mózgu.

– Nie.

To „nie” nie pociesza mnie. To nie jest „nie” sugerujące: „Ależ skąd, ona nie liczy się tak bardzo”, tylko coś, co oznacza bardziej: „W żadnym wypadku nie będziemy rozmawiać o Andrei”. Nie podoba mi się sposób, w jaki chroni ją przede mną.

– Pragniesz mnie jeszcze, prawda? Powiedz, że tak.

Kurde, jak mogło do tego dojść? O czym ja myślę? Gdy tylko te słowa wylatują z moich ust, zaczynam ich żałować. Wiem, że wyglądam teraz dokładnie jak kobieta, która nie bardzo wie, co dalej, niepewna nawet, czy i kiedy może liczyć na telefon. Wymierzam sobie w myślach potężnego kopniaka za wypuszczenie tych niedorzeczności, które nagadała mi Lucy, by mnie wkurzyć. Ta to potrafi zachować się jak suka.

Pewnie zazdrości mi, że jestem tak szczęśliwa.

Chociaż Lucy nie należy do zazdrośnic. Jestem za bardzo skacowana, by móc się skoncentrować, potrząsam więc głową. On Wpycha lewą stopę w but i siada na brzegu łóżka, by zawiązać sznurowadła.

– Oczywiście, że cię pragnę. Co to za pytanie?

Nie patrzy na mnie, kiedy to mówi, no, ale w końcu jest już spóźniony do pracy.

– Zadzwoń do ciebie wczoraj, prawda? Wyrzeźbiłem ci nacięcie, tak czy nie? – Odwraca się do mnie i głaszcze po włosach. – Przecież tak dobrze się razem bawimy, co?

Cmoka mnie w policzek, a potem pędzi do drzwi.

– Nie zapomnij wrzucić klucza do skrzynki – krzyczysz ze schodów.

Kiedy zostaję sama, zaczynam się ubierać. Brak możliwości zachowania podstawowych zasad higieny sprawia, że nie mam ochoty przebywać tu zbyt długo. Wciągam rzeczy w pośpiechu i decyduję się wziąć prysznic w pracy.

Gdzie jest mój stanik?

Kurde. Co mnie podkusiło, by go pytać, czy mnie jeszcze pragnie? Co za głupota. Chlapnąć tak z grubej rury. W dodatku zupełnie niepotrzebnie, bo wiadomo przecież od pierwszego momentu w Paryżu, że mnie pragnie, że to musiało się stać. To takie oczywiste. Czy nie jestem teraz w jego mieszkaniu? To powinno mi wystarczyć.

Kłękam i szukam pod łóżkiem majtek.

Na czym kłęczę? Nawet nie chce mi się myśleć. Piwo? Oliwka do ciała? Nie ma majtek, pewnie leżą gdzieś w łóżku skotłowane z pościelą.

Nawet jeśli nie rozmawialiśmy o poważnych sprawach i nie ustaliliśmy, kto i kiedy do kogo dzwoni, jestem pewna, że on rozumie. Między nami jest głęboka więź i nie potrzeba słów, by się zrozumieć.

Teraz rajstopy. Gdzie mogą być?

Problem w tym, że skoro wyjechałam z tak ciężkim arsenałem, to każda gadka o przeznaczeniu będzie brzmiała absurdalnie. Co za wsypa! Nie mogę uwierzyć, że tak się zbłądziłam. Przeklęta Lucy.

Spodnie? Leżą pomięte za drzwiami. Otrzepuję je. Hmm, trudno powiedzieć, by idealnie

nadawały się do pracy. Śmierdzą okropnie – papierosami, seksem i piwem. To był duży błąd, że po wylądowaniu u niego piliśmy dalej. Gdyby nie piwo zmieszane z czerwonym winem, może choć w połowie czułabym się jak człowiek. O nie, czerwone wino, mój biały top od Calvina Kleina jest zachlapany; stało się to pewnie wtedy, kiedy próbowaliśmy uprawiać seks w kuchni. Grzebię w jego szafie w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym włożyć. Na próżno. W drodze do pracy czekają mnie awaryjne zakupy w Next. Spoglądam przez okno. Na dworze panuje lodowate zimno listopadowego ranka. Sutki drętwieją mi w proteście. Jak nic zafunduję sobie zapalenie płuc.

Nie ma co zwalniać tempa. Oddycham głęboko i walczę z powstrzymaniem łez. Cholerne, pierdolone bagno. Próbuje się uspokoić. Nie ma problemu. Po prostu na chwilę zapomniałam o wszystkich złotych zasadach: faceci to prosty i nieskomplikowany gatunek (to żadna krytyka, raczej praktyczna wskazówka w bezustannych poszukiwaniach bratniej duszy). Mężczyźni są przy tobie tylko wtedy, kiedy sami mają na to ochotę. Nie znajdziesz ich obok, jeśli im to nie pasuje.

Dosyć. Temat zamknięty.

Nie muszę pytać go, czy chce ze mną być. Przecież to oczywiste. Wciągam czapkę i szukam rękawiczek.

Rozgorączkowana, brudna, osłabiona i walcząca z mdłościami zamykam za sobą drzwi i posłusznie wkładam klucz do skrzynki, bez zbędnych rozważań, czy aby nie powinnam dorobić sobie własnego kompletu. No, przynajmniej nie rozważałam tej kwestii zbyt długo. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję ani gdzie jest najbliższa stacja metra. W końcu tak dobrze się bawimy, co nie?

Doprawdy, boki można zrywać ze śmiechu.

Za pięć dziesiątą niepewnym krokiem wchodzę do biura. – Spóźniłaś się – komentuje Sam. Gapi się na moje wymięte, wczorajsze ciuchy. Dobrze wiem, że nie martwi się, o której odbiłam kartę zegarową, zjawiając się w pracy, tylko czy mi się za to oberwało. Jako że przeszłam drogę z piekła, nie mam zupełnie ochoty wdawać się z nią w dyskusje. Na szczęście z opresji ratuje mnie dzwoniący telefon.

– Connie, to ja.

– Cześć, Lucy, jak się masz?

– W porządku. Słuchaj, dodzwonił się do ciebie Luke?

Jej głos brzmi opryskliwie, co w przypadku Lucy świadczy o stanie silnego wzburzenia.

– Luke? Nie. Niby czemu?

Sam dwoi się i troi, by wyglądać na bardzo zajęta.

– Ponieważ wrócił do domu wcześniej, wczoraj wieczorem. Jak sądzę, ty tam nie dotarłaś.

Serce zamiera mi w piersiach.

Zostałam nakryta.

Czas wypić piwo, którego sobie nawarzyłam.

Czas ogłoszenia wyroku śmierci (zostanę zrzucona do morza z deski zamocowanej za burtą).

Czas, by spojrzeć prawdzie w oczy. Bolesnej prawdzie.

Czas, by przestać słuchać kretyńskich bredni Sam. Wracam do Lucy.

– Za cztery minuty muszę wracać na giełdę, więc słuchaj uważnie. Kiedy wróciłam do mieszkania, na sekretarce było kilka wiadomości. Nic wielkiego, tylko pytania, o której można się ciebie spodziewać z powrotem. Nie odsłuchiłaś wiadomości na komórce?

– Nie.

Słuchałam wiadomości, ale przewinięłam te, które nie były od Johna. Wśród tych olanych była pewnie jedna od Luke'a.

– Powiedziałam mu, że przegięłyśmy i urwał ci się film, ale musisz teraz do niego zadzwonić i udawać, że właśnie obudziłaś się u mnie.

– Dobra.

– I jeszcze jedno. Dzwon z komórki, gdyby czasem przyszło mu do głowy sprawdzić billing.

– Rozumiem. Dzięki.

Dzwonię do Luke'a.

– Kochanie, jak się masz? Martwiłem się tak bardzo.

W jego głosie słycać troskę, co działa jednocześnie kojąco i irytująco.

– Zupełnie niepotrzebnie.

– Niepotrzebnie? – W jego głosie coś drży.

– W ogóle co to za pytanie? – pytam wkurzona na całego.

Nie odpowiada mi, tylko zmienia temat.

– Connie, wyjdźmy gdzieś dziś wieczorem.

– Mam mnóstwo roboty.

To prawda. Zdaję sobie sprawę, że nieodpuszczający kac oznacza, że w ciągu dnia niewiele zdziałam i wieczorem będę nadrabiać zaległości.

– A nie mogłabyś dziś dać sobie z tym spokoju?

– Nie bardzo.

– No nic, możemy spróbować w przyszłym tygodniu – kończy z rezygnacją i rozczarowaniem w głosie.

– Pewnie, że tak.

Odkładałam słuchawkę, a Sam wpatruje się we mnie.

– Co? – pytam niewinnie.

– Dobrze wiesz, co – odpowiada, udając mojego ojca.

Rozdział 6

Zrywamy z tradycją i zamiast wydawania kasy w sobotnie popołudnie, postanawiamy spalić trochę kalorii. Wybieramy się na pieszą wycieczkę. Sam stwierdza, że potrzebuję odmiany („Jesteś znudzona. To źródło tego wszystkiego. Brakuje ci wyzwania. Potrzebujesz odmiany”). Mimo że nie zgadzam się z jej diagnozą, akceptuję pomysł, ponieważ wręcz obsesyjnie pragnę pracować nad doskonaleniem swej sylwetki. Poza tym jest końcówka listopada i nie mogę znieść nawet myśli o siłowaniu się z tłumami poszukujących świątecznych prezentów ludzi, którzy rozmnażają się w zawrotnym tempie od sierpnia. Sam przekonuje Daisy i Lucy, by dotrzymały nam towarzystwa, zresztą one też, bardziej lub mniej energicznie, chcą pracować nad doskonaleniem sylwetek, oczywiście odpowiednio do swych potrzeb. Rose również jest zachwycona pomysłem i proponuje, że podwiezie nas za miasto.

Lucy i ja jednocześnie zauważamy, jak czerwone volvo Rose wylania się zza zakrętu. Machamy entuzjastycznie. Twarz Rose rozplywa się w szerokim, powitalnym uśmiechu, a moment później pochmurnieje ze zmartwienia, kiedy Rose koncentruje się na znalezieniu wolnego miejsca do zaparkowania podczas niedzielного, wzmożonego ruchu w mieście. Sam, siedząca z przodu, opuszcza szybę w oknie samochodu i wrzeszczy w stronę nic niepodważającego, przypadkowego przechodnia:

– Pokaż nam swoje gacie.

Chłopak ma może z dziewiętnaście lat, pewnie jest w drodze na mecz albo coś w tym stylu, i najwyraźniej nie jest gotów lub nie ma ochoty na spotkanie z grupą napalonych trzydziestoparolatek. Sam odchyła głowę do tyłu, rechocząc ze swej śmiałości. Oczywiście Rose jest pełna współczucia dla zaczepianego chłopaka.

– Zostaw biedaka w spokoju. Jest czerwony po uszy.

Jezu, w tej kobiecie mieści się cała litość świata.

Lucy energicznie otwiera drzwi samochodu i wrzuca torbę do środka. Potem sama wspina się i zwiija na siedzeniu długie, elegancko odziane nogi. Wszystko wykonuje jednym zręcznym i powabnym ruchem. W tym czasie Daisy i ja męczymy się, ładując nasze toboły do bagażnika, a potem gramolimy się na siedzenie obok Lucy.

– Kurczę, to niesamowite przypomnieć sobie, jak mało bagażu potrzeba człowiekowi w podróży, kiedy nie ma się dzieci – komentuje Rose.

Gdyby to zdanie padło z ust kogokolwiek innego, uznałabym je za niesmaczny sarkazm, jako że spakowałam taką ilość słodyczy i ciuchów na zmianę, że starczyłoby na wykarmienie i odzianie rosyjskiej armii.

Siedzę w środku. To znaczy, że przez całą drogę do Essex muszę trzymać głowę zawadiacko przekrzywioną o jakieś czterdzieści pięć stopni. Nikomu nie przychodzi nawet do głowy, by zaproponować zamianę miejsc. Rose z pewnością bez mrugnięcia okiem zajęłaby najbardziej główne miejsce, ale strach, że żadna z nas nie ma wykupionego ubezpieczenia na prowadzenie

samochodu zwycięża nad jej uprzejmością. I tak podróż będzie niewygodna dla mnie, ale to ona doświadczy najgorszych katuszy. Uwielbia odgrywać rolę największej cierpiętniczki.

Wysyłamy w powietrze szybkie całusy, częstujemy się wodą Evian (zapobieganie odwodnieniu) i batonami Mars (zapewnienie niezbędnej dawki energii), zdejmujemy żakiety, szturchając się przy tym łokciami, pytamy, jak komu minął tydzień w pracy, jak się sprawdza opiekunka dla bliźniaków, i ruszamy w drogę.

– Czy to naprawdę konieczne? – pyta Lucy Sam. – Takie pseudodojrzałe zachowanie?

– O tak – zapewnia Sam. – To babski wypad, z obowiązkową dawką podtekstu seksualnego i infantylnego zachowania.

– Święta racja – przyznaje Lucy. – Najważniejsza jest czysta nieprzyzwoitość.

– To oksymoron.

– Co ty powiesz, pani mądralińska.

Rechoczemy. Zdaję sobie sprawę, że nieco maniakalne rozbawienie Sam wynika z chęci wybicia mi z głowy czegoś, co niewłaściwie pojmuję jako „przejściową fazę na cudzołożenie”. Próbuje mi udowodnić, że stać mnie jeszcze na szaloną błazenadę z przyjaciółkami i do szczęścia wcale nie potrzeba mi kochanka. Chociaż doceniam jej wysiłki, nie dopuszczam do wiadomości, że batonik Mars, nawet w rozmiarze XXL, może mieć przewagę nad fiutem Johna.

Podróż do Essex jest wspaniała. Wprawdzie gubimy drogę kilka razy, dokładnie pięć. Ale nikt się tym nie przejmuje. Babskie grono w samochodzie nie może robić problemów i hałasu o to, że ktoś powiedział prawo, mając na myśli skręt w lewo. Możemy spokojnie zatrzymać samochód przy drodze i bez cienia wstydu studiować mapy.

– Dzięki Bogu, że nie urodziłam się facetem – stwierdza Daisy, ładując się z powrotem do samochodu po trzecim z kolei wypytywaniu ludzi o drogę.

Właśnie odkryła, że obrałyśmy kurs niewłaściwy o jakieś sto osiemdziesiąt stopni od zamierzonej trasy.

– Jak to się dzieje? – pyta Rose. – Naprawdę chciałabym wiedzieć. Dlaczego zakładają, że najlepsza zabawa jest przy mnie, nieważne, gdzie stoję czy raczej, co robię. Frajda jest tam, gdzie odkurzam, sprzątam, robię zakupy lub czekam, aż odbije się maluchom.

– Przecież im nie wolno zapytać o drogę – Daisy ciągnie osobny wątek. – Simon uważa, że skoro Kolumb i kapitan Cook poradzili sobie bez tego, on też nie może pozwolić sobie na zachowanie poniżej jego godności.

– Daleko jeszcze? – pyta Lucy. – Muszę do kibla.

Nikt nie jest na tyle głupi, by sugerować rozwiązanie problemu w przydrożnym Little Chef. Lucy nie korzysta z publicznych toalet, pod żadnym pozorem. To byłoby przyznanie się, że jak reszta świata i ona należy do zwykłych śmiertelników.

Właśnie skończyłyśmy porywającą, lekko sfalszowaną interpretację *Girls Just Wanna Have Fun*, kiedy Sam drze się ze wszystkich sił.

– Jesteśmy na miejscu! Zjedź na lewo, Rose!

Widzę pub, dokładnie taki sam, jak co najmniej dwadzieścia innych pubów mijanych po drodze. Ale według naszego przewodnika *Piesze wycieczki po okolicach Londynu* to właśnie w pubie Green Man zaczyna się i kończy wybrany przez Sam szlak. Czarujące miejsce; wnętrze obite mahoniową boazerią, co sprawia przytulne i ciepłe wrażenie w zimie, i jak mniemam, chłodne, zacienione w lecie. Wyłożona kamieniami podłoga jest wytarta przez liczącą sobie stulecia tradycję wlokących się pijackich stóp. Kusi nas, aby nie ruszać się stąd ani na krok i spędzić tu resztę popołudnia. Ale Sam upiera się przy wędrówce po wzgórzach, a ściśle mówiąc, po wiejskich drózkach. Na dworze panuje szokujący mróz i mogę podziwiać parę z wydychanego przeze mnie powietrza. Sam zapewnia, że jak tylko ruszymy rześkim marszem, mróz przestanie dawać się we znaki.

– Jeszcze zdążycie się zapocić.

– Co za ohydna wizja – odpowiada Lucy. Wędrówkę urozmaicamy sobie charakterystycznymi dla pieszych wypadów rytuałami, takimi jak rozpoznawanie ptaków:

– To mewa.

– Nie mewa, tylko gęś.

– Rose, co to za ptak?

– Siewnica.

– Widzisz?

– Wypchaj się.

Albo pokazywanie różnych ciekawostek.

– Spójrz na to.

– Na co?

– E, już za późno.

Czy straszenie się niegroźnymi krowami.

– To byk.

– Przecież nie ma rogów.

– Bo to młody byk.

– Przecież ma wymiona.

No tak, z pewnością obcujemy z przyrodą. Dziesięć i pół kilometra wiejskich ścieżek wydaje się znacznie dłuższe niż dziesięć i pół kilometra na trasie Harrods-Knightsbridge-Sloane Square-King's Road, tam i z powrotem. Bo największy problem pieszych szlaków za miastem polega na tym, że po drodze nie ma żadnych butików. Ale Rose służy alternatywną rozrywką. Jej wykłady o ptakach żywiących się zosterą morską, błotnistych przyptływach i dziejach przemytu są bardzo pouczające. Potem zaczyna całkiem gorącą debatę na temat plusów i minusów polowania na lisy. My mamy prawo głosu jedynie wtedy, kiedy Lucy mówi: „Ci faceci wyglądają bosko w liberii, prawda?”. Słuszna uwaga, trudno się z tym nie zgodzić. Zauważam, że odłączam się od Sam, Daisy i Lucy i dotrzymuję kroku Rose. Jest coś przyjemnego w uczeniu się zupełnie nowych rzeczy, nawet jeśli wydają się zupełnie bezużyteczne, jak teorie na temat

mechanicznych oprysków zbóż czy wielkość rekompensaty, jaką otrzymają brytyjscy farmerzy za straty spowodowane chorobą szalonych krów. Odnotowuję w myślach, że zapamiętam kilka ciekawostek i dorzucę je do naszej następnej rozmowy z Johnem. Chociaż reflektuję się, że jego niekoniecznie muszą obchodzić podobne sprawy.

– Co one wyprawiają? – pyta Rose.

Wskazuje na dziewczyny, które wyprzedziły nas trochę; nie zatrzymały się, by wysłuchać pogadanki Rose na temat technik łowienia ostryg. Zbiły się w grupkę i wrzeszczą w stronę gęsi taplających się w błocie.

– Zamknęłaś za sobą drzwi? – krzyczy Daisy.

– Masz fundusz emerytalny? – drze się Lucy.

– Upewniłaś się, że twoje ubezpieczenie pokrywa ciekące kaloryfery? – dodaje Sam.

– Co robicie? – pytam, kiedy do nich podchodzimy.

– Z premedytacją lekceważymy Zasady Uprawiania Turystyki Pieszej – wyjaśnia Lucy z odrobiną złośliwej satysfakcji. – Dołujemy gęsi. – W celu pełnego wyjaśnienia dodaje:

– Nie mogłyśmy znaleźć owiec.

– Opłacacie abonament za telewizję? – przyłączam się.

– Czy sądzicie, że on kocha was tak samo, jak wy go kochacie? – pyta Daisy.

– Czy przyszło wam do głowy, że być może nigdy nie spotkacie Gąsiora Idealnego? – chce wiedzieć Sam.

– Skąd wiecie, że wyszłyście za odpowiedniego faceta?

– mruczę pod nosem.

– Czy to możliwe, że wasz mąż ma romans? – szepcze Rose.

Odwracam się do niej.

– Nie tylko gęsi się tu martwią.

Nie odpowiada mi i rusza przed siebie. Ostateczny cios wyczerpanym nerwowo gęsiom wymierza na odchodnym Lucy:

– Czy nie żałujecie, że nie zapisałyście się na aerobik?

Maszerujemy dalej. Sól skleja mi włosy, towarzystwa dotrzymują tysiące ptaków morskich, a ja wykorzystuję ten czas na swoje ulubione hobby – snucie fantazji o Johnie. Sporządzam całkowicie nową listę marzeń do realizacji na łonie przyrody. John goni mnie wzdłuż plaży, ja potykam się, on wpada na mnie. John goni mnie wzdłuż klifów, ja potykam się, on wpada na mnie. Wszystkie scenariusze są właściwie takie same. Ja biegnę wolno, a z niego jest szybki zawodnik. Marzenia przerywa mi kolejna atrakcja naszej wycieczki: saksońska kaplica pod wezwaniem St. Peter's-On-The-Wall. Sam i Daisy pędzą do środka by przećwiczyć marsz do ołtarza, śpiewają przy tym: „Wybieram się do świątynii i wkrótce wyyyjdę za mąż”. Mimo prawdopodobieństwa, że w środku będzie ciut cieplej, zostaję na zewnątrz, wybierając papierosa w towarzystwie Lucy.

– Nie wchodzicie? – pyta Rose. – To niezwykle interesujące miejsce. – Czyta z tabliczki

informacyjnej: – „Świątynia stoi tu w pobliżu bagien od ponad tysiąca trzystu lat. Święty Cedd, celtycki biskup, zdobył wykształcenie na Świętej Wyspie w... „,

Wyłączam się. Jestem niebezpiecznie blisko powrotu do mojej początkowej opinii o Rose. Straszna z niej nudziara. Wszyscy są nudni.

Zwraca się do mnie Lucy, wszystkowiedząca pani mądralińska. Mam tego serdecznie dosyć.

– Boisz się, że osiągnie cię kara boska?

– Nie bądź śmieszna, Lucy.

Nie sądzę, że oberwę gromem z jasnego nieba, może niezupełnie. Ale nie byłam w kościele, odkąd wyszłam za Luke'a. Ten fakt bynajmniej nie napawa mnie dumą. Sprawdzam wiadomości na komórce. Lucy obserwuje mnie uważnie.

– Brak zasięgu – tłumaczę z udawanym, wykrzywionym uśmiechem.

– Weź moją. Działa bez zarzutu.

Proponuje mi swój telefon. Miażdżę ją spojrzeniem, odwracam się i zaczynam oddalać się szybko ścieżką prowadzącą do pubu Green Man. Muszę się napić.

Jako rodzice chrzestni mamy z Lukiem obowiązek stawienia się na pierwszych urodzinach bliźniaków. Jestem sceptycznie nastawiona.

– I tak nie będą tego pamiętali. Po co ta cała szopka? – zawodzę, kiedy wchodzimy do samochodu.

Nie potrafię zapanować nad złym humorem. Gdyby tylko zadzwonił John. Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać. Nie zamieniliśmy słowa, odkąd spałam u niego. Zdaję sobie sprawę, że to moja wina. Za bardzo naciskałam. Pytając o Andree i klucze. Jest zimne sobotnie popołudnie, zostały dwa tygodnie do świąt, a ja mam do załatwienia z bilion rzeczy, by przygotować się na ten radosny dzień, kiedy rodzina będzie kotłować się pod choinką, otwierając i rozdając niechciane prezenty. Nie wysłałam ani jednej świątecznej kartki, nie kupiłam żadnego prezentu. Ten poziom dezorganizacji jest do mnie zupełnie niepodobny i w mojej świadomości osiągnął już stan alarmowy. Najgorsze jest nie to, że zawałam swój udział w sprzedaży detalicznej, ale fakt, że mam to wszystko gdzieś. Oczywiście ów stan alarmowy uchodzi zupełnie uwagi Luke'a. Ten duży chłopiec nie ma pojęcia o przedświątecznych zakupach, bo nigdy w nich nie uczestniczył. Nie wiem, który gen zwalnia mężczyzn z odpowiedzialności za świąteczne przygotowania, ale najwyraźniej to zaraźliwa przypadłość. Nie dbam o to, czy indyk będzie na tyle duży, by starczyło mięsa na kanapki następnego dnia. Nie interesuje mnie, co ciocia May dostała od nas w zeszłym roku, czy była to butelka sherry, czy może brandy. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zakupy zrobię w ostatniej chwili na stacji benzynowej Texaco. W towarzystwie pomp próżniowych i oleju firmy Castrol.

– Zobaczysz, jak tylko dotrzemy na miejsce, będziesz się wspaniale bawić – mówi Luke, ściskając mi lekko rękę.

Odsuwam dłoń i zakładam rękawiczkę.

– Uwielbiasz dzieci, będzie ich tam cała chmara. A zgadnij, co jest w tym wszystkim najlepsze? – zagaduje wesoło.

– Co? – pytam gburowato.

– Żadnego z nich nie musimy zabierać ze sobą do domu.

Uśmiecha się do mnie, a ja wyciskam na swoich ustach podobny grymas. Tak trudno nie być miłą dla niego, ale równie ciężko okazywać mu serdeczność. Luke zachowuje się jak zawsze, jest rozbijającym kochany. Problem w tym, że ja nie jestem już wiecznie uśmiechniętą dziewczynką. Jako że nie mam za grosz poczucia przyzwoitości, by dopuścić do głosu poczucie winy, zamiast tego koncentruję się na niezadowoleniu.

Dlaczego nie zadzwonił?

Mężczyźni nigdy nie pytają kobiet, co one czują, nie muszą tego robić. Same z siebie otwieramy przed nimi najskrytsze zakamarki naszych umysłów i dusz albo paplamy o błahostkach. Za to kobiety bezustannie pytają mężczyzn, co im leży na sercu. Pewnie dlatego, że interesujemy się szczerze, czy oni w ogóle są zdolni do czucia czegokolwiek. Kiedy pada pytanie, faceci zazwyczaj wykręcają się lakonicznym „nic”. Trafność tej odpowiedzi przybija nas i czujemy się niemilo dotknięte. To „nic” ma taką samą wartość, co woskowina w uszach, puszek na pępku czy piłkarskie rozgrywki. Dlatego właśnie moje rozczarowanie sięga zenitu, kiedy podczas jazdy samochodem Luke spełnia moje odwieczne marzenie pytaniem: „Co ci leży na sercu, Con?”. A ja, zamiast ożywionej paplaniny o nieistotnych pierdołach, które zwykle zaprzatają mi głowę, nadąsana zmuszam się do odpowiedzi.

– Nic.

Resztę drogi jedziemy w milczeniu. Pragnę, by dociekał dalej. A jednocześnie budzi to we mnie strach. Co bym zrobiła, gdyby zapytał bez ogródek: „Connie, czy ty aby nie pieprzysz się z kimś na boku?”. Lubię rozmyślać o tym, że nie potrafiłabym okłamać Luke’a, mojego najlepszego przyjaciela, prawdziwą miłość. Lubię myśleć, że zapytana wprost, wyjawiałabym prawdę. Tyle że uderza mnie niekonsekwencja tego założenia, skoro nie mam skrupułów okłamywać go za każdym razem, kiedy dopuszczam się zdrady. Ale obecnie jestem pełna męczących sprzeczności. Wkurza mnie, że Luke do tej pory nie zauważył niesamowitej transformacji, którą przechodzę. Chciałabym, żeby zażądał zazdrośnie wyjaśnień, z kim i dokąd wychodzę wieczorami. Dlaczego nie mam ochoty na seks? Dlaczego bez przerwy kupuję nowe ciuchy? Chociaż ten ostatni argument to żaden rzucający się w oczy dowód, ale już moje nieustanne wizyty w siłowni są przynajmniej podejrzane. Z drugiej strony paraliżuje mnie przytłaczające poczucie bezwartościowości. Luke kocha mnie i ufa mi, nie przejdzie mu nawet przez myśl, że dopuszczam się czegoś niegodziwego. Jego pewność wynika z wiary w ludzi, a we mnie w szczególności. To rzecz, którą kocham w nim najbardziej i jednocześnie nienawidzę z całego serca. Rose i Peter mieszkają w ogromnym, czteropiętrowym, wiktoriańskim domu w Holland Park. Wizytówka olśniewającego i nieustającego sukcesu Petera w City. Właśnie takie domy pokazuje się na świątecznych kartkach. Ogromny, biały, robiący wrażenie,

nieprzenikniony budynek. Większość ludzi na widok takiego domu doznaje horrendalnego poczucia niższości. Daisy otwiera szeroko drzwi.

– A, to wy.

Luke i ja wymieniamy znaczące spojrzenia.

– Dzięki Daisy, co za miłe powitanie.

– Przepraszam. – Natychmiast ogarnia ją poczucie winy. – Miałam nadzieję, że to Simon.

– Spóźnia się?

– Już piętnaście minut.

Mam ochotę uzmysłowić jej, że to żadne spóźnienie. To wręcz zupełnie naturalne zachowanie. Ona spogląda niecierpliwie na zegarek i wraca do pokoju.

– Zapraszam do środka. Wezmę płaszcz. – Luke sarkastycznie naśladuje perfekcyjnego gospodarza.

Rose wytacza się z pokoju gościnnego, omal nie przewracając po drodze choinki monstrualnych rozmiarów, która zdominowała cały przedpokój. Wygląda dokładnie jak Pied Piper, jako że setka dzieciaków ciągnie ją za spódnicę, domagając się nocnika, słodyczy, picia i zabawek. Ogarnia mnie klaustrofobiczne uczucie. Nie potrafię wymyślić, na jakiej podstawie Luke sądzi, że kiedykolwiek lubiłam dzieci. Rose wita nas udręczonym, szczęśliwym uśmiechem. Luke nurkuje i podnosi pulchnego malca, który drze się wniebogłosy. Kiedy on dźwiga ważącego tonę potwora na swoich ramionach, pytam:

– Skąd się wzięły te wszystkie dzieciaki?

– To kinderbal – odpowiada przepraszająco Rose.

Dom tonie w girlandach i stroikach. W powietrzu czuję zapach keksu i grzanego wina. Dookoła piętrzą się nieprzyzwoite ilości świecidełek, błyskotek, ostrokrzewu i zyczliwości. Mam wrażenie, że jestem we wnętrzu katalogu Next. Albo Next spotyka się z Early Learning. Jestem wręcz zdziwiona, że żaden ze zgromadzonych mężczyzn nie włożył kiltu i szczerze oczekuję, że za chwilę ktoś zaproponuje wspólne kołędowanie przy pianinie. Mozolnie przedzieramy się do pokoju gościnnego. Dzieci są dosłownie wszędzie: pod stołami, na stołach, na krzesłach, pod krzesłami, za zasłonami, na kanapie, w kredensach, zwisają z żyrandoli, wspinają się na choinkę. Bardzo niewiele z nich wygląda na szczęśliwe, żadne natomiast nie siedzi cicho. Większość wrzeszczy lub płacze albo rozdaje ciosy pięściami, drażni się czy gryzie.

– Bawimy się wyśmienicie – krzyczy Sam, bez cienia ironii w głosie.

Ale w końcu jej twarz jest już różowa, a kieliszek pusty. Luke i ja wymieniamy spojrzenia, przyznając w duchu, że Sam obrała bardzo rozsądną taktykę przetrwania. A więc on oddala się w celu znalezienia alkoholu, a ja rzucam mu na odchodnym, oby tylko nie zapomniał, że jest kierowcą.

– A gdzie Lucy? Nie widzimy jej za często ostatnimi czasy – pyta Sam.

– Nie rusza dupy z pracy – odpowiadam.

– Tęsknię za nią – mówi Sam, której zawsze po paru kieliszkach szampana zbiera się na

sentymety.

– Należysz do mniejszości – dodaje Rose, pozwalając sobie na nader rzadką w jej wykonaniu uszczypliwość.

– Ojej – zgodnym chórem pieję z Sam.

Rose natychmiast zalewa się szkarłatnym rumieńcem, żałując od razu swojej próby sił w szkole manier Alexis Carrington.

– Chciałam tylko powiedzieć, że ona potrafi być taka nieprzyjemna i złośliwa – próbuje się jeszcze bronić.

– To nie złośliwość, tylko mądrość – stwierdza Peter, całując udręczoną żonę.

Próbuje załagodzić jej towarzyską gafę obsmarowywania jednej z naszych przyjaciółek tak wczesnym popołudniem nim jeszcze mamy kieliszki w rękach.

– Ja też za nią tęsknię – mówi Luke, wiecznie zadowolony z życia.

Z wdzięcznością przyjmuję wręczony mi przez niego dzin z tonikiem i ruszam dalej. Luke roztropnie zaszywa się w jaskini Petera. Rozumiem, że tatusiowie gromadzą się (czytaj ukrywają) w tej pieczarze, palą cygara i gratulują sobie spłodzonych synów i następców.

Mężnie rozdzielam Becky-baletnicę i Toma-Boba Budowniczego, którzy grzmocą się bezlitośnie, ledwo uchodząc z życiem. Jak się wydaje, nikt inny nie przejmuje się, że na włochatej wykładzinie Rose mogło dojść do krwawego i nikczemnego mordu. Dzieciaki biją się zaciekle, związują się, gryzą i, ogólnie mówiąc, trenują z pasją, by zasilić kiedyś szeregi entuzjastów widowiskowych sportów siłowych. Przeciskam się w kierunku sofy, a potem wpycham się między matkę Arabelli a matkę Bena. Siedzą i dyskutują o kolorze niemowlęcych kup i konsystencji papek ze słoików marki Heinz. Chyba nic nie pokręciłam. Macierzyństwo to niewątpliwie wyjątkowe doświadczenie, ale dlaczego wszyscy wychodzą z założenia, że skoro mamy je we krwi, wszystkie musimy mieć na to jednakową ochotę? Kobiety, które urodziły już potomstwo, potrafią godzinami opowiadać tym, które jeszcze nie zabrały się do rozmnażania, o wszelkich dolegliwościach związanych z ciążą: żylaki, okropne wzdęcia, bóle kręgosłupa, dławienie się własnymi bebechami każdego ranka, zakaz spożywania alkoholu w zamian za góry korniszonów. A sam poród? Wystranie piłki nie brzmi zachęcająco. – Planujecie dzieci? – Mama Arabelli patrzy na mnie z nadzieją.

– Nie – odpowiadam z poczuciem winy, bo podejrzewam, że zawiodłam jej oczekiwania.

– Staracie się? – pyta konspiracyjnym szeptem.

Wyraźnie zainteresowana matka Bena przysuwa się bliżej.

– Nie – mówię z poczuciem winy, bo mam świadomość, że ponownie zawiodłam jej oczekiwania.

Gapią się na mnie przerażone, jakbym co najmniej była ohydny potworem. Co niby mam im powiedzieć? „Sytuacja jest dość skomplikowana, mąż pomyślałby, że to niepokalane poczęcie, a kochanek... „. Właściwie, co zrobiłby John? Uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Połykam resztkę dzinu i z wdzięcznością przyjmuję kieliszek wina wręczony przez Daisy. Rozglądam się

dookoła w poszukiwaniu innych tematów, które te dwie matki byłyby skłonne podjąć. Rozważam przedstawienie im teorii, że Matka Natura z pewnością jest płci brzydkiej. Transwestytka Natura, jak nic. Powstrzymuję się.

– Więc żadnych dzieci – kontynuuje matka Bena. – Czy należysz do kobiet, które postawiły na karierę?

Stara się przybrać wspierający ton, ale wychodzi z tego współczucie.

– Nie, skądże. Nie znoszę mojej pracy.

Mam świadomość, że wygląda na to, iż mam więcej wspólnego z Benem (lat trzy i pół) niż z jego matką, ale nie mogę zmusić się do bycia bardziej uprzejmą. Nudzę się. Jestem przerażona. Nie chcę tego wszystkiego. Nie chcę tkwić w pracy, której serdecznie nie cierpię, czekać na bachory, które z pewnością znienawidzą mnie za przymus ziszczenia moich niedoszłych ambicji. Połykam drugi kieliszek wina i obserwuję matkę Eloise, jak sprząta wymiociny, i matkę Roberta, która używa swego pięknie opiłowanego paznokcia do usunięcia gluta z nosa swego syna. Co za nuda. Nie jestem jeszcze na to gotowa. Musi być coś więcej. Z hańbiącej opresji niebycia ani matką, ani karierowiczką ratuje mnie Sam, która ściąga mnie z sofy i prowadzi do jadalni.

– Odwiedził nas Święty Mikołaj. – Uśmiecha się szeroko.

– Sam, moja droga, nie wiem, ile wypijaś, i wcale mi się nie uśmiecha być tą, która musi cię wyprostować. Święty Mikołaj nie istnieje.

Wywraca swoimi olśniewającymi oczyma w akcie desperacji.

– Przecież wiem. Uświadomiono mnie, jak miałam dwanaście lat.

– Dwanaście?

– Simon przebrał się za Mikołaja. To taka niespodzianka dla dzieci.

Cieszę się na tę rozrywkę. Muszę przyznać, że przebranie jest ekstra. Ledwo go poznaję.

– Gorąco ci? – pytam.

Zachowuje się trochę dziwnie, wierząc się i przestępując z nogi na nogę. Zastanawiam się, czy za dużo wypił, czy może zmaga się z tremą przed występem.

– Wszystko w porządku – zapewnia, a potem wrzeszczy: – Gdzie jest mój worek, gdzie jest mój worek?! – Ton jego wypowiedzi przekracza znacznie stan umiarkowanej hysterii.

Sam i ja gromadzimy dzieci, ustawiając je w pozornym porządku. Zaprowadzenie dyscypliny jest relatywnie łatwe dzięki odwiecznej sile przekupstwa. Nawet te cyniczne cyberdzieciaki są wystarczająco naiwne, by kupić bajkę o Świętym Mikołaju. Kiedy maluchy stoją już w rzędzie, okazuje się, że jest ich tylko dziesięcioro plus sześcioro niemowlaków. Jak taka gromadka może narobić tyle hałasu? Myślałam, że mamy do czynienia z połączonymi siłami z *Annie*, *Olivera Twista* i *Babes in the Wood*.

Daisy nie została wtajemniczona w numer z Mikołajem, więc kiedy rozpoznaje Simonowy głos w „ho, ho, ho!”, jest zachwycona. Wymięka natychmiast i, widząc jej maślane oczy, jestem pewna, że wyobraża sobie teraz wypad do Baby Gap i scenki z reklamówek Calvina Kleina. Dobrze wiem, bo kiedyś? na początku mojej znajomości z Lukiem, zachowywałam się dokładnie

tak samo. Teraz już nie. Cudzołóstwo nie pojawia się w spotach reklamowych Calvina Kleina. Trudno powiedzieć, by postępowali zgodnie z duchem czasów. W końcu mamy lata dziewięćdziesiąte. Simon pyta każdego dzieciaka, czy przez miniony rok zachowywał się grzecznie (oczywiście ci mali łgarze przytakują bez mrugnięcia okiem). Potem gmera w wielkim worze i wręcza prezenty, w zależności od płci jest to telerubisioowy pistolet na wodę lub zestaw biżuterii Barbie; pomysł Rose z klementynkami i czekoladowymi monetami nie zyskał poparcia. Małe, szczęśliwe i podekscytowane twarzyczki stopiłyby nawet najbardziej zatwardziałe serce bijące w piersiach najbardziej cynicznej osoby w tym pomieszczeniu. A tą osobą, jako że Lucy się nie pojawiła, jestem ja.

Kiedy wszystkie dzieciaki mają już prezenty i właśnie zaczynają walczyć o to, komu trafił się najładniejszy plastikowy bubel (wszystkie są takie same), Święty Mikołaj krzyczy:

– Mamy tu jeszcze jedną dziewczynkę, która nie zdradziła Mikołajowi swojego gwiazdkowego marzenia.

Chwyta Daisy za rękę i zmuszają do zajęcia miejsca na fotelu Świętego Mikołaja. Daisy jest w kolorze butelki burgunda.

– A więc, moja droga – pohukuje Mikołaj. – Czy byłaś grzeczna w tym roku?

– Poza drobnym incydentem w parku – szepcze mi Sam do ucha i zaczynamy rechotać.

Rose mierzy nas wzrokiem kaznodziei, wymierzając niemą reprimendę, więc zamykamy się natychmiast.

– Chyba tak – odpowiada Daisy ze śmiechem.

– Cóż, bardzo nie lubię się z tobą nie zgadzać i muszę przyznać, że w tym roku byłaś nadzwyczajnie grzeczna. Jesteś cudowna i mam dla ciebie wyjątkowy prezent. Pod warunkiem, że go zaakceptujesz.

– Ciekawe, co to – szepcze podekscytowana Sam.

– Stawiam na bilety w jakieś egzotyczne miejsce.

– Dziwka.

Sam to wspaniała przyjaciółka.

Atmosfera w pokoju gęstnieje od napięcia. Kobiety są zachwycone tym romantycznym gestem, a mężczyźni przechodzą katusze. Jeśli Simon dopuści się precedensu, by publicznie dać wyraz swym uczuciom, będą musieli zwrócić w perfumeriach zakupione pachnące zestawy czy elektryczne trzepaczki do jajek i kupić swoim kobietom coś, o czym naprawdę marzą.

– Prawdę mówiąc – kontynuuje Mikołaj – jesteś wręcz niewiarygodnie grzeczna. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam kogoś tak dobrego, wyjątkowego i niesamowitego – jego głos napina się od emocji. – Byłbym więc zaszczycony, wniebowzięty ze szczęścia, gdybyś przyjęła ten prezent.

Wyjmuje ze swojego worka małe zawiniątko, pudełeczko z pierścionkiem, a cały pokój wstrzymuje oddech.

– Czy zechcesz mnie uszczęśliwić? Czy... – nieświadomie zaczyna podśmiewywać się na

dźwięk oklepanych formułek – ... czy sprawisz, że będę najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi?

– Oooooooooo, tak, tak, tak – piszczy Daisy, wpychając pierścionek z ogromnym brylantem na swój palec, nie dając Simonowi nawet szansy na rozmyślenie się.

Cały pokój wybucha gratulacjami i aplauzem. Ktoś zaczyna śpiewać *For they are jolly good fellows*. Daisy całuje Simona, a potem Rose. Następnie Rose całuje Simona (nie w taki sposób, jak to zrobiła Daisy, to rozumie się samo przez się), Simon ściska dłoń Luke'a i Petera. Daisy całuje mnie i Sam. Sam płacze, łzami zalewa się też matka Becky, matka Arabelli i matka Eloise, choć żadna z nich nigdy wcześniej nie spotkała Daisy. Strzelają korki od szampana. Ta olśniewająca i magiczna chwila należy do Daisy.

Gorączkowo przepycham się przez tłum i pędzę do łazienki. Po raz drugi czuję szampana w ustach, klatka piersiowa jest boleśnie ściśnięta. Nagle robi mi się gorąco i kręci mi się w głowie. Wymiotuję, przemywam twarz zimną wodą i ciężko opieram się o drzwi.

– Wszystko w porządku? – Sam wali w drzwi. – Niedobrze ci?

Wpuszczam ją do środka.

– Bardzo.

– Wstawiona, w ciąży, zazdrosna czy zżera cię poczucie winy?

Rzucam jej gniewne spojrzenie.

– Czy kiedykolwiek byłam tak zakochana? – pytam, siedząc na klapie od sedesu.

Sam łagodnieje.

– Nawet bardziej. Nie pamiętasz?

– Nie, nie pamiętam, by Luke kiedykolwiek sprawił, abym poczuła, że z wrażenia żołądek podjeżdża mi do gardła. Nie pamiętam, by kiedykolwiek pochłaniał mnie zupełnie.

Sam znów zamienia się w kamień.

– Uzależniłaś się od tej namiętności.

– Nieprawda.

– Prawda. Z Lukiem było dokładnie tak samo, z takim wyjątkiem, że on masował ci brzuch, kiedy miałaś skurcze podczas okresu. Nie pamiętasz? Pragnęłaś go tak bardzo, że wypruwałaś z siebie żyły. Nawet zaczęłaś grać w golfa. Przez pół roku zajmowałaś się dzieckiem jego siostry w piątkowe wieczory. A raz sama przysłałaś sobie kwiaty, by wzbudzić jego zazdrość.

Uśmiecham się na wspomnienie tego incydentu.

– Zadziało.

– I to cholernie, przez miesiąc mieliśmy kwaciarnię w biurze. Czy zapomniałaś już, jak kiedyś zaczynaliście zdanie od tych samych słów, potem siedzieliście w milczeniu całe godziny, które jednocześnie przerywaliście identycznymi wypowiedziami? Myślicie tak samo. Nie pamiętasz, jak kończyliście swoje zdania? A jaka byłaś wniebowzięta, kiedy dowiedziałaś się, że uwielbia Arthura Millera i cytował go dla ciebie? Twój ulubiony dramaturg. Con, nie było mnie tam, ale pamiętam wszystko, bo znam prawdę od ciebie. Powiedziałaś mi, że w momencie, kiedy

go zobaczyłaś, wiedziałaś, że za niego wyjdiesz. Pragnęłaś wyjść za niego. Mówiłaś, że on cię uzupełnia.

Coś niecoś pamiętam. Przypominam sobie, że o tym opowiadałam. Ale za nic nie potrafię odtworzyć tamtych uczuć. Siedzę naprzeciwko Sam i miętoszę ze zdenerwowania włosy.

– Na samą myśl o Johnie ściska mnie w żołądku.

– W żołądku?

– Trafne pytanie. W rzeczywistości ściska mnie trochę niżej. Ale jestem kobietą. Nie godzi się, bym ulegała tak pierwotnym instynktom, w końcu to domena mężczyzn. On jest taki przystojny, niesamowity, szalony, seksowny. Wystarczy, że o nim pomyślę, a już mam orgazm. Pociąga mnie kształt jego szyi. Pociąga mnie sposób jego poruszania się. Zapach skóry. Dotyk ręki.

Sam siedzi na krawędzi wanny i trzyma moją dłoń. Mówię ze ściśniętym gardłem, a moje tłumaczenie brzmi jak błagalna prośba.

– Odciska bolesne piętno na mojej świadomości i nieświadomości, zostawiając ciężką ranę.

Sam nie potrafi mnie zrozumieć. Mam wszystko to, czego ona pragnie. A teraz w podwójnej dawce. Ale jest moją przyjaciółką. Jedną z lepszych, jakie mam, i bardzo chce mi pomóc.

– Istnieje możliwość, że ta rana zagoi się i zablizni, jeśli tylko przestaniesz rozdrapywać strupek – szepcze do mnie.

– Być może – przyznaję.

Jakaś część mnie ma dosyć kłamstwa i niedomówień, braku zaufania i udreki. Widok spontanicznego zachwyty Daisy sprawił, że zatęskniłam za prostą niewinnością, którą sponiewierałam.

– Ale czy kiedykolwiek uda mi się poskładać w kawałki to, co kiedyś łączyło mnie z Lukiem? – pytam nieśmiało.

Happy Birthday to You, moja komórka brzęczy z torebki. W amoku wyrzucam całą jej zawartość na pokrytą kafelkami podłogę: szminka, długopisy, klucze, tampony, portmonetka, paragony rozsypują się we wszystkich kierunkach. Szaleńczo szperam między drobiazgami, aż natrafiam na telefon. Ignoruję zdumioną i rozczarowaną twarz Sam.

– Halo, halo – gorączkowo zaklinam telefon.

– Hej, seksowna. Jak się masz. Możesz rozmawiać?

Zanurzona w zachwycie, opieram się wygodnie o wannę.

Moja twarz niemal rozpada się na kawałki. Sam wzdycha i wychodząc, pozwala, by drzwi od łazienki trzasnęły za nią z hukiem.

Lucy nie pokazuje się za często w towarzystwie i tylko ja widuję ją regularnie, więc mogę snuć nieskończone rozmowy o Johnie. Lucy nie wykazuje się zbyt dużą cierpliwością („Connie, kiedyś można było z tobą pogadać o czymś innym”) albo nawet zrozumieniem („Chodzi mi o czasy, kiedy miałaś ciekawsze rzeczy do powiedzenia”). W rzeczywistości bardzo często nie

kryje swego pesymizmu („Jeśli z tym ci nie wyjdzie, znajdziesz sobie innego”). Ale mimo wszystko jest jedyną osobą, która mi nie prawi morałów. Zawsze pochwałała rozpieszczanie siebie i hedonistyczne zachowanie („Traktuj siebie najlepiej”). Dawniej ta filozofia dbania tylko o własny tyłek denerwowała mnie, ale teraz traktuję to jako wyrafinowane podejście do życia, zmierzenie się z rzeczywistością. Kogo ranie? Ostrożnie dbam o to, by moje alibi było nie do zakwestionowania, nigdy nie spotykam się z Johnem, jeśli Luke ma wolne, i jestem uosobieniem dyskrecji w towarzystwie Johna. Nigdy, przenigdy nie rozmawiam o Luke’u. Naprawdę, gram możliwie fair. W zaistniałych okolicznościach. Lucy pochwała sposób, w jaki rozgrywam całą sytuację („Myślę, że masz możliwości, by stać się specem od zdradzania. Zakładając, że porzucisz swoje romantyczne fanaberie”).

Bardzo wygodnie jest robić z nią zakupy, bo nawet gwiazdkowe tłumy rozступują się przed nami niczym Morze Czerwone przed uciekającymi Izraelitami. Łazimy po Harvey Nics, ja biegnę za jej plecami i próbuję dotrzymać tempa jej zdeterminowanym krokom. Winda zatrzymuje się na piątym piętrze, siedzibie wszelkich dóbr spożywczych. Kawy, herbaty, puddingi, korniszony i sery w każdym możliwym rozmiarze i kolorze, nie można sobie wyobrazić większej różnorodności. Wybór jest przytłaczający. Te wszystkie pyszności zapakowane są zdumiewająco wyszukanie, a kosztują zdumiewająco dużo. Zgodnie wybieramy około dwudziestu pięciu „niezbędnych zbytków”. Dotykam egzotycznego koszyka wypełnionego po brzegi spełnionymi zachciankami.

– Co proponujesz dla Rose?

Zanim odpowiada, wznawiam, porzucony na chwilę, temat Johna.

– Zwierzył mi się ostatnio, że źle się czuje, widząc przepaść między tym, jaki jest naprawdę, a tym, czego oczekują od niego inni. Że jego prawdziwe uczucia są dalekie od tego, co inni chcieliby, żeby czuł. Kiedy próbuje siebie tłumaczyć, jestem jedyną osobą, która wie, o czym on mówi. Ludzie go nie rozumieją. Jest w nim znacznie więcej niż to, co widzą inni.

Lucy patrzy na mnie, jakbym przybyła z innej planety. Wzdycha niecierpliwie, po czym ogłasza swój werdykt.

– Brzmi to jak bajka o pretensjonalnym pałancie. Con, to emocjonalny kaleka. Gorzej nawet, to emocjonalny kaleka z obsesją na swoim punkcie. Rose wolałaby granatowe ręczniki.

Odchodzę od koszyków i przeglądam zestawy toaletowe. Właściwie, to nie do końca użył takich słów, jakie przedstawiłam Lucy. Powiedział coś bardziej w stylu: „Jestem, jaki jestem. I lubię siebie takiego, nie mam zamiaru zmieniać się w kogoś innego tylko po to, by spełnić oczekiwania ludzi. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie wiem dlaczego, Con, ale ty rozumiesz, o co chodzi. Prawda? Jesteś taka jak ja, a to, co robimy, służy nam tylko do zwrócenia uwagi. Jesteśmy tacy pobłażliwi. Nie lubimy, kiedy nie dostajemy, czego chcemy”. Stał nagusieńki, z wyjątkiem skarpetek. Wzniósł ręce do góry, a potem opuścił je wolno, kiedy wskakiwał na mnie, znudzony konwersacją na temat oczekiwań i samorealizacji.

– On nie jest emocjonalnym kaleką. No, przynajmniej nie większym niż reszta mężczyzn.

Ma potencjał, by zejść bardzo daleko. Dobrze by mu zrobiło, gdyby przeczytał „Marie Claire”.

Lucy gapi się na mnie zdeprymowana.

– Przestań – zaczyna autorytatywnie. – Przestań go idealizować. To typ faceta, który wychodzi z założenia, że w każdą dziurę można strzelić gola.

Kiwam głową. Zdaje się, że słyszałam, jak używał tego powiedzonka.

– On nie realizuje scenariusza oddanego i napalonego kochanka. Nie zaprasza cię nigdzie.

– Nie przeszkadza mi to.

– A powinno.

– Zawsze ma takie intencje. Często, kiedy się spotykamy, umawiamy się na kolację po jednym szybkim.

– Masz na myśli drinka. Ten gość ma mgliste pojęcie o romantycznych gestach, nie sądzisz?

Jestem zmęczona.

– Czy kiedykolwiek przysyłał ci słodkie e-maile? Dostałaś od niego choć raz anonimowo kwiaty, albo i nawet z bilecikiem?

– Kupił mi raz książkę, a na okładce napisał romantyczną dedykację, byśmy kiedyś spróbowali odegrać jej zawartość.

– Jaka to książka?

– *American Psycho*.

– To raczej nie Cathy i Heathcliff?

– Przyznaję, że po przeczytaniu o tych wszystkich świętych głowach, obawiałam się nieco zadzwonić do niego.

Śmiejemy się.

– Każdego wieczoru umawia się z kumplami na jednego. Jakoś zawsze „ten jeden” zmienia się w kilkugodzinne picie.

Wkłada do koszyka risotto z trufkami.

– Próbuje poderwać kelnerki, dziewczyny z sąsiedniego stolika, wszystkie, jak leci. Jeśli mu się nie udaje, idzie do bankomatu i zarywa panienkę z kolejki.

Dodaje pastę z kalmarów.

– Ale do tego czasu ledwie trzyma się na nogach, więc cały jego chłopięcy urok, który niewątpliwie posiada, trafia szlag. No to uderza do tandetnego nocnego klubu. Krawat obwiązuje sobie wokół głowy i nie może wyhaczyć pierwszej lepszej szesnastolatki z Essex, która przyjechała się zabawić. Nawet te dziewczyny, które chcą przeżyć przygodę w wielkim mieście, odpycha takie niewybredne, perwersyjne, kretyńskie zachowanie.

Z każdym wypowiedzianym zdaniem celuje wściekle wybranym rarytasem do koszyka. Zatrzymuje się i odwraca do mnie.

– A potem, kiedy wlecze się do domu, dzwoni zdesperowany do ciebie. I ty myślisz, że to miłość?

– To nie tak – upieram się. – Nigdy nie wspominałam o „miłości”. Tylko o „przeznaczeniu”.

Mam wrażenie, jakby przejrzała mnie na wskroś.

– Zapisał mój numer w swojej komórce – próbuję jeszcze.

– Totalny bydlak, co? – raczej stwierdza, niż docieka.

Jej bogate doświadczenie sprawia, że jest autorytetem w tej dziedzinie.

– Jasne. Inaczej by mnie tak nie pociągał.

To do niej trafia, bo kiwa tylko potakująco.

– O co ci chodzi, Lucy? Jakoś dotąd nie dałaś mi do zrozumienia, że masz coś przeciwko.

„Przeciwko” mówię raczej wyniosłym tonem.

– Nie mam ochoty na te święta – wzdycha Lucy.

Odwraca się do marmolad i podnosi słoik Przysmak Dżentelmena. Odkłada go lekceważąco z powrotem.

– Kochanki nie mają lekko w tym czasie.

Nigdy wcześniej nie sądziłam, że Lucy obchodzą święta. Zawsze twierdziła, że świętowanie narodzin Jezusa to sentymentalne i zabobonne zawracanie głowy.

– Chcesz o tym pogadać? – pytam ze współczuciem.

Lucy waha się. Oczywiście, że nie, więc pasuję.

– Byłabyś zła, gdybym powiedziała, że nikt nie potrafi zrozumieć Johna? – zagaduję.

Przeglądam książkę kucharską i zastanawiam się, czy właśnie tę wybrali dla mnie rodzice Luke’a pod tegoroczną choinkę.

– Wściekła.

– Uderzyłabyś mnie? – Uśmiecham się, próbując nieco poprawić jej humor.

– Tak.

– Jestem w niebezpieczeństwie znalezienia się na liście osób dotkniętych przemocą fizyczną.

Najwidoczniej nie uważa tego za śmieszne, bo jej twarz wyraża lodowatą obojętność.

– To poważna sprawa, Lucy. Czy potrafisz sobie wyobrazić, że on może być moim przeznaczeniem, a ja wyszłam za nieodpowiedniego mężczyznę?

– A on niby jest tym odpowiednim?

– Lucy! Jestem taka szczęśliwa – upieram się.

– Nie, nie jesteś szczęśliwa. Nigdy wcześniej nie widziałam, byś była tak nieszczęśliwa. Nie czerpiesz żadnej przyjemności z rzeczy, które kiedyś sprawiały ci frajdę. Nie dbasz o spotkania z ludźmi, których kiedyś ubóstwiałaś. Jesteś beznadziejnie przybita, załamana, sfrustrowana, zła. Miotasz się między uświęconym a zwykłym gniewem. Jesteś wściekła na siebie, na Luke’a, na Johna. Daj sobie spokój, Connie. To nie pasuje do ciebie.

– A właśnie, że pasuje. Jeszcze nigdy nie byłam taka szczupła. To nie może być nic złego, skoro udaje mi się zgubić parę kilo.

Lucy wywraca oczyma.

– Bzdury, Connie. Od momentu, kiedy go poznałaś, nie byłaś szczęśliwa. Udręczona – jak najbardziej; przepełniona lękiem – również, chuda, przynaję – też. Ale szczęśliwa? W żadnym

wypadku. Opłać sobie lekcje z trenerem w siłowni, to będzie łagodniejsze potraktowanie siebie. – Przerzywa na chwilę i znów jest poważna. – Odpuść go sobie, Con.

– Niezła rada.

– Okej, przyznaję, tak właśnie ci radzę i możesz mnie za to zastrzelić. Staram się pomóc, Con, nie prawię ci morałów.

– Akurat ty nie bardzo masz do tego prawo, co? – warczę. Jestem podła, wiem, ale mam to gdzieś.

Lucy wydyma usta.

– No właśnie. Wiem, o czym mówię. Connie, nie chcesz przecież stać się taka jak ja. Spróbuj porozmawiać z Lukiem. Daj sobie spokój z Johnem. Nie chcesz go zatrzymać na zawsze. Bawisz się nim z nudów. Mówię ci, daj sobie spokój, zanim wszystko się zawali.

– Zawali?

– Zanim zostaniesz przyłapana albo porzucona. Powiedz mi tylko, czy to jest szczęśliwe zakończenie? Tego chcesz? Pomyśl o tym.

Tra la la la la laaa, la la la la laaa. Śpiewają nam aniołowie. Luke budzi mnie swoim śpiewem. Ostrożnie kładzie tackę ze świątecznym śniadaniem na łóżku. Wędzony łosoś, jajecznica, keks, świeży sok z pomarańczy, kawa, kartka świąteczna od niego i gałązka świerku. Bożonarodzeniowy jarmark przyjemności. Całuje mnie; miły, ciepły pocałunek. Porządny całus. Odgrywam szopkę, jak to muszę wstawać i że spóźnimy się do Rose i Petera, jeśli się nie pospieszymy.

– Nie panikuj, Con. Całowałem cię tylko. Nie sugerowałem seksu. Widzę przecież, że trenujesz, by złożyć śluby czystości.

Wychodzi z pokoju, a mnie ogarnia poczucie winy. Wiem, że zepsułam atmosferę. Wyczerpałam już limit wykrętów od seksu. Bóle głowy trwające cztery miesiące zwiastują raczej coś poważnego. E tam, nie mogę teraz o tym myśleć. Zresztą obecnie rzadko w ogóle myślę o tym, co robię. Nie mam na to za dużo czasu, prowadząc schizofreniczny tryb życia. Marzę na jawie, fantazjuję i okazjonalnie się martwię. Ale nie myślę. W ulubionej fantazji prowadzę dwa równoległe życia, które nie kolidują ze sobą boleśnie.

W życiu z Lukiem mieszkam w naszym obszernym domu w dzielnicy Clapham. Jestem mądrą, bystrą, oddaną żoną. Żoną zakochaną w swoim mężu. Zachwyconą, a nie tylko zadowoloną. Dążącą do celu i zdeterminowaną. Jem croissanty, piję umiarkowane ilości wina, solidnie ćwiczę. Jestem żoną, jaką byłam przedtem.

To drugie życie jest brudne, nieprzyzwoite, seksowne. To życie, w którym można się pieprzyć na stojąco, opierając się o ściany czy leżąc na stołach. Papierosy, leczenie kaca, narkotyki w celu utrzymania figury. Życie, jakie prowadzę. Bujamy się w szalonej, hedonistycznej nicości.

Nie mogę być żoną obu. A od czterech miesięcy stoję na rozdrożu, z jedną nogą w każdym

obozie. Dostają od tego skurczy. To jest skrajnie niezadowolające.

Nie chcę, żeby odszedł.

A mimo to nie widzę dla nas przyszłości.

Luke i ja pozornie obchodzimy Boże Narodzenie jak co roku. Kupujemy drzewko świąteczne na targu, tachamy je do domu i chociaż z nieba leci deszcz zamiast śniegu, wpasowujemy się idealnie w klasyczny świąteczny obrazek. Stroimy choinkę w duże kokardy w szkocką kratę, czerwoną i złotą lametę, świecidelka i drewniane ozdoby. Jemy keks, słuchamy dwóch kontrastujących ze sobą koncertów kolęd: pięknie zaśpiewane, przejmujące dusze i ciało wykonanie chóralne z Westminster i występ lokalnych małoletnich urwisów, którzy nie są tacy zaróżowieni, ale mają charakterystyczne czerwone pryszcze na policzkach, rezultat tanich i zabójczych koktajli z jabola i aspiryny.

Kupujemy z Lukiem prezenty, pakujemy je, kupujemy kartki świąteczne, wypisujemy je, zapominamy wysłać. Całkowicie stosowne święta. Jedyne różnica polega na tym, że odmawiam spędzenia całego dnia z rodziną Luke'a albo moją. Moje trzy siostry, ich małżonkowie i banda latorośli odwiedzają rodziców. One mogą odpowiadać podstarzałym ciotkom na pytania dotyczące płodności. Brat Luke'a z narzeczoną odwiedzają teściów. Są gotowi, by pokonać szmat drogi, żeby tylko nie szykować indyka. Moja mama jest zbyt spostrzegawcza, nie mogę ryzykować, żeby zobaczyła mnie i Luke'a razem, a poza tym udusiłabym się od małżeńskiego szczęścia roztrącanego przez oba klany. Zamiast tego spędzamy święta w gronie naszej przyszywanej rodziny. Rose, pierwszorzędną gospodyni, zaprosiła w swe gościnne progi połowę Londynu. To raczej mało prawdopodobne, by w tym szacownym gronie dokuczał mi nadmiar małżeńskiej ekstazy.

Drzwi otwiera ojciec Rose, pan Kirk.

– Cholernie cudownie znów was widzieć – mówi, potrząsając energicznie ręką Luke'a.

Obejmuje mnie mocno i całuje wylewnie. Trochę zbyt mocno i zbyt wylewnie, według mnie. Czas Bożego Narodzenia to świetna wymówka dla starych wyg, by bezpłatnie skorzystać z okazji obściskiwania młodego ciała, niedostępnego dla nich całe dekady.

– Jak się masz, diabełku? – pyta, uśmiechając się szeroko.

Stoimy na schodach, marzniemy, marzymy jedynie o drinku, zapewniamy go, że mamy się całkiem dobrze. Uprzejmie pytamy o stan jego zdrowia fizycznego (stan zdrowia psychicznego nie pozostawia wątpliwości).

– Tip-top. Dzięki, że wpadliście.

Zamyka nam drzwi przed nosem. Zaczynamy z Lukiem chichotać. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się zrelaksowana w jego towarzystwie. Tak zrelaksowana, że obiecuję sobie, iż spróbuję cieszyć się świętami. Cieszyć się Lukiem. Ponownie naciskamy dzwonek.

Tym razem drzwi otwiera pani Kirk. Pani Kirk to Rose plus trzydzieści lat. Tyle że tej sześćdziesięcioletniej kobiecie bardziej jest do twarzy z bezgraniczną cierpliwością, naiwnym optymizmem i niezwykle serdecznym usposobieniem. Dziwne. Ona nie działa człowiekowi na

nerwy, nie ma się ochoty nią potrząsnąć i powiedzieć: „Obudź się w końcu i zejdz na ziemię”. To eteryczna i czarująca osoba.

Rose wybiega nam naprzeciw z kuchni, zarumieniona od sherry i świątecznego podekscytowania. Choć ten jeden raz nie ma na sobie legginsów i wyciągniętej bluzy. Zaryzykowała i do swych rudych włosów włożyła obcisłą, czerwoną, aksamitną sukienkę. Ta kreacja jest zadziwiająco twarzowa, pomimo niebezpieczeństwa, że „obcisła suknia” bywa kłopotliwa dla każdej kobiety, może z wyjątkiem Cindy Crawford. Ale w przypadku Rose sprawdza się nieźle i gdyby tylko udało się ją przekonać do zerwania z opaską na włosy i nałożenia choćby odrobiny makijażu, wyglądałaby naprawdę świetnie, naprawdę, cholernie świetnie. Daisy i Simon, zgodnie z obowiązującymi trendami tej zimy, włożyli czarne koszule polo i spodnie. Przynajmniej tak mi się wydaje, że to mają na sobie, trudno o pewność, patrząc na to homologicznie połączone zjawisko. Ich wzajemne, nieskrywane pożądanie sprawia, że zaczynam szperać w poszukiwaniu komórki.

Czy jest włączona?

Jest.

Kurde. To by było na tyle z obietnic złożonych sobie. Nie będę o nim myśleć tego dnia, wytrzymam przynajmniej do przemówienia królowej. Tarn prezentuje się nienagannie w prążkowanym swetrze Connolly; „margiel antracytowy”, jak mnie informuje. To szczegól, że nie mam pojęcia, czy ma na myśli sweter, czy egzotyczne miejsce na wakacje. Muszę zapytać Lucy. (John wyglądałby obłędnie w tym swetrze). Styl Petera na dzisiejszy wieczór to niewymuszona elegancja i muszę przyznać, że pasuje mu idealnie. Bawi się z bliźniakami w ogrodzie, więc macham mu na przywitanie. Lucy wygląda olśniewająco. Choć to zupełnie do niej niepodobne, zamiast obowiązkowej czerni wybrała coś w kolorze. Słodko różowy pulower z kaszmirowymi, krótkimi kimonowymi rękawami i rozpinany kardigan z perłowymi guziczkami. Niewątpliwie ta szykowna kreacja kosztowała równowartość miesięcznego dochodu przeciętnej rodziny. Lucy jest potwierdzeniem reguły „Jak cię widzą, tak cię piszą” albo raczej obliczają. Ona to chodzący milion dolarów. Nieskazitelna, ponętna, urzekająca, może ciut nadąsana. Wielka szkoda, bo wydaje się, że wszyscy dookoła są w wyśmienitym nastroju.

Bożonarodzeniowy lunch to po prostu bożonarodzeniowy lunch i generalnie schemat powtarza się co roku. Do dwudziestego piątego grudnia zwykle wypijam beczkę wina, konsumuję dosłownie górę brukselki i więcej porcji indyka niż wysłanych kartek na święta. Mój kochanek nie raczył przysłać mi okolicznościowej pocztówki. Na tym etapie stwierdzam, że najbardziej mam ochotę na zieloną sałatę bez przybrania, popitą kilkoma kieliszkami resolve. Jednak, jeśli chodzi o świąteczne przyjęcia Rose, warto zostawić sobie trochę miejsca, a ściślej mówiąc, bardzo dużo miejsca w żołądku. Te uczyty należą do najwytworniejszych, nie mają sobie równych, zarówno jeśli chodzi o ilość, jak i o wysmakowaną jakość. Zaczynamy zapiekana zupa z dyni, polaną roztopionym serem. Oczywiście z zasady wolę taki starter niż mrożone krewetki w majonezie podawane na zwiedłym listku sałaty. Następnie Rose serwuje sorbet z kiwi. Potem

bażant (który, sądząc po rozmiarze, cierpiał na kryzys tożsamości; musiał myśleć, że jest małym słoniatkiem) i wieprzowina z chrupiącą skórką oraz pieczonymi jabłkami, delikatnie przyprawiona tymiankiem i natką pietruszki. Żadne byle jakie sosy do pieczeni z proszku nie hańbią stołu Rose, ona serwuje świeżą cytrynę, rum i sos rodzynekowy. Zero rozmoczonych kiełków czy twardej marchewki; zamiast tego raczymy się karmelizowanymi fenkułami, przyprawioną czerwoną kapustą z żurawiną i perfekcyjnie upieczonymi ziemniakami. Dalej rozkoszujemy się sernikiem z mascarpone, z owocami i orzechami, podanym ze śmietanką. Na wypadek, gdyby ktokolwiek z nas miał spędzić kolejne dwadzieścia lat na bezludnej wyspie bez żadnych zapasów żywności i musiał polegać na swoich rezerwach tłuszczowych, Rose zaprasza nas do skosztowania bożonarodzeniowego puddingu i keksu.

Sprawdzam komórkę czternaście razy. Wykręcam jego numer pięć razy.

Reszta członków imprezy korzysta ze świątecznych rozrywek: z hukiem strzelają crackersy, [Bożonarodzeniowa zabawka z niespodzianką, wróżbą lub żartem.] a ludzie śmieją się z wylosowanych kawałów. Wszyscy zakładają tandetne, papierowe kapelusiki, oprócz Lucy, która stwierdza, że to powszechny błąd, by oczekiwać, że świąteczną zabawę można ożywić noszeniem absurdalnie głupkowatych, papierowych czapeczek. Dużo pijemy, bardzo dużo. Szampan, sherry, grzane wino, białe wino, czerwone wino i porto, co tłumaczy, dlaczego pękamy ze śmiechu, czytając wylosowane dowcipy. Po lunchu mężczyźni i Lucy oddalają się chwiejnym krokiem na posiedzenie z cygarami i brandy. Pani Kirk i Rose zaczynają sprzątać ze stołu, Daisy (chirurgicznym cięciem odłączona od Simona) kontynuuje wmuszanie w siebie czekoladek, a ja – żeby sprawić wrażenie zajętej – zaczynam opróżniać kieliszki i drzeć na kawałki papierki po crackersach. Ze smutkiem wpatruję się w telefon. Pani Kirk zauważa, że coś ze mną nie tak, a jako że jest nieświadoma źródła moich problemów, oferuje uniwersalne pocieszenie: „Może jeszcze ciasteczko albo brie? Odrobina brie?”. Macha mi przed nosem ciężką tacką. Misterna aranżacja krowich i kozich specjałów. Nawet nietknięta. Dlaczego nie zadzwonił?

– Czekasz na telefon? – pyta Daisy.

Podskakuję na to nieoczekiwane precyzyjne określenie mojego stanu.

– Eee... Tak. Mama.

Daisy nie ukrywa współczucia.

– Powinnaś powiedzieć. Skorzystaj z telefonu Rose w przedpokoju. To barbarzyństwo nie rozmawiać w takim dniu z tymi, których kochasz.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam!

Pędzę na korytarz, upewniając się po drodze, że zamykam wszystkie napotkane drzwi dzielące mnie od odgrywanych fars. Wyciągam rękę w kierunku telefonu.

W połowie drogi ręka nieruchomieje.

Nie mam pojęcia, gdzie szukać Johna. Być może przebywa we wschodnim Londynie, w budynku naruszającym wszelkie dopuszczalne normy higieny i bezpieczeństwa, który nazywa domem. A może odwiedza rodziców w Liverpoolu? Moje wizje stają się coraz bardziej mroczne.

A jeśli jest z Andrea? Jeszcze mroczniejsze. Albo z jej rodzicami. Czy Andrea ma rodziców? Miasto rodzinne? Przyjaciół? Ulubiony sklep z ciuchami? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Otrząsam się z tych myśli. Nie czas na rozmyślania tego typu.

– Dzwoniłaś do niego?

– Jezu, Lucy. Ale mnie wystraszyłaś. Omal nie dostałam zawału.

Siada obok mnie. Gapimy się w telefon.

– Nie mogę. Nie wiem, gdzie jest.

Śmieje się bezlitośnie.

– Przejrzyj na oczy, Connie.

– Co? – warczę. – O co ci chodzi?

Jestem tak zrozpaczona, że nie sędzę, iż mogłaby powiedzieć coś, co zdołuje mnie jeszcze bardziej. Lucy, jak zauważyłam to wcześniej, ani razu nie sprawdziła dziś telefonu, ani razu nie wymknęła się, by zadzwonić. Jest tak nieprawdopodobnie opanowana. Ale jest też o wiele lepiej zorganizowana. Założę się, że umówiła się ze swoim kochankiem na wieczór. Będzie pewnie musiał wepchnąć w siebie kolejną porcję indyka i brukselki, byle tylko zjedli razem świąteczne dania.

– Powiedz, czy on chociaż myśli o mnie?

Lucy odpowiada mi kuksańcem w żebra. Luke właśnie wszedł na korytarz.

– Ktoś ma ochotę na spacer?

Przedzieramy się przez gąszcz szali, rękawiczek, czapek, butów, płaszczy i nauszników, a kiedy wyglądamy jak ludziki Michelina, wytaczamy się na ulice dzielnicy Holland Park. Ogarnia nas mroźne powietrze, orzeźwiające i dziwnie przyjemne. Spacerujemy Aubrey Road, kierujemy się na High Street Kensington, a potem idziemy wzdłuż Kensington Gardens. Ulice są opustoszałe, co jest miłą odmianą po miesiącach przeciskania się w świątecznych tłumach. Dojście do parku trwa wieczność. Istnieje poważne zagrożenie, że nie dotrzemy tam przed Burns Night. Idę między panem a panią Kirk. Utrzymanie ich obojga w pozycji pionowej jest nie lada wyzwaniem, panu Kirk płaczą się nogi nawet wtedy, kiedy jest trzeźwy. Ale dopóki starcza nam sił na śmiech i żarty, nie ma znaczenia, jak długo trwa droga. Po dalekiej, rzeńskiej przechadzce wracamy do domu Rose i Petera, by pochłonąć więcej jedzenia i zagrać w karty.

W wigilijną noc zwijam się w kłębek w łóżku. Wiem, że powinnam być wykończona i podekscytowana. Jestem zaś wykończona i poirytowana.

– Wszystko w porządku?

Głos Luke'a dochodzi nagle z ciemności i zakłóca moje myśli.

– Tak – mruczę i przesuвам się bliżej krawędzi łóżka.

Mamy w końcu święta, czas słodkich obrazków. Napstrykałam dziesiątki zdjęć. Całe trzy rolki filmu świadczą tylko o jednym: perfekcyjna kolekcja bożonarodzeniowych pocztówek, grono przyjaciół, wręczanie i odbieranie pięknych prezentów, rozkoszowanie się pysznym jedzeniem, picie nieprzebranej ilości alkoholu i ani jednej kłótni dotyczącej zwrotu

niedopasowanego prezentu.

Perfekcyjne święta. Na papierze.

Nie zadzwonił. Ani słowa. Nie rozstawałam się z komórką przez cały dzień. Cudownie byłoby, gdybym miała zepsuty telefon, nie ucierpiałoby przynajmniej moje serce. Wzięłam wszystko pod uwagę: brak zasięgu, słaby odbiór, rozładowaną baterię. Wykluczyłam te możliwości, dzwoniąc sama do siebie z telefonu Rose. Sygnał jest, bateria naładowana do pełna, skrzynka pocztowa działa bez zarzutu, cholera jasna, zupełnie bez zarzutu. Nie zadzwonił. Wiem, co to znaczy. I dlatego nie tryskam entuzjazmem. Nie jestem w siódmym niebie.

– Pytam zupełnie poważnie, czy wszystko w porządku?

Luke siada i zapala lampkę przy łóżku. Próbuję się bronić zmrużeniem oczu. Zastanawiam się nad pytaniem. Jedyne raz, kiedy stwardniały mi brodawki przez całe cholerne święta, miał miejsce, gdy w temperaturze poniżej zera maszerowałam do parku. Nie, nie jest w porządku.

– Tak. Powiedziałam już, że wszystko gra.

Wygląda na zranionego, a mnie ogarnia wstyd.

– Wypiłam za dużo. Jestem zmęczona – proponuję kolejne kłamstwa jako wytłumaczenie. Milkniemy.

– Spójrz na mnie, Connie.

Luke ostrożnie obraca mnie w swoją stronę, a ja nie mam siły stawiać oporu.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? Czy coś cię martwi? Mogę jakoś pomóc?

Przeszywa mnie wzrokiem. Dociera prosto do sumienia. Jestem zdziwiona, że wycelował tak bezpośrednio. Myślałam, że moje sumienie zredukowało się do rozmiaru maleńkiej plamki i nigdy już nie uda się go odnaleźć. Kłamstwo jest parszywe, wypalające i złe. Ale powiedzenie prawdy nie wchodzi w rachubę.

– W żaden sposób nie możesz pomóc – odpowiadam na tyle szczerze, na ile mnie stać, i potem odwracam się od niego; oddaję się kolejnej nocy udawanego snu.

Wesołych Pieprzonych Świąt.

Rozdział 7

Trzeci stycznia. Nieprzeczytane e-maile dochodzą setki; zauważam, że nie potrafię nawet udawać, iż się tym przejmuję. Moja tacka na korespondencję przychodzącą zamieniła się w latarnię morską, rzuca ostrzegawcze błyski przed zbliżającym się niebezpieczeństwem i domaga się natychmiastowej uwagi. Ignoruję te ostrzeżenia i zabieram się do poważnych spraw. Dzwonię do niego, zgłasza się skrzynka, nie bardzo wiem, co powiedzieć, tkwię w martwym punkcie jakiś czas, a potem postanawiam wysłać e-maila. Mam świadomość, że złościenie się lub schlebianie w e-mailu wypada beznadziejnie, więc zamiast tego wybieram zwykły, dowcipny ton.

Twardzielu, zgodnie z przewidywaniami, nie doczekałam się Twojego telefonu. Mógłbyś się trochę wysilić, by przerwać tę ekstremalnie nudną monotonię. A może to Twoja nowa uwodzicielska technika – głuchym milczeniem doprowadzić mnie do uległości? Myślę, że Twoje szanse zaciągnięcia mnie do łóżka byłyby znacznie większe, gdybyś się do mnie odezwał. Moje noworoczne postanowienie to dochowanie wierności mężowi. Nie zamierzam spać z tobą nigdy więcej.

Po chwili zastanowienia dodaję:

Ale byłoby miło, gdybyś o to poprosił. Jak na razie nie mam szansy walczyć z pokusą.

Myślę, że udało mi się zachować swobodny ton. Przez kolejny tydzień nie ma odpowiedzi. Szukam usprawiedliwień. Może wciąż jest na wakacjach, jeździ na nartach albo zasiedział się u rodziców. Nie mam pojęcia, a przyznanie się przed sobą, że nic nie wiem, jest poniżej wszelkiej godności. Jednakże spojrzenie prawdzie w oczy staje się nie do zniesienia; dostał e-maila, na którego nie ma zamiaru odpowiedzieć. Boże, dlaczego nie pomyślałam, by wysłać tę wiadomość z potwierdzeniem odbioru? Przynajmniej miałabym pewność, że e-mail dotarł do niego. Zarówno ja, jak i tacka na korespondencję, chwiejemy się niepewnie. Zastanawiam się, która z nas zawali się pierwsza. Jestem wycieńczona. Jak długo mogę tak tkwić w bolesnym pożądaniu?

W czwartek dostaję odpowiedź!!!!!!

Kochanko,

podczas dzisiejszego lunchu długo i intensywnie myślałem o nas, jako że kilka spraw pojawiło się wzniosło się/stanęło dęba (itd. , itd. , wstaw sama (!) wybrany przez siebie falliczny odnośnik).

Bardzo trudno pisać mi te słowa, ponieważ:

- a) próbuję utrzymać jednocześnie styl zwięzły, dowcipny i oddający sedno sprawy;*
- b) w chwili obecnej doświadczam potężnej, bolesnej, gwałtownej erekcji wywołanej przez*

sam fakt pisania do ciebie;

c) odczuwam desperacki przymus wykonania z tobą szeregu nieprzyzwoitych uczynków i to bardzo pilnie!... Natychmiast!... TERAZ!

Ta wiadomość specjalnie pozostaje krótka i niezrozumiała, byś mogła skontaktować się ze mną w celu uzyskania dalszych informacji. Kolejnego pisma spodziewaj się wkrótce – tzn. dziś wieczorem.

Z wyrazami miłości

stęskniony John

Napisał: „Z wyrazami miłości”. „Z wyrazami miłości stęskniony John”. Już nigdy więcej nie będę musiała jeść. Nigdy więcej w niego nie zwątpię. Wieczorem mam się spodziewać kolejnej wiadomości. Nie ma powodu do wstydu. Odczekuję stosowne półtorej minuty i odpisuję.

Twardzielu,

to dość osobliwe, że użyłeś terminu „kochanko”, skoro fakty przemawiają, że obecnie nie jest to adekwatny zwrot.

Notabene, jestem przygotowana na gorące negocjacje dotyczące rozchylenia moich ud.

Podoba mi się twój prosty dowcip (twojego wyprostowanego fiuta ledwo pamiętam). Ale nie jestem pewna twoich rzeczywistych intencji. Byłabym niezmiernie zobowiązana, gdybyś wyjaśnił mi, co dokładnie zamierzasz zrobić z desperackim przymusem wykonania szeregu nieprzyzwoitych uczynków z moją osobą. Mam nadzieję, że nie dopuścisz, by skończyło się tylko na czczym gadaniu, a nie na dymaniu.

Con

Mój telefon dzwoni przeciętnie trzydzieści pięć razy dziennie. Otrzymuję od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu e-maili. Prowadzę niezliczone rozmowy. Z moich kalkulacji wynika, że miał z grubsza sto trzydzieści pięć do dwustu dwudziestu okazji w ciągu dnia, by się ze mną skontaktować. Minęło jedenaście dni. To oznacza mniej więcej tysiąc czterysta osiemdziesiąt pięć do dwóch tysięcy czterystu dwudziestu okazji, z których nie raczył skorzystać.

Chrzanić go.

Dużo bym dała za taką umiejętność.

Kontynuuję przeczesywanie kolumn z ofertami pracy, nie powiem, bym robiła to z sercem.

Pieprzyć go!!!

Dzwonek telefonu przerywa beznadziejnie nijaką próbę nadania życiu jakiegoś sensu.

– Greenie?

TAAAAAKKK!

Niełatwo znaleźć wolny termin na spotkanie, mimo że oboje jesteśmy osiągalni; jest tyle do zrobienia po świętach, szczególnie on ma masę na głowie. Więc kiedy w końcu udaje nam się spotkać pod koniec stycznia, choćbym nie wiem, jak się starała dać mu wycisk za głuche milczenie, którym mnie doświadczył, z jakichś powodów żaden moment nie wydaje mi się odpowiedni na tego typu uwagi. Wieczór zapowiada się wspaniale, nie chcę zaprzepaścić wszystkiego marudzeniem. O wpół do siódmej wmaszerowuje do mojego biura, melduje się przy biurku i całuje mnie.

– Ale z ciebie nagrzana sztuka.

Jestem zachwycona. Przyszedł punktualnie. Fakt, że pojawił się bez torby, co oznacza, że nie ma dla mnie prezentu, staje się bez znaczenia. Wpycham podarek dla niego pod stertę papierów na biurku. Znalazłam stare wydanie wierszy Kiplinga, z *Listem do syna* włącznie. Nie chcę mu tego teraz wręczać. Zawstydziłby się. To, że mogę go zobaczyć, wystarcza mi za wszystkie prezenty. Ból i żal, spuścizna po świętach, mijają. Cały ten czas męczarni, kiedy na próżno czekałam na znak od niego, ulatuje z pamięci. Fakt, że nie zadzwonił, nie odwiedził mnie, nie wysłał choćby kartki, nie ma już żadnego znaczenia. Moja cipka ożyła, a ja pragnę tylko jego.

Idziemy do pubu, takiego, jakie lubię. Miejsce, w którym młodzi mężczyźni siedzą w poplamionych spodniach, a ludzie, choć niezbyt przyjacielscy, są przynajmniej piękni. Przepychamy się do małego stolika, ryzykując pojedynek na pięści z inną parą, która rywalizuje z nami o miejsce. Wygrywamy stolik, miażdżąc ich wyniosłymi i gniewnymi spojrzeniami. W ciągu niespełna dwudziestu minut z zapalem opróżniamy butelkę szampana, potem on zamawia kolejną.

– Jak minęły ci święta?

– Jezu, rzeczywiście. Święta... eee... szczęśliwego Nowego Roku, Greenie – mówi, stukając o mój kieliszek.

Co za ulga. To tłumaczy wszystko; w jego cygańskim życiu Boże Narodzenie nie istnieje. Kończy opowiadać o prezentach, które dostał, a potem dodaje:

– Śmieszna rzecz przytrafiła mi się w czasie świąt, Greenie.

– Co takiego?

– Trzy dni z rzędu spędziłem z Andream. Dzień i noc.

Serce łąduje mi na czubku wysokich do ud kozaków. Chodzą ze sobą już od dwóch lat, z przerwami. Więc trzy dni z rzędu spędzone razem nie powinny nikogo dziwić, aleja wiem, że ten pierwszy raz jest ważny. I bardzo znaczący. Moja głowa rozumie to doskonale i serce chyba też, skoro zmieniło siedzibę. Tylko moje majtki La Perłą pozostają niewzruszone. Drżą w oczekiwaniu. Często opowiadał mi o swej niezdolności spędzenia z nią całego weekendu. Że jej obecność drażni go, irytuje, że bardzo potrzebuje swobodnej prywatności. W skrytości ducha zachwycałam się faktem, że nie może zdzierżyć jej stałej obecności. John często rozbawia mnie skandalicznymi opowieściami o cielesnych rozpustach, których się dopuszcza, a ja w obliczu tych szczerych relacji z podbojów miłosnych czuję się pewnie. Inne kobiety rozplywają się we

mgle i znikają, nie stanowią więc żadnego zagrożenia. Ma przede wszystkim mnie, okazjonalne pieprzenie się i dziewczynę (może i niezła dupa, ale to nie „ta jedyna”). Nie dbam o to, z iloma kobietami uprawia seks dopóki uprawia go ze mną. I dopóki z innymi chodzi tylko o seks. I jeszcze dopóki używa prezerwatywy. Specjalnie unikałam pytania o nią. Andrea. Kiedy zaczęła zżerać mnie ciekawość, zdusiłam to uczucie, podchodząc do tematu bardzo praktycznie. Czego serce nie wie... Nie może mi powiedzieć niczego, co chciałabym usłyszeć. Jeśli przyzna, że to piękna kobieta, eksploduję z zazdrości. Jeśli zaprzeczy jej urodzie, pomyślę, że mam do czynienia z głupcem albo beczelnym kłamcą. Gdyby stwierdził, że wesoło spędzają czas, chciałabym wiedzieć, z czego lubią żartować. Przyznanie, że to niezbyt bystra dziewczyna, oznaczałoby, że jest piękniejsza ode mnie. Nie chcę wiedzieć.

Fakt, że zdołał poradzić sobie z awersją do przedłużonych nocnych schadzek, wytrąca mnie z równowagi.

Nie może się domyślić, że mnie to obchodzi. To teraz zasadnicza sprawa.

– Naprawdę. Nie nudziłeś się?

– No, trochę – przyznaje i wygląda na zmieszanego. – Właściwie wpakowałem się w kłopoty.

– Naprawdę? – rozchmurzam się.

Zaraz zacznie się kolejna opowieść o jednej z jego zapasowo-zamiennych kobiet. Opowieść, która dowiedzie, że pierwsze miejsce wciąż należy do mnie.

– Tak, Andrea i ja leżymy sobie w łóżku po seksie, gadamy i takie tam.

Nieźle się zaczyna. To będzie historia o Andrei, a nie o jednej z zapasówek. Do diabła.

– Rozszerzają mi się nozdrza... wiesz, to taki numer po stosunku.

Demonstruje teraz, jak wyglądają rozszerzone nozdrza, ale niepotrzebnie się fatyguje. Dobrze znam tę minę w stylu byka szykującego się do natarcia. Sama byłam obiektem sprawczym tego zachowania. Jestem nieco zdziwiona, że on i Andrea gadali sobie po odbyciu stosunku. My nigdy nie rozmawiamy w łóżku. Zaraz, właściwie jak sobie o tym pomyślę, to w Paryżu nawijaliśmy. Ale nigdy więcej od momentu, kiedy powiedział mi o Andrei. Zdaję sobie sprawę, że akceptując jego posiadanie dziewczyny, odpuściłam mu poznawanie mnie lepiej, wynikające choćby z uprzejmości. Tymczasowo toleruję ten niski poziom zażyłości, ponieważ jestem przekonana, że w końcu zacznie się interesować mną na tyle, by zapytać: „Jak ci minął dzień?”. Otrząsam się z tych myśli i próbuję skoncentrować się na jego opowieści.

– Zazwyczaj Andrea zachowuje się w łóżku bardzo cicho, ale tamtej nocy zachwyła mnie głośnym jękiem. Głęboki, gardłowy dźwięk, bulgoczący gdzieś ze środka i niedający się poskromić. Byłem zadowolony, bo wiedziałem, że mój występ musiał być całkiem imponujący. A jak dobrze wiesz, Greenie, lubię zadowalać moje kobiety...

Wysłała mi szeroki uśmiech, na który – pomimo próby – nie jestem w stanie odpowiedzieć.

– Ironia polega na tym, że to właśnie ty sprawiasz, iż czuję się taki jurny i uzdolniony.

Nie jestem pewna, czy to komplement, czy mam być wściekła.

– Twoje nienasycone pożądanie sprawiło, że zwiększyła się moja potencja i pragnienie. Czuję się tak, jakbym mógł pieprzyć każdą babkę, którą znam. Co więcej, mam wrażenie, że powinienem to robić. Że jestem to sobie winien.

– No to nie żałuj sobie – mówię i wstaję po następną kolejkę.

Często mówiłam mu podobne rzeczy, ale teraz, słuchając go, ogarnia mnie dziwne uczucie, smutek. Stojąc przy barze, oddycham głęboko, ze wszystkich sił staram się nie dopuścić do siebie tego, co właśnie usłyszałam. Nie rzuca mnie. Zostawia mnie? Myślę, że kończy ze mną, choć może sam jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. OK. OK. Tylko bez paniki. Gówno-kurwajeba... Sorry, Boże. Przewracam butelkę moscow mule.

– Sorry, panie barmanie.

Wracam z piwami na miejsce.

– No, zamieniam się w słuch. Skończyliśmy na tym, że jesteś świetnym kochankiem, a ona zaś od tych cudownych rozkoszy odzyskała głos. Nie brzmi zbyt skomplikowanie. Raczej chleb powszedni.

– Aaale, nie doszedłem jeszcze do skomplikowanych spraw. Ponieważ ona zaczęła tak niesłychanie reagować, poniosło mnie trochę i powoli zacząłem wprowadzać numery, które my robimy razem. Naprawdę, niektóre bardzo jej się podobały i mówiła o tym. I teraz uważaj, Con, dochodzimy do śmiesznego momentu. Jestem cały napalony i skołowany, rozumiesz?

– Tak, to żądza – odpowiadam tępo.

– I mówię jej: „Przecież sama nauczyłaś mnie tego wszystkiego”. A ona nieruchomieje, łapie mnie za głowę tak, że patrzę jej prosto w oczy. Stwierdza: „Nie, to nie ja cię nauczyłam”. „Właśnie, że ty”, przekonuję ją. Przysięgam na Boga, Greenie, na własne życie, nie potrafiłem stwierdzić, kto mnie tego wszystkiego nauczył. Wiedziałem, że cię to rozśmieszy.

Wcale mnie nie śmieszy.

– Przecież jej nie kochasz – próbuję jeszcze.

Momentalnie przybiera wygląd oburzonego i wściekłego.

– Oczywiście, że tak.

Jego słowa policzkują mnie.

– Okej – wycofuję się na widok jego złości. Próbuję to ująć inaczej. – Ale nie jesteś w niej zakochany.

Rozluźnia się, jest gotowy słuchać dalej.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

Strzelam tylko. I mam dwa wyjścia: albo powiedzieć coś wielkiego i dramatycznego, niekoniecznie zgodnego z prawdą (prawdopodobnie coś wyssane z palca będzie bezpieczniejsze), albo stracić twarz. Oczywiście wyjście numer jeden jest bardziej do przeżycia.

– Bo gdybyś był, nie robiłbyś jej tego.

– Ty bez skrpułów zdradzasz męża.

– Wiem.

Czuję niemal wstyd. Jestem zupełnie skołowana i dlatego przyznaję mu rację. Prawda jest taka, że w powszechnej opinii kochający się ludzie nie zdradzają swoich małżonków czy partnerów. To wydaje się logiczne. Ale według tych samych mądrości miałam „żyć długo i szczęśliwie”, a brudny seks z przygodnie poznanymi napaleńcami nie miał już być mi do niczego potrzebny. Moja rozterka zdradza, że blefuję podwójnie i John może nalegać, bym odkryła wszystkie karty. Po raz pierwszy zdobyłam się na delikatną aluzję, że jeśli chce czegoś więcej niż pieprzenia pierwsza klasa, to może ja jestem odpowiednią dziewczyną. Ale nawet teraz, kiedy rzucam przynętę i mam nadzieję, że złapie się na haczyk, nie jestem wcale pewna, czy chcę go potem na kolację. Przyglądam się pustym kieliszkom zaśmiecającym stół.

– Masz rację, nie jestem w niej zakochany.

Zawartość majtek La Perłą podskakuje mi do gardła. Czy to już to? Czy wyzna mi teraz miłość? Co zrobię? Co z moją stabilnością? Co z Lukiem? A ilość alkoholu, którą pije? To będzie spory wydatek w ustabilizowanym budżecie partnerskim.

– Źle się czuję w stałych związkach, są takie klaustrofobiczne.

Och.

– Constance, jestem nieprzewidywalny, leniwy, egoistyczny. Nikt nie jest w stanie zająć mnie dłużej. Nawet ty. Rozpraszam się łatwo, taki już jestem. Kobieta, która wchodzi do pubu, mecz piłki nożnej albo coś w telewizji...

– ... może odciągnąć twoją uwagę – przytakuje i kończę za niego.

– Chryste, Con, nawet strzępek folii walającej się po chodniku może mnie rozproszyć.

Kiedy wypowiada te słowa, robi śmieszne miny, jakby naśladował poczynania torebki skaczącej po ulicy. Jest przy tym taki zabawny i żywy, że wyraźnie widzę unoszący się w powietrzu kawałek folii. Muszę złapać go na haczyk.

– Czy kiedykolwiek miałeś bratnią duszę?

– A dokładniej?

– Kogoś, kto byłby dla ciebie kimś więcej niż tylko wyzwaniem. Czy kiedykolwiek ośmieliłeś się kochać kogoś bardziej niż siebie samego? Czy próbujesz przejść przez życie bez zbliżenia się do drugiej osoby? Tylko w ten sposób pozostaniesz nietknięty, nieskazitelny, perfekcyjny.

– Znam te książki, Greenie. Wiem wszystko o zaprzeczeniu i wyparciu. Ale nie jestem taki. To bzdury.

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Jeśli chcesz znać prawdę, jesteś mi najbliższa. W Paryżu byłem naprawdę szczęśliwy. Dzięki Bogu, że jesteś mężatką.

Znów przerywa, dopija resztkę piwa, idzie do baru, zamawia kolejne kufle i zarządza powrót do rozmów.

– A co z tobą, Greenie? Jak ty się czujesz, będąc z kimś naprawdę blisko?

– Z nikim w życiu nie byłam tak szczerą jak z tobą – wyznaję.

Brzmi nieziemsko. Pasuje jak ulał. Wypiłam butelkę szampana i kilka piw; to wyznanie brzmi jak prawda. Nie mam ochoty na towarzyskie pogawędki. Oczekuję mniej więcej poważnej rozmowy, która musi być mniej więcej wiarygodna.

– W całym życiu. Wyobraź sobie tylko.

Nie ma powodów, by we mnie wątpił. Moje wyznanie skłania go do rozważenia, na ile on jest ze mną szczery.

– Jezu, Greenie. Myślę, że jeśli chodzi o mnie, to ja z tobą też.

Jest zdziwiony i w pewien sposób zaniepokojony, że oferuje mi szczerość. Od innych oczekuje postępowania fair, ale nigdy nie czuł się w obowiązku odwzajemniać takiego układu.

– Dlaczego jest mi łatwiej gadać z tobą niż z kumplami?

– Według Lucy dlatego, że jesteś emocjonalnym kaleką.

Budzę się, drżąc z zimna, ponieważ kołdra zsunęła się z łóżka. Prawie natychmiast zdaję sobie sprawę z bliskości jego ciepłego ciała. Wtulam się w niego uśmiechnięta. Przez sen obejmuje mnie ciasno i kładzie rękę na moich pośladkach. Szukam wygodnej pozycji, leżąc na prawym boku, i przyglądam mu się w zachwycie. Takie rzęsy, perfekcyjnie wykrojone usta i wspaniale zarysowane kości policzkowe. Delikatnie śledzę wskazującym palcem te szlachetne rysy. Pomimo że oczywiście jestem zachwycona faktem leżenia przy jego boku, czuję nieprzyjemne ściskanie w żołądku, kiedy przemyka mi po głowie myśl o Luke'u. Nie Luke wpadający do pokoju i wrzeszczący: „Łapy precz od mojej żony, ty draniu!”. To scena niepodobna do Luke'a. Właściwie nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby być bohaterem tej sceny. Tak czy siak, Luke wyjechał na kolejną pieprzoną delegację w pieprzonych interesach, więc nie ma szans, by dowiedział się, że nie dotarłam do domu. W tej kwestii nie będę miała żadnych problemów. Rozmyślałam o bardziej prozaicznych sprawach. Ostatnio zauważyłam, że Luke wygląda mizernie i sprawia wrażenie zmęczonego. Czy zażywa witaminy? Czy odżywia się właściwie? Ostatnio rzadko razem jemy śniadania, bo bezustannie lecę kaca, więc nie mam pewności. Zastanawiam się, czy spakował maszynkę do golenia, zwykle zapomina o tym, chyba że mu przypomnę. A nienawidzi tych hotelowych. Nieważne, jestem pewna, że mają dobre maszynki w Szwecji czy Szwajcarii... Dokąd on właściwie pojechał?

Leżę tak z otwartymi oczyma całe godziny, słucham dźwięku włączającego się automatycznie grzejnika, który obwieszcza ranek. W obliczu braku ptasich treli i światła dziennego, ten system wydaje się racjonalny. Wpatruję się w długie zasłony w kolorze złamanej bieli, które nieznacznie porusza wiatr przedostający się przez nieszczelne okno. Chłodny i odprężający powiew przyjemnie kontrastuje z naszymi przykrytymi, rozgrzanymi i spoconymi ciałami. Unikam gwałtownych ruchów, byle nie obudzić Johna. Delikatnie odwracam się na bok, aby znów oddać się kontemplacji jego twarzy.

(Jestem prawie pewna, że Luke wziął ze sobą ciepły sweter).

Kiedy go obserwuję, zaczynam wątpić, czy śpi naprawdę. Ostatniej nocy oddychał równo i

głęboko. Teraz ledwie go słyszę. Zbudził się, ale nie otwiera oczu. Wtóruję mu w tej niemej farsie. Też nie mam ochoty na rozmowy, jestem zbyt zmęczona, by silić się na zabawne teksty.

Zaczyna się wiercić na białym, szeleszczącym prześcieradle. Przeciąga swe kocie ciało. Z pewnym niepokojem przewraca się z boku na bok. Zdażyłam już pojąć, że to z powodu częstych zmian dziewczyn. Zastanawia się. Obok leży gruba czy chuda, blondynka czy brunetka? Nigdy nie jest do końca pewien. Niepokój podszyty niecierpliwym wyczekiwaniem. Ekscytujący moment odkrycia na nowo, kogo tym razem udało mu się zarwać. Kogo przyprowadził do domu?

Odwraca się.

Myśli: „Jeśli blondynka – to dobrze”. „Skup się, skup się”, potrząsa lekko głową i natychmiast krzywi się z bólu, żałując pochopnej decyzji. „A więc spójrzmy tylko. Blondynka, dobrze. Szczupła, ładne cycki, skup się, skup się”. Zaczyna sobie przypominać, nie są to przebłyski pamięci, jak ludzie zwykle mówią, ale zwolniony obraz. Ta postać śpiąca obok niego to w rzeczywistości powtórka z rozrywki. Już się przy mnie budził.

- Kurde, nieźle wczoraj zabalowaliśmy. Pamiętasz, ile wypiliśmy?
- Dwie butelki szampana na spółkę, a potem po kilka piw.
- Dziwka z krwi i kości.
- Takie lubisz najbardziej.

Też się przeciągam i wpatruję się w niego; szybko zamyka oczy. Nie ma ochoty odwzajemniać intensywnych spojrzeń. Wszystko zaczyna do niego wracać w jaskrawych barwach. Czy żałuje, że się przede mną otworzył? Czy chce się otrząsnąć, próbując zapomnieć o tym, że zmienił nasz związek, wyjawiając mi, że jestem inna, być może nawet wyjątkowa? Czy marzy o tym, żeby cofnąć czas?

Nie chcę go całować przed umyciem zębów, ale pragnę nawiązać z nim kontakt, dotrzeć do niego. Nagle dzielą nas miliony kilometrów niepewności stłoczone na kilku centymetrach prześcieradła. Oddzielają nas od siebie. Delikatnie obrysowuję palcem linie jego mięśni, ale strząsa moją dłoń. Milczący ranek, kompletne przeciwieństwo przegadanego wieczoru. Wstaję z łóżka i chwiejnym krokiem podążam do łazienki. Wiem, że mnie obserwuje. Będzie w stanie usłyszeć, jak mój tyłek ląduje na desce, a potem sikanie, to koszmarnie zawstydzające. Po raz pierwszy w jego towarzystwie czuję się nieswojo. Spuszczam wodę w ubikacji, szoruję zęby, wyłaniam się z łazienki, kołyszę się w drzwiach. Potem mówię coś bezmyślnego i pakuję się z powrotem do łóżka. Nic klarownego nie przychodzi mi do głowy, bo wciąż nie rozgryzłam jego humoru. Takie poranki są zawsze trudne, tym bardziej gdy jedna ze stron budzi się z poczuciem wstydu, druga jest pełna żalu, a obie głowy wypełniają wyjąłowane komórki mózgowie. To poważne ograniczenie. Czekam, aż mnie pocałuje. Mija chyba tysiąc lat. Nie robi tego. Być może dlatego, że jego oddech śmierdzi cipką i fajkami doprawionymi poranną nieświeżością, jednak mam wrażenie, że on w ogóle mnie tu nie chce, że mam przestać wślizgiwać się do jego sanktuarium.

Martwię się. I to bardzo.

Obserwuję, jak na śniadanie pożera płatki, przysuwa miskę z mlekiem bliżej brody, łyżka coraz szybciej kursuje między ustami a naczyniem, szybciej i szybciej, jak wszystko, do czego zabiera się w życiu, dosłownie pędzi. W końcu pije prosto z naczynia. Ja też tak robię, ale tylko kiedy jestem sama. Obok łóżka znajdują się dwie brudne miski. Unoszę pytająco brwi, choć nie artykułuję pytania. Możliwe, że to on zostawił te brudne naczynia dwa dni z rzędu. Szczerzy się. Kto wie. Być może to pozostałości po jednym z miłosnych pikników. Nie biorę u niego prysznic, nie jem śniadania. Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu. Muszę tam wrócić, zanim zjawi się Luke.

– Spadam. Zadzwoń.

To działka Lucy – narzekać, jak bardzo znieawidzonym miesiącem jest styczeń. „To taki nijaki i szary czas, a co gorsza, wszyscy zdają się to akceptować. Nie ma imprez, ludzie tkwią w noworocznych postanowieniach wstrzeźliwości, zero flirtu, nikt nie chodzi na kolacje, nikt nie pije, nikt nie myśli. Nienawidzę, kiedy w powietrzu brakuje flirtu”. Spotkałyśmy się w Ali Bar One, dzień czy dwa po Nowym Roku. Myślę, że jej zły humor spowodował kac, z którym walczyła przez trzy tygodnie z rzędu. Oczywiście spóźniona, zaraz zaczęła się rozpakowywać z zimowych warstw, zrzucając z siebie niedbale płaszcz, czapkę, rękawiczki i nauszniki. Gapiłyśmy się ponuro w kieliszki, a nasze milczenie wyrażało jednomyślne poparcie jej markotnych teorii. Oprócz Sam, która zaszczębiotała:

– A ja zrobię wszystko, żeby wam pokazać, że w styczniu można się zabawić. Dwudziestego dziewiątego mam urodziny.

Zmierzyłyśmy ją posępnym wzrokiem. Dlaczego zawsze jest taka optymistyczna, skoro wszystkie znaki na ziemi wskazują jednoznacznie, że powinna czuć się zupełnie odwrotnie?

Choć to bez sensu, jakoś wzruszyło mnie to pełne życia i pogody oblicze, tak bardzo różne od mojej gradowej miny, więc podjęłam się zorganizować dla niej całonocną balangę.

– Będzie niezły ubaw – zapewniałam z fałszywą radością.

Przynajmniej będę miała czym zapełnić sobie czas do kolejnego spotkania z Johnem. Te przerwy zdają się trwać lata świetlne. Więc oto jestem, zanurzona do kolan w alkoholu, balonach, alkoholu, serpentynach, alkoholu i śmiesznych, kiełbasianych koreczkach. Luke zwiął. Wykręcił się rundką squasha u boku Simona.

– Koktajle, może obilo się wam o uszy, przeżywają wielki powrót. Czytałam o tym kiedyś w „Evening Standard”. Są popularne nie tylko na odlotowych imprezach dla młodych, ale też na przyjęciach dla bardziej dojrzałych i wymagających.

– A do których my się zaliczamy? – pyta Sam.

Wywracam oczyma.

– Pogódź się z tym, dzieciaku, do tych drugich.

Ja, samozwańcza królowa koktajli, zaplanowałam wszystko z wyprzedzeniem. *Przewodnik dobrej gospodyni* informuje mnie, że powinnam zaopatrzyć się w zapas kieliszków, lód i

różnorodne przysmaki służące do dekoracji. Wszystko jest. Przeczytałam i wzięłam sobie do serca radę, by spożywać koktajle natychmiast po ich przygotowaniu. Dopilnuję, by tak się stało. Książka zachęca również do eksperymentów. Z pewnością mają na myśli „koktajlową jazdę od A do Z”. Teoretycznie pomysł polega na wyjawianiu prawdy i śmiałości, w naszym przypadku będzie to wyjawianie prawdy i picie.

Reguły gry: kolejno zadajemy osobie siedzącej z prawej strony najbardziej intymne, bezczelne i skandaliczne pytanie, jakie tylko przychodzi nam do głowy. Jeśli ktoś odmówi odpowiedzi, musi wypić łyk alkoholu (albo i cały kieliszek, kiedy zabawa rozkręci się na całego). Jeśli ktoś poda w wątpliwość wiarygodność odpowiedzi (zwykle takim sygnałem jest ryk śmiechu i wrzask: „Ty cholerny łgarzu!”), a oskarżenie trzyma się kupy, kłamca złapany na gorącym uczynku musi odkupić winę pić. A jeśli zarzuty są bezpodstawne, drinka zalicza oskarżyciel. Takie są oficjalne reguły. Reguły, według których my zwykle postępujemy, to brak reguł. Inne – poza wymienionymi – rzeczy karane pić to: udzielenie zbyt nieśmiałej odpowiedzi, udzielenie zbyt szokującej odpowiedzi, wyjawienie czegoś, o czym reszta nie ma zielonego pojęcia (w tym przypadku tankuje uświadomiona reszta) oraz dziarski okrzyk: „Napijmy się jeszcze!”.

Właściwie chodzi o picie bez przerwy.

Układam w rządki cały asortyment: brandy, dzin, whisky, wódkę, rum, wermut wytrawny i słodki, cointreau, baileys, krem czekoladowy, a dla Sam i Rose łagodniejsze, „babskie” trunki.

– Cholera jasna, zwiniemy się z tego świata, jeśli wypijemy to wszystko – śmieje się Daisy. – Nie zdążę wytrzeźwieć do ślubu.

Data ślubu Daisy została oficjalnie wpisana do tegorocznego kalendarza.

– Nie musimy pić wszystkiego – przekonuję, chociaż z drugiej strony myślę sobie, że skoro kosztowało to tyle zachodu, czemu by nie spróbować. – A poza tym zostaje jeszcze jutrzejszy ranek na wykończenie, jeśli nie damy rady machnąć wszystkiego wieczorem.

Ogólne potakiwania wyrażają zgodę.

– Mam też sok pomarańczowy, lemoniadę, wodę mineralną i sok pomidorowy.

Każdy wymieniany produkt wyciągam z firmowej siatki Tesco Metro i ustawiam na kuchennym stole. Sam zaczyna pomagać w wypakowywaniu reszty butelek.

– Śmietanka, angostura i oczywiście grenadyna.

Przyłącza się Lucy.

– Dodatki są równie ważne. Założę się, że pamiętałaś o cytrynach?

– Tak jest – potwierdzam.

– Limonki?

– Tak jest.

– Truskawki?

– Tak jest.

– Oliwki?

- Tak jest.
- Wisienki?
- Tak jest.
- Sól?
- Tak jest.
- Cukier?
- Tak jest.
- Jajka?
- Tak jest.

– Nie damy rady cię zagiąć, co? Muszę przyznać, że jesteś gospodynią pierwsza klasa – mówi Sam, naśladowując perfekcyjnie akcent Adelajdy z *Faceci i laleczki*.

Wybuchamy śmiechem.

– No to zaczynamy – ponagla Rose, która niespodziewanie nabrała chęci na koktajle. – Miksujcie.

Przygotowałam się bardzo rzetelnie. Zakupiłam cały niezbędny sprzęt. Sprawnie gromadzę w jednym miejscu shaker, naczynia do mieszania, miarki, łyżki, wyciskarki do soków, szczypce. Śmigam po kuchni i wyciągam małe łyżeczki, deskę do krojenia, nóż, korkociąg, otwieracz do puszek, suche ręczniki, pałeczki do mieszania koktajli, słomki. Bardzo podoba mi się rozpromieniona twarz Sam i wyraz zaskoczenia goszczący na pozostałych buziach.

– Jejku, to wszystko musiało kosztować majątek – stwierdza Rose.

– I mnóstwo czasu – dodaje Daisy.

Gwałtownie otwieram kredens, chcę jak najszybciej zaprezentować potrzebne kieliszki. Wkładamy do lodówki tyle naczyń, ile tylko nasze ręce są w stanie pomieścić. Kieliszki do martini, szampana, czerwonego i białego wina, maleńkie szklaneczki, kieliszki do koktajli, brandy, likieru kawowego. Wyjmujemy jeszcze z pół tuzina dodatkowych kieliszków i natychmiast do połowy wypełniamy je pokruszonym lodem. Niektóre drobinki lodu rozsypują się po podłodze. Nikt nie zawraca sobie głowy sprzątaniami.

– No dobra – odzywam się niskim głosem, próbując nadać zabawie poważny ton. – Zaczynamy jazdę od A do Z. Pod A ukrywa się Alexandra Brandy.

Lód, brandy, krem czekoladowy i śmietanka lądują w shakerze, do tego szczypta gałki muszkatołowej i truskawka.

– Cudownie. – Rose uśmiecha się, podnosi kieliszek martini i duszkiem wychyla eliksir.

Wszyscy gapią się, nie wierząc własnym oczom. Pod ciężarem naszych ognistych spojrzeń, Rose nieruchomieje, a kieliszek zastyga w połowie drogi między jej ustami a stoliczkiem.

– Co? – pyta zdenerwowana.

– Nie zadałyśmy ci jeszcze pytania – uświadamiają Sam.

– Nie odmówiłaś odpowiedzi – dodaje Daisy.

– Ojej – przyznaje Rose i obdarza nas swoim słodkim, dziewczęcym uśmiechem. – Ale to

takie pyszne.

– W istocie – kwituję.

Nie przejmuję się wcale, bo ostatecznie w zabawie chodzi o to, by całe towarzystwo urznęło się do nieprzytomności, a popijanie trunków małymi łyżkami może nie wystarczyć. Niewątpliwie picie do dna jednym haustem to bardziej niezawodna taktyka. Sama nie mogę się doczekać, aż urwie mi się film.

– Złamałaś zasady, więc będziesz musiała zaliczyć kolejnego drinka za karę – upiera się Lucy.

– Nie ma sprawy – Rose przyjmuje ten wyrok. – Pod B mamy... ?

– Black Russian – piszczy podekscytowana Sam. – Ja to zrobię. Wódka, kahlua i wisienka.

Na B zaczyna się wiele koktajli, z którymi musimy się zmierzyć. Krwawa Mary, Blue Spring, Brandy Crusta, B&B.

– Co?

– Brandy i Benedyktynka.

– Ble, zabójczy miks, jak nic zwali mnie z nóg.

B52 i na sam koniec Boo Boo Special.

– No nie, teraz to już zmyślasz.

– Nieprawda. Sok ananasowy, pomarańczowy i cytrynowy, angostura i odrobina grenadyny – odpieram zarzuty.

– Brzmi jak lekarstwo. – Sam się krzywi.

Odprężamy się i sadowimy wygodnie, gdzie popadnie i byle jak. Dzisiejszego wieczoru zakaz palenia w domu nie obowiązuje, więc pokój przypomina palarnię opium. Każda z nas niecierpliwie czeka na swoją kolejkę zmiksowania kolejnego drinka i zadania pytania, a nasze głowy zaczynają się... kiwać.

– Czy masz teraz kogoś, Sam? – pyta ostrożnie Daisy.

Całkiem odważne posunięcie, biorąc pod uwagę okoliczności. Sam jest teraz jedyną oficjalną singielką w naszym towarzystwie, poza Lucy oczywiście, ale ta nie kwalifikuje się do żadnych rankingów, w których my występujemy.

– Właściwie tak. Obcałowuję takiego jednego, co wygląda jak Beckham.

Nasze sylwetki wyraźnie się prostują.

– Czym się zajmuje?

– Ja.

– Jak ma na imię? – Daisy.

– Ile ma lat? – Rose.

– Żonaty? – Lucy.

Sam się śmieje.

– Dyrektor do spraw artystycznych w Abet, Mood i Wickers, Warren, dwadzieścia osiem lat, stan wolny.

- Abet, Mood i Wickers, no, no, jestem pod wrażeniem – Daisy.
- Dwadzieścia osiem lat. Zazdroścę ci – Ja.
- Stan wolny, pochwalam – Rose.
- Warren, zawsze musi być jakiś minus – Lucy.

Wybuchamy śmiechem. Podczas wnikliwego przesłuchania dowiadujemy się, że facet pochodzi z Republiki Południowej Afryki, jest blondynem, jest szczęśliwy, że to właśnie ona obciąża mu druta. Pod koniec listy na B ustaliłyśmy jeszcze, że Sam i Warren kochają się przeciętnie dziewięć razy w tygodniu, co nie jest żadnym rekordem, skoro są ze sobą od kilku tygodni. Daisy wygląda, jakby miała już dość, kiedy wyjawia, że ona i Simon chodzą do łóżka raz w tygodniu.

– Czasami dwa – dodaje.

– Ale ty praktycznie jesteś już mężatką – pociesza ją natychmiast Sam. – Warren nie ma zamiaru się ze mną chajtać.

Wszystkie potakujemy, wyrażając pełne poparcie dla tych słów, a następnie zaliczamy wolną kolejkę w celu, po pierwsze, uczczenia rewelacji Sam, po drugie, pocieszenia niewyżytej Daisy. Lucy śmieje się głośno. Patrząc na nią i po raz kolejny uderza mnie jej uroda. W tej chwili wygląda po prostu oszałamiająco pięknie. Może to kwestia zmiany fryzury, ostatnio jej równo przycięte włosy wdzięcznie okalają cudną twarz.

Koktajle dorównują sile Tysona, a przy tym są nam znacznie mniej znane niż Fergie brukowcom. Powolutku rozkręcamy się i zbliżamy do magicznego momentu wymiany najskrytszych tajemnic, tych zupełnie świeżych i jeszcze niewypowiedzianych. Co prawda, mam nadzieję, że mój sekret nie zmieni swego statusu, ale umieram z ciekawości, by dowiedzieć się, co z życiem całej reszty.

– Okej, Sam, to pytanie kieruję do ciebie – oznajmia Lucy.

Wszystkie współczujemy Sam, bo Lucy zawsze gra bezpardonowo i pyta z grubej rury. Na dźwięk jej werdyktu oddychamy z ulgą, że to nie nas wybrała sobie na ofiary.

– Czy kiedykolwiek kochałeś się w trójkącie?

– Z męską czy damską przewagą? Musisz określić – chichocze Sam.

Super.

– Z damską.

– Tak.

Sam spokojnie zaciąga się papierosem. Hola, hola! Dzikie wrzaski ekscytacji. Pijemy.

– Co byś odpowiedziała, gdybym powiedziała „z męską”?

– Tak.

Sam spokojnie wypuszcza dym.

Hola, hola! Dzikie wrzaski zazdrości. Pijemy. Rozkręcamy się na dobre, więc Sam zaczyna nas instruować.

– Niech wypije ta, która przespała się z facetem urodzonym w latach pięćdziesiątych.

Lucy i ja chwytamy kieliszki.

– Najwidoczniej nie strzeliłam wystarczająco nisko, a co z latami czterdziestymi?

Lucy znów pije.

– Niiieeee! – wrzeszczymy przerażone.

– To było w latach osiemdziesiątych – odparowuje Lucy.

– W takim razie doszło do molestowania nieletniej. – Rose cmoka z niezadowoleniem.

– Nic z tych rzeczy. On miał czterdzieści pięć lat, a ja dziewiętnaście. Wszystko legalnie i właściwie było to bardzo pouczające doświadczenie.

Daisy sprowadza nas z powrotem na szlak.

– Niech wypije ta, która przespała się z facetem urodzonym w latach sześćdziesiątych.

Tankujemy wszystkie.

– Siedemdziesiątych.

Trzy z nas.

– Osiemdziesiątych.

Zgodnie z przewidywaniami, Lucy opróżnia zawartość kieliszka. Otaczamy ją hałaśliwym kręgiem niczym zgraja Indian, gwizdźmy i wrzeszczymy: „Młode ciało, młode ciało!”.

– To nieprzyzwoite.

– Ma osiemnaście lat!

– Nie pytajcie nawet o lata dziewięćdziesiąte, bo będziemy musiały zadzwonić na policję – żartuje Rose.

– Więc na czym skończyłyśmy? – pyta Sam.

Podnoszę instrukcję obsługi, ale słowa tańczą mi przed oczyma. Przepiliśmy już sekcję na C – Campari, Cukierkowy Szampan, Cudowny Krem Miętowy (jego smak spowodował odruch wymiotny u Daisy, „Przecież to cholerna pasta do zębów”), D – Daiquiri, Drambuie (na tym etapie wystarczającym osiągnięciem jest wymówienie tych nazw, piciem nie ma się co przejmować) i w końcu Sam skończyła pić Elegancki Ajerkoniak. Dzielimy się tymi drinkami, pozwalając nierozważnie, by jeden wysokoprocentowy trunek zmieszał się z innym równie piekielnie mocnym alkoholem.

– Weruppppptooeffff – ostrożnie cedzę słowa.

– Wotzef?

– FaaaantaaazyjnnyyAnnnioł – kwiczę.

Fantazyjny Anioł brzmi świetnie, naprawdę głęboko. Odciąga nas od surowych zasad gry, które do tego czasu skomplikowały się tak dalece, że wykraczają poza zasięg zrozumienia.

– Teraz twoooja kolej.

– Niiiee. Jaaa zadaaałam pyyytanie.

Zamiast tego zmieniamy zabawę na: „Gdybym zamieniła się w koktajl, to byłabym... „,

– Gdybym zamieniła się w koktajl, to byłabym Ritz Fizz – zaczyna Sam.

– Może być – zgadzam się i czytam z książki. – Kolejny bąbelkowy, szampański koktajl,

który z pewnością ożywi wieczór. Użyj schłodzonego szampana. Dowolny likier.

Czytając instrukcję, mówię: „Kooolejjjny bąbelowy, szapański koktajl, któóóry z pewnością ożyyywiiii wieczór. Użyj chłodnego szapana. Dowolne lizanie dupy”. Lucy miesza drinka i zirytowana zabiera mi książkę. Pomimo że ostatnimi czasy zaliczam intensywny kurs podwyższenia progu tolerancji alkoholowej, wciąż jestem żałośnie słaba w utrzymaniu kieliszka w pozycji pionowej.

– Ty, Daisy, byłabyś Shirley Tempie – wydziera się Sam, sącząc swojego Ritza Fizza.

– Dokładnie tak – wtórujemy jej.

– Nie mogę być czymś bardziej seksownym? – prosi Daisy.

Lucy przestaje nalewać dżin i rozważa prośbę.

– Nie – odpowiada definitywnie.

Głowa Daisy opada. Potem Sam sprawdza składniki.

– Daisy ma rację. Nie może być Shirley Tempie.

Głowa Daisy gwałtownie się podnosi.

– W tym koktajlu nie ma kropli alkoholu. Zamiast niego będziesz Puszystą Kaczuszką.

Głowa Daisy leci w dół.

– Brzmi pysznie – zapewnia Rose. – Rum, cointreau, śmietanka.

Muszę przyznać, że Rose jest zdumiewająco mocną zawodniczką w dzisiejszym turnieju zmagania się z nadmierną ilością procentów. Byłam przekonana, że nie pochwała całego projektu i że to odbije się na atmosferze. Myliłam się. Rose gorączkowo kartkuje książkę w poszukiwaniu koktajlu, który najlepiej pasuje do jej osobowości. Wzdycha, dochodząc do Z.

– Nie ma nic takiego jak Zaniedbana Kura Domowa.

Jej już bardzo poczerwieniała twarz staje się purpurowa i grozi nam zalew łez.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Dzisiejszego wieczoru Rose ustanowiła swój nowy, imponujący życiowy rekord w szybkości picia. Prawie dotrzymała nam kroku. Patrzy mi teraz prosto w oczy. Obłęd, jaki udaje mi się dostrzec w tym spojrzeniu, jest szczególnie niepokojący, bo przecież zakres emocji, które przeżywa Rose jest bardzo ograniczony. Obejmuje właściwie ekstremalne zadowolenie i wyważoną frustrację. Do opisu siebie używa dwóch przymiotników: „rozniewana” i „szczęśliwa”, a my konsekwentnie nie poszerzamy tego zakresu. Rose nie należy do kobiet, które można by skojarzyć z określeniami typu „dzika z wściekłości” czy nawet „rozbrajająco wesoła”. Jest powściągliwa, łagodnie zrównowazona, pogodna. Kończy puszysty, różowy koktajl, który sączyła powoli, i natychmiast zabiera się do przyrządzania kolejnego. Kobieta z misją. Ledwo co koncentruje się na składnikach i zmiksowany rezultat musi być cierpki, skoro wykrzywia twarz ze wstrętem, kiedy płyn ścieka jej do gardła. A mimo to mam wrażenie, że ona ma to gdzieś. Jej celem, do którego aktywnie dąży, jest upicie się do nieprzytomności.

– Rose? – W głosie Sam też słychać troskę.

Czar beztroskiej atmosfery gaśnie.

– Nic mi nie jest.

Zanim jednak zdąży wypowiedzieć te słowa do końca, jej twarz załamuje się w rozpacz. Ciałem wstrząsa spazmatyczny szloch. Daisy czym prędzej dopada siostry z pękiem chusteczek higienicznych i nakazuje jej wydmuchać nos. Rose jest zbyt posłuszna, by nie podporządkować się zaleceni. Sam również spieszy z pomocą i otacza Rose przyjacielskim ramieniem. Te zabiegi okazują się niewystarczające, nie przynoszą efektu.

– Myślę, że Peter ma romans.

To zdanie paraliżuje atmosferę w pokoju zwierzeń. Wcześniejsze frywolne wynurzenia stają się nagle jakieś małe, nieważne i nierealne.

– Nieeee – Daisy, Sam i ja reagujemy natychmiast.

– Peter nie jest taki, nie bądź niemądra – mówię. – On w życiu nie wdałby się w żaden romans, jesteście tacy szczęśliwi.

W tej samej chwili moja podświadomość zaczyna działać i podpowiada mi niekontrolowane i cholernie pewne siebie myśli, że właśnie tak określiliby ludzie moje małżeństwo z Lukiem. Nienawidzę Freuda za to, że wymyślił podświadomość, to takie świętoszkowate utrapienie.

– Naprawdę tak uważasz? – pyta Rose, w którą znów wstąpiła nadzieja. Ale potem przypomina sobie coś nagle i dodaje: – Ale może on nie jest szczęśliwy.

– Nonsens – ucina krótko Sam („nonsens” to jedno ze słówek kojarzonych z Rose, inaczej Sam by go nie użyła). – Oczywiście, że jest szczęśliwy.

– Skąd ta pewność? – pyta Lucy.

Gapię się na nią oburzona, nie rozumiejąc takiego zachowania. To zagrywka poniżej pasa. Zbyt brutalna. Nawet jak na standardy Lucy.

– O co ci chodzi? – zwraca się do mnie i wygląda na obrażoną. – Chcę tylko powiedzieć...

Nie pozwalamy jej dokończyć. Zagłuszamy ją, upierając się stanowczo, że Rose i Peter stanowią idealnie szczęśliwą rodzinę.

– Wyglądał na bardzo zadowolonego człowieka, kiedy widziałam go wczoraj wieczorem – zapewniam ją.

– Widziałaś go wczoraj? Gdzie?

– U nas. Przyszedł zobaczyć się z Lukiem.

– Naprawdę, przysięgasz?

– Naprawdę, przysięgam, oczywiście, że tak.

– Powiedział mi wczoraj, że widział się z Lukiem i zasiedział się do późnej nocy. Martwiłam się i czekałam na niego. Myślałam, że wyskoczył tylko na godzinę, dwie. W nocy usłyszałam zatrzymującą się taksówkę, podbiegłam do okna i jestem pewna, że w środku siedziała kobieta.

– Zapytałaś go o to?

– Twierdził, że był z Lukiem. Zbył moje pytania o tę drugą osobę w taksówce i powiedział, że mam się wybrać do okulisty.

Rose jest kompletnie pijana, więc nie musi przejmować się zażenowaniem, które powinna

teraz czuć. Jej mąż był dokładnie tam, gdzie powiedział, że będzie. Co za paranoiczne myślenie! Naprawdę nie ma powodów do niepokoju.

– Wieczór spędził z Lukiem – powtarzam.

– Do której godziny?

Wiedziałam, że Peter wpadł zobaczyć Luke'a, bo kiedy wróciłam do domu od Lucy, siedzieli razem w gabinecie i pili piwo. Pomachałam im i poszłam prosto na górę na długie posiedzenie w wannie. Zaraz po kąpieli udałam się do łóżka. Zakładałam, że panowie wyskoczyli do miasta. Nie do końca jestem pewna, co naprawdę zrobił mój mąż, nie muszę sobie tym zawracać głowy, bo ufam mu bez reszty. Pieprzona podświadomość przypomina mi, że to dlatego, iż całkowicie pochłonęło mnie ukrywanie własnych schadzek, więc nie przejmuję się wypadami Luke'a.

– Boże, nie wiem dokładnie, do której – odpowiadam szczerze. – Luke zładował w łóżku późno, obudził mnie. Czulałam od niego alkohol. Założę się, że urządzili sobie popijawę.

– Naprawdę? – w jej głosie znów słycać zachwyt. – Ale jestem głupia. Peter powtarzał w kółko, że mam zadzwonić do Luke'a i sama się przekonać.

Daisy i Sam zaczynają mieszać koktajle. Dają tym samym do zrozumienia, że zachowanie Rose to gruba przesada.

– Luke nie kłamie – uznaje Sam.

– Nie, on nie kłamie. – Rose uśmiecha się, szczęśliwie przekonana.

Połyka kolejny haust koktajlu i najwidoczniej tym razem nie smakuje tak źle. Odnotowuję w myślach, by następnym razem dokładniej przygotować alibi. Boże, jeśli ktoś o tak nieskomplikowanej naturze jak Rose zaczyna mieć podejrzenia tylko dlatego, że Peter urwał się z chłopakami, jest w takim razie tylko kwestią czasu, kiedy Luke zacznie zadawać niewygodne pytania. Wiercę się niespokojnie i łapię spojrzenie Lucy.

– Na czym skończyliśmy? – pyta Daisy.

Za wszelką cenę próbuje przywrócić beztroską atmosferę imprezy, rozlewa więc jeszcze więcej alkoholu i zmienia CD na coś bardziej hałaśliwego i bezsensownego.

– Próbowaliśmy znaleźć koktajl, który najlepiej pasuje do Rose.

– Co powiecie na Tequilowy Wschód Słońca? – proponuje Sam. – To odpowiedni wybór dla ciebie.

Kiwamy aprobowując.

– Jest też jeden, co nazywa się Zombi – służy pomocą Lucy.

Miażdżymy ją gniewnymi spojrzeniami.

– Albo Staroświecka Whisky – dodaje Lucy, grzebiąc w rozpalonym kominku.

Szturcham ją nogą. Chryste, czy ona naprawdę nie potrafi się zachować? Co się z nią dzieje? Pijemy.

– Cóż, jeśli chodzi o ciebie, nie będziemy miały problemu – odcina się Rose. – Jest cała gama odpowiednich koktajli. Harvey Wallbanger, Śrubokręt.

Rose uśmiecha się na dźwięk tych sugestii, ale jestem całkowicie przekonana, że nie próbuje

być miła.

– Możesz być Białą Damą – zwraca się Daisy do Rose, próbując desperacko złagodzić napięcie.

Lucy zapala papierosa i wydaje mi się, że mruczy pod nosem: „Zardzewiały Gwóźdź”.

Resztę wieczoru spędzamy zasłuchane w smętne zawrodożenie Niny Simone, Billie Holiday i Diany Ross, które zmagają się z niezliczonymi historiami miłosnymi. To dołujące doświadczenie, bo każdy utwór odnosi się do mojej bieżącej sytuacji. Około północy Rose kładzie się spać, szczęśliwa na myśl, że żaden z chłopców nie przeszkodzi jej w nocy i ma przed sobą niepowtarzalną okazję zaliczenia dziewięciogodzinnego snu.

– I co, Daisy, wybrałaś już kolor dla druhen? – pyta Sam.

To nie jest pytanie rzucone ot, tak sobie. Wszystkie dostałyśmy angaż druhen na ślubie Daisy, więc jesteśmy żywo zainteresowane kolorystycznym rozstrzygnięciem.

– Nie, jeszcze nie. Nad samą sukienką też niewiele myślałam. Mieliliśmy tyle roboty, by podzielić się ze wszystkimi nowiną.

– Pewnie się cieszą, co? – pyta beznamiętnie Lucy.

– Są zachwyceni – rozplęwa się Daisy. – Jestem taka szczęśliwa.

– Och – kwituje Lucy.

Śluby mało ją obchodzą, nie może pojąć, dlaczego inni ludzie pękają z radości na wieść, że kolejna frajerka daje się wciągnąć w matrymonialne szaleństwo.

– Wszystko układa się dobrze, co?

– Wspaniale.

– To widać, bo wyglądasz na taką... nasyconą.

– Chcesz powiedzieć, że jestem gruba?

– Nie, chodzi jej o to, że jesteś szczęśliwa – podpowiada Sam.

– Cóż, ludzie zazwyczaj przybierają parę kilo, jeśli są... no wiecie... nasytzeni – dodaje Lucy.

– A więc uważasz, że jestem gruba. Gdzie? Na twarzy? Na udach?

Daisy zaczyna chwytać poszczególne części swojego ciała, zupełnie jakby przemawiała do dziecka, które nie jest pewne, gdzie znajdują się uda.

– Nie jesteś gruba – zapewniam ją.

– Nikt nie mówił o tuszy – dodaje Sam.

– Nie?

– Niezupełnie – Lucy.

– Niezupełnie!

– Do twarzy ci z tym.

– Zamknij się! – wrzeszczymy jednocześnie, śmiejąc się hałaśliwie.

Lucy otwiera pudełko ferrero rocher, które Rose kupiła Sam na urodziny. Wszystkie dobrze znamy zasady: jeśli sama nie zapłaciłaś za jedzenie, tak naprawdę nie ma ono kalorii, podobnie jak wszystko konsumowane na stojąco.

– Nie martw się tym, Daisy. Wkrótce zaczną się dyskusje z całą rodziną na temat każdego szczegółu twojego ślubu, zaczynając od listy gości, a skończywszy na pierwszym tańcu. Ani się obejrzyysz, a zrzucisz kupę kilogramów – zapewniam ją.

– Dzięki, Connie – odpowiada zachwycona Daisy.

Lucy zasypia na fotelu, a Sam, Daisy i ja zaczynamy pić obfite ilości wody, by choć trochę złagodzić nieuniknione, przykre skutki kaca, który fundujemy sobie na kolejny dzień.

Pod wpływem alkoholu w Daisy wstępuje odwaga albo może udziela się jej refleksyjny nastrój lub zupełnie traci zmysły, bo zwraca się do mnie z pytaniem:

– Jak długo się już znamy?

Zanim zdążę otworzyć buzię, odpowiada sobie sama.

– Całe dwanaście lat. W ciągu tego czasu spędziłyśmy miliony podobnych wieczorów. Zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego. Mówiłyśmy o rzeczach ciekawych, zdarzało się też przerabiać nudniejsze kawałki. Gdyby zebrać wszystkie godziny, które spędziłyśmy na wspólnych rozmowach, chichotach, szeptach, myślę, że uzbierałby się z tego czasowy ekwiwalent wystarczający na wydanie wyroku w procesie o malwersacje finansowe. I to o jakieś poważne machlojki. Ale wiesz co, Connie?

– Co? – pytam mechanicznie, choć tak naprawdę czuję, sądząc po jej tonie, że cokolwiek ma do powiedzenia, wolałabym, żeby zostawiła to dla siebie.

– Mam wrażenie, że nie wiem o tobie wszystkiego, Connie. Nie tak naprawdę.

Jestem przerażona.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– No, niby opowiadasz nam o tym wszystkim. – Macha ręką w powietrzu. – O seksie i takich tam, ale nigdy nie rozmawiasz z nami o sprawach, które są naprawdę ważne.

– Seks jest ważny – krzyczy Lucy.

Podskakujemy wszystkie, bo mylnie założyłyśmy, że Lucy już odleciała.

– Chodzi mi o to, że nigdy nie mówisz o miłości.

Wstaję, by dorzucić więcej drewna do kominka. Nagle ogarnia mnie złość i jestem zdezorientowana. Alkohol, który przez ostatnie kilka godzin podnosił na duchu, teraz zaczyna mnie dołować.

– Przestałaś zupełnie mówić o Luke’u.

– Nieprawda. Zawsze opowiadam wam o jego oświadczeniach, jak go poznałam, zresztą, widujecie nas stale razem. Byłoby nie do zniesienia, gdybym w kółko nawijała na nasz temat.

– Nie widujemy was stale razem. Jesteście jakby osobno. Wcale nie razem.

– To prawda, przechodzimy teraz dość trudny okres – wyznaję.

Daisy wygląda na zmieszaną. Ja czuję się podwójnie zmieszana. Gapimy się w ogień. Mam nadzieję, że Sam pospieszy mi z pomocą. Nic z tych rzeczy.

Daisy kładzie się, a jej głowa spoczywa na moich kolanach.

– Opowiadałaś nam wszystko o pierwszym spotkaniu, randkach, zaręczynach, a teraz

zamknęłaś się w sobie – nie daje za wygraną. – Odcinasz się od nas.

Dziwi mnie, że Daisy tak postrzega sprawy. Nie odcięłam się od nich, po prostu wyrwałam się z tej komuny. Jak wyszłam za mąż, miałam wrażenie, że to mnie odcięto; byłam jedyną mężatką w gronie młodziutkich singielek. Robiących wszystko, co przystoi singielkom i młodym. Łaźnienie na zakupy, pieprzenie się, imprezowanie w klubach. Rzeczy, które ja robię teraz, ale nie mogę się do tego przyznać.

– Jak to jest? Jak to naprawdę jest być mężatką? – pyta senna Daisy.

Przypuszczam, że w tym właśnie momencie interesuje się tym do żywego. Wzdycham. Ostatnio bardzo dużo czasu spędzam, zastanawiając się nad tą kwestią.

– Dobrze pytanie, Daisy.

Nie wiem, jak mam odpowiedzieć. Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Kiedy jest się nieszczęśliwym, łatwo to opisać. Wszyscy potrafimy mówić o przygnębieniu lub rozczarowaniu. Dlatego jesteśmy tak dobrze wyćwiczeni w okazywaniu współczucia i bycia przy sobie w trudnych momentach. Ale kiedy jest się szczęśliwym, nie trzeba się nad tym rozwodzić i szukać adekwatnych zdań, bycie szczęśliwym pochłania bez reszty. Jest się po prostu... szczęśliwym.

– Nie wiem, jakie będzie twoje małżeństwo, Daisy – mówię, głaszcząc ją po głowie. – Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że będziesz szczęśliwa.

Daisy ziewa szeroko.

– Wiem, że będę – zapewnia i zamyka oczy.

Bez wątpienia marzy teraz jedynie o tym, by zalogować się w świecie drzemki, w którym może śnić o tiulowej, śnieżnobiałej sukni i druhnach wyglądających jak wróżki.

Sprawdzam, czy Daisy zasnęła. Śpi. Podnoszę jej głowę i kładę ją na poduszkach, na których trzymałam nogi. Sam pomaga mi ją przykryć narzutą.

– Bez sensu byłoby budzić ją, żeby położyła się na gorze w łóżku – stwierdzam.

– Tak, lepiej, żeby bolały ją plecy od spania na podłodze. Przynajmniej uczciwie poczuje skutki nocnej balangi – komentuje Sam.

Ponieważ jestem bardzo pijana, zarządzam przymusowe sprzątnięcie kieliszków. Błędnie pojęte założenia logiczne często skłaniały mnie do kompletowania gier z serii Trivial Pursuit albo układania tysiącelementowych puzzli. Pijana determinacja zawsze kończy się katastrofą. Kieliszki często zmieniają się w kawałki liczbą dorównujące najbardziej skomplikowanym puzzlom, ale w danym momencie nie ma siły, która byłaby w stanie wyperswadować mi takie pomysły. Sam dobrze o tym wie, więc ze zrezygnowaną miną sięga po szmatkę do wycierania naczyń. Jednak kombinacja składająca się z ilości wypitego alkoholu i faktu, że zmywam przy świetle świec, prowadzi do bardzo zaniżonych standardów czystości.

– Te z dymionego szkła są naprawdę ładne – stwierdza z przekąsem Sam.

– Wcale nie są z dymionego szkła – odpowiadam, wrywając jej z dłoni komentowany kieliszek i zanurzając go z powrotem w wodzie.

– A więc, jesteś szczęśliwa? – drażni Sam, choć to do niej niepodobne.

– Hej, wydaje mi się, że zabawa w szczerłość już się skończyła.

Sam gapi się na mnie. Wiem, że potępia mój związek z Johnem, dlatego zwykle włączam autonomicznego pilota i mówię jej, że skoro nie rozumie albo nie chce zobaczyć dobrych rzeczy wpływających z tej znajomości, to nie może pojąć, jakie to wszystko jest dla mnie ważne. Ale zanim udaje mi się zaprogramować stały tekst, słyszę swoje słowa: „Mam złamane serce”. Jako że „złamane serce” to koncept, który jest nam bardzo dobrze znany, obchodzimy się bez piorunów, dramatycznych fortepianowych uderzeń w klawisze, omdleń. Podaję jej kolejny, pomazany kieliszek.

– Zostawił cię?

– Jeszcze nie. Ale myślę, że się szykuje. Jednak nie dlatego jestem zdruzgotana. Wiedziałam, że prędzej czy później do tego dojdzie. Mam złamane serce, bo zawsze chciałam wierzyć w to wszystko. – Macham głową w stronę góry magazynów ślubnych, przyniesionych przez Daisy. – To jest takie skomplikowane. – Pocieram ręką czoło, zostawiając pianiste ślady na skroniach. – Moje małżeństwo było wspaniałe. Zbyt indywidualne i osobiste, by je opisać właściwie. Nigdy nie przypuszczałam, że jestem zdolna do romansu. Nigdy nie myślałam, że będę tego chciała.

– A więc dlaczego tak się stało, Con? Co poszło nie tak?

– Ja zawałam. Przez te wszystkie bujdy powtarzane w filmach, książkach, bajkach, czasopismach i piosenkach pop.

Wydaje się, że Sam nie bardzo rozumie.

– Myślę, że sprawa jest prostsza. Ja winię Johna Hardinga.

– Kto to jest John Harding?

Kieliszek, który myję, wypada mi z rąk, kiedy odwracam się i widzę Daisy. Stoi w drzwiach, przecierając oczy. Wszystkie trzy stoimy bez słowa i słyszę utwór Toni Braxton *Unbreak My Heart* dolatujący z gościnnego pokoju. Z pewnością Daisy poradzi sobie z prawdą. Patrzę prosto w jej zasnęłą, dziewczęcą twarz, wciąż pełną nadziei i zachwyty. Potem już pewnie taka nie będzie.

– Mój kochanek.

Nie do końca wychodzi mi brawura, na jaką liczyłam. Daisy gapi się na mnie z rozdziawioną buzią; chwieje się lekko i mam wrażenie, że zaraz zemdleje niczym wiktoriańska dama w przedstawieniu na Broadwayu.

– Ty pieprzona, zakłamana dziwko.

Można tak na to spojrzeć.

– Ty głupia, pieprzona dziwko.

Można i tak.

Rozdział 8

Koniec, tak jak i cały romans, pozbawiony jest godności i przyzwoitych zasad. Jest szorstki, brudny, ekscytujący i poniżający. To ja dzwonię.

– Luke wyjechał. Jesteś wolny?

Przeciąga wahanie w nieskończoność.

– Eee... Idę do pubu – odpowiada w końcu.

– Z kim? – pytam nienaturalnie wysokim głosem, ponieważ za wszelką cenę próbuję nie brzmieć jak główny strażnik moralności hiszpańskiej inkwizycji.

– Z nikim.

– W takim razie przyjdę i dotrzymam ci towarzystwa – oznajmiam z fałszywą jowialnością.

Nie mam za grosz wstydu.

– Spotykam się tam z kumplami.

– Aha.

„Czyżby?” – pytam sama siebie.

– Ale w zeszłym tygodniu zgodziłeś się na dzisiejsze spotkanie.

Granica między byciem nachalnym a wściekłym jest bardzo cienka. Pragnę przypomnieć mu jego zobowiązanie, ale nie chcę brzmieć zupełnie desperacko.

– Naprawdę?

Dociera do mnie obojętność i brak zainteresowania, co – jak zdaję sobie sprawę – jest odzwierciedleniem stanu faktycznego.

– Na szybkiego.

Mam na myśli drinka, ale on rozumie mnie opacznie.

– Słuchaj, Con. Myślę, że powinniśmy już skończyć z seksem i pozostać tylko kumplami. To nie ma sensu. Jesteś mężatką, a ja chcę spróbować czegoś więcej z Andreą.

Na dźwięk jej imienia robi mi się niedobrze.

– No dobra, skoro jesteśmy kumplami, to możemy przecież się razem napić.

Nawet ja w to nie wierzę.

– Nie.

– Proszę.

– Nie – w jego głosie słyszę wahanie.

– Dlaczego nie? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Słuchaj, bardzo się cieszę, że mogę być twoją przyjaciółką. I tak bardziej cenisz przyjaciół niż kochanki.

– Och, Connie, tak dobrze mnie znasz. – Śmieje się.

– No więc? Przyjadę do ciebie i możemy iść do pubu. Jeśli będę samochodem, nie upiję się, no i nie zrobimy niczego, czego potem mógłbyś żałować.

Wymuszam śmiech, ale wcale nie jest mi wesoło. Bycie niechcianą nie może być zabawne. W końcu, po długich namowach, zgadza się. Odzyskałam grunt pod nogami. Chociaż John jest

nieco bardziej smętny i smutniejszy niż zazwyczaj, w pewnym sensie wrócił do mnie.

Jazda samochodem to droga przez mękę. Na dworze ciemno, ruch nieprzeciętny, a ja nie znam drogi z Clapham do Clerkenwell. Idealne warunki. Prowadzę niebezpiecznie szybko i o mały włos nie uszkadzam kilku przechodniów. Czuję się niewyraźnie, jestem cała lepka i podenerwowana. Ślubuję sobie, że jak tylko tam dojadę, będę zachowywać się inaczej. Nie ma mowy o seksie, żadnego zmieszania, żadnej złości. Jeśli chce się kumplować, to pokażę mu, że możemy spróbować. Albo przynajmniej będę udawać do momentu, kiedy uda mi się go przekonać, że to ja jestem tą Boginią Seksu, bez której nie może żyć.

W pobliżu jego domu nie mogę znaleźć miejsca do zaparkowania, więc samochód zostawiam gdzieś w okolicach Australii. Biegnę do drzwi, a dzwonek wciskam cała przepełniona z niepokoju i niecierpliwości.

– To ja – przemawiam beznamyślnie do domofonu, bacząc, by stłumić zdenerwowanie, które tak bardzo chce przebić się w głosie.

Nic nie odpowiada, ale drzwi otwierają się natychmiast. Warował przy domofonie, czekał na mnie. Zamaszyście otwiera drzwi, mniej więcej rzuca się na mnie, taranując po drodze moje szczerze intencje zaszczepotania: „Och, naprawdę fajnie być twoją kumpelką, szkoda, że to nie ja wpadłam na ten świetny pomysł”. Wciąga mnie na korytarz i namyślnie całuje.

Aczkolwiek jakoś tak nieporadnie.

Mimo wszystko ten nieoczekiwany entuzjazm zachwyca mnie do tego stopnia, że nie dbam o nagły zanik uzdolnień. Szamocze się z moimi ciuchami, a ja odwzajemniam się, odpinając guziki jego koszuli, i w kilka sekund jesteśmy rozebrani. Zaledwie parę minut później zalewa moje piersi.

Ten pośpiech jednocześnie pochlebia mi i rozczarowuje. Po błyskawicznym wytrysku zadaje sobie jeszcze trud, by zatroszczyć się o moje potrzeby, i liże mnie zadowolony... Ale seks oralny to tylko seks oralny. Równie dobrze mógłby nakryć do stołu albo sporządzić listę zakupów, byłoby to mniej więcej tak samo egzotyczne. Generalnie nie mam problemów z oszukiwaniem samej siebie, jednak tym razem z jakichś powodów nie jestem w stanie tego zrobić. Seks może zakończyć się w łóżku, ale jego początek jest w głowie. Moja głowa zaś dobrze wie, że on ruszył dalej. Patrzą na jego przejrzystą skórę, na niesamowicie wytworne kości policzkowe, powyżej których widzę szokująco piękne oczy, i czuję się jak ostatni tępak. Te oczy są wciąż niebezpieczne, szelmowsko błękitne, ale coś się zmieniło. Nie ma już w nich tego ognia pożądania czy ciekawości lub pragnienia albo miłości. Jego spojrzenie jest lodowate i znudzone. Nadal jest nieziemsko seksowny, ale jestem zdumiona całkowitym brakiem uczucia. Czy on wie, kim ja jestem? W przeszłości, kiedy lizał uda i pieścił moją łechtaczkę, byłam ekstremalnie szczęśliwa, że leżałam. Przekonana, że jeśli bym nie wybrała takiej pozycji, nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa – i tak wylądowałabym na plecach. Teraz jestem przerażona, że na nich leżę, bo zastanawiam się, jak w ogóle dam radę wstać, przywalona ciężarem zdenerwowania i wstydu, że on mnie już nie pragnie. Odpycham jego głowę. Wycieram spermę ze swoich piersi jego

T-shirtem i powoli zaczynam owijać ciało w ubranie. Odwracam się plecami, by zapiąć sobie bluzkę; nagle ogarnia mnie nieufność i nieśmiałość. Przygląda się, kiedy wciągam skórzane spodnie. Zainwestowałam ciężkie pieniądze w tę, jak mi się wydawało, skórzaną gwarancję zwycięstwa. Wytrysk na cyckach to zatrważająco chybiony strzał.

– Niezłe spodnie.

– Dzięki.

Zmuszam się do szerokiego uśmiechu, odwracając się do niego i siadając, by założyć zamszowe botki do kostek. Gdzie się podziały teksty: „Wyglądasz zajebiście” albo „Jesteś najseksowniejszą dupą, jaką znam, mam ochotę cię pożreć”? Dlaczego komentuje spodnie?

– Gdzie je kupiłaś?

Nie jest dziewczyną, więc trudno, by naprawdę obchodziła go odpowiedź. Chyba że... co za wstrętna myśl. Muszę wiedzieć.

– U Josepha. Chcesz takie same dla Andrei?

Utkwił wzrok w podłodze i nie jest w stanie lub nie ma po prostu ochoty zaprzeczyć.

Wzdycham i podnoszę torebkę.

– Dokąd idziesz? – Wygląda na szczerze zdziwionego.

– Nic tu po mnie – odpowiadam opryskliwie. – Mówiłeś, że spotykasz się z chłopakami na drinka, więc droga wolna. Ja spadam.

Oczywiście wcale nie mam ochoty wychodzić. Oczywiście marzę tylko o tym, by wziął mnie w ramiona, obsypał pocałunkami i przeprosił. Chcę ten wieczór zacząć jeszcze raz. Tym razem w marzeniach dzwonię, by mu powiedzieć, że Luke wyjechał, a on zaprasza mnie do restauracji. Podjeżdża po mnie i kiedy wsiam do samochodu (po tym, jak otworzył mi drzwi), znajduję w środku bukiet białych róż z nierozwiniętymi pączkami, takie lubię najbardziej. W moich fantazjach on mówi, że pięknie wyglądam, a jego tęskne spojrzenia przepełnione są pożądaniem. Traktuje mnie uprzejmie. W taki sam sposób, w jaki odnoszą się do siebie ludzie, którym na sobie zależy. Traktuje mnie w sposób... w taki sposób... jak traktuje mnie Luke.

Czuję się podle i kretyńsko. Niezaplanowane łzy cisną mi się do oczu. Łzy wściekłości. Jestem rozjuszona na siebie, na Johna, na Luke'a, na tę całą cholerną sytuację.

– Nie mogę iść do pubu. Nie po tym wszystkim. – Wskazuje głową na podłogę, na której pospiesznie mnie zaliczył. – Nie mogę tak po prostu iść z chłopakami. – Po chwili dodaje wolno (niechętnie?): – Pójdziemy razem.

Idziemy więc do brudnego, zastraszającego pubu, gdzie nie ma innych kobiet i przyzwoitego wina. Zamawiam dietetyczną colę, a on małe piwo, sygnalizując chęć szybkiej ewakuacji. Nawet ja, z moim niepoprawnym poczuciem niepokonania, zaczynam rozumieć, że to koniec-moja-mała-otrzyj-łezkę-i-spa-daj, a mimo to wciąż pragnę wierzyć, że ryzykowałam własne małżeństwo dla czegoś więcej niż namiętnego pieprzenia się w podejrzanych miejscach. Czy jest jakiś cień nadziei, że on mnie wciąż pragnie?

Nie. Głupia.

Tak. Sceptycznie.

Nie. Mało ci ponížania?

Tak.

Nie.

Jeśli zostałyaby choć najmniejsza iskierka nadziei, to w ciągu miesiąca dałabym radę powiększyć ją do plejady obietnic i zamiarów. Chcę, żeby wszelkie wątpliwości i niepewność zostały rozwiane. Spalić za sobą mosty. Oczekuję jasnego określenia się, chcę sięgnąć dna. Prawie błagam o słowa: „Działasz na mnie odpychająco”, kiedy on zaczyna się zbierać do wyjścia.

– Skąd ta powściągliwość? Przyznaję, że to czarujące zachowanie, ale raczej nie w twoim stylu – przygaduję zjadliwie.

To bardzo ważne, by wciąż myślał, że jestem niewzruszona, że nie zranił mnie głębiej, a jedynie zirytował umiarkowanie.

– Powściągliwość?

Przesuwa papierosa o pół centymetra, dając do zrozumienia w sobie właściwy sposób, że jest zainteresowany i powinnam kontynuować.

– Wytryskując na moich cyckach, a nie we mnie.

Szczerze do bólu, jak sędę.

– No cóż...

Wierci się na krześle, wcale nie ma ochoty składać wyjaśnień.

– Aaa, rozumiem już. Dmuchanie bez penetracji to nie zdrada. To... – Bardzo trudno sprecyzować mi jednoznacznie. – To, co zrobiliśmy przed chwilą, nie jest zdradzeniem Andrei, tak?

Przytakuje tępo głową.

– Ty pierdolony hipokryto – warczę, prawdopodobnie odkrywając wszystkie karty.

– Może i tak, ale sama nauczyłaś mnie tych reguł, Con.

Co za wstyd, ma rację. Na samym początku, wtedy w Paryżu, użyłam tych samych argumentów. Nasz związek opierał się na wyzwaniu. On chciał jedynie zaciągnąć mnie do łóżka, a moim celem było rozkochać go w sobie. Jak tylko dałam mu się przelecieć, mój czar prysł. To on wiele miesięcy temu postawił na swoim. Wygrał wtedy, w Paryżu, kiedy ja sądziłam, że zabawa dopiero się zaczyna. Nie lubię przegrywać.

– Co się zmieniło? – pytam.

– To po prostu nie ma sensu – tłumaczy elokwentnie.

Nie mówi: „Ta sytuacja nie uszczęśliwia mnie” albo: „Jestem zazdrosny o Luke’a” czy: „Zbrzydłaś mi już” lub: „Twój nienasycony apetyt sprawia, że zachowujesz się nieprzyzwoicie, a to na dłuższą metę jest męczące”. Zamiast tego, twierdzi uparcie, że to, co jest między nami, nie ma sensu. Powtarza to kilkakrotnie, z przekonaniem i spokojem. Nie wpada w histerię czy żarliwy ton, nie jest pijany, tylko po prostu zrezygnowany i zdeterminowany. Gapi się na mnie

tymi swoimi pieprz-mnie oczyma, które zmieniły się teraz w oczy znudziłaś-mi-się, i powtarza:

– To, co jest między nami, nie ma sensu.

– Sens! – parskam gniewnie. – Jaki sens masz na myśli? Dom wolno stojący, który wypełnisz meblami, bibelotami i klótniami? W takim razie zatrzymaj swój sens dla Andrei.

Mnie nigdy nie chodziło o sens. Ja pragnęłam namiętności, nieumiarkowania, złości, miłości, nieprzyzwoitości. Zaciskam mocno usta w cienką, kontrolowaną linię rozpacz, gdyż mój mózg usilnie przekonuje moje serce, że przegrałam. To, co było między nami, skończyło się. Mam ochotę zawyc z bólu. Czuję się oszukana. Obserwuję go, jak pozwala, by moje słowa musnęły jego świadomość, i przytakuje.

– No dobra, powiem ci, jeśli chcesz. Z tobą chodzi mi tylko o seks. Nie czerpię satysfakcji z zażyłości, to takie klaustrofobiczne doświadczenie.

– W takim razie, czy nie jestem perfekcyjnym rozwiązaniem? Mężatka, która nigdy nie zaangażuje się głębiej. Oferuję ci dokładnie to, czego – jak twierdzisz – chcesz, czyli seks bez zobowiązań. Bez żadnych warunków. Jestem tobą oczarowana i chciałabym cię zatrzymać. Pragnę cię takim, jakim jesteś, ze wszystkimi twoimi wadami. Chcę dalszych spotkań, regularnych, niekoniecznie częstych. Wiem, że w końcu wybierzesz coś bardziej stałego i trwałego, ale zawsze będziesz tęsknił za tym wyjątkowym stanem radosnego podniecenia, które prowadzi do samodestrukcji. Nie musimy przed sobą niczego udawać.

Jestem zadziwiająco pogodna. Cała sytuacja zaczyna mi się podobać. Nawet jeśli w końcu mnie porzuci, przynajmniej jest dramatycznie. Przynajmniej sprawa wydaje się ekscytująca i poważna. Przez dłuższą chwilę siedzimy w zupełnym milczeniu i przez moment wydaje mi się, że dotarłam do niego, więc dodaję jeszcze:

– W Paryżu zależało ci na bliskości.

Potem on wyciąga asa z rękawa i bije mnie swoją własną bronią. Odnosi się do popkultury.

– Jak to mówią w filmach, Con? „Kilka skradzionych godzin”? – Uśmiecha się najszerszej, a potem gorączkowo szuka najodpowiedniejszych słów. – Con, to, co przeżyliśmy w Paryżu, było najbardziej żywiołowym, niezrównanym, radosnym doświadczeniem w moim życiu. Oczywiście takie oszałamiające szczęście spowodował fakt, że udał mi się nieprzewidziany podbój.

Śmieje się, a ja nie wiem, czy powinnam mu wierzyć.

– Sam nie wiem, jak to osiągnąłem, pewnie pomógł mi nadmiar alkoholu albo niezwykle czar babiego lata.

– Nie – jestem zbyt podekscytowana, by poczuć wstyd, więc belkoczę. – Dobrze wiem i ty też dobrze wiesz, John, w głębi serca, tam, gdzie schowane są najskrytsze myśli, których się niemal wstydzimy, a czasem boimy, że zakochałeś się we mnie w Paryżu. Choć nie potrafisz tego pojąć. Że po prostu kochałeś mnie. I chociaż trzymasz ten sekret w najgłębszych zakamarkach, od czasu do czasu ta myśl daje o sobie znać. Fakt, że odkryłeś, iż posiadasz serce i duszę, które z czasem wygrażą z twoim futem, nie daje ci spać. Boisz się, że angażując się w poważniejszy związek, ryzykujesz zranienie.

Pomimo nieustannych zapewnień, że jego zdolność koncentracji nie przekracza minuty, siedzi cicho podczas tego wykładu. To z jego strony raczej szczyt uprzejmości. Bawi się podkładką do piwa marki Tetley Beer, koncentrując się na oddzieraniu papieru wokół liter T i B. Brak mi oddechu, więc pozwalam, by słowa krążyły między nami. Przekrzywia nieznacznie głowę i przez moment mam wrażenie, że zaraz przyzna mi rację.

– Może. A może, Connie, jesteś tylko kolejną dziwką i mam to wszystko w dupie.

Bum.

To ja.

Właśnie sięgnęłam dna.

Rechocze sam do siebie i kończy piwo. Maszeruje w stronę drzwi, ani słowem więcej nie odnosi się do tego, co powiedziałam, nie próbuje mnie zwabić z powrotem do swego mieszkania. Zdaje się, że nie rozumie ogromu konsekwencji, jaki niesie za sobą jego pogodzenie się z faktem, że to już koniec. Owe konsekwencje są oczywiste dla mnie. Jeśli to naprawdę koniec – myliłam się.

Przegrałam.

Odprowadza mnie do samochodu.

– Było naprawdę świetnie – mówi. – Hej, nie smuć się. Znajdziesz sobie kogoś innego. – Nie zważa na fakt, że to on jest tym jedynym innym. – Może kiedyś – kontynuuje – no wiesz, wyskoczymy razem na piwko.

Zachowuje się nienaturalnie pogodnie, a jego beztroska uprzejmość działa na mnie jak płachta na byka.

– Wiedziałem, że zrozumiesz.

Nie odprowadzam go wzrokiem, kiedy odchodzi od samochodu. Nie dlatego, że jestem dużą i dzielną dziewczynką, ale dlatego, że to już koniec. Włączam silnik i po raz pierwszy, odkąd lata temu zdobyłam prawo jazdy, świadomie kontroluję lusterka, sygnalizuję skrety, manewruję kierownicą. Jadę prosto do AU Bar One.

Lucy i Sam siedzą spowite papierosowym dymem. Nie muszę tłumaczyć im tego nagłego najścia czy oczywistego zdenerwowania, którego nie staram się ukryć. Lucy długo przygląda się mojej twarzy.

– Nigdy nie byłaś dobra w odpuszczaniu – stwierdza w końcu.

Kładę głowę na stole i koncentruję się na ignorowaniu jej.

– Facetom lepiej wychodzi odpuszczanie, taka tradycja – zauważa Sam.

– W tej dziedzinie on osiągnął mistrzostwo. Muszę zjeść deser. Jestem w szoku.

Łapię kartę i natychmiast poprawia mi się nastrój.

– Dotrzymam ci towarzystwa – oznajmia Sam, śliniąc się na ofertę menu.

Zamawiamy czekoladowe ciasto oraz tarte z bananami, karmelem i kremem.

– W szoku? – pyta Lucy. – Dlaczego jesteś w szoku? Zastanawiałam się, jak udawało ci się nie zauważać tego błyszczącego, rażącego neonu.

Gapię się na nią, nie bardzo rozumiejąc.

– Całkowity zanik telefonów, brak e-maili, wahanie się między intensywnością a obojętnością, nie mówiąc już o wahaniu się między blondynkami a brunetkami.

Siedzimy w ciszy do momentu, kiedy na stole lądują desery. Zanurzam łyżkę w czekoladowej masie i wpycham kopiastrą porcję do ust. Natychmiast czuję się lepiej.

– No nic, teraz już potrafię odczytać te wszystkie znaki. Szkoda tylko, że obudziłam się trochę za późno. Z mojego rachunku wynika, że za późno o całe pięć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. Coś koło tego. Myślę, że przestał mnie pragnąć w Hampstead Heath, gdzieś między chowaniem swego kutasa a zapinaniem rozporoka.

Zapoznają je z nieujawnionymi dotąd detalami dotyczącymi romansu.

– Skąd ty to wszystko bierzesz, Con? – wzdycha Lucy.

– Z filmów.

– Och.

– Zamieszał trochę w styczniu, dając do zrozumienia, że może wyjdzie z tego coś więcej – komentuje Sam.

Wpatruje się w swoją tartę, jakby tam kryła się odpowiedź. Na szczęście mamy pod ręką Lucy, która spieszy z klarownym wyjaśnieniem.

– Jego emocjonalna gadka była podyktowana kumulacją alkoholu i sentymentalnych, świątecznych piosenek. To ekwiwalent występu Daisy w „Drodze do gwiazd” przed kamerami bezpieczeństwa w Peterson Windlooper. Czy naprawdę nie zauważyłaś, że on nigdy do ciebie nie dzwonił sam z siebie, jedynie odpowiadał na twoje telefony, poza wyjątkami, gdy wykręcał twój numer kompletnie urzęnięty czy maksymalnie napalony?

– Nie, Lucy, nie zauważyłam.

Energicznie przetrzuca swe blond włosy na plecy. Rzucam jej gniewne spojrzenie. Saddam Husajn jest bardziej wrażliwy niż ona.

– Masz rację, Lucy, po tym pierwszym razie nigdy nie powiedział: „Zostań” lub choćby „Nie odchodź”. Nie odezwał się słowem cały miesiąc. Ale to mi nie pomogło, pragnęłam go jeszcze bardziej.

– Założę się, że gdyby nagle mu się odwidziało i stałby się beznadziejnie oddany tobie, szybko byś się znudziła, tak jak to kiedyś miałaś w zwyczaju – pociesza mnie Lucy.

– Byłoby miło, gdyby dał mi szansę się o tym przekonać.

– A więc jaki będzie kolejny projekt?

– Projekt? – powtarzam zdumiona.

– Tak, projekt – potwierdza Lucy. – Zawsze traktowałaś mężczyzn jak kolejne przedsięwzięcia. Myślę, że tu tkwi problem. Kiedy wyszłaś za Luke’a, skończyłaś układać swe puzzle z pięciu tysięcy elementów i teraz nie wiesz, co robić dalej. Do głowy przychodzi ci tylko rozwalenie układanki, by zacząć zabawę od początku. Więc jaki będzie kolejny wielki podbój?

– To śmieszne – warczę. – Prawda, Sam?

Sam nie odpowiada na moje pytanie, ale zamiast tego mówi:

– Może gdybyś bardziej zaangażowała się w pracę, to...

– Mam dobrą pracę.

– Masz pracę, która satysfakcjonowała kogoś zupełnie innego. Zostałaś konsultantem do spraw zarządzania tylko ze względu na liczbę mężczyzn przypadających na liczbę kobiet w firmie. Jak tylko wyszłaś za mąż, straciłaś wszelką motywację.

– Och, dziękuję wam bardzo za wyrozumiałość.

Pospiesznie pakuję torebkę i z obrażoną miną udaję, że zamierzam opuścić knajpkę. Sam i Lucy są niewzruszone; wiedzą, że nie mam zamiaru wychodzić. Znamy się o wiele za długo, by silić się na umiarkowanie łagodne teksty i głaskanie po głowie. Wiedzą doskonale, co pragnęłabym usłyszeć.

Lucy:

– A to łajdak.

Sam:

– Zaslugujesz na coś lepszego.

Lucy:

– Masz coś lepszego.

Sam:

– Nie obwiniaj się. Do tanga trzeba dwojga.

Lucy:

– Cóż, wygląda na to, że nie ma cię kto poprosić do tańca.

W tym momencie Lucy zaczyna zmieniać nieco pocieszający scenariusz i zamiast tego powraca do „powiem ci, jak się sprawy mają”. Ma do tego pełne prawo, bo jest bliską przyjaciółką. Nienawidzę jej.

– Nie mogę uwierzyć, że pogodziłaś się z tym, iż facet ma dziewczynę, i tolerowałaś jego skoki w bok z innymi panienkami. Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, by oznajmić mu, że to wszystko jest nie do przyjęcia?

– Oczywiście, że nie. – Sam litościwie staje w mojej obronie. – Na wszystko patrzyła przez zmysłowo-cielesne okulary i słuchała przez zakochane słuchawki.

– Gdzie popełniłam błąd? – zawodzę, kończąc czekoladowe ciasto i zanurzając łyżkę w tarcie Sam. Już mi wszystko jedno, tak bardzo jestem rozczarowana i przepelniona żalem. – Może powinnam przejść na dietę? Zapuścić włosy? Ściąć je?

Dziewczyny przyglądają mi się bez słowa.

– Wyglądasz dobrze.

– Wyglądasz olśniewająco.

To prawda, że nigdy wcześniej w życiu nie traciłam tyle czasu i pieniędzy w salonie kosmetycznym. Jestem ujędrniona, opalona, wygładzona, wydepilowana, wymanikirowana, wypedikowana i wyczyszczona na każdym milimetrze mojego ciała. Normalnie nosiłam

przyzwoity rozmiar 10, ostatnio doszłam do wcześniej nieosiągalnego stanu nirwany – rozmiaru 8. W każdym razie lubił moje ciało. Pamiętam te słowa: „Uwielbiam twoje cycki, Connie, jesteś tak cholernie seksowna”. (Niewystarczająco, jak się okazuje. Dobrze wiedzieć, co naprawdę oznacza termin „seksowna”, nadużywany w tekstach współczesnych piosenek pop).

Potrząsam głową.

– Może gdybym nie wydzwaniła tyle razy w czasie świąt. Niepotrzebnie tak naciskałam.

Dziewczyny milczą. Sam żuje banana, a Lucy głęboko zaciąga się papierosem.

– A może powinnam lepiej dać mu do zrozumienia, co czuję? Może gdybym była bardziej otwarta?

Sam próbuje uśmiechnąć się do mnie współczująco, a Lucy ze wszystkich sił stara się, by mi nie przyłożyć.

– Sama nie wiem, co powinnam była zrobić, co mogłam powiedzieć, by zatrzymać jego uwagę.

Lucy uśmiecha się znacząco.

– Ja znam odpowiedź – mówi.

Spoglądam na nią z nadzieją.

– Może gdybyś nic nie mówiła. Może gdybyś zamilkła zupełnie od września do lutego, nie otworzyła buzi nawet, by possać jego pałkę, może byś go zatrzymała.

Staram się traktować ją z pogardą, na jaką niewątpliwie zasługuje. W kółko rozpamiętuję wydarzenia z ostatnich miesięcy, ale nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, co mogłam zrobić inaczej. I nie ma znaczenia, czy przewijam akcję do tyłu, czy do przodu, czy wciskam pauzę. Efekt jest zawsze taki sam.

Zostawiam je w towarzystwie chardonnay i jadę do siebie. Parkuję przed naszym obszernym domem w Clapham i wyję z bólu.

Szlocham.

Płaczę z powodu Johna, Luke’a, siebie. Zaciskam rękę na kierownicy, zazdroszcząc mężowi poczucia stałości i pewności w życiu.

Nie idę do pracy. Jestem chora. Mam złamane serce, jestem nieszczęśliwa, przepełniona żalem, opuszczona, zrozpaczona, załamana, rozczarowana, przybita, niepocieszona, zdruzgotana, płaczliwa i kompletnie rozbita – to coś znacznie gorszego niż grypa. Poza tym jestem bardzo zmęczona. Od miesięcy nie przespałam spokojnie jednej nocy i teraz mam wrażenie, że mogłabym spać całą wieczność. Moi przyjaciele, znajomi z pracy i pocieszyciele jakby nie zdawali sobie sprawy, że jestem chętna do odegrania dobrej parodii żywota Tutenchamona. Telefon nie przestaje dzwonić, ale mam to gdzieś, a kiedy nie mogę dłużej znieść natrętnego dzwonka, zdejmuję słuchawkę z widełek. Przez mniej więcej pięć kolejnych minut mój stan zakłóca piskliwy głos nadający w kółko sztywny komunikat: „Słuchawka źle odłożona, słuchawka źle odłożona... „

– Wiem – drę się, wyszarpując kabel ze ściany. – Ale to akurat mój najmniejszy problem.

Luke został na dłużej w jakimś zamku w Szkocji. Pewien makler giełdowy, jeden z naszych znajomych, kupił posiadłość za cenę małego samochodu i zlecił mojemu mężowi renowację budynku. Luke'owi zależało, by zobaczyć zamek we wszystkich możliwych fazach dziennego światła, więc został dłużej.

Ponieważ jest luty i chodzi o Szkocję, przypuszczam, że zakres światła, który zobaczy, to ciemność, mrok i kompletna ciemność, ale on się uparł. Nie mam się go co spodziewać w domu aż do sobotniego ranka. Tak bardzo chciałabym, żeby był przy mnie, podniósłby mnie na duchu. To jedyna osoba na świecie, która jest w stanie rozśmieszyć mnie i pomóc odsunąć życiowe rozczarowania na bok. Tak jak wtedy, kiedy uparłam się, by ściąć włosy przed ślubem. Bez końca powtarzał, abym tego nie robiła albo przynajmniej wstrzymała się z tym pomysłem do czasu po ślubie.

– Dlaczego nie? Myślę, że dobrze mi będzie w krótkich – obstawałam przy swoim.

– Jestem pewien, że będziesz wyglądała pięknie, nieważne w długich czy krótkich włosach, czy choćby i łyso. Tyle tylko, że te wszystkie magazyny ślubne, które czytasz z takim zapalem, przestrzegają przed radykalnymi zmianami fryzur tuż przed ślubem.

Nie posłuchałam go i oczywiście serdecznie żałowałam. Płakałam przez jakieś cztery dni i odmówiłam opuszczenia domu. Kupił mi pomarańczową perukę kłowna i naciągał mi to, co zostało z włosów, by stymulować ich szybszy wzrost. Zanim stanęłam przed ołtarzem, zdążyłam przyzwyczaić się (tak jakby) do nowej fryzury, ale nie wiem, czy dałabym radę przeżyć pierwsze dni po wyjściu od fryzjera bez Luke'a. Ciekawe, że teraz, kiedy naprawdę go potrzebuję, oczywiście nie można na niego liczyć.

Coś koło osiemnastej słyszę klucz w zamku.

– To tylko ja – krzyczy Luke.

Jednym susem pokonuje schody, ale ja nie próbuję nawet wstać.

– Przyjechałem do domu, jak tylko się dowiedziałem – oznajmia mi.

Siada na brzegu łóżka, a ja zamieram. Dowiedział się!

– Hej, jesteś tu?

Zdejmuje mi prześcieradło z twarzy i prosto przed moim nosem ląduje pęk białych róż. Listki szeleszczą, a słodki zapach wypełnia pokój. Czuję jego lodowatą dłoń na czole.

– Nie mów, że jesteś też chora. Biedne maleństwo.

Gapię się na niego i nie potrafię wydusić z siebie słowa.

Macha różami; to najbardziej gigantyczny bukiet, jaki widziałam w życiu.

– Nagroda pocieszenia.

To jakiś absurd. Mąż kupuje mi róże, bo zostałam porzucona przez kochanka. Coś tu nie gra. Powoli siadam. Jego zimne usta dotykają moich rozgrzanych warg. Nie wiem dlaczego, ale wielka łza spływa mi po policzku. Bynajmniej nie dlatego, że pocałunek nie jest przyjemny. Wręcz przeciwnie.

– Hej, nie płacz, koteczku.

Używa „koteczka” tylko przy specjalnych okazjach.

– Wiem, że jesteś rozczarowana, to naturalne.

Naprawdę? Przypuszczam, że ma rację. Ale jego reakcja jest daleka od naturalnej. Nie mogę wyjść z osłupienia, więc wciąż nie odzywam się słowem.

– Ale może w tym przypadku wygrała lepsza. Choć rozumiem, że trudno ci się z tym pogodzić.

Głaszcz mnie po włosach. Jak poznał Andreeę?

– Tak ciężko na to pracowała.

Ja też, płaczę cichutko, ale wciąż jestem zbyt zdumiona, by zaryzykować puszczenie pary z gęby. Czy powinien traktować to wszystko tak spokojnie?

– Martwi się, jak zareagujesz, próbowała się do ciebie dodzwonić przez cały dzień.

Kto? Andrea? Skąd ma mój numer? Sprawa gmatwa się coraz bardziej.

– Zadzwoń do niej – mówi, wręczając mi telefon.

– Ale ja nie znam jej numeru – jąkam się.

– Jesteś chora. Jest zakodowany. Wciśnij czwórkę.

Luke obdarza mnie swym ogromnym, wszechogarniającym, cierpliwym uśmiechem.

– Dzwonię do Sam? – pytam niepewnie.

– Oczywiście, a niby o kim mowa? – Luke używa tonu, którym zwykle posługuje się w towarzystwie małych dzieci. – Pogratuluj jej. Powinnaś, tym bardziej że jest teraz twoją szefową. Dyrektor wydziału to poważny awans. Dobrze wiem, kochanie, że też miałaś szansę, ale w końcu Sam pracuje w firmie dłużej niż ty. Idę nastawić czajnik, nie będę ci przeszkadzał.

Luke wychodzi z pokoju, a ja wpatruję się w telefon. Powoli zbieram wszystko do kupy. Rzeczywiście, Sam mówiła mi, że złożyła podanie o stanowisko dyrektora wydziału. Zaprosiła mnie na kawę i bardzo poważnie zapytała, czy sądzę, że ten awans mógłby odbić się na naszej przyjaźni.

– Nie złożę podania, jeśli uważasz, że to może stanąć między nami – powiedziała Sam, patrząc na mnie oczyma pełnymi szczerości. – Też powinnaś ubiegać się o tę posadę, myślę, że masz duże szanse.

– Podoba ci się ta garsonka? – spytałam. – Kupiłam niedawno.

– Tak, bardzo – rzekła, nieco zmieszana, nie bardzo kojarząc związek z jej pytaniem.

Najwidoczniej złożyła podanie i dostała ten awans. Zuch dziewczyna! Nie mogę uwierzyć, że moi przyjaciele, a nawet mąż, myślą, że rozpaczam z powodu pracy! Nie przyszło mi nawet do głowy, by zgłosić swą kandydaturę. Dzwonię do Sam. Luke wraca do sypialni, stawia filiżankę gorącej herbaty na nocnym stolyczku i wysyła mi promienny uśmiech.

– Sam, to wspinała nowina. Będziemy musiały urządzić przyjęcie, by uczcić twój sukces – szczebioczę do słuchawki.

Łapię spojrzenie Luke’a, który mówi bezgłośnie: „Jestem z ciebie dumny”.

Lucy wybiera się do Paryża w towarzystwie żonatego kochanka. Bardzo ją kręci i nie ma ochoty rozmawiać o niczym innym. Zachowuję się nieelegancko, bo nie pozwalam jej rozwodzić się na temat wyjazdu. Nie ma nic bardziej dołującego niż wysłuchiwanie przyjaciółki nadającej o szczęśliwym romansie w momencie, kiedy twój legł w gruzach. Tym bardziej jeśli ta przyjaciółka obstaje przy wypadzie do tego samego miasta, w którym zawalony romans miał taki obiecujący początek.

– Będzie wspaniale, całe trzy dni razem! Żadnego pędzenia do domu. Żadnego oglądania się przez ramię – wyrzuca z siebie podekscytowana.

– A potem powiedział: „Nieźle spodnie. Gdzie je kupiłaś?”. – Wydmuchuję nos.

Lucy zauważa w końcu, że nie mam zamiaru cieszyć się jej szczęściem i jedyną możliwością jest drażnienie mojego tematu.

– Co za bydlak. Założę się, że chce je kupić dla swojej laski.

To zupełnie pogrążające, że doszła do tego samego wniosku.

– Nie znoszę, kiedy wracają do swoich żon czy dziewczyn. To takie... – szuka odpowiedniego słowa.

– Upokarzające – proponuję.

Potrząsa głową.

– Rozczarowujące – prychem pod nosem, ledwo powstrzymując łzy.

– Wkurzające, to chciałam powiedzieć – stwierdza.

Lucy bierze halkę, przygląda się jej uważnie i zaraz porzuca ją lekceważąco.

– Czy czerwony nie jest zbyt oczywisty? – pyta, zatrzymując się przy szkarłatnym komplecie bielizny La Perla, który zapewne pasowałby idealnie do amsterdamskiego burdelu.

– Z całą pewnością – wzdycham.

Lucy natychmiast wrzuca komplet do koszyka. Pomimo beznadziejnego przygnębienia, nie mogę się powstrzymać i piszcze:

– Ten stanik kosztuje sto siedemdziesiąt pięć funtów, a figi osiemdziesiąt!

Śmiem wątpić, czy ten nad wyraz skąpy komplet jest wart takiej ceny. Uśmiech goszczący na twarzy Lucy wskazuje, że jest godny każdych pieniędzy.

– Mężczyźni lubią, kiedy kobieta zada sobie trochę trudu z bielizną – stwierdza beztrąsko.

Może i tak, ale Luke pomyślałby, że oszalałam, wydając tyle na figi; podobam mu się nawet, jeśli mam na sobie zwykle bawełniane gatki marki M&S. Zaraz, o czym to ja mówiłam? Aha, o Johnie.

– Wiesz, raz nawet założyłam jego bieliznę do pracy, a on zawsze trzymał parę moich majtek. Za każdym razem zostawiałam u niego jakąś część ubrania. Nie specjalnie, tylko jakoś tak zawsze ubierałam się w pośpiechu. – Nie roztrząsam tego wątku zbyt długo. – Czy uważasz, że to nadzwyczaj seksowne zachowanie, że chciał zatrzymać moją bieliznę? – pytam Lucy z nadzieją.

– Nic bardziej banalnego – szepcze konspiracyjnie, a po chwili dodaje ze współczuciem: – Gdzieś ty się urodziła?

Kiedy wychodzimy z Harrodsa, na dworze jest już ciemno i leje. Stoimy na środku ulicy, na próżno próbując zatrzymać taksówkę. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Wcześniejsze doświadczenia wskazują, że być może spędzimy tu tygodnie, zanim uda nam się coś złapać. Kropla deszczu w Londynie i wszystko staje w miejscu. Z pogardą myślę o tych mięczakach z południa.

– Oberwanie chmury nie zrobiłoby żadnego wrażenia w Sheffield – mruczę pod nosem.

Deszcz rujnuje mój pieczołowicie wykonany makijaż, chociaż z niewyjaśnionych przyczyn Lucy wciąż wygląda nieskazitelnie. Zupełnie przemoczone ubrania są ciężkie, a do tego trudno mi utrzymać niezliczoną liczbę sporych toreb z zakupami. Jestem pewna, że w tej chwili nie pada nigdzie indziej w Londynie i cały deszcz zgromadził się tuż nade mną. Przed oczyma stają mi sceny z tych szczególnych czarno-białych filmów z nieudolnymi efektami specjalnymi, w których deszcz podąża za błaznem biegającym po planie.

To ja jestem tym błaznem.

Zazwyczaj Lucy bardziej jest gotowa wepchnąć innych konkurentów, machających na taksówkę, pod koła przejeżdżającego autobusu, niż tkwić na środku ulicy. Dzisiaj cierpliwie czeka na swoją kolej. Najwyraźniej oszalała. Zastanawiam się, czy w Harrodsie można zarazić się chorobami, które manifestują się odmienioną osobowością. Nie poświęcałam zbyt dużo uwagi kolejnej historii miłosnej Lucy z żonatym facetem w roli głównej. Ale teraz, kiedy obserwuję, z jakim zapalem rozprawia na temat hotelu George V i wieży Eiffla, dociera do mnie, że ona naprawdę zadurzyła się w tym gościu. Gdyby chodziło o kogoś innego, na przykład o Sam, byłabym szczerze zaniepokojona. Kręcenie z żonatymi mężczyznami może zakończyć się tylko łzami. Ale jeśli chodzi o Lucy, jestem przekonana, że nie ma powodów do niepokoju. Ona już dobrze wie, jak zadbać o siebie.

– No dalej.

Lucy prawie wrywa mi rękę ze stawu, kiedy przeskakuje przez tuzin innych ludzi pokornie stłoczonych pod parasolami i wyglądających pomarańczowego światła zwiastującego suche miejsce w wolnej taksówce. Lucy wypatrzyła jedną. Z rozmachem otwiera drzwi i wpycha mnie na tylne siedzenie.

– Dokąd, kochaneczki? – pyta taksówkarz.

Lucy podaje adres.

– Za bardzo się dziś rozklejasz – stwierdza krytycznie Lucy. – Luke wyjechał?

– Tak, w interesach. – Wzdycham z rezygnacją.

– W takim razie nocujesz u mnie.

Szybka reakcja Lucy przynosi mi ulgę, a poza tym podkreśla niemiłosiernie żalodne zachowanie taksówkarza ofermy, który nie ma pojęcia, jak trafić pod prestiżowy adres Lucy. Ta niby ich „orientacja” to tylko miejski mit. Lucy wrzeszczy mu do ucha wskazówki, jak ma

jechać, a ja korzystam z okazji, by usiąść wygodnie i zatopić się we własnych myślach. Ogarniająca mnie złość zbliża się niebezpiecznie do granicy łez. Taksówkarz, kierowca amator, ale doświadczony psycholog, odszyfrowuje mój nastrój i przełącza radiowy kanał nadający łagodne, bluesowe klimaty z udziałem Billie Holiday na radosne, bezsensowne śpiewki. Facet ma dobre chęci, ale ja pragnę jedynie w spokoju zagłębić się w dołujących klimatach. Chciałabym, by wszyscy mający misję uszczęśliwiania innych na siłę skoczyli do Tamizy. Taksówkarz zapala papierosa. Dym drapie mnie w gardle i przypomina Johna. Mam ochotę płakać. Krucha równowaga, którą nazywam życiem, jest poważnie zachwiana. Krople deszczu zalewają taksówkę i choć wycieraczki pracują na maksymalnych obrotach, nie mogą uporać się z ulewą. Sygnalizatory wyglądają jak pudełka ze sztuczną biżuterią. To wina Lucy. Bo w kółko nawija o tym Paryżu. Ha, Paryż, znienawidzone miejsce. Dlaczego chce jechać akurat tam? Nic, poza niezliczoną ilością fontann, masą eleganckich latarni, milionem wysokich drzew, tuzinem wspaniałych, kremowych budynków, szerokich alei plus fantastyczne jedzenie, wyborne wino... Czego tam szukać? Jest więcej niż trzeba czarujących mostów, a liczba namiętnych par może przyprawić o zawrót głowy. Co w tym takiego atrakcyjnego? Paryż, najsamotniejsze miasto pod słońcem.

– O czym myślisz? – docieka Lucy.

– O niczym – odpowiadam, jakbym była mężczyzną.

– Słuchaj, to zupełnie naturalna reakcja.

– Co?

– To, co teraz czujesz, żal i rozczulanie się nad sobą. Niestety, ten ból jest zazwyczaj odwrotnie proporcjonalny do idiotycznego zachowania ukochanego.

– Lucy, naprawdę potrafisz pocieszyć człowieka.

– Daję ci trzy tygodnie, maksymalnie cztery i minie ci. Ale licz się z tym, że w tym czasie przeżyjesz więcej emocji, niż amerykańscy turyści zwiedzą obiektów w trakcie tygodniowej podróży po Europie.

– Co ty powiesz!

Odwal się. Nie, nie myślę poważnie. Oczywiście, jestem jej dozgonnie wdzięczna za cierpliwość. W zeszłym tygodniu wypła ze mną ogromną liczbę butelek wina i filiżanek kawy, podczas gdy ja śmiertelnie ją zanudzałam zadawanymi w kółko pytaniami.

– Czy myślisz, że on naprawdę wierzył w to, co mówił? – pytam, bo nie zapomniałam tych wszystkich wspaniałych rzeczy, które od niego usłyszałam.

– Tak – wzdycha Lucy, nalewając kolejny kieliszek wina. – Ale Connie, ty to wiesz i ja to wiem, że...

– Wiem – przerywam jej. – Te słowa tracą ważność w momencie, kiedy dochodzą do naszych uszu.

Potakuje.

– Możesz uwierzyć, że on to naprawdę zrobił? – pytam, głęboko dotknięta.

Za każdym razem, kiedy pomyślę tylko, ile okropnych rzeczy John mi zrobił albo raczej, czego nie zrobił, ogarnia mnie fala oburzenia. Nie dzwonił, nawet nie raczył odpowiedzieć na moje telefony, spóźniał się lub w ogóle się nie pojawiał.

– Tak – przyznaje Lucy, zaciągając się głęboko. – Ale mnie nie mieści się w głowie, Connie, że znosiłaś to wszystko...

– Wiem, wiem. – Zwieszam głowę. – Tylko, że ja...

Tym razem przerywa ona.

– Pragnęłaś go.

Wypowiada te słowa z takim lamentem w głosie, że przez chwilę myślę, iż naśladuje Sam, a potem zdaję sobie sprawę, że parodiuje mnie samą. Choć robię to wbrew sobie, nie wytrzymuję i wybucham głośnym śmiechem.

Lucy pilotuje mnie przez wszystkie straszne chwile, podczas których doświadczam zaprzeczania, żalu i rozpaczania nad swoim losem. Potem sama wybieram się w podróż emocjonalnych doświadczeń i zatrzymuję się na dłużej przy rozgniewanej irytacji. Przystanek dalej i dopadam gniewu. I podczas gdy z irytacją nie zabawiłam bardzo długo, to furia okazała się na tyle luksusowym kurortem, że przeciągam pobyt w nieskończoność. Szkarłatna, gwałtowna, dzika wściekłość. Wpadam w niepohamowany amok. Monstrualnych wręcz rozmiarów. To okropny czas. Wyżywam się na znajomych i ukochanych. Nienawidzę Luke'a za to, że nie jest Johnem, a Johna za to, że nie jest Lukiem. Rozsierdzona jestem na siebie, że zachowałam się tak cholernie naiwnie i straciłam głowę dla Johna oraz jego kłamstw. Jestem zła na Lucy, że nie ostrzegła mnie w porę, bym trzymała się od niego z daleka, a potem wybucham, kiedy ta przypomina, że cały czas powtarzała mi, bym dała sobie z nim spokój. Przez zgorzkniały marzec przechodzę, drąc wszystko na strzępy, miażdżąc to, co staje mi na drodze, niszcząc i przeklinając. Popadam w permanentny stan napięcia przedmiesiączkowego. Przeklinam ludzkość. Kiedy budzę się każdego ohydneho ranka, myślę tylko, jaki straszny dzień mnie czeka, co zwykle się sprawdza, nawet jeśli jego początek nie jest taki zły. W drodze do pracy prowadzę ścisły rachunek wszystkich powodów zmartwień. Irytują mnie idioci wskakujący w ostatniej chwili do metra, ryzykujący obrażenia i spowodowanie opóźnień. Gotuje się we mnie na widok nastolatków ze słuchawkami na uszach, którzy słuchają muzyki pulsującej głośno i niezrozumiale. Do szału doprowadzają mnie parki, które w miejscach publicznych rozmawiają słodko albo – nie daj Boże – wylewnie okazują sobie uczucia. Uważam to za niewyobrażalnie chamskie zachowanie. Jestem śmiertelnie obrażona na tych, którzy pakują się do metra z za dużym bagażem, przy czym te kanciaste toboły uparcie lądują na moich stopach. Nie cierpię parkingowych, bibliotekarek, kanarów, taksówkarzy, sprzedawców butów – wszyscy są złośliwi i podli. Nienawidzę tych wszystkich, którzy mają cokolwiek wspólnego z publiczną siecią telefonów, gazem czy energią elektryczną – to zupełnie niepozbita i niekompetentna banda. Naprawdę szczerze nie znoszę szczęśliwych ludzi.

– Ciągłe staje mi przed oczyma ten kawałek folii podskakujący na ulicy, kręcony wiatrem, i widzę, jak on go goni. Zwykły, marny strzęp folii – warczę ze złością, potykając się o te słowa oburzenia.

– Łajdak – przyznaje Lucy, nie po raz pierwszy zresztą.

– Co za pieprzony, bezczelny cham, że spuścił się na moje cycki – wrzeszczę, ciskając książką o ścianę.

– Dawaj, mała – dopinguje mnie Lucy, najwyraźniej bardzo zadowolona z emocjonującego rozwoju akcji.

Podnosi książkę i ciska nią o ścianę.

– Na co ty jesteś wściekła? – pytam, wytrącona z równowagi tym zachowaniem.

– Zawsze jestem wściekła – odpowiada gburowato.

– Może jestem tylko kolejną dziwką i ma to w dupie.

Z ledwością udaje mi się powtórzyć jego słowa, wyrzucam je z siebie. Kolejna dziwka, kolejna dziwka. I ma to w dupie. W dupie. Hałaśliwie wrzucam pustą butelkę po chardonnay do śmieci, kładę ręce na biodrach i ciskam w Lucy gradowe spojrzenia.

– Co więcej, Lucy!... – wciąż drę się ze wszystkich sił.

Lucy wygląda na lekko zaniepokojoną, ale mam świadomość, że każda inna osoba na jej miejscu sikałaby ze strachu na widok tego przedstawienia. Lucy ma nerwy ze stali.

– Co więcej, skończyło się nam białe wino i będziemy musiały zadowolić się czerwonym.

– Nie mam nic przeciwko.

Luke cierpi w milczeniu podczas tej szalonej karuzeli emocjonalnej. Podejrzewa, że moja depresja w lutym ma związek z przedłużającą się zimą. Z kolei depresja marcowa to według niego reakcja na brak awansu w pracy. Czyta sterty artykułów na temat kobiecych hormonów, sugeruje nawet, bym wybrała się do lekarza i zmieniła pigułki. Kiedy mrozę go wzrokiem, proponuje delikatnie, bym zamiast tego skontaktowała się z biurem pośrednictwa pracy. Przez cały ten burzliwy czas jest uprzejmy, zatroskany, rycerski i nieobecny. Nowy, potężny kontrakt pochłonął go zupełnie. Wygrał przetarg na przebudowę teatru na restaurację, w samym środku West Endu. Całe przedsięwzięcie jest niezwyklej wagi i zarówno media, jak i branżowi guru uważnie monitorują każde jego posunięcie. Obydwoje zdajemy sobie sprawę, że to jest właśnie ten wielki przełom, o którym tak często rozmawialiśmy, i że szansa pojawiła się znacznie wcześniej, niż którekolwiek z nas mogło sobie wyobrazić. Jeśli wszystko się uda i projekt Luke’a zostanie oceniony pozytywnie, to hurtem posypią się oferty pracy. Zaangażował się całkowicie. Praktycznie nie przestaje pracować, a jeśli już zdarzy mu się wrócić przed nocą do domu, nie rozprawia o niczym innym, jak tylko o nowym przedsięwzięciu. Bardzo się cieszę. Naturalnie, że tak. Bardzo.

I jestem trochę zazdrosna.

No bo jak to jest, że przechodzę przez to wszystko, a on nic nie zauważył? I dlaczego on ma

kreatywną, satysfakcjonującą, superpracę, a ja nie? I jakim prawem moim największym wyzwaniem jest zaprojektowanie nowego papierowego samolociku, który ląduje w śmieciach, a ja nie muszę nawet ruszać się z miejsca? Jakim cudem nie zdał sobie sprawy, co działo się pod jego nosem? Kolejna rzecz, która mnie mierzi, to fakt, że on wciąż jest taki nieskazitelny, wzorowy, tyle że my razem już nie bardzo tworzymy nieskazitelne małżeństwo czy wzorowy tandem. Ja, ze zszarganą reputacją, zniżyłam się do zerowego poziomu. Każdej nocy zasypiam z niemłym uczuciem, że drażni mnie... to wszystko.

Budzę się przed Lukiem i podskakuję nerwowo. Sprawdzam zegarek, jest dziewiąta rano. Zaraz, jaki to dzień? Wpadam w panikę. Czy to dzień roboczy? Zaspałam? Po chwili odprężam się, bo zdaję sobie sprawę, że to nie środek tygodnia. Mamy sobotę, dziewiętnasty marca. Ale coś mi nie gra. Odwracam się szybko do Luke'a, by sprawdzić, że z nim wszystko OK. Proszę, Boże, spraw, żeby nic mu nie było. Proszę, Boże, błagam cię. Oddycha? Oczywiście, że oddycha, oczywiście, że nic mu nie dolega. Śpi głęboko, a na jego twarzy maluje się ta łagodna, pełna zadowolenia mina, która zawsze towarzyszy mu podczas snu. Rozluźniam się i kładę z powrotem. Mój sen już dawno przestał wiązać się z odprężeniem i relaksem. Zanim poznałam Johna, zawsze zapadałam w głęboki, spokojny sen, zwinięta w kłębek, wtulałam się w Luke'a. Od kiedy zaczęłam spotykać się z Johnem, spałam bardzo niespokojnie, z początku noc zakłócał mi stan podekscytowania i szczęścia, z czasem stałam się zbyt spięta i zatroskana. Okropnie jest dzielić łóżko z żalem, rozczarowaniem i złością. Nagle doznaję olśnienia. Już wiem, co się dzieje. Obudziłam się o dziewiątej rano, nie o drugiej, trzeciej czy czwartej albo piątej w nocy. Przespałam bite dziewięć i pół godziny. Jestem taka zrelaksowana. Wściekłość ustąpiła. Sprawdzam, czy aby nie schowała się pod łóżkiem. Nie. Rozmyślam, pod jakimi innymi postaciami może się znów ujawnić, ale nie jestem ani wzburzona, ani rozżłoszczona. Nie czuję niepokoju czy rozdrażnienia. Wściekłość zniknęła raz na zawsze, a ja mam wrażenie, że kamień spadł mi z serca. Właściwie, poczucie ulgi to całkiem radosny towarzysz, wyluzowany, niewymagający, niespieszny i uległy. Poczucie ulgi powtarza w kółko: „Dobrze się spisałaś, Connie, brawo. Potencjalnie groziło ci wielkie niebezpieczeństwo, ale upiekło ci się. Gratulacje. Mądra dziewczynka”. Po czym ulga klepie mnie energicznie po plecach.

Smażone śniadania mają w sobie coś seksownego. Nie wiem dlaczego, ale coś w tym jest. Może dlatego, że tłuszcz kojarzy się z dogadzaniem i pobłażaniem sobie albo znaczenie tu mają skojarzenia z potężnymi twardełkami kierującymi ciężarówkami. Z poczuciem ulgi smażę śniadanie dla Luke'a i zabieram je na górę. Nieśmiało kładę tackę na łóżku. Łóżko. Luke przygląda mi się podejrzliwie, co jest naturalną reakcją, gdy się weźmie pod uwagę fakt, że jak dotąd usmażyłam mu śniadanie zaledwie cztery razy i nigdy nie zdarzyło się, bym zaniósła je na górę. Obserwuję, jak radośnie pochłania zawartość talerza. Wpycha bekon do ust i śmieje się do mnie. Na jego dolnej wardze zostaje trochę żółtka. Z prawej strony. Pod wpływem nagłego impulsu pochylam się i całuję to miejsce. Pocałunek powoli się wydłuża. Nasze otwarte oczy

przenikają się wzajemnie. Przechyliłam odrobinę głowę i znów go całuję, delikatnie gryząc jego dolną wargę. Moja klatka piersiowa wpycha się pod jego rękę, zaczynam oddychać szybciej, on ostrożnie odkłada tackę na podłogę i... dzwoni telefon. Śmiejemy się pogodnie. Kiwa głową, dając do zrozumienia, że mogę ze spokojem odebrać. Nie spieszy się nam.

– To ja.

– Daisy.

Jestem zachwycona. Od momentu, kiedy Daisy odkryła prawdę o moim romansie, nasze stosunki stały się bardzo napięte. Daisy jest rozdarta. Kocha mnie, ale nienawidzi tego, co zrobiłam. Płakała cały tydzień, pytając bez końca, jak mogłam zdradzić Luke'a. Sam zwróciła uwagę, że to nie jej sprawa i że jeżeli ktokolwiek miał prawo mnie nazwać „egoistyczną, podłą, fałszywą dziwką”, to mógł to być Luke. Wtedy Daisy zmieniła taktykę. Przez dłuższy czas pomstowała na mnie, że potraktowałam ją jak dziecko. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie powiedziałam jej o wszystkim, tak jak Sam i Lucy (Rose się nie liczy, żadna z nas nie mówi jej o niczym). Wtedy interweniowała Lucy, uciekając się do przyjacielskiego, zimnego prysznica.

– Connie próbowała cię chronić. Traktujemy cię jak dziecko, bo tak właśnie się zachowujesz. A teraz przestań się mazać, daj buziaka i popraw makijaż.

Zarówno Daisy, jak i ja, zbyt onieśmielone słowami Lucy, nie protestowałyśmy. Daisy niechętnie przytuliła się do mnie i powiedziała, że z pewnością zrozumie, dlaczego nie mogę być jej druhną. Nasze stosunki nieznacznie się poprawiły, kiedy Daisy dowiedziała się, że już po wszystkim. Sam powiedziała jej, że to ja zerwałam. Małe, niewinne kłamstewko.

– Wybieram się dzisiaj do miasta na poszukiwania ślubnej sukienki. Tak się zastanawiam, czy masz ochotę mi potowarzyszyć.

Domyślałam się, że jedna z dziewczyn poprosiła ją, by do mnie zadzwoniła. Może Rose? Możliwe, że mam ocenić werdykt Rose i Lucy. Sam nadal w soboty chodzi na zajęcia plastyczne, więc nie da rady przyjść. Rose i Lucy, które rzadko zgadzają się w czymkolwiek, nie są idealnym towarzystwem dla Daisy, szczególnie że chodzi o tak ważną sprawę. Jakikolwiek jednak byłby powód, jestem bardzo zadowolona.

– Z przyjemnością, Daisy.

Czekam z Lucy na Daisy i Rose przed butikiem ze ślubnymi sukienkami. Lucy opiera się o witrynę sklepu i pali papierosa. Założyła okulary przeciwsłoneczne, mimo że w Wielkiej Brytanii słońca nie należy się spodziewać przez następne trzy miesiące. Głośno zaciąga się i wydmuchuje dym.

– Więc, Connie, jak się dzisiaj czujemy? – pyta.

– Ulżyło mi – odpowiadam z uśmiechem. – I to nie tylko dlatego, że nic się nie wydało, choć to oczywiście bardzo istotne. Kamień spadł mi z serca, bo przypomniałam sobie, że kocham Luke'a. Wciąż nie rozumiem tylu rzeczy, przede wszystkim, dlaczego to zrobiłam, ale czuję taką ulgę, mając świadomość, że kocham Luke'a. Myślę, że uda się nam wszystko naprawić.

Lucy przygląda mi się uważnie.

– Ulga to jeszcze nie koniec – ostrzega mnie optymistycznie.

Cholera, dziewczyna ma spore doświadczenie w tych kwestiach, więc na pewno się nie myli.

– Naprawdę staram się wszystko wynagrodzić Luke’owi. Zadziwiające, jak szybko udało się nam wrócić do starych zwyczajów. Kupowanie rzeczy dla domu, udzielanie się w pracy, urządzenie przyjęć, odwiedzanie starszych ciotek. To niesamowite, że tak błyskawicznie zapomniałam o Johnie.

– Serio? – Uśmiecha się. – A więc nie odezwał się po tym wszystkim?

– Nie, wybrał zachowanie człowieka z krwi i kości, a nie bohatera z książki.

– Co masz na myśli?

– Żadnych wielkich gestów, żadnych podchodów, by mnie odzyskać, nic – tylko głucha cisza.

– To pech.

– Prawda? – Szczerzę się, a ona dobrze wie, że żartuję. – Spójrz, Lucy, odzyskałam nawet poczucie humoru.

Milkniemy. Lucy używa witryny sklepowej jako lusterka, by sprawdzić swoje nienaganne odbicie. Pocieram butem o nogawkę spodni, by zakurzona skóra choć trochę odzyskała blask.

– Wiesz co, zastanawiałam się trochę i jako ekspert od tych klocków, mogę ci powiedzieć, że jestem głęboko przekonana, iż mogłabyś odzyskać Johna. Gdybyś tylko poświęciła na to trochę uwagi.

Zanim udaje się jej podzielić ze mną przemyślaną strategią, słyszę swój głos:

– Ale ja nie chcę go odzyskać.

To coś nowego. Czy szanowny mózg zdołał zarejestrować to, co powiedziały usta? Mózg zgadza się zupełnie. A czy *serce* usłyszało? Właściwie serce nigdy się nie zaangażowało, więc jest zadowolone, że może wyrazić swe poparcie. Kolejny sprawdzian, eee... majtki, jakie jest wasze zdanie na ten temat? Zero reakcji. Żadnych drżących, szczeniackich uczuć, zupełnie nic. Żeby mieć całkowitą pewność, wypowiadam na głos jego imię. John Harding. Brak reakcji serca, nic. Dzięki Bogu. Nie chcę go już.

– A więc czego teraz chcesz? – pyta rozsądnie Lucy.

– Niczego. Wszystko jest idealnie.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Już za nim nie tęsknię.

– Tylko uważaj, Connie, byś zbyt szybko nie próbowała załatać tych dziur.

Zauważam Rose i Daisy maszerujące w naszym kierunku. Ruszamy się z miejsca, by przywitać siostry Kirk. Daisy przytula mnie mocno i myślę, że moje winy zostały mi wybaczone; być może wciąż mam szansę na angaż do roli druhny.

Nasze wejście do sklepu obwieszcza dźwięczny dzwonek zawieszony nad drzwiami. To „dzyń” przenosi nas w inną epokę, choć trudno precyzyjnie określić, który to wiek. W każdym

razie chodzi o czasy, w których kobiety, zazwyczaj całkowicie niezależne, mogą, bez utraty szacunku do samych siebie, nosić długie, powłóczyście suknie, trzymać parasolki i chować się za grubymi koronkami, zachowując jednocześnie skromność i kokieterijną prowokację. Czasy, w których wszyscy mówią stłumionym głosem. Wtedy kobietom udaje się być zarówno w centrum uwagi, jak i zachować skromną powściągliwość, a mężczyźni są czarujący i troskliwi. Wejście do tego butik z sukienkami i akcesoriami ślubnymi sprawia, że poddajemy się czarowi romantycznej utopii, choćby tylko przez jeden dzień. To będzie dzień Daisy.

Moje serce natychmiast twardnieje, a chwilę później eksploduje, bo przed oczyma staje mi wyprawa do takiego sklepu sprzed dwóch lat. Pamiętam, że czułam się jak gąsienica wchodząca do kokonu. W pełni świadoma, że za chwilę mam przeobrazić się w dojrzsze i potężniejsze stworzenie. To był zupełnie inny sklep, a jednocześnie jakby ten sam. Te same puszyste dywany, które miękko masują stopy, identyczne łagodne fałdy jedwabiu i rozety z kokard, które drżą lekko w przeciągu spowodowanym otwarciem drzwi. Jedwab porusza się wolno, ale nie bezcelowo, zupełnie jak fale oceanu obmywające kremową plażę. Melodyjny temat z *Love Story* dochodzi gdzieś z ukrycia i chociaż podświadomie zdajemy sobie sprawę, że to kiczowaty chwyt, kręci nam się w głowie od obietnic spełnionej miłości i nieustającej nadziei.

Rose i ja wymieniamy spojrzenia. Rose wygląda na przybitą i smutną. Między nią a Peterem bez przerwy dochodzi do sprzeczek. Mam ochotę ścisnąć jej dłoń i zapewnić, że to zupełnie normalne, bo małżeństwa przechodzą trudniejsze okresy. Wszystko się ułoży. Może kiedy bliźniaki zaczną wychodzić z domu.

Lucy, zamiast zmieszania, reaguje wyraźną irytacją, kiedy sprzedawczyni zwraca jej uwagę, by „powstrzymała się” od palenia. Obserwuję, jak gasi peta, a ponieważ znam ją naprawdę dobrze, wiem, że wyobraża sobie, iż właśnie ukręca głowę sprzedawczyni.

Daisy nie ruszyła się jeszcze z progu, nie ma odwagi. Jeśli zrobi choć jeden krok, wszystko może zniknąć; ta obiecująca, niebiańska możliwość wykrzesania z siebie czystszej, lśniącego, sztywnego, „ja”. I nie tylko na ten jeden dzień, ale już na zawsze. Chcę jej powiedzieć, chcę spróbować wytłumaczyć, że to tylko część gry, ale w końcu nie *home run*. [W baseballu bieg przez wszystkie bazy, który pozwala zawodnikowi zdobyć punkt.]

Ostrożnie podchodzi do najbliższej sukienki i właśnie wyciąga rękę, by dotknąć zabezpieczonego folią wieszaka, kiedy ostry i nieprzyjemny głos przeszywa powietrze.

Sprzedawczyni tłumaczy, że wcale nie jest sprzedawczynią, tylko ślubną konsultantką. To rozróżnienie jest tylko wstępem do długiej listy nowych pojęć, które zostają nam przedstawione. Sukienki określane są mianem „szaty”, buty to „trzewiki”, bielizna – „intymne odzienie”. Lucy pozwala sobie na parsknięcie, co zostaje zupełnie zignorowane. Obserwujemy, jak „ślubna konsultantka” ochami i achami toruje sobie drogę do serdecznej natury Daisy. Potrafi połączyć jednocześnie matczyną pobłażliwość i dziewczęcą poradę. Na pierwszy ogień Daisy wybiera trzy sukienki. Wszystkie to zmysłowe, obcisłe, efektowne kiecki. Patrzymy z powątpiewaniem. Konsultantka radzi uprzejmie, by zamienić rozmiar 10 na 12: „Te szaty są takie maleńkie”. Bogu

dzięki, że kobieta ma takt.

Daisy idzie do przebieralni sama.

– Następnym razem, kiedy moja przyjaciółka będzie wychodzić za mąż, poradzę jej, żeby kupiła sobie odpowiednią bieliznę na tę część programu – krzyczy zza zasłony.

Rose i ja wymieniamy spojrzenia pełne poczucia winy.

– Zawaliłyście sprawę, moje drogie – mówi Lucy zadowolona z siebie. – I pomyśleć tylko, że to ty, Rose, będziesz na weselu starościna.

Boże, między tymi dwiema toczy się już zimna wojna. Zastanawiam się, czy Lucy tak bardzo pragnęła być pierwszą druhną Daisy, że teraz czuje się urażona wybraniem Rose.

– Wydepiluj nogi, kup nowe buty, popraw makijaż – wylicza dalej Daisy z przebieralni.

Pewność siebie przyszłej panny młodej osiągnęła krytycznie niski poziom. Daisy zawsze określano jako kobietę o apetycznych krągłościach, co zresztą stało się zmartwieniem jej życia. Faktycznie jest bardzo powabna z tą kremowobiałą karnacją, mgiełką piegów, rudymi, kręconymi włosami i ogromnymi, zielonymi oczyma. W swoich lepszych fazach, choć niechętnie, ale akceptuje tę raczej oryginalną urodę, tyle że przez większość czasu marzy o ciemnej, błyszczącej, równo przyciętej fryzurze wyglądającej i przypominającej w dotyku powierzchnię szkła. A do tego zero biustu. Pragnie być elegantką z długą, powabną szyją i dużymi, brązowymi oczyma. A te oczy byłyby otoczone długimi, aksamitnymi rzęsami.

Wychodzi z przebieralni. Stoimy z rozdziawionymi buziami i szeroko otwartymi oczyma. Suknia nie jest po prostu obcisła, raczej bardzo dopasowana. Wszystko powinno być w porządku, pod warunkiem, że nie będzie siadać, ruszać się za wiele i pewnie musiałaby zrezygnować z majtek, by uniknąć nieeleganckich przebić na tyłku. Daisy spogląda w lustro i jej uśmiech natychmiast gaśnie. Waha się i dostaje rumieńców. Szkarłatny wylew ma źródło w czerwonej plamce po lewej stronie szyi i opanowuje klatkę piersiową oraz policzki.

– Pomyślałam, że zmienię się w Audrey Hepburn. – Daisy próbuje chichotać, ale trudno zakamufłować dogłębne rozczarowanie. – Zgłupiałam, co?

Rose odpowiada jej matczynym uśmiechem i czule obejmuje siostrę ramieniem. Stoją naprzeciw lustra i wpatrują się w odbicie Daisy. Patrzą na pannę młodą w zupełnie nieodpowiedniej „szacie”.

Lucy wywraca oczyma, a ja ściskam ostrzegawczo jej dłoń, sygnalizując, by darowała sobie komentarze.

– Wiem, wiem, nie mam serca z kamienia – szepcze. – Jezu Chryste, to chyba nie wina Daisy, że dała się nabrać na cześć gadanie powtarzane od początków świata. Tylko frajerzy wierzą w bajkę „I żyli długo i szczęśliwie”. To wszystko wina piosenek pop.

Lucy jest taka wyrozumiała.

– Kochanie, to suknia dla neurotycznych anorektyczek pozbawionych osobowości. – Szczerzy się. – Takie laski to fatalny materiał na pannę młodą.

Daisy ostrożnie odwraca się do Lucy, niepewna (jak my wszystkie), co może zaraz usłyszeć.

Lucy potrafi, jeśli się tylko postara, być najbardziej czarującym i przekonującym doradcą. Ugina kolana tak, by z równego poziomu spojrzeć w oczy Daisy. Obejmuje jej twarz swoimi chudymi dłońmi, a palcem odgarnia niesforny rudy lok za ucho. Zauważam, że to gest jakby w stylu Audrey Hepburn, i zastanawiam się, czy Daisy podziela moją opinię.

– Simon uwielbia twoje krągłości. Żeni się właśnie z tobą. Z tą kobietą, którą widział w ciepłej bieliźnie i tłustych włosach. W małżeństwie nie chodzi o ten jeden szczególny dzień, liczy się tylko wy, a nie kiecka.

Skąd u niej to nagle objawienie wiedzy o małżeństwie? Daisy uśmiecha się nieśmiało, słońce przedziera się przez deszczowe chmury. Lucy puszcza prowokacyjne oko.

– Dalej, przyznaj się nam, ile razy ci mówił, jak bardzo kocha twoje biodra, twój tyłeczek? Dobrze wiemy, jak namiętnie wpija się w te wielkie... – Lucy dotyka niemal ucha Daisy, kiedy szepcze – ... cycki.

Twarz Daisy natychmiast staje w płomieniach.

– Ciiichooo – chichocze. – Jesteśmy w sklepie z sukniami ślubnymi.

– Tak, w sklepie, a nie w cholernym kościele. Obiecuję, że w świątyni nie usłyszysz ode mnie ani słowa „cycki”, ani żadnego innego bluźnierstwa.

To, co mówi Lucy, jest zarówno atrakcyjne, jak i trafia w samo sedno. Daisy pospiesznie ściąga seksowną suknię cesarzowej i porzuca ją niczym parę tanich skarpetek. Ponownie przetrząsa wieszaki i wybiera „szatę” nie tylko dopasowaną do jej kobiecej figury, ale i podkreślającą wszystkie wdzięki.

Opuszczamy sklep trzy godziny później, lżejsze o ponad tysiąc funtów.

– I jak tam polowanie na suknię? Polala się krew? – pyta Luke.

– Uwieńczone sukcesem. Daisy wybrała sukienkę.

Całuję go. Obejmuje mnie ramionami. I patrzy mi prosto w oczy. To nieco zawstydzające, jego spojrzenie jest intensywne, ale wytrzymuję je.

– Chyba nie będziesz zła, że podczas twojej nieobecności podjąłem nieodwołalną decyzję. Zadzwoiłem do Petera i powiedziałem, że nie przyjdziemy dziś na kolację.

– Obraził się?

– Nie, właściwie chyba mu ulżyło.

– Nie jestem zła, skoro oni nie mają nic przeciwko. Jesteś chory?

– Nie. Po prostu czuję, że straciliśmy głowę w tym kołowym ciągu codziennych spraw. Że przestaliśmy spędzać razem czas. Sami, tylko we dwoje, tylko dla siebie. – Pochyliła czoło w kierunku mojej twarzy i wpatruje się we mnie. – Jestem taki zajęty, a ty jesteś taka... – milknie. – Wiesz, o co mi chodzi?

Obejmuje jego szyję i uśmiecham się.

– Wiem doskonale. Myślę, że to wspaniały pomysł. Co będziemy robić? Jedziemy do Tesco po zapasy?

– Nie, wyjdźmy gdzieś.

Przede mną staje nagle mały chłopiec, cały podekscytowany swoimi planami i niespodziankami.

– Zarezerwowałem stolik w La Belle Epoque. Podobno człowiek, jedząc tam, ma wrażenie, że siedzi w środku torebki Chanel. Więc może być trochę ciasno, ale na pewno z klasą.

Śmieję się i pędzę na górę, by wybrać odpowiednią kreację.

*

– O czym myślisz, Rose? – pytam, podając jej filiżankę herbaty.

Siedzimy w naszym ogrodzie z Henrym i Sebastianem. Nie jest może zupełnie ciepło, ale wolę zaryzykować i złapać grypę, niż bezradnie patrzeć, jak chłopcy aktywnie demolują mój dom. My jemy kremowe ciasteczka, oni jedzą ziemię.

– Ze wszystkich sił próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz on naprawdę mnie pragnął, pragnął ze wszystkich sił. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy to się skończyło. Co zrobiłam nie tak, że przestał mnie pożądać.

Rose jest w szoku. Jak wszyscy zresztą. Tamtego wieczoru, kiedy wybraliśmy się do La Belle Epoque, po powrocie do domu zastaliśmy Rose i bliźniaki ulokowane w pokoju gościnnym. Rose posłużyła się zapasowym kluczem, za co przeprosiła z całego serca i wytłumaczyła, że to była awaryjna sytuacja. Peter ją zostawił. Dla Lucy.

Ta wstrząsająca wiadomość odbiła się na nas wszystkich. Jednym zgrabnym ruchem Lucy puściła z dymem wszystko, co było tak dobrze znane. Naturalnie nastąpił podział lojalnościowy. Luke nie starał się ukryć swojego oburzenia, Daisy nie pozostawiła suchej nitki na Lucy i przeciągnęła Simona na swoją stronę barykady. Sam trzyma się bliżej środka, próbując dostrzec racje obu stron. Ja nie potrafię określić się jednoznacznie i to nie dlatego, że staram się być wyrozumiała, ale już dawno straciłam prawo przyjmowania postawy moralistki. W dodatku zawstydzam mnie fakt, że kompletne zatracenie się w swoich sprawach sprawiło, iż nie zauważyłam czegoś tak poważnego w życiu Lucy. Lucy zakochana w Peterze? Lucy zakochana w Peterze? Nasze babskie ploteczki w Ali Bar One, wspólne obiady, pikniki, to wszystko należy już do przeszłości. Koniec rytuałów i przyzwyczajień. Sytuacja, przynajmniej dla mnie, jest niewygodna, ale co dziwniejsze, odczuwam ulgę.

– Och, jestem pewna, że on nie... przestał – pocieszam Rose.

Spogląda na mnie.

– Przestań się oszukiwać, Con. Miło, że próbujesz podnieść mnie na duchu, ale to tylko strata czasu. Zobacz rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. On już mnie nie chce.

Tym razem nie zaprzeczam. Rose obserwuje dzieci. Sebastian rozgniata mrówki, a Henry łąduje do buta piach, który potem wysypuje sobie na głowę. Stwierdzam, że te ślady agresywnego i dysfunkcyjnego zachowania chłopców dawały o sobie znać, zanim dzieci stały się produktem rozbitego domu. Henry szczyrzy się do mnie. Patrzą za ich plecami na Luke'a. Pali śmieci z tyłu ogrodu.

– Chciałabym pamiętać ten czas, kiedy on mnie pragnął. Tak bardzo chciałabym przypomnieć sobie to uczucie. – Rose wzdycha i potrząsa głową. – Jednak w sumie, po co? Przecież dobrze wiem, że już mnie nie chce, więc rozpamiętywanie tego jest nie tylko zbyteczne, ale i odpychające.

Przerywa na chwilę, pije łyk herbaty i wyciąga robaka z buzi Henry’ego. Nie przerywam jej. Wiem, że potrzebuje się wygadać.

– Rozmyślałam o możliwych strategiach na dłuższą metę. – Wylicza możliwości na palcach. – Mogłabym rzucić się do drzwi i błagać go, by został ze względu na dzieci. Mogłabym też przyczać się, ignorować go, traktować z góry. Wygląda na to, że kręcą go takie kobiety. Mogłabym spotykać się z nim, ale nie pozwalać mu, żeby mnie dotknął. – Wzdycha głęboko. – Przy założeniu, że wciąż tego chce, co jest mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, czego dotykał ostatnio.

Rose udaremnia moje uprzejme komentarze.

– Bądź rozsądna, Con. Spójrz na mnie i pomyśl o Lucy. W swoich najlepszych latach nie wyglądałam nawet w połowie tak atrakcyjnie jak ona w swoich gorszych dniach, a moje dobre czasy minęły. Mam świadomość, że już dawno przestałam dbać o siebie.

– Ale to ty jesteś jego żoną – mówię szczerze. – To ty jesteś matką jego dzieci. Jesteście ze sobą, odkąd skończyłaś dwadzieścia dwa lata i ten długi czas musi coś znaczyć, Rose.

– Niby co? Lata gotowania, sprzątanania, wychowywania go, pamiętania o urodzinach jego matki, cerowania, przyszywania guzików do koszul, prasowania, pilnowania jego zakichanych obowiązków w pracy, troszczenia się o jego ego, wychowywania jego dzieci i bycia miłą? Myślisz, że to musi coś znaczyć, naprawdę tak myślisz, Connie?

– Naprawdę tak myślę – odpowiadam szczerze.

– No więc zrozum w końcu, że to nic nie znaczy.

Przypuszczam, że ma rację. W końcu dla mnie to też nie miało znaczenia, nie wtedy. Rose odwraca się do mnie.

– Wiedziałaś, Connie? – pyta bardzo poważnie.

– Nie. Naprawdę. Teraz wydaje mi się to głupie. Powinnam była skojarzyć fakty. Wiedziałam, że ma romans z żonatym mężczyzną. Powiedziała mi nawet, że jej kochanek... – Rose mrozi mnie wzrokiem, więc wyduszam z siebie: – ... chłopak... – znów źle – ... że on ma na imię Pete. Nie wiedziałam, że to twój Peter.

– Zawsze to czyjś Peter, jeśli byłby z kimś związany. Może nie mój, ale mąż innej kobiety, ojciec, czyjaś miłość, ukochany mężczyzna, nadzieja, przyszłość.

Nagle robi się bardzo gorąco. Wiercę się na leżaku.

Rose zachowuje się niezwykle w obliczu dezercji Petera. Jej spokojne pogodzenie się z rzeczywistością zdumiewa mnie, a Daisy doprowadza do szewskiej pasji.

– Zamierzasz więc pozwolić tej dziwce, by tak po prostu ci go zabrała? Bez walki? – wrzeszczy Daisy.

– Nie mogę zmusić go, by został. Nie zmuszę go, by mnie kochał.

Rose zjawia się w naszym domu w sobotni wieczór. Nie roni jednej łyzy, chociaż wciągnęła butelkę czerwonego wina i trzy kieliszki czystej whisky, co sugeruje, że nie jest całkowicie nieporuszona. Siedziałam z Lukiem przy niej tak długo, aż zasnęła. Potem kładziemy się w łóżku i przytulamy się. Bardzo, bardzo mocno. Leżę na jego klatce piersiowej, a on głaszcze mnie po włosach.

– Biedne dzieci – szepcze.

– Są jeszcze takie małe, poradzą sobie. Biedna Rose – odpowiadam.

– To wszystko jest bardzo złe. – Luke ściska moją dłoń.

– Jak Peter mógł postąpić tak egoistycznie?

Czuję się jak ktoś, kto właśnie rozbił swojego jaguara, ale wyszedł z wypadku cało. Niewiele brakowało, a równie dobrze to Luke mógł zwinąć się do domu Rose i Petera. Czasami jest wręcz niepokojące, że Lucy potrafi przewidzieć taką masę rzeczy. Domyślam się, że to doświadczenie w świecie biznesu daje jej ten szósty zmysł w wielu sprawach. Moja podróż emocjonalna nie kończy się na poczuciu ulgi. Dziękuję Bogu, że to ja współczuję Rose, a nie odwrotnie. Ale kiedy leżę w ramionach Luke'a, przygniata mnie poczucie wstydu. Świadomość, że zdradziłam Luke'a i siebie, wspólne wartości i nadzieje, obezwładnia mnie. Ale jednocześnie, zupełnie niespodziewanie, jestem wdzięczna za ten wstyd. Umożliwia mi większą skruchę.

– To typowe dla Lucy, nie mogę jednak zrozumieć Petera – rozwodzi się Luke.

– Nie – mruczę i przytulam się jeszcze mocniej.

Smutna rozmowa z Rose kontrastuje z ożywioną paplaniną Lucy przez telefon.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Pete to Peter? – wydieram się do słuchawki. – Poczekaj chwilę.

Zaciągam telefon do szafy wnękowej na dole i siadam między pudłami, pelerynami i śmierdzącymi tenisówkami. Rose wciąż przebywa u nas, wolę się zabezpieczyć, żeby przypadkiem nie usłyszała rozmowy.

– Mówiłam ci. Ale ty nie słuchałaś – odpowiada rzeczowo.

– Czy naprawdę nie mogłaś zarzucić sideł na innego żonatego faceta?

– Nie bądź hipokrytką, Con.

Trafna uwaga. Słyszę, jak zapala papierosa, wypija swój dzin z tonikiem i nalewa sobie kolejną porcję.

– Nie zaplanowałam tego – broni się.

Gdzieś już słyszałam te wymówki.

– Nie?

– Nie.

– Ale nie próbowałaś temu zapobiec.

– Słuchaj, Connie, jeśli chcesz mnie nazwać dziwką, zrób to szybko, jednak powiem ci szczerze, że kto jak kto, ale akurat ty nie masz prawa mnie potępiać.

– Nie, pewnie nie – wzdycham. – Tyle że Rose to twoja przyjaciółka. Wiedziałaś, kiedy byłyśmy w sklepie z sukienkami ślubnymi, że on pakował walizki, by się do ciebie przeprowadzić. Jak to zrobiłaś, że udało ci się ciągnąć romans z Peterem i jednocześnie widywać się z Rose?

– Codziennie dzielisz łóżko z Lukiem, prawda?

Okrutne i trafne spostrzeżenie. Zdziwiałam, jak bezwzględna może być prawda.

– Tylko mi nie mów, że się w nim zakochałaś.

– Okej, nie pisnę słowa.

Hmm, teraz zżera mnie ciekawość.

– No dalej, gadaj. Zakochałaś się w nim?

– Kocham go.

Te słowa tkwią między nami.

– No dobra.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– A on kocha mnie.

Jakżeby inaczej.

– Czy to musiał być akurat on, Lucy?

– Najwidoczniej tak. Od zawsze. Od momentu, kiedy wisiałyśmy na parapecie w oknie akademika, by zobaczyć, jak wygląda facet Rose, byłam pod wrażeniem. Żaden inny mężczyzna nigdy tak na mnie nie działał. Nawet nie zamierzam przeproszać czy mówić, że jest mi przykro. Bo nie jest. Jestem zachwycona. Jestem szczęśliwa.

I to mówi Lucy! Tego już za wiele.

– To całe gadanie o przeznaczeniu, Connie. No, więc miałaś rację. Istnieje coś takiego. Pete jest mój. A ja należę do niego. Okropne, że inni ludzie przez to cierpią, ale jestem tego warta. I on też. Uszczęśliwiam go. Rose tego nie robiła. Dopilnuję, by rozstał się z nią uczciwie i zawsze był ojcem dla swoich dzieci. Kocham go.

Ten nieoczekiwany zwrot wydarzeń daje mi dużo do myślenia. Naturalnie porównuję romans Lucy i Petera do swojej przygody. Z jednej strony podziwiam ich odwagę w bezwzględnym pościgu za własnym szczęściem, ale jednocześnie potępiam ich egoizm. Zdaję sobie sprawę, że małżeństwa, nawet moich najbliższych przyjaciół, mogą się rozpaść. Ta myśl nie daje mi spokoju. Jeśli Peter zdołał zostawić Rose i chłopców i uniknął ostracyzmu, to ja też mogłam zostawić Luke'a. Jeślibym tego naprawdę chciała. Luke macha do mnie z warsztatu. Serce mi podskakuje.

Wiem, gdzie moje miejsce. Już się stąd nie ruszę.

Rozdział 9

Luke wraca z boiska bardziej ubłocony niż Kew Gardens i przyłapuje mnie na trzecim z kolei klasycznym filmie, który zaliczyłam dzisiejszego dnia. Odśłania zasłony i popołudniowe kwietniowe słońce odbija się na ekranie telewizora, oślepiając gwiazdy filmowe.

– No proszę. Prawie puste pudełko czekoladek Milky, połowa chusteczek higienicznych zużyta i przynajmniej trzy... nie, cztery filiżanki herbaty – wylicza smętne resztki po filmowym pikniku. – Wygląda mi to na bardzo udane popołudnie.

Uciszam go, gdy urywane tony z ust Celi Johnson sygnalizują koniec *Spotkania*. Wzdycham i sięgam po pilota.

– Cudowne – potwierdzam jego przypuszczenia. – *Zabawna buzia, Casablanca*, a na sam koniec *Spotkanie*.

– Zaoszczędziliśmy fortunę na King's Road, odkąd odkryłaś kablówkę – śmieje się Luke.

Mysłąc o jednej z kwestii, która padła w którymś z filmów, pytam Luke'a:

– Jak sądzisz, czy ty masz większą obsesję na moim punkcie i interesujesz się mną bardziej niż inni mężczyźni?

– Nie – odpowiada cicho Luke.

– Nie – powtarzam rozczarowana.

– Nie – potwierdza ponownie.

Do diabła z tą jego cholerną szczerością. Gdyby choć czasami wiedział, co powiedzieć, by mi dogodzić.

– Każdy z odrobiną rozumu – dodaje po chwili – oszalałby na twoim punkcie. Ja miałem to szczęście, że umożliwiłaś mi skorzystanie z najliczniejszych okazji, by pokazać ci moje zainteresowanie.

Patrzę na jego blond głowę pochyloną nad krwawiącym kolanem i nagle ogarnia mnie dziwne uczucie. Coś jakby mdłości plus zamęt w głowie. Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– Luke, ty krwawisz – mówię w końcu.

Podskakuję zatroskana.

– Nie martw się, to tylko zadrapanie. – Śmieje się i kuśtyka do mnie na sofę.

– Nie martwię się o ciebie, tylko o dywan – żartuję, by zakamuflować uczucia, i przynoszę środek dezynfekujący.

– Kurde. Ale szczypie.

– To znaczy, że działa.

– Myślę, że to coś bardziej poważnego, niż się spodziewaliśmy.

– Dlaczego?

– To przez upadek na głowę. Mam halucynacje.

– Naprawdę?

– Czuję, że ktoś tu gotował.

– Świnia. Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę. Przygotowałam fenkuły i vodka risotto.

– Szok może mnie załatwić na amen. A co mamy tutaj? – Wskazuje na piekarnik.

– Upieczone w folii karczochy z tymiankiem.

– Skąd wiedziałaś, gdzie kupić świeże zioła?

– A widzisz, nie jestem wcale taka beużyteczna – odpowiadam, udając naburmuszenie. Po chwili wyznaję: – Tak naprawdę zadzwoniłam do Rose, powiedziała mi też, jak nastawić sokowirówkę.

– Deser? – pyta z niedowierzaniem, a jego rozdziawione usta wyrażają pełną konsternację.

– Lody o smaku czarnej porzeczki.

– Aha, Ben&Jerry. – Uśmiecha się i oddycha z ulgą.

– Nie, domowej roboty.

Z ledwością udaje mi się opanować triumfalną satysfakcję w głosie.

– Zdaje mi się, że jesteś chora – kpi, udając troskę. – Lepiej się połóż. Szok spowodował u mnie zawroty głowy. Chyba też muszę spocząć.

Ładujemy więc w łóżku.

Wstajemy, by skosztować moich kulinarnych wyczynów i wypić dużo wina. Kusi nas pozostanie w łóżku, ale Luke rozumie, jakie znaczenie ma fakt, że wtargnęłam do kuchni i dałam radę coś ugotować. Dobrze wie, że byłabym rozczarowana, gdyby zaproponował odpuścić sobie kolacji na rzecz, nieważne jak wielkiej, frajdy w łóżku. Trudno powiedzieć, by wszystko smakowało wyśmienicie, więc zapycham się orzechowymi czekoladkami, które wcześniej umknęły mojej uwadze i teraz leżą zapomniane w pudełku. Luke dzielnie pałaszuje wszystko i nawet upiera się, że mu smakuje.

Opowiada o meczu i chociaż moje zainteresowanie jest mniej niż zerowe, naprawdę próbuję skoncentrować się na zrozumieniu różnicy między napastnikiem a obrońcą. Luke tryska wyjątkowo dobrym humorem, bo udał mu się *hat trick*. [Trzy punkty zdobyte przez jednego zawodnika. W dosłownym tłumaczeniu „sztuczka z kapeluszem”.] Nie miałam pojęcia, że podczas gry zakładają kapelusze, nie mówiąc już o tym, że robią z nimi jakieś sztuczki.

– Może przyjdę i pokibicuję ci w przyszłym tygodniu – proponuję.

– Naprawdę? – rozpląwa się. – Nie będziesz się nudzić? Nie tęskniłabyś za swoimi czarno-białymi wyciskaczami łez?

– Nie. Chciałabym to zobaczyć.

Milknę. Cały czas rozkoszuję się miłością, którą mi zafundował. Naprawdę się kochaliśmy. Żadnych akrobatycznych figur, żadnej gimnastyki czy sparingowego konkursu na liczbę zaliczonych pozycji. Nasze zbliżenie pozbawione było poczucia obowiązku, winy czy powierzchowności. Zatraciłam się w nim. Straciłam poczucie granic jego i mojego ciała kiedy wtopiłam się w niego. Moje ciało znów należy do niego. Tak jak serce.

Sekret jest mój. .

– Luke.

Muszę powiedzieć prawdę. Muszę wyznać grzechy. Szczerość to najlepsze rozwiązanie. Jak możemy się znów do siebie zbliżyć, skoro wisi nade mną tak ciężka tajemnica? Czy możliwy jest powrót do tej bliskiej zażyłości, której doświadczyliśmy na samym początku? Szczerość to podstawa. Musi dowiedzieć się o mnie wszystkiego i dopiero wtedy może podjąć decyzję, czy nadal chce ze mną być. Wpadam w panikę, podążając tym tropem. Co zrobię, jeśli zdecyduje się mnie zostawić?

– Co?

– Nic.

– Wszystko w porządku?

– Tak, czemu pytasz?

Nagle ogarniają nas przestworza głuchoj ciszy, mile pustki, nieprzebrane ilości nieświadomości, cała wieczność. Szukam odpowiednich słów. Wy tłumaczenia. Krążę w ciszy w poszukiwaniach, ale zupełnie na próżno. Czy sama potrafię zrozumieć? Nie. Słuchamy razem tykania zegara i piosenki Everything But The Girl dolatującej ze stereo sąsiada. Nie ma odpowiednich słów dla czegoś tak złego. Milczenie to najlepsza strategia. Co miałabym zyskać, mówiąc mu o Johnie? Uspokoić wyrzuty sumienia, zniszczyć jego wewnętrzny spokój?

– Wzniesmy toast – mówi, napełniając kieliszki.

– Za co?

– Za życie.

– Powiedziałeś „za życie” czy „za miłość”?

– Za życie.

– Okej, za życie – zgadzam się nieco rozczarowana.

– I za miłość.

– Za miłość – powtarzam z uśmiechem.

– Dla mnie jedno i drugie znaczy to samo – mówi, potakując głową.

– Co masz na myśli?

Znów zapada cisza. Obrysowuje palcem moje brwi.

– Connie, dobrze wiem, że nie jestem mistrzem romantycznych gestów i pewnie za rzadko wyznaję ci uczucia. Jezu, ty jesteś taką romantyczką, że nie sądzę, iż zdołałbym wystarczająco często mówić ci, jak bardzo cię kocham. Kocham cię. Ty jesteś moim życiem. Twoja miłość to moje życie.

W gardle utknęła mi monstrualnych rozmiarów gruda i pragnę ze wszystkich sił powiedzieć mu coś równie wspaniałego, ale nic wystarczająco wzniosłego nie przychodzi mi do głowy. Zamiast tego ściskam jego dłoń. Luke kontynuuje.

– Zdaję sobie sprawę, że nie zawsze mówię to, co pragnęłabyś usłyszeć, albo może ci się wydawać, że nie koncentruję się na tobie wystarczająco, ale tak naprawdę jesteś dla mnie wszystkim. Cała moja praca ma tylko jeden cel: zapewnić nam wspaniałe życie. W ten sposób dbam o ciebie.

Luke, zazwyczaj oszczędny w słowach, jest na fali.

– I chociaż masz taką skomplikowaną naturę, a ja nie zawsze potrafię cię rozgryźć, to nigdy nie zaprzestam prób. Pragnę zrozumieć cię całą, odkryć wszystkie twoje oblicza. Bo jesteś najbardziej wymagającą, interesującą, fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Czy właśnie powiedział „fascynującą”?

– Czy właśnie powiedziałeś „fascynującą”?

Luke czerwieni się i zaczyna sprzątać talerze.

– Zdałem sobie sprawę, że zbyt rzadko mówimy sobie takie rzeczy.

Słucham, jak skrobie talerze, i wypuszczam kota. Wraca do jadalni. Siedzę dokładnie w tym samym miejscu, w którym mnie zostawił. Nie mogę się ruszyć.

– Luke, kocham cię.

Jestem tak bardzo świadoma tych słów, że aż mnie przerażają. On kiwa tylko głową.

– Zagramy w karty?

Najwyraźniej ma już dosyć wynurzeń jak na jeden dzień.

– Nie, Luke.

Nie potrafię się wytłumaczyć, więc decyduję się na szlachetność tak daleką, na jaką mnie tylko stać.

– Chciałabym, żebyśmy coś sobie przyrzekli. – Wypijam ostatnią kroplę wina z kieliszka. – Jeżeli kiedykolwiek zdarzy się tak, że przestaniemy się uszczęśliwiać nawzajem, to musimy dać sobie spokój. Nie możemy dopuścić, by jedno torturowało drugie.

Odpowiedź Luke’a jest zadziwiająca.

– Och, nie – mówi, wyglądając na zaszokowanego. – Nie zgadzam się. Najpierw musiałbym dowiedzieć się, dlaczego zacząłem cię unieszczęśliwiać albo przestałem cię uszczęśliwiać. Zrozumiałbym i dałbym z siebie wszystko, by to naprawić.

Wpatruję się w niego zdumiona, że potrafi przejść z poziomu czułości i szlachetności na ten nowy, egzaltowany ton.

– Connie, nigdy cię nie stracę ani nie pozwolę ci odejść.

Trzyma mnie mocno za rękę, jakbym za chwilę miała się zerwać do drzwi. To zupełnie niedorzeczne, bo chcę zostać dokładnie tu, gdzie jestem. Chcę trzymać tego mężczyznę za rękę. Chcę być żoną tego mężczyzny.

Znacznie później kładziemy się do łóżka i mój zamroczony alkoholem sen zostaje przerwany przez dźwięk faksu. Czuję, że Luke też się kręci. Brzęczący faks w środku nocy to raczej rzadkość, ale nie jest to bezprecedensowe zdarzenie. Zwijam się w kłębek i właśnie, kiedy mam zagrzebać głowę pod poduszkę, rejestruję, że Luke wstaje.

– Która godzina?

– Za piętnaście trzecia.

– Czy to naprawdę nie może poczekać do rana?

– Pewnie nie. Czekam na faks z Australii o dachówce na dach restauracji, to musi być to. Nie zasnę, dopóki nie wyląduję na moim biurku. Dzięki tej wiadomości rozstrzygną się losy moje i tysięcy innych mężczyzn, kobiet i dzieci. – Unosi brew, co oznacza, że jest w dobrym humorze, i dodaje: – Szczególnie los dzieci leży mi na sercu, Con.

Nie rozumiem żartu. Schodzi na dół, a ja przewracam się z boku na bok, obracam poduszkę, próbując uformować z niej coś na kształt Luke’a, tak bym mogła znów zasnąć. Ledwo zamykam oczy, a on wraca na górę. Gościnnie odkrywam kołdrę, by zaprosić go z powrotem do łóżka, ale Luke się nie kładzie. Zapala lampę, oślepiając mnie zupełnie.

– Co się dzieje? – mruczę pod nosem i próbuję mruganiem oczu otrząsnąć się z tej brutalnej ingerencji w sen.

Najwyraźniej rzeczywiście coś się dzieje. Jego twarz jest biała, granitowa. Rzuca przyniesiony faks na łóżko. Papier trzepocze chwilę i opada na pościel.

– To nie jest wiadomość do mnie. Ten faks przyszedł do ciebie, jak mniemam.

Natychmiast domyślam się, że nie jest to pilna wiadomość z pracy. Żal zaczyna mnie przeszywać, gdy uświadamiam sobie, że w czasach, kiedy desperacko zależało mi na tym, by John się ze mną skontaktował, dałam mu wszystkie możliwe numery: do pracy, do domu, na komórkę i faks. Wiem, że to wiadomość od niego. To nic, że nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się przysłać mi faksu, wiem i już. Tak, jak powinnam była przewidzieć, że – prędzej czy później – mój świat rozsypie się na drobne kawałki.

Wiadomość jest ręcznie nabazgrana wielkimi, mało czytelnymi literami. Czytam:

GREENIE, MUSZĘ CIĘ TERAZ MIEĆ.

„Mieć” jest podkreślone.

– Więc, Greenie – Luke z wahaniem powtarza moje przezwisko jeszcze z panięskich czasów; tak bardzo obco brzmiące w naszym domu. – O co w tym wszystkim chodzi?

Wypowiada te słowa ledwo słyszalnym szeptem. Rzuca mi spojrzenie, które jednocześnie niesie nadzieję i oskarżenie. Jego oczy skurczyły się do rozmiarów paciorków wypełnionych zdezorientowaniem i przerażeniem.

– Jestem pewien, że da się to jakoś wytłumaczyć.

Teraz jego twarz wyraża nieme błaganie. I w tym momencie oddałabym dosłownie wszystko za umiejętność obrócenia tego w niewinny żart albo przynajmniej wymyślenia na poczekaniu przekonującej wymówki. Wykrętu, który pozwoliłby nam wrócić do łóżka i zasnąć spokojnie w naszym bezpiecznym, małym świecie. Kiedy otwieram usta, dochodzi do nas warkot faksu szycującego się do odebrania kolejnej wiadomości. Luke wybiega z sypialni i pędzi na dół.

Wstaję powoli z łóżka, nakładam szlafrok i wlokę się na parter. Mam wrażenie, że jestem Anną Boleyn płynącą Tamizą w kierunku wieży Tower. Kiedy wchodzę do biura Luke’a, zastaję go siedzącego przy biurku, wpatrującego się w maszynę wypluwającą kolejną wiadomość. Ta jest jeszcze mniej czytelna niż poprzednia, ale daje się ją przeczytać:

GREENIE, PRAGNĘ CIĘ. PRAGNĘ CIĘ CAŁYM SOBĄ. TERAZ! TU I TERAZ!!!
ZADZWOŃ DO MNIE, MUSISZ DO MNIE ZADZWONIĆ. ZNÓW MUSZĘ CIĘ MIEĆ.

Poniżej, jakby po zastanowieniu dodał jeszcze:

JESTEM W SWOIM BIURZE.

Kiedy czytam słowo „znów”, słyszę gwoździe przybijane do mojej trumny. Mózg zrecznie dopasowuje do siebie elementy układanki. John wyszedł na miasto. Urznął się w sztok. Próbował zarwać panienkę. Nie udało się. Polazł do pracy po jakieś papiery albo, by zadzwonić po taksówkę. Jest wciąż nagrzaną, więc w końcu pomyślał o mnie. Nie potrafię wymyślić sensownego kłamstwa tuszującego jakoś całą sprawę. Spoglądam na Luke'a. Wygląda, jakbym go pobiła. Jest siny i zdruzgotany, z pewnością odczuwa teraz nieznośnie potworny ból. Maleńki dreszcz, który poczułam w żołądku na znak życia od Johna, zostaje natychmiast zduszony. Nie mówimy nic, gdy faks szykuje się do akcji po raz trzeci. Piorunuję wzrokiem pograżającą mnie maszynę, zamknij się, ty pieprzony gracie. Ślizgam się wzrokiem po trzeciej i ostatniej wiadomości:

GREENIE, JAK LECA SŁOWA TEJ PIOSENKI? „POZWÓL MI CIĘ MASOWAĆ Z GÓRY NA DÓŁ, AŻ BĘDZIESZ BŁAGAĆ, BYM PRZESTAŁ. POZWÓL MI WYPIEŚCIĆ TWOJE CIAŁO, ROZGRZAĆ CIĘ CAŁĄ. POZWÓL SPEŁNIĆ MI TWOJE FANTAZJE. NIE MOGĘ ZAPOMNIEĆ TWOICH PONĘTNYCH KSZTAŁTÓW I DLATEGO JESTEM TAKI NIEGRZECZNY”.

To piosenka! Co za łajdak. Piosenka! Zdałam sobie sprawę z tego, że ten erotyczny i nieprzyzwoity bełkot nie jest nawet oryginalny. Piosenka. Luke, wciąż milczący, czeka, aż faks skończy warkotać, a potem przelacza maszynę na telefon. Ten dzwoni natychmiast po podłączeniu. Luke podnosi słuchawkę, a ja mam ochotę umrzeć. Ze sposobu, w jaki ściąga brwi i wydyma usta, widzę, jak bardzo jest wściekły, osłupiały, pograżony w bólu i zmieszaniu, a mimo to opanowuje emocje i odzywa się bardzo spokojnie.

– Nie, nie możesz z nią teraz rozmawiać. Mówi jej mąż i powtarzam ci, że nie podejdzie teraz do telefonu, jest w łóżku.

Mam młyn w głowie. Chcę rozmawiać z Johnem. A potem nie chcę. Chcę się na niego wydrzeć. A potem nie chcę. Mam ochotę krzyczeć z całych sił: „Dlaczego?”. Dlaczego dopiero teraz, bydlaku? Po tylu tygodniach milczenia? Nie robię tego.

Chcę uspokoić Luke'a, ale nie potrafię. Chcę go pocieszyć, ale nie mogę. Chcę mu powiedzieć, że to nie tak, jak myśli, ale właśnie tak jest. Chcę, żeby to było coś innego, ale nie

jest. Wstrzymuję oddech, czekam na wybuch złości albo na oskarżenia, na łzy, wyzwiska, czekam na szansę, by móc się usprawiedliwić. Bolesne, zimne napięcie obezwładnia mi nogi, czuję, jak skóra za kolanami oblewa się potem. Dziwne, że właśnie w takim miejscu się pocę. Słyszę dźwięk ogrzewania i paru pijaków na ulicy, śmiejących się głośno. Nie patrzę na Luke'a, wpatruję się w faksy, marząc, by zapadły się pod ziemię. Ale nie znikają. Stają się coraz większe. W końcu zmuszam się do spojrzenia na Luke'a. Stoi nagi, ciężko oparty o framugę drzwi. Zwykle taki wysoki i silny, teraz upokorzony i zraniony. Wygląda na samotnego, zdradzonego. Nie potrafię powiedzieć, że jest mi przykro. Nie, żeby nie było mi przykro. Bardzo mi przykro. Po prostu fizycznie nie jestem zdolna wydusić z siebie słowa, mój język przykleił się do podniebienia niczym komunijny opłatek. Mózg dryfuje, nie obierając żadnego kierunku. Zupełnie jak porzucony statek.

– Lepiej pójdę i spakuję się – przerywa ciszę Luke.

Jestem niezdolna, by go powstrzymać.

Biegam po domu w poszukiwaniu papierosów. Przeszukuję szuflady biurka Luke'a, bo wiem, że trzyma tam kilka dla gości. Gorączkowo grzebię między kluczami, spinaczami, ołówkami, gumkami, taśmami i kalkulatorami. W końcu natrafiam na jednego, zapalam go i natychmiast pędzę do stojaka z winami, wyciągam butelkę czerwonego trunku, otwieram i piję duszkiem z gwinta. Potem rozglądam się za kieliszkiem. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, które z win Luke'a właśnie otworzyłam. Ma parę butelek wartych setki funtów i żyję w ciągłym strachu, że podczas jednej z babskich balang zakrapianych alkoholem przez pomyłkę wypijemy cenny płyn. Potem stwierdzam, że to raczej czysto teoretyczne rozważania – przed oczyma staje mi owca, jagnię i egzekucja. Biegnę z powrotem do pokoju gościnnego i znajduję notes. Pilnie przerzucam kartki. Ogarnęło mnie takie zaćmienie, że nie potrafię przypomnieć sobie numeru telefonu Lucy.

Wszystkie te chaotyczne czynności są pełnym przeciwieństwem wydarzeń z ostatnich dwóch godzin. Od stu dwudziestu minut jestem zdemaskowaną cudzołożnicą i opuszczoną żoną. W ciągu tych siedmiu tysięcy dwustu sekund Luke spakował sporą torbę i wyszedł. Obyło się bez scen, gorzkich wzajemnych oskarżeń, gniewnych żądań wyjaśnień, szansy okazania skruchy. Spakował walizkę w pośpiechu, ale z rozwagą; najpierw ułożył wszystko, co potrzebne na łóżku, potem dokonał szybkiej selekcji, a następnie wybrane rzeczy włożył do torby. Pakował się dokładnie tak, jakby jechał na wakacje. Siedziałam nieruchomo w jego gabinecie, ale śledziłam każdy ruch, wsłuchując się w jego kroki tuż nad głową. Podchodził do okna i słychać było skrzypnięcie podłogi obok kaloryfera; sprawdzał pogodę; wrócił do szafy; wyciągnął ulubione, brązowe spodnie Nigel Hall i trzy białe koszule; słyszałam, jak maszerował do komody stojącej po przeciwległej stronie sypialni. Otworzył drugą szufladę od dołu, która chodzi bardzo ciężko, więc żeby dać jej radę, trzeba trochę szarpnąć. Wyjął bokserki i skarpety. Śledziłam jego kroki między łazienką, sypialnią dla gości i pralnią w piwnicy. Potrafiłam z detalami wyliczyć

zawartość jego walizki, ale nie mam pojęcia, co krył w sercu. Popeliłam błąd, myśląc, że znam go na wylot.

Lucy zjawia się natychmiast, no, prawie natychmiast, bo musiała się ubrać i umalować. Prawdopodobnie jedyny raz w życiu Lucy ogląda światło dzienne w niedzielę tak wcześnie rano. Przyzwyczajona do siadania za swoim biurkiem o siódmej rano w ciągu tygodnia, zaciekle dba o prawo do nieograniczonych ilości snu podczas weekendu. Nigdy, przenigdy nie aranżujemy spotkań, które wymagałyby od Lucy pojawienia się przed jedenastą w wolny dzień. Ale głośny i alarmujący dźwięk mojego SOS nie został zlekceważony.

Otwieram drzwi. Lucy wygląda olśniewająco. To znaczy tak jak zawsze i na chwilę zatyka mnie. Czy to nie dziwne? Czy jej wygląd nie powinien się teraz zmienić, kiedy wszystko jest inne? Przymulam ją.

– Dzięki, że przysłałaś. – I zaraz dodaję automatycznie: – Wyglądasz wspaniale.

Przesuwa okulary przeciwsłoneczne na głowie.

– A ty wyglądasz jak kupa gówna. Biedne maleństwo.

Pewnie ma rację. Przez ostatnie trzy godziny piłam bez przerwy. Lucy podąża za mną do kuchni i podczas gdy ja mam ochotę otworzyć kolejną butelkę wina, ona upiera się przy zaparzeniu kawy. Najpierw butelka.

– A więc?

Przedstawiam Lucy fakty i pokazuję fakty.

– Piosenka. Próbował cię zwabić na jakąś oklepaną, cholerną piosenkę? – pyta rozwścieczona. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. To nawet nie jest dobra piosenka.

Wydaje mi się, że odbiega od tematu.

– Zapomnij o piosence. Sprawa jest poważna. Zostawił mnie. Chcę go odzyskać.

– Możesz sprecyzować, kogo dokładnie masz na myśli?

Suka. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej nie lubiła jej tak bardzo. Gapię się na nią, mając nadzieję, że ona za chwilę wyskwierczy się jak smażony bekon na patelni i zniknie, pierzchnie, wyparuje, rozpuści się czy cokolwiek innego.

– I pomyśleć tylko, że zależało mi, byś przyszła i pocieszyła mnie.

– Kochanie...

Wręcza mi chusteczkę. Płacze? Kiedy zaczęłam płakać?

– Dobrze wiesz, że ja nie okazuję współczucia. Nie i już. Sama nie oczekuję tego od innych i chyba nie wierzę w te sentymentalne bzdety. Jeśli oczekujesz współczucia, zadzwoń do Sam albo Daisy. Mnie chodzi o przetrwanie. A żeby pomóc ci przetrwać, muszę się dokładnie dowiedzieć, co teraz dzieje się w tej twojej pomieszanej głowie.

– Sama nie wiem, co się dzieje – wyję.

A potem płaczę. Rozpaczam całymi godzinami. Zalewam się łzami podczas opróżniania czterdziestu filiżanek herbaty i dwóch potężnych pudełek chusteczek. Nie przestaję płakać, wypalając trzy paczki papierosów, to więcej niż wszystkie spalone dotąd ćmiki w życiu. Ryczę,

kiedy Lucy wychodzi do sklepu, by kupić dwie tabliczki czekolady Galaxy. Ale nie udaje się jej skusić mnie do konsumpcji – musiałabym przestać płakać, a nie potrafię. Łzy kapią nadal, gdy poranek zmienia się w popołudnie, nie odpuszczam nawet na chwilę. Kiedy w końcu z przyczyn fizycznych, płacz staje się niemożliwy, zasypiam. Lucy przykrywa mnie kołdrą i głaszcze po włosach.

– Biedaczka – mruczy.

– Nie zostawiaj mnie.

Jestem zatrwożona. Nie mogę znieść myśli, że się obudzę, ale nawet w moim pijackim, kompletnie zalanym, zrozpaczonym stanie zdaję sobie sprawę, że prędzej czy później to nastąpi. Obudzenie się będzie wystarczająco złe, obudzenie się w samotności będzie po prostu okropne.

– Nigdzie nie idę.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej bardziej kochała Lucy.

Budzę się nagłym, szarpanym zrywem. Podskakuję na sofie, na której urwał mi się film. Kiedy? Dlaczego?

– Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie – krzyczę na wpół przytomna.

Podbiegam do okna, spodziewając się, że wszystko pokryte jest śniegiem. Pokój wydaje mi się taki biały. Biała kołdra, biała przestrzeń, wszystko białe prócz mojej skóry. Biel dookoła sprawia, że skóra wydaje się szara. A co z głową? Głowa jest pusta, niema, spowita zakłamaną mgłą. Czuję ohydny smród wstydu za siebie. Jak tylko identyfikuję nieznośny odór, przypominam sobie, dlaczego znalazłam się na sofie.

Luke mnie zostawił.

Gdy Luke opuścił dom tego ranka (minęło tak mało czasu?), moje serce zamarło. A potem poczułam je w gardle. Wyskoczyło i uciekło, odcięto je ode mnie. Ale teraz wróciło. Wiem, że wróciło, bo cierpię okropnie. Ból, który mnie przeszywa, jest nie do zniesienia, coś jakby wiercenie w żebrach albo nieprzerwane uderzanie łokciem w coś twardego. Mam wrażenie, jakby ktoś wypompowywał ze mnie życie, ściskając mi boleśnie serce. Ten chwyt to najgorsze męczarnie. Lucy wchodzi do pokoju.

– Obudziłaś się – zauważyła i wręcza mi kieliszek wódki, który najpewniej naląła dla siebie.

Dobra z niej dziewczyna. Tak bardzo się poświęca.

– Przespałam cały dzień?

– Tak, jest piętnaście po jedenastej.

– Wieczorem?

Przytakuje. Biorę wódkę.

– Dzięki – odnajduję w sobie resztki człowieczeństwa, by wyrazić wdzięczność.

– Dzwonił? – pytam po chwili.

Nadzieja wstępuje we mnie z takim impetem, że prawie się przewracam.

– Kto?

– Przystaniesz w końcu! Oczywiście, że chodzi o Luke'a.

– Może dla ciebie to oczywiste, ale ja nie nadażam – odparowuje Lucy. Kiedy się nie wyśpi, zawsze jest w złym humorze. – Jeszcze parę miesięcy temu rozpaczałaś za Johnem.

– Nie rozpaczałam – zauważam.

Za dobrze mnie zna. Unosi brwi.

– Za bardzo – dodaję pod przymusem.

– Może i nie, ale przeklinałaś, wrzeszczałaś, wymyślałaś i awanturowałaś się. Po prostu nie jestem pewna, czy na pewno wiesz, czego chcesz.

Odwal się, Lucy.

– A więc? – nalega. – Czy wiesz? Czego chcesz, Connie? Który z nich jest prawdziwy.

– Odwal się, Lucy.

I tak też czyni. Mówi, że nie po to tkwiła tu cały dzień, czekając, bym się obudziła, żeby teraz znosić takie obelgi. Bez wątpienia Lucy spodziewała się, że zaraz po obudzeniu włożę błyszczący, obcisły top i zapuszcę się do pierwszego lepszego klubu w celu znalezienia sobie nowiutkiego męża. To pomysł Lucy na uporanie się z problemem. Byle do przodu. Byle przetrwać. Dostajesz po łbie, ale nic, wstajesz i zasuwasz dalej. I sięgasz jeszcze wyżej, tak by tym razem nikt nie był w stanie ci przyłożyć. To jej filozofia życiowa. Ale ona nigdy nie doświadczyła, co to znaczy być zostawioną przez męża, no, przynajmniej nie przez własnego. Czy naprawdę tak trudno zrozumieć, że zostałam porzucona? Przez sakramentalnego męża! Jestem sama. Radzi mi, bym się porządnie zastanowiła i jeszcze, że wiem gdzie jej szukać, kiedy będę gotowa do konstruktywnego działania. Konstruktywnego! No, nic, w takim razie poczeka sobie na mój telefon. Lucy niekoniecznie wie, co to znaczy warować przy telefonie, który milczy jak zaklęty. Więc udzię jej pierwszej lekcji. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej przekonuję się, jak wielką przysługę oddam tym samym społeczeństwu. Tysiące mężczyzn będą mi wdzięczne za tę bezwzględną zemstę.

Otwieram kolejną butelkę wina i następną paczkę papierosów.

Słyszę dzwonek do drzwi, ale nie ruszam się z miejsca. Leżę w łóżku. Jest wtorek, tkwię w łóżku od niedzieli. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że kiedykolwiek będę w stanie opuścić. Chyba że chodzi o uzupełnienie zapasów wina, papierosów i okazjonalne sikanie. Dzwonek nie daje za wygraną. Cisza i potem znów dzwoni.

– To ja! – drze się Sam przez otwór na listy.

Wciąż się nie ruszam.

– Dzwoniła do mnie Lucy. Martwi się o ciebie.

– Naprawdę? – odzywa się jakaś siedmiolatka swym najbardziej nieszczęśliwym głosikiem.

– Dziwnie to okazuje.

– Wpuścisz mnie? – pyta Sam.

– Zostawcie mnie w spokoju – odpowiada Greta Garbo.

– Słuchaj, rozumiem, że nie masz ochoty pojawiać się w pracy, ale może dobrze ci zrobi

rozmowa z przyjaciółką – kusi Sam.

– Nie mam nic do powiedzenia – mówi Zła Wiedźma z Zachodu.

Gdzie się podziały moje ciuchy? Gdzie ja w ogóle jestem? Gdzie moja głowa? Ruszam się. Ała! Oto moja głowa. Odsuwam koldrę, wypuszczam stęchły zapach potu, wpuszczam zimne powietrze. Schodzę pomalutku po schodach, odgrywając scenkę z teledysku Michaela Jacksona do piosenki *Thriller*, ale nie ten moment ze zwinnym, zakręconym breakdancerem, tylko ten ze zmartwychwstającymi trupami. Otwieram drzwi.

– Biedaczko. Wyglądasz jak kupa gówna.

Co się dzieje z moimi przyjaciółkami? Łapię w przelocie swoje odbicie w lustrze na korytarzu. Sam ma rację, to nie jest mój najlepszy dzień. Przedziera się przez gąszcz pustych butelek, kolekcję z dwóch dni.

– Czy to wszystko, co zrobiłaś od niedzieli?

Wskazuje ręką na pusty stojak na wina. Przytakuję. Zdumiewające, ile czasu zostaje człowiekowi na picie, gdy zaniecha tak bezsensownych czynności jak jedzenie, mycie, ubieranie, mówienie.

– Luke się odezwał?

Potrząsam przecząco głową.

– A ty dzwoniłaś do niego?

Dziwne pytanie, głowa zaprzecza ponownie. Ciut za mocno.

– Niedobrze mi.

Bardzo niedobrze.

Wymiotuję za cały świat, co w sumie przynosi ulgę. Dochodzę do wniosku, że wyrzygałam przynajmniej połowę tego, co wypłam. Dziwię się, że w rzygowinach nie pływają niedopałki papierosów. Sam przytrzymuje mi włosy i wyciera twarz. Kiedy w końcu przestaję wypluwać wnętrzności, ona napuszcza wodę do wanny i wpycha mnie do środka. Ten akt nie ma wiele wspólnego z życzliwością, bardziej z faktem, że cuchnie ode mnie nieprzeciętnie. Mam zielone zęby i przepecone ciało. Sam ledwo trzyma się na nogach, stojąc obok. Pół godziny później wyłamiam się z łazienki, zawinięta w ogromny szlafrok i z ręcznikiem wokół głowy.

– Grzeczna dziewczynka – wita Sam zachęcająco, jakby chwaliła siedmiolatkę za umycie rąk przed obiadem.

Kieruję się do jadalni, gdzie widzę parującą miskę zupy pomidorowej. Jedzenie, które ma mnie postawić na nogi.

– A więc?

Opowiadam wszystko od początku. Sam przytakuje i przerywa tylko ochami, achami i „tak myślałam”.

– Dzwonił?

– Nie, mówiłam ci już.

– Nie pytam o Luke’a, tylko o Johna.

– John? – pytam zbity z tropu. – Dlaczego miałby dzwonić?

– Bo musi cię znowu mieć – czyta z faksu. – Ponieważ pragnie cię całym sobą, bla, bla, bla, bo chce cię masować z góry na dół, aż będziesz błagała, by przestał. Bla, bla, bla, nie może zapomnieć twych ponętnych kształtów i to sprawia, że jest bla, bla, bla.

– To było tamtej nocy – tłumaczę cierpliwie. – Był kompletnie pijany. Jemu tak naprawdę nie chodziło o mnie.

Dlaczego Sam traci czas na gadanie o Johnie? Próbuję to wytłumaczyć, nie obrażając jej przy tym.

– To tylko jedna z jego gier. Nigdy tak naprawdę mnie nie chciał. Przynajmniej przez bardzo długi czas. Ale co najważniejsze, to mnie już na nim nie zależy. I nie życzę sobie, by do mnie wydzwaniał... – przerywam. – I dobrze się składa, bo on tego nie robi. Bałby się Luke’a. John to zamknięty rozdział.

– Jezu, Con. W niezłe bagno się wpakowałaś.

Nie sadzę, by Sam zasłużyła na medal za spostrzegawczość.

– Czy powiedziałaś Luke’owi, że z Johnem koniec, że John to zamknięty rozdział?

– Nie. Nic mu nie powiedziałam. Nie dał mi szansy.

– Connie – wzdycha Sam. – Dał ci największą szansę w twoim życiu. To ty jesteś sknerą w dawaniu szans.

Miażdżę ją wzrokiem. Nie zważając na to, ciągnie wywód.

– Ludzie zawsze powtarzają, że nie docenia się tego, co się ma, dopóki się tego nie straci.

Tak. Dziękuję ci, Sam. Doprawdy, bardzo dziękuję.

– Daruj sobie te wyświechtane frazesy – wydzieram się.

– Wyświechtane frazesy stają się frazesami tylko dlatego, że mają w sobie cząstkę prawdy i są często powtarzane, bo sprawdzają się w życiu. Pomyśl tylko, ilu ludzi przed tobą kochało i traciło najdroższych.

Nie bardzo wiem, o co jej chodzi, a jeśli domyślam się i prawidłowo odczytuję sens jej słów, to nie podoba mi się kierunek, który obrała.

Straciłam go?

– Zadzwon do niego. Przeprasz. Spróbuj wytłumaczyć. Och, Connie, przynajmniej pomyśl, coś ty najlepszego zrobiła. Pomyśl o tym.

Jestem wdzięczna, że pojawienie się Daisy przerywa rozmowę. Daisy przytula mnie mocno chyba z godzinę.

– Biedna, biedna Connie – wzdycha i potrząsa głową. – Co za okropność. Co za straszna rzecz.

– Prawda? – mamrocze, wdzięczna, że wreszcie ktoś w ludzki i nieskomplikowany sposób okazuje mi współczucie.

Czar pryska, kiedy dodaje:

– Mimo wszystko, na miejscu Luke’a też bym cię zostawiła. Jestem jednak pewna, że dacie

radę poskładać wszystko.

Daisy patrzy na Sam, oczekując potwierdzenia optymistycznego proroctwa. Ja również cierpliwie czekam. Bez rezultatu.

– Eee... Daisy, wkurzyłaś się, kiedy dowiedziałaś się, że Con miała romans, choć nie byłaś jej mężem. Wątpię, czy Luke sądzi, że wszystko da się łatwo posklejać.

– Ale najważniejsze, że ona już skończyła ten romans i żałuje – stwierdza rozsądnie Daisy. – Prawda, Con?

– Tak – odpowiadam żarliwie.

– W takim razie nie ma sprawy – ucina Sam.

– Wiesz, z czym kojarzy mi się twoja sytuacja? – pyta Daisy, która najwyraźniej jest zdania, że Sam mogłaby sobie darować złośliwe uwagi, więc dzielnie próbuje mnie pocieszyć na własną rękę.

– Z czym?

– Z *Tessą d'Urberville*.

Nie bardzo rozumiem, gubię się.

– Dokładnie fragment, kiedy Tessa zostaje uwiedziona przez tego łajdaka d'Urberville'a, ale później zdaje sobie sprawę, że to Angel jest miłością jej życia.

– Tessa kończy martwa – zauważa Sam zupełnie niepotrzebnie.

Daisy zalewa się rumieńcem.

– Rzeczywiście, nie najlepszy przykład. Sytuacja przypomina raczej *Annę Kareniną*.

– Ta najpierw zostawia męża, a potem umiera.

– Wiem, wiem – nie daje za wygraną Daisy. – To jak w filmie, gdzie dwoje młodych jest sobie przeznaczonych, ale ona zalicza przygodę z sąsiadem. Tyle że wszystko kończy się okej, bo on jej wybacza i zaczynają od nowa, wracają do siebie i mają bliźniaki.

– Kto gra w tym filmie? – pytam, podejrzewając, że na poczekaniu zmyśliła tę bajkę.

– Eee... Helena Bonham Carter, Ralph Fiennes, Robert De Niro, Cameron Diaz i eee... wydaje mi się, że Rock Hudson.

Wychodzą! Dlaczego ludzie zawsze mnie zostawiają? Najpierw Luke, potem Lucy, a teraz Sam i Daisy. Przyznaję, siedziały bite pięć godzin, ale potem Sam stwierdziła, że ma coś do roboty i wyszły. O co chodzi? Czy ta historia nie miała się zacząć od smutnej, opuszczonej, skołowanej nieboraczki, pozbawionej przyjaciół, nadużywającej ćmików i alkoholu, a potem akcja miała finał na szalonym przyjęciu? Czy nie tak miało być? Czy właśnie nie teraz powinnam znajdować się w ramionach wysokiego, przystojnego blondyna, seksownego lorda? Halo, Panie Boże, proszę tu wprowadzić ład i porządek. Jesteś tam? Słuchasz mnie? Co tu się dzieje? Zatrzymaj świat, ja wysiadam. Gdzie się podziała ta szalona, wesoła dziewczyna? Dlaczego nie słyhać śmiechu? Ktoś mnie zrobił w konia, wyrolował na maksa i oczekuje, że spłacę cały dług narodowy Etiopii.

Tak wygląda otchłań rozpaczy.

Sam ma rację, oczywiście, że powinnam zadzwonić do Luke[^]. Gdybym tylko wiedziała, gdzie się zatrzymał. Podnoszę słuchawkę i natychmiast rzucam ją z powrotem, bo mam wrażenie, że parzy. Co powinnam powiedzieć? Co mogę powiedzieć? Mogłabym spróbować bezpardonowej gadki, jakby nic się nie stało: „Hej, Luke, to ja, Connie. Constara kanciara, a nie Constance lojalna żonka. A właśnie, jeśli chodzi o tę sprawę z niewiernością, no cóż, męczyłeś się w niepewności. Znacznie lepiej, że prawda wyszła na jaw, nie uważasz?”.

Nie, wcale tak nie uważam.

Mogłabym też spróbować podejścia: „Bardzo, bardzo mi przykro. Przepraszam”. No bo w końcu to akurat prawda. Ale nagle „przykro” czy „przepraszam” wydają się tak niepasujące. Brak mi pomysłów. Podnoszę słuchawkę i ćwiczę. „Cześć, Luke”. Cześć? Cześć? W zaistniałych okolicznościach to chyba niezbyt odpowiedni start, zbyt nonszalancki. „Witam”, „dzień dobry”, „siema”. Wybieram numer jego komórki. Palce mi drżą, kiedy naciskam odpowiednie cyferki. Ta niezwykle prosta czynność, którą dotąd wykonywałam dwa lub trzy razy dziennie, nagle stała się zbyt przytłaczająca. Wsluchuję się w takt bicia serca. Bum tutti bum, wali mi w piersiach. Niemalże widzę ten łomot.

– Halo.

To on. Dźwięk jego głosu przeszywa mnie na wskroś.

– Luke? To ja.

Cisza. Żadnego: „Hej, ja”, które od ponad pół dekady zwykł rzucać za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Ale mówi jedynie: „Tak?”. Co za koszmar.

– Chciałam tylko zadzwonić.

– Na pogawędkę?

Sarkazm nie jest w jego stylu, nie pasuje do niego. Mam wrażenie, że zupełnie go nie znam. Jest taki chłodny i opanowany. Oznajmia, że zatrzymał się u Simona. Mówi, że chce przyjść i zabrać więcej rzeczy. Pytam go, czy porozmawiamy, a on odpowiada, że nie sądzi, iż mam do powiedzenia cokolwiek, co chciałby usłyszeć.

– Pozwól mi wytłumaczyć – zawodzę do słuchawki.

– Potrafisz to zrobić, Connie? To może być nawet interesujące. Słucham.

Nagle wrzucona na środek sceny zapominam tekstu. Jak mam wytłumaczyć? Przecież sama siebie nie potrafiałam zrozumieć.

– Słucham, Connie.

Myszę, że sytuacja zaczyna go bawić. Barbarzyńca.

– Nie przez telefon – w końcu udaje mi się wydusić z siebie głos. – Nie chcę niczego wyjaśniać przez telefon.

– Connie, twoje tłumaczenia będą tylko męczeńską szamotaniną, nieważne, czy twarzą w twarz, czy w liście, przez telefon, e-mail czy faks – cedzi ostatnie słowo. – Możesz użyć alfabetu Morse’a, brajla, znaków dymnych lub jakiegokolwiek innej formy komunikacji, znanej człowiekowi.

Ma rację. Jak zawsze zresztą. Milczymy. Boję się, że rzuci słuchawką. To jest bardziej przerażające niż wszystko inne na świecie. Nie przeszkadza mi, że jest wściekły, muszę tylko utrzymać z nim jakiś kontakt, choćby nawet taki przez miliony zimnych kabli. Nie ma nic straszniejszego niż odłożenie słuchawki.

– Powiedz mi tylko jedną rzecz. Masz romans?

No, może to pytanie jest jeszcze straszniejsze.

– Nie – odpowiadam stanowczo i mocno.

Wydaje mi się, że po drugiej stronie słyszę oddech. Czy to ulga? A może niedowierzanie? Ma już dosyć? Jak bardzo go zraniłam?

– Czy miałas romans?

Powiedziałeś, że chcesz wiedzieć tylko jedną rzecz! Wstrzymuję oddech. Może skłamać? Może mi się jeszcze upiecze? Czy potrafię wymyślić coś, co byłoby choć trochę przekonujące, i moglibyśmy cofnąć czas o trzy minione dni? Pustka. Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Tak – szepczę.

Cisza jest ogłuszająca. Biję mnie po głowie i w serce. Pod nieobecność podstępnej przebiegłości (ucięła sobie drzemkę albo co), zakradła się świadomość uzbrojona w: „Tak powinno się postępować” i „Czas przyznać się do wszystkiego”. Nie powiem, żeby mi to szczególnie odpowiadało. Takie stawianie sprawy zawsze kończy się kłopotami.

– Mogę to wytłumaczyć – dodaję.

– Wątpię.

– Muszę z tobą porozmawiać – upieram się.

– O Boże, znów się zaczyna, czyli stara bajka o tym, czego pragnie Constance Green. Wiesz co, mam tego dosyć, Connie. A co z moimi potrzebami? Teraz chcę jedynie odejść jak najdalej i wszystko sobie przemyśleć. Sam. Nie potrzebuję ciebie i nie chcę ciebie.

Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej potraktował mnie tak ostro. Przypuszczam, że tak właśnie się dzieje: jeśli chcesz stracić szacunek męża, prześpij się z innym. Brzmi sensownie i prosto. Tyle że oczywiste konsekwencje mojego postępków stały się jasne dopiero po wszystkim. Dlaczego tak? Odkłada słuchawkę.

A moje serce pęka.

Boli tak okrutnie, jakby wszystkie dotkliwe sytuacje z mojego życia zwały się na mnie jednocześnie: upadek z rowerka, kiedy byłam mała, oblane egzaminy, ślub Simona Le Bona, wyrzynający się żąb mądrości, posiadanie kręconych włosów, niedostanie pracy marzeń, na której by mi zależało i gdzie mogłabym się wykazać, czy nawet John wytryskujący na moich cyckach.

To dopiero ból.

Świadomość, że zraniłam osobę, którą kocham najbardziej na świecie. Świadomość, że szkody, których dokonałam, są nie do naprawienia. No i wiem, że na tę świadomość jest już za późno. To dopiero jest ból.

Moje przyjaciółki przestały się odzywać. Wzięły sobie do serca słowa, żeby zostawić mnie w spokoju. Co – jak sądzę – nie jest zbyt miłe z ich strony.

Pozostawiona sama sobie, żyję jakby w delirium. Mam wrażenie, że balansuję na granicy zakłopotania i pełnej świadomości, faktów i fikcji. Śpię bardzo dużo, to wszystko, na co mnie stać. Ale teraz mój sen jest zatruty przez poczucie, że zawałam na całej linii. Niemożliwością staje się odróżnienie snu od lęku, prawdy od kłamstw, odpowiedzi od snu, prawdy od strachu. Być może to kwestia alkoholu.

Dzwoni telefon.

– Luke? – pytam z przejęciem, podnosząc słuchawkę.

– Nie, przykro mi. To ja, Rose.

Rose w zasadzie nigdy nie bawi się w grę „to ja”, na wypadek gdybyśmy nie rozpoznały jej głosu. Przeprasza, bo dobrze wie, że Luke jest jedyną osobą, z którą mam ochotę rozmawiać.

– Cześć, Rose – witam się z niepokojem.

Bałam się tego. Kiedy jest się tą złą, nie ma gorszego doświadczenia niż rozmowa z ludźmi o dobrych sercach. Boże, błagam, oszczędź mi tego. Wiem, że zgrzeszyłam, bardzo, bardzo żałuję. Obiecuję poprawę, Boże. Jeszcze nie wiem dokładnie jak, ale przysięgam, że zmienię się na lepsze. Możesz sprawić, że zestarzeję się przedwcześnie, albo zesłać na mnie plagę Lotus Notes, możesz sprawić, by dorwali mnie urzędnicy za unikanie płacenia podatku, byleby tylko nie to, Boże, proszę. Tylko nie świętoszkowaty wykład Rose. Tego akurat nie zniosę.

– Sam powiedziała mi, że jesteś... – waha się – ^e nie czujesz się najlepiej.

W głosie Rose słyhać zdenerwowanie. Tak, nie czuję się najlepiej, bo przez większość czasu siedzę w butelce z procentami. To wydaje mi się łatwiejsze niż dorastanie.

– Tak sobie pomyślałam, że towarzystwo dobrze ci robi. Zabieram chłopców do parku i może masz ochotę się trochę przewietrzyć? Zrozumiem, jeśli wolisz być teraz sama, ale...

– Rose, to świetny pomysł – przerywam jej i, co zdumiewające, naprawdę tak myślę.

Domu nie opuszczałam przez ostatnie dziesięć dni, nawet wtedy, kiedy skończyło się mleko. Przerzuciłam się po prostu na zapasy w proszku, które zgromadziłam wcześniej na wypadek nuklearnej zagłady. Wyjście na świeże powietrze to raczej niewyszukany sposób na uporanie się z problemami, ale grunt, że może okazać się skuteczny.

– Świetnie – Rose nie kryje zachwyty. – Wpadnę po ciebie o jedenastej.

Spoglądam na zegarek. Jedenasta! Czuję mocny ucisk na sercu, mam tylko godzinę na wyszykowanie się. Zerkam do lusterka. Fatalnie, bardzo, bardzo źle. Od momentu, kiedy Luke mnie zostawił, przestałam szcztokować włosy, nie wspominając o ich myciu. Dziwne, ale odkąd odszedł, jest mi ciągle zimno. Nie chciało mi się zdejmować ubrań i prać ich, więc systematycznie gromadziłam kolejne warstwy na sobie. Tym sposobem jestem ubrana w sześć warstw odzieży przesiąkniętej zapachem alkoholu i potu. Trochę mi głupio, kiedy uświadamiam sobie, że od dziesięciu dni nie zmieniłam majtek. Skóra mi poszarzała, a pod oczyma mam

interesujące, ciemne kręgi. Dziesięć dni płaczu z rzędu pomarszczyło i wykrzywiło mi twarz. Swoim wyglądem przypominam niektóre warzywa z lodówki. Pociuszające, że to nie ja wypadam najgorzej.

Dom jest również w opłakanym stanie, stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia. Jest mi wstyd. Zaczynam ładować zmywarę, skrobię resztki jedzenia z talerzy pamiętających jeszcze ostatnią kolację z Lukiem. Zamaczam garnek, w którym gotowałam ryż, i odstawiam z pola widzenia butelkę wódki. Wyrzucam folię, w której z takim namaszczeniem pieklam bakłażany. Sprzątam brudne kieliszki, a puste butelki wkładam do czarnych worków. Opróżniam przeróżne naczynia, które ostatnimi czasy służyły mi jako popielniczki: butelki od mleka, porzucane puszki po piwie, talerzyki, garnki, miski. Wyrzucam gnijące warzywa i pleśniejący chleb oraz śmieci. Otwieram okna i wlokę za sobą odkurzacz, a na koniec ładuję pościel do prania. Tę, która poplamiona jest lodami o smaku czarnej porzeczek i pachnie nim. To prawie mnie zabija. Ale nie płaczę. Sama nie wiem dlaczego. Być może wypompuwałam się całkowicie z łez.

Pędzę do łazienki i ściagam cuchnące ubrania. Ta czynność przypomina raczej odwijanie mumii, niezbyt przyjemny widok. Rzucam ciuchy w kąć i przez moment mam wrażenie, że za tak niegodziwe potraktowanie one wyjdą obrażone przez drzwi. Przygotowuję gorącą, głęboką kąpiel i zanurzam się. Szoruję się gorliwie, próbując pozbyć się brudnego wrażenia, które mi stale towarzyszy. Myję włosy, ale nie daję rady ich ułożyć, zamiast tego ściagam je ciasno w kitkę. Wpycham ciało w spodnie od dresu i luźną bluzę. Właśnie wiązę sznurowadła w moich niki'ach, kiedy słyszę dzwonek od drzwi.

– Och, Connie. Wyglądasz... – Rose przerywa.

– Jak kupa gówna? – spieszę z pomocą.

Rose czerwieni się, nie lubi niecenzuralnych porównań.

– Chciałam powiedzieć, że bardzo chudo.

Nie do mnie należy monopol na niespodzianki, bo transformacja Rose jest znacznie bardziej dramatyczna niż moja. Ledwo co ją poznaję. Ma na sobie coś w rodzaju kaftana, który według mnie jest ohydny, ale jej najwyraźniej się podoba. Poza tym obwieszona jest toną sztucznej biżuterii i zatapatowana grubą warstwą makijażu.

– Peter zawsze nie znosił we mnie słabości do hipisowsko-cygańskiego stylu – wyjaśnia ze śmiechem. – Chłopcy czekają w samochodzie. Gotowa?

Spacerujemy z bliźniakami po Richmond Parku. Zatrzymujemy się, by popatrzeć na jelenia i nakarmić kaczki. Kupujemy kawę na wynos i pijemy ją na ławce. Tak więc mój powrót do wielkiego świata nie wygląda zbyt olśniewająco, ale dzień jest słoneczny, a wzruszające uzależnienie, którego źródłem są dzieci, pozwala mi skupić uwagę na czymś innym niż na sobie.

Na chwilę.

Rose, jak dotąd, pilnie starała się unikać rozmowy o moich kłopotach. Dopiero, kiedy siadamy, a dzieci bezpiecznie cumują w piaskownicy, zwraca się do mnie:

– Jak się czujesz?

Jestem bardzo wdzięczna za to pytanie.

– Okropnie, strasznie – udaje mi się wydusić, zanim wybucham płaczem.

Widocznie uzupełniłam już zapasy łez. Rose podaje mi chusteczkę.

– Hmm?

– Nie chce ze mną rozmawiać. Nie odpowiada na telefony. Jak ja sobie bez niego poradzę?

– Luke też bardzo cierpi – mówi Rose, a jej głos, który zwykle mnie irytuje, teraz działa kojąco, dziwne.

– Widziałaś się z nim? – Czepiam się kurczowo tej informacji. Wiem, że wciąż mieszka u Simona i takie tymczasowe rozwiązanie pasuje mi. – Jak wygląda? Je? Tak bardzo chciałabym z nim porozmawiać. Muszę się z nim zobaczyć.

– Co się tak naprawdę stało?

Gapię się na Rose osłupiała. Ona jest po prostu ciekawa. Chce plotkować, jak my wszystkie.

– To znaczy, bez poznania wszystkich faktów, trudno mi cokolwiek powiedzieć... – przerywa, czekając w nadziei.

Kiedy Daisy odkryła mój romans, błagałam ją, by nie pisnęła słowa Rose. Jak widać, dotrzymała tajemnicy. Wszystkie cenzurujemy wiadomości podawane Rose, w końcu ona jest starszą siostrą. Ale to też człowiek i pewnie umiera z ciekawości, by poznać sedno sprawy. Okazuje się, że zanim zdążę rozważyć, czy oświecenie Rose może przynieść mi jakiegokolwiek korzyści, wyjawiam jej całą prawdę.

– Miałam romans.

Te słowa brzmią absurdalnie. Nie fajnie czy luzacko, jak wtedy w listopadzie, kiedy zwierzyłam się Lucy.

– Stało się. Nie mogłam się oprzeć.

– Naprawdę? – Wzdycha. – No tak, wyobrażam sobie, że opieranie się byłoby ci nie w smak.

Zadziwiam sama siebie, że nie obrażam się za te słowa; co więcej, próbuję wytłumaczyć swój postępek.

– Myślałam, błędnie, jak się okazało, że z nim to coś wyjątkowego. Coś zupełnie innego, a on miał być moim przeznaczeniem.

Co ja wyprawiam, prowadząc tak poważną rozmowę z Rose?

– Nadal tak myślisz?

– Nie. Teraz już wiem, że on mi się tylko podobał. Intrygował mnie. Pochlebiał mi. Nic bardziej poważnego.

– Czy nadal ci na nim zależy?

– Nie.

Moja odpowiedź jest stanowcza.

– A zależy ci na Luke’u?

Nie odpowiadam wprost, choć odpowiedź jest banalnie prosta.

– On odszedł.

– Przez co całą sytuację widzisz z innej perspektywy, co?

Od zawsze nie znosiłam perspektywy. Takie nudziarstwo.

Ale teraz już wiem, czemu służy. Wiem już, z całą pewnością i jasnością, że jest tylko jedna rzecz na świecie, na której mi naprawdę zależy. Pragnę, by Luke wrócił do domu. Pragnę tego z taką siłą, że nie śmiem nawet oddychać.

– Niby dlaczego miałyby mi zależeć na Luke’u? – zwracam się do Rose. – On jest zbyt dumny i uparty, by wrócić do domu.

– Przede wszystkim jest bardzo zraniony – stwierdza Rose. – Głupia jesteś, Connie.

– Wiem. O niczym innym nie potrafię myśleć. Nic nie mogę zrobić bez niego – mówię dramatycznie.

– Sam wspomniała, że od dwóch tygodni jesteś na zwolnieniu. Uważasz, że to rozsądne?

– Proszę, nie mów mi tylko, że życie kręci się dalej, Rose. Nie zniosę tego. Moje życie nie będzie się kręcić. Bez Luke’a nie będzie – mówię stanowczo.

– A życie Sam musi się dalej kręcić – odpowiada taktownie. – Pracuje bez wytchnienia, odkąd zabrakło jednego pracownika. Potrzebuje cię.

Już od dłuższego czasu stałam się towarem zbędnym i nawet w tym stanie nienawiści do siebie samej myśl, że ktoś mnie jednak potrzebuje, wydaje się atrakcyjna. Mimo to nie chcę tak prędko dać za wygraną.

– Nie dam rady tam wrócić – upieram się ponuro przy swoim. – Nienawidzę swojej pracy.

– To można było zauważyć od dawna.

– Naprawdę?

Jestem zdziwiona. Jakim cudem ludzie wiedzą o mnie rzeczy, których ja sama jeszcze sobie nie uświadomiłam?

– Tak. Powinnaś się zastanowić, co naprawdę chcesz robić w życiu i iść za tym głosem. Nie zapominając jednak, że masz hipotekę do spłacenia.

Potworność słów Rose uderza mnie. Ona traktuje mnie jak samotną kobietę, która na własną rękę musi myśleć o spłacie kredytu. Co za przerażająca wizja!

– Luke potrzebuje więcej czasu, Con. Jest bardzo zagubiony.

– No to pech, bo czas to jedyna rzecz, której ja akurat nie mam – stwierdzam rozdrażniona.

– Właśnie, że masz. Masz mnóstwo czasu. A więc, czy jesteś pewna, że zależy ci na jego powrocie?

– Oczywiście, że tak. Czy znalazłaby się jedna osoba, która nie pragnęłaby jego powrotu?

– Pewnie nie – przyznaje Rose. – Ale przede wszystkim jednak większość ludzi nie pozwoliłaby, by ktoś taki odszedł.

Rose zawsze miała słabość do Luke’a.

– Jak mogę go odzyskać?

Widać, jak bardzo jestem zdesperowana. Radzić się Rose w sprawach damsko-męskich! Przecież to bez sensu. Co mnie podkusiło?

– Przede wszystkim musisz być absolutnie pewna, czego chcesz. Luke nadal cię kocha i jeśli nie na nim ci zależy, byłoby nieuczciwie mydlić mu oczy. Już raz to zrobiłaś. Musisz sobie wszystko przemyśleć.

Przemyśleć! Przemyśleć! Nic innego nie robię, tylko rozmyślam na różne tematy. Dlaczego ludzie w kółko powtarzają, że mam się nad wszystkim zastanowić?

– Czy ktoś inny nie może tego zrobić za mnie? – zawodzę ze łzami w oczach, kopiąc leniwie kamień między moją lewą a prawą nogą.

– Nie – odpowiada Rose z zaskakującą stanowczością.

– Ale przecież wciąż uważasz, że on mnie kocha, prawda? Wierzysz, że uda mi się go odzyskać? – pytam gorączkowo.

– Myślę, że on cię kocha. Nie mam jednak pojęcia, czy zdołasz go odzyskać. To bardzo dumny mężczyzna – stwierdza ze zbytnią szczerością.

Sam wita mnie z takimi honorami, jakbym co najmniej była jedyną ocalałą z „Marie Celeste”, zjawiającą się po dekadach nieobecności, a nie osobą wracającą do pracy po niespełna dwóch tygodniach zwolnienia chorobowego. Dobrze, że wróciłam, bo roboty mnóstwo. Nie ma nawet czasu, by przegryźć kanapkę w porze lunchu. Obserwuję Sam, która z zapalem planuje, szkicuje, przetwarza i przygotowuje prezentacje. Nowe projekty pochłonęły ją całkowicie. Promienieje. Przyglądam się jej i reszcie zespołu, dociera do mnie, że jestem inna. Oni żyją dla tej pracy. Mój cel zaś to zapewnienie sobie egzystencji. Niekoniecznie, by spłacać hipotekę, czym zdołowała mnie Rose, ale żeby przynajmniej kupić sobie upatrzony fatalaszek marki Gianfranco i Patrick Cox. Podobnie jak współpracownicy wpadam w wir służbowych obowiązków, ale dobrze wiem, że to nie jest moja pasja. Robię tak, bo wtedy choć na chwilę udaje mi się zapomnieć o problemach. Kiedy ostatni raz byłam tak pochłonięta? Co właściwie angażuje mnie bez reszty? Słyszę instrukcje Rose: „Pomyśl, co naprawdę chcesz robić w życiu”. Na szczęście jestem zbyt zajęta, by to robić. W końcu, o wpół do dziewiątej wieczorem, Sam ogłasza:

– Dobra robota, moi mili. Prezentacja robi wrażenie. O to chodziło.

Rzeczywiście, jest świetna. Nawet ta część, która należała do mnie, się udała, ale i tak nie mogę zrozumieć, dlaczego to dla nich takie ważne.

Zaczynam chować papiery i zamykam komputer.

– Masz ochotę na drinka? Spotykam się z Lucy – kusi Sam.

– Tak. Zwołuję naradę wojenną – ogłaszam triumfalnie.

Definitywnie i nieodwołalnie postanowiłam odzyskać Luke[^] i czas naradzić się z dziewczynami, jak dokładnie ma wyglądać plan odzyskania go. Jestem podniecona. Pełna nadziei. One jeszcze nigdy mnie nie zawiodły. W czasach kryzysu zawsze pocieszamy się wzajemnie, radzimy sobie, pokazujemy najlepsze rozwiązania. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy opatulą mnie swym współczuciem i kondolencjami, a potem podniosą na duchu,

przedstawiając niezawodne plany.

Pcham drzwi knajpy i uderza mnie dobrze znany zapach drewna przesiąkniętego czerwonym winem. Uwielbiam to.

– Chcę, by Luke do mnie wrócił – obwieszczam z wielką pompą.

To dopiero coś. Pewnie je zatkało. Rozlewam pierwszą kolejkę chardonnay. Przed nami zapewne długi wieczór. Sam kiwa głową i uśmiecha się współczująco. Lucy zapala papierosa.

– Mogę zapytać dlaczego?

– To mój mąż – mówię bardzo wolno, jakbym przemawiała do upośledzonego stworzenia.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, Connie, ale czy podczas trwania romansu Luke nie był twoim mężem?

– Dobra, popełniłam błąd, okej?

Cisza.

– Przyznaję, kolosalny błąd. Ale co miałam zrobić? Przestać zauważać innych facetów? Zapomnieć, że po świecie chodzą setki tysięcy mężczyzn, którzy do momentu, zanim powiedziałam sakramentalne „tak”, stanowili potencjalny materiał na bratnie dusze?

– Tak – odpowiada krótko Sam.

Lucy ma nieco inne zdanie na ten temat. Potrząsa głową.

– Twoje rozumowanie nie trzyma się kupy. Słuchaj, mam to gdzieś, z kim sypiasz. Zależy mi jedynie, byś była szczęśliwa. A nie jesteś. I myślę, że czas pomyśleć, dlaczego nie jesteś i co masz zrobić, żebyś była.

Jestem przybita. Ale decyduję się okazać im więcej cierpliwości.

– Pamiętasz grę z Antoniem Banderasem?

– Erotyczne fantazje z nieosiągalnymi, nierealnymi facetami – dopowiada Sam.

– Tak, było coś takiego.

– Fantazja! – drze się Lucy.

Nie widziałam się z Lucy od sądnego faksowego dnia i chociaż wymieniliśmy się wiadomościami nagrany na sekretarkę, mam wrażenie, że nie należę do grona jej pupilek. Przytakuje.

– Tak, John był tylko fantazją. Nie jestem wcale pewna, czy naprawdę go znałam.

– Aha, to na pewno pocieszy Luke’a – stwierdza sarkastycznie Lucy, sięgając po wino.

Przy stole znów króluje cisza.

– Dlaczego jesteś taka złośliwa? – pytam zbita z tropu.

Sam wierci się niewygodnie na krześle i sięga nerwowo po popielniczkę.

– Może powinnaś być bardziej ostrożna. Pycha prowadzi do zguby.

– Tak, dziękuję ci bardzo, Sam.

– Nie chcemy cię osądzać.

– Ale?

– Ale... – Patrzy wyczekująco na Lucy, najwyraźniej licząc, że ta przyjdzie z pomocą.

Powinna ją lepiej znać. – Cóż, wydaje się, że na całą sprawę wciąż patrzysz tylko z jednego punktu widzenia... – Waha się.

– Twojego punktu widzenia – przerywa Lucy.

Wzdycham i próbuję raz jeszcze.

– Teraz już wiem, że John nic dla mnie nie znaczył.

Lucy:

– A właśnie, że coś znaczył.

Ja:

– Po prostu byłam taka znudzona...

Lucy:

– A więc twój następny projekt to odzyskanie Luke'a.

Ja:

– Dlaczego w kółko nawijasz o projektach?

Nikt nie odpowiada.

– Wcale nie wierzyacie w to, że znów będziemy razem, co?

Nie odpowiadają, ale nagle blat stołu staje się najbardziej fascynującą rzeczą na naszej planecie. Lucy wpatruje się w niego, jakby co najmniej był tam indeks spółek z „Financial Timesa”, a Sam udaje, że to jej pierścionek zaręczynowy.

– Czy według was jest możliwe, że uda mi się go odzyskać?

– „Możliwe” to rozmyte pojęcie, „prawdopodobne” jest bardziej konkretne – zauważa Lucy z dobijającą trafnością.

– Zadzwoń do niego – sugeruje Sam, klepiąc mnie po dłoni, ale sądząc po jej tonie, można założyć, że ona na ten pomysł pieniędzy nie postawi.

Gdzie się podziały gwarancje i niezawodne strategie? Dlaczego mi nie pomagają? Gapię się z niedowierzaniem raz na jedną, raz na drugą. Lucy otwiera paczkę chipsów i częstuje mnie. Wzdycha. Bardzo wymownie zresztą. Myśli, że jestem beznadziejna. Idzie do baru po kolejną butelkę wina. Po powrocie Sam proponuje zmianę tematu. Właśnie zerwała dwumiesięczną znajomość z prawnikiem.

– Mieliśmy najbardziej ciche zerwanie w dziejach ludzkości. Przedstawiłam mu cały wachlarz możliwości, od białego ślubu z pompą po „zostańmy tylko przyjaciółmi”, a on się po prostu nie odezwał. To nowy rekord niskiego poziomu.

– Adwokat z niego marny – zauważa Lucy.

– Dla mnie miarka się przebrała. Odpuszczam sobie facetów.

Patrzemy na nią przerażone i osłupiałe. Zastanawiam się, czy postępuje według rad ostatniego poradnika, który czytała. Kiedyś zadzwoniła do mnie i doradziła: „Jeśli masz ptaka i kochasz tego ptaka, musisz otworzyć drzwi klatki. Odfrunie, ale jeśli cię kocha, to z pewnością wróci”. Mądre, cholerne słowa wyklepane przez kobietę, która zwyczajowo nie otwiera balkonowych drzwi w duszny dzień, na wypadek gdyby jej facet chciał ją przelecieć na stojąco,

przypartą do ściany.

– Przechodzę na kawalerstwo – oświadcza Sam. – Biorę przykład z Lucy.

Jak tylko jej usta wypowiadają te słowa, mózg natychmiast rejestruje nieprawidłowość tego stwierdzenia. Waha się, a potem dodaje bezczelnie:

– W końcu mam dobrą pracę, kupię sobie mieszkanie, no i zostały mi jeszcze moje lekcje sztuki.

– A jak twoje artystyczne postępy? – pyta Lucy.

Ledwo powstrzymuję chichot. Uważam za rozbrawiająco zabawne, że Sam woli latać w soboty na zajęcia z pędzlem, niż zaliczać sklepy przy King's Road.

– W porządku. A właściwie bardzo dobrze – odpowiada Sam z determinacją. – To wspaniałe uczucie znów się czegoś uczyć.

Nie rozumiem tego zupełnie, żeby chociaż pozowali faceci.

– Właściwie znalazłam coś dla ciebie, Con.

Wręcza mi propozycję zajęć na letni semestr.

– Kurs fotograficzny. Wciąż robisz zdjęcia, może to niezły pomysł, żebyś pomyślała o rozwinięciu jakiegoś hobby.

Moją pierwszą reakcją jest zawstydzenie. Oczywiście wnioski są stresujące i ponure. Sam najwyraźniej uważa, że dołączyłam do grona najprawdziwszych singli. Bo niby po co mi wieczorne zajęcia? Jednak przyznaję: jestem wdzięczna za tę troskę. Zgadzam się niechętnie, że nauczenie się czegoś nowego dobrze by mi zrobiło. Nagle okazuje się, że mam tyle wolnego czasu. I żadnego pomysłu, czym go wypełnić. Rzeczywiście, uwielbiam robić zdjęcia, ale moja wiedza na ten temat jest znikoma.

– Dzięki, Sam – mówię, chowając ulotkę do torebki. – Kto wie, może skorzystam.

Próbuję ignorować oniemiałe spojrzenia Lucy.

Opuszczamy knajpę dopiero kiedy zostajemy z niej wypchnięte siłą. Ledwie stoję na nogach. Ale, choć to wbrew logice, nie czuję się okropnie. Mam wrażenie, że otworzył się przede mną ocean możliwości. Sam i Lucy umawiają się na jutro, ale ja odpadam.

– Nie. Ilość alkoholu, jaką zatankowałam w ostatnim czasie, powinna mi starczyć do świąt Bożego Narodzenia. W planach na jutro mam długą kąpiel i szybkie wylądowanie w łóżku.

– Dobry pomysł. Dodaj do tego przemyślenie sobie pewnych rzeczy – radzi Sam.

Ciskam w nią chmurnym spojrzeniem.

– Żebyś wiedziała, właśnie to zaplanowałam – odgryzam się arogancko. – Mimo że żadna z was nie powiedziała właściwie, że za wszystko mogę podziękować tylko sobie, i choć nikt nie dał mi do zrozumienia, że jeśli chcę znaleźć winnego, wystarczy spojrzeć do lusterka. A ponieważ usłyszałam jedynie: „Ty pieprzona, egoistyczna suko”, zdaję sobie sprawę, że ponoszę całkowitą odpowiedzialność za tę sytuację, i co więcej... – wrzeszczę teraz, osiągając apogeum przy każdej sylabie – ... dzisiejszy wieczór jest zupełnie wyjątkowy. Rozpoczyna nowy etap w moim życiu. Jutro zaplanowałam randkę sama ze sobą. Od jutra zacznym myśleć! Ciut nadgorliwie zgniatam

niedopałek papierosa.

– Wspaniale – mruczy Sam. – Ale gdybyś przypadkiem zmieniła zdanie, wiesz, gdzie nas znaleźć.

Zmyka czym prędzej, a ja nie mam żalu. Jestem żywym przykładem diabelskiego nasienia. Lucy unosi brwi. Zmieniam temat, pytając ją, jak – jej zdaniem – norweska gospodarka poradzi sobie ze spadkiem cen ropy naftowej. Wyraźnie zamurowało ją z wrażenia.

– Connie, czytałaś „The Economist”!

– Nie, właściwie oglądam dużo wiadomości – odpowiadam trochę nadąsana.

Nie rozumiem, co ją tak dziwi. To nie fair dawać mi do zrozumienia, że obchodzi mnie jedynie moja własna osoba i że nie potrafię myśleć o niczym innym. Zatrzymuję taksówkę. Lucy wybiera ignorowanie mojego złego humoru, macha ręką i posyła buziaka. Siedzę w samotności, mając do towarzystwa jedynie samoudręczenie. To dość krepujące, że wszyscy są dla mnie tak bardzo wyrozumiali. Oczekują jedynie, żebym po tym wszystkim, co miało miejsce, głęboko zastanowiła się nad sobą, życiem i przyszłością. Wierzą, że jestem na tyle przyzwoitą osobą, iż jeśli naprawdę przemyślę wszystko, znów wyjdę na prostą. Szkoda tylko, cholera jasna, że ja nie jestem tego taka pewna.

Mimo to powinnam spróbować. Dla nich.

I dla siebie.

Idę do pracy, by zabić czymś czas. Wracam do domu, zaparzam filiżankę herbaty i nastawiam muzykę. To wcale nie jest takie łatwe. Czego by posłuchać? Nie każda piosenka pasuje do mojego nastroju i oceny sytuacji. Co ze mnie za mięczak, skoro kilka oklepanych ballad może rozkręcić karuzelę niepewności? Większość ulubionych kawałków wywołuje zbyt bolesne reakcje. Byle jak napisane wersy, które zwykle mnie zachwycają, dziś pastwią się nade mną bez litości. Choć to zupełnie nierozsądne, decyduję się przeprowadzić bezwzględnie okrutny eksperyment na żywo: ile rozpaczliwego cierpienia jest w stanie zadać sobie ludzkie stworzenie? Wybieram *Love Is All Around*. Oczywiście, ten tekst to jedna wielka kpina: *Czuję to w palcach, czuję to w stopach. Miłość jest wszędzie dookoła i wciąż narasta. Zaczynam płakać. Wiesz, że cię kocham, i tak już będzie zawsze. Jestem tego pewien, bo wiem, co czuje moje serce. La la la.* Pieprzone lalanie. Kto pisze te sentymentalne bzdety? Skąd oni to wszystko wiedzą, ha? Skąd niby wiedzą, że kochać będą zawsze? Luke pokazał, ile warte są te słowa, zostawiając mnie tamtej nocy. Co prawda, biorąc pod uwagę okoliczności, przyznaję, że trzaśnięcie drzwiami to znów nie jakiś wielki wyczyn. Wzdycham. Wątpię, by piosenka zatytułowana *Będę kochał cię warunkowo, przez określony czas, w zależności od okoliczności* wspięła się na szczyt listy przebojów.

Zalewając się gorzkimi łzami, torturuję siebie, słuchając *When I Fall In Love*. *Kiedy się zakocham, to będzie na zawsze.* Ten kawałek wyję do paczki papierosów, która pełni teraz rolę mikrofonu. *Albo nigdy się nie zakocham. W niespokojnym świecie jak ten, miłość kończy się,*

zanim się zacznie, i zbyt wiele pocałunków w świetle księżyca zdaje się stygnąć w świetle słonecznym.

To prawda. Żyjemy w niespokojnym świecie. Musiałam – robię to – mogę – powinnam – robię to – kochać Luke'a. Ale to mi nie wystarczyło. Duże, ciężkie łązy spadają na stereo. A potem znów rozpiera mnie energia.

Rozważam zatelefonowanie do organizacji Samarytan, ale zamiast tego wpadam w wir maniackalnych płasów. Wyciągam w górę ramiona, a nogami wierzgam na prawo i lewo. Czynności te wykonuję przy akompaniamencie *When Will I See You Again, The Power Of Love, Don't Leave Me This Way, Stay, I Miss You*. W końcu bez sił opadam na fotel. Ledwo dyszę, pot zalewa mnie obficie. Zupełnie straciłam formę, wizyty w siłowni to prehistoria. Łkając, przyznaję się, że nie jestem w sosie. Pomimo cnotliwych intencji spokojnego zasycia się w kącie i przemyślenia spraw w tradycyjnym stylu, z przyczyn nie do końca zrozumiałych, nic takiego nie nastąpiło. Nagle wybija północ, a ja całą energię poświęciłam na *I Love You Always For Ever, Where Have AU The Cowboys Gone* i *Touch Me In The Morning*. Szlag trafił filiżankę herbaty, wypijam duszkiem trzeci z kolei dzin z tonikiem i puszcza się w histeryczne płasy.

Kładę się do łóżka.

No nic, dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane.

Chryste, zmieniam się w Sam.

Następnego dnia ponownie siadam ze świeżą dawką determinacji i zapалу. Enya dotrzymuje mi cichego i spokojnego towarzystwa, zaparzam filiżankę herbaty, kulę pod siebie nogi i biorę do ręki długopis i kartkę. Żuję końcówkę długopisu. Opróżniam zawartość filiżanki. Wstaję, aby nastawić czajnik na kolejną. Znów siadam. Wstaję, aby przyciszyć nieco muzykę. Jest zbyt głośna i nie mogę się skupić. Siadam. Stukam długopisem o papier i zaczynam myśleć. Zastony są brudne, muszę je wyprać. Boże drogi, ile kurzu jest pod kanapą, nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Właśnie, kiedy dostrzegam, że trzeci obraz z prawej strony na ścianie od łazienki jest lekko przekrzywiony, dzwoni telefon. Dopadam go jednym susem, wdzięczna za niezaplanowany przerywnik. Całe to intensywne rozmyślanie nad sobą jest wykańczające.

– To ja.

– Cześć, Tarn.

– Moja droga, co za entuzjazm w twoim głosie. Czy to znaczy, że właśnie wyrwałem cię z łóżka, czy tak bardzo cieszysz się rozmową ze mną?

– Bardzo cieszę się rozmową z tobą.

– Co za szkoda. Przepraszam, że zawracam ci głowę, bo przecież to wieczór, w którym masz zdecydować, czego chcesz od życia.

Jak widać, moje osobiste przemyślenia stały się tematem debaty narodowej.

– Powiem ci tylko, kochana, z mojego własnego doświadczenia, że znam kilka niezawodnych sposobów na tę okoliczność. Jednym z nich jest dzin z tonikiem.

Śmieję się.

– Ale przypuszczam – kontynuuje – że tobie zależy na czymś bardziej ambitnym i kreatywnym niż to. Złotko, serce mi krwawi, jak pomyślę o tobie. To musi być skarcanie boskie, posiadać tak kompulsywną naturę i komplikować sobie życie. Teraz już wiesz, co to znaczy zimne i szorstkie życie singla. Panuje w nim zgorzkniały klimat. Wszyscy faceci to łajdaki, kobiety są po prostu do niczego, a nad rasą ludzką ciąży przeklęte fatum. No nic, turkaweczko droga. Chciałem ci tylko dać znać, że wciąż masz przyjaciół.

– Tak, dzięki, Tarn – jękam się do słuchawki.

Wracam do kartki papieru i długopisu. Jedyne dźwięk, który teraz słyszę, to tykanie zegara. Zrozumiałam ironię. Tarn ma rację. Zgorzkniały, cholerny klimat. Co mnie opętało, żeby tu trafić? Jakim cudem się tu znalazłam? To wszystko wina Johna. Bydlak. Skończony łajdak bez serca. A Luke? Odgrywa teraz zimnego drania. Zostałam opętana, zniewolona, uwiedziona, a potem niesprawiedliwie porzucona przez jednego faceta i w tym samym czasie zaniechdywana, traktowana jak własność, a potem sprawiedliwie porzucona przez drugiego. Sam powinna była spróbować powstrzymać mnie wtedy w Paryżu. Lucy kibicowała mi przez cały czas. Jestem już nieźle wkurzona. Daisy też nie jest bez winy. Uprawiając gorący seks z Simonem, sprawiła, że czułam się otepiała i niezadowolona. Teraz ledwo już panuję nad gniewem. Rose też powinna poczuwać się do odpowiedzialności. Jak można się tak niegustownie ubierać? Nic dziwnego, że małżeństwo zupełnie mi obrzydło, skoro to jedynie z niej mogłam brać przykład. Mam żal do rodziców (choć to już trochę bardziej skomplikowane, muszę się wysilić, by dokładnie określić ich winę), nauczycieli, trenera jazdy konnej (za przeholowanie na treningu, co skończyło się mocno poobijanym tyłkiem; z pewnością nie zostałabym porzucona, gdybym zaliczyła tylko mały upadek). Kiedy kończy się lista ludzi winnych mojego nieszczęścia, zaczynam mieć pretensje do przedmiotów. Robię wyrzuty faksom, konferencjom, telefonom, e-mailom. Litania żalów jest bardzo męcząca, więc kładę się do łóżka.

Budzę się i pierwszymi rzeczami, jakie widzę, są pieprzony długopis i pieprzona kartka. Biorę prysznic, a kiedy szoruję się pod bieżącą wodą, przed oczyma wiruje mi długopis. Ubieram się i przygotowuję śniadanie, jednak nie jestem w stanie nic przełknąć. Czytam informacje umieszczone na kartonie płatków śniadaniowych. Co by tu zrobić? Co dalej? Jest sobota. Mam calusieńki dzień przed sobą. Sobota, po której nadejdzie niedziela, a w poniedziałek jest święto, czyli kolejny wolny dzień. Co za okrucieństwo losu. Cały wydłużony weekend szydzi ze mnie: „Jesteś sama, jesteś sama! Zupełnie samusieńka!”. Nigdy wcześniej nie byłam skazana jedynie na własne towarzystwo przez tak długi czas. Należę do zajętych osób, otoczonych przez zajętych ludzi. Jako dziecko udzielałam się na obozach harcerskich i w młodzieżowych klubach, z wiekiem zamieniłam te atrakcje na zakupy i chłopaków. Egzamin y maturalne i dyplom na uczelni na chwilę zaburzyły rutynę, ale szybko wróciłam do mężczyzn i związanych z nimi rozrywek: diet, ciuchów, makijażu, imprez, klubów, randek. Potem spotkałam Luke’a. Zanim zdążyłam się obejrzeć, planowałam już wesele, wybierałam dywany i zastawę. No i proszę, oto jestem w moim ślicznie wykończonym domu, otoczona kryształami i kolorowymi, pasującymi

pościelami, ale bez męża.

Mam tyle wolnego czasu.

Nikt i nic mi nie przeszkadza, żadnych spraw na boku, zmian czy rozrywek. Może zadzwonić do mamy? Nie rozmawialiśmy już szmat czasu. Ale co miałabym powiedzieć? Nie mam żadnych ciekawostek do opowiedzenia, żadnego sensownego zajęcia czy przygód.

Żadnych marzeń.

Żadnych celów w życiu. Lodówka to przynajmniej brzęczy. Szczęściara.

Nagle doznaję olśnienia. Alleluja! Wreszcie to do mnie trafia. Dzwonienie do mamy czy kogokolwiek innego jest techniką unikania. Gdybym wykręciła do niej numer, uniknęłabym skoncentrowania się na swojej sytuacji. Ostrożnie piszę pierwsze słowo na czystej kartce.

Unikanie

Unikanie, cha, cha. Wreszcie się na coś natknęłam. Nagle pojmuję, dlaczego moi znajomi w kółko trują mi, żebym zastanowiła się nad różnymi sprawami. Okazuje się, że z tym przemyśliwaniem u mnie nie najlepiej. To nie jest moja mocna strona. Jestem świetna w uczuciach, wybitna wręcz, jeśli chodzi o kierowanie się instynktem, emocjami, płynięciem z prądem, zachowania kompulsywne. I to jest wspaniałe. Bardzo pasjonujące, ekscytujące, dramatyczne. Przypuszczam, że trochę zaniedbałam „zastanawianie się nad”, „przemyślenie konsekwencji” czy „rozważenie wpływu”. Szczególnie tego na inne osoby. Ale jeśli mam być szczerą, to te rzeczy jakoś nie otarły mi się o uszy. Ile jest takich filmów zatytułowanych *Stabilne spotkanie*, *Bezpieczne związki*, *Spokojna senność w Seattle!*

Chyba niewiele. Problem monottonnych aspektów życia polega właśnie na ich monottonności.

Stabilność

Bezpieczeństwo

Spokój

Zapisuję te słowa na kartce. Uderza mnie, że są to przymioty udanego małżeństwa. Uderza mnie też, że zanim wyszłam za męża, nie poznałam znaczenia tych określeń. Wyszłam za Luke'a, bo jest moim najlepszym przyjacielem. Jest dobry, liczy się z innymi, potrafi czule okazywać miłość. Kocham go, ale zanim wyszłam za męża, wszystko w moim życiu odbywało się natychmiast, pod wpływem impulsu, było ryzykowne i ekscytujące.

Nie jestem podobna do Sam. Nigdy nie stawiałam małżeństwa za życiowy cel. Boże, to dopiero byłby numer. Co za żalodne podejście. Mnie zależało na pogoni, zdobywaniu, o tak. I lubiałam, kiedy faceci zakochiwali się we mnie. Ale przecież nie to było najważniejsze.

Było?

Było.

Choć nie miałam wtedy tej świadomości, zupełnie przepadłam w świecie bajek, filmów i piosenek pop, wierząc w każde romantyczne słowo. Parłam do przodu, zaliczając po drodze

wszystkie pozycje *Kamasutry* i spełniających warunki londyńskich mężczyzn, ale czy w skrytości ducha nie marzyłam o tym, by spotkać tego jedyne, popędzić z nim do ołtarza i wypełnić przesłanie „I żyli długo i szczęśliwie”? Tyle że bajki kończą się zamknięciem kościelnych drzwi po ceremonii i już wiem dlaczego. Bo nie ma nic oryginalnego w konwersacji na temat izolacji poddaszy. John rozprawiał ze mną o technikach brutalnego seksu. To takie nieprzyzwoite i namiętne, i inne.

I bez sensu.

Patrząc z perspektywy czasu, czy naprawdę interesowało mnie, jak często miał obciążanego druta? Ale wtedy to było takie seksowne i żywe. Po prostu zatęskniłam za ekscytującym namierzaniem przystojniaków i chciałam być przez nich podrywana. Brakowało mi gorączkowych rozmyślań o tym, w co się ubrać. Zapragnęłam, by mężczyźni znów zaczęli mnie odkrywać, chciałam stać się obiektem gorących dyskusji i westchnień.

Kusi mnie, żeby zatrzymać się właśnie w tym miejscu. Wstać, zaparzyć herbatę, ułożyć kasety z filmami w porządku alfabetycznym na półce. Proszę bardzo. Znajduję odpowiedź. Luke jest wspaniały, ale nasze małżeństwo ugrzęzło w rutynie. Nudziłam się, więc zaczęłam szukać przygód, a John był ich świetnym dostawcą. Potem słyszę w głowie słowa Lucy. Co to było dokładnie? „John coś znaczył”. Zapominam o półce z filmami.

John to skończony łajdak. Hmmm. A przecież pragnęłam Johna, i to bardzo. Dlaczego? Byłam przekonana, że byliśmy... Jak to się mówi? Sobie pisani? Przeznaczeni? Skazani na siebie? Wszystko wydawało się takie właściwe.

Tak dobrze znane. Bo przecież było mi znane.

Flirtowanie. Zdobywanie. Uwodzenie. Czyli to, co lubię najbardziej. A raczej lubiłam, zanim poznałam Luke'a. Na co złapałam Luke'a. A może właśnie stąd wzięło się przekonanie o naszym przeznaczeniu? Bo powtarzałam dobrze mi znane wzorce? W momencie, kiedy się z nim przespałam, zagalopowałam się tak daleko, że nie mogłam tak po prostu przyznać się do błędu, szczególnie sama przed sobą. Im bardziej poznawałam Johna, tym bardziej uświadamiałam sobie, że muszę zapomnieć o wzajemnej czułości, bliskości, zaufaniu czy pochlebstwach. Dlaczego tak? Stare zasady, ale gra zupełnie inna. Byłam mężatką. Przespał się ze mną, dlatego że na palcu miałam obrączkę. Jemu nie zależało na bliskości, na znalezieniu czegoś więcej. Myślał, że jest bezpieczny, bo ja już miałam Tego Jedyne albo przynajmniej Jakiegoś Jedyne. Ode mnie oczekiwał jedynie wszystkiego, co dzikie, sprośne, seksowne, nieprzyzwoite. Błędnie wzięłam jego arogancję za namiętność. Pomyliłam ucisk w cipce z tęsknotą miotającą się w sercu. Taaaaak bardzo mi się podobał. Oto zimne fakty. Gdybym wtedy mogła, przykleiłabym go do siebie, a nawet to nie zaspokoiłoby mojej żądzy fizycznej bliskości. Pragnęłam go w sobie. Chciałam pokroić Johna na małe, konsumpcyjne kawałeczki. Zrozumiałam, po raz pierwszy w życiu, co to znaczy utrzymywać z drugim człowiekiem cielesne stosunki. Przez chwilę żyłam jakby w innym wymiarze. I spójrzmy prawdzie w oczy, podobało mi się tam.

To było ekscytujące.

Ale zupełnie nieprawdziwe.

Chodziło jedynie o obcisłe ciuchy, szczupłe ciało, płaski brzuch, muzykę pop, papierosy, picie. Nie mogę powiedzieć, by John zawiódł jako dostawca namiętnych uniesień i dramatycznych przeżyć. Zgodnie ze swoją obietnicą pożarł, porzucił, pognąbił i pogrzebał mnie. Nieodpowiedzialny, nieokazujący szacunku, niewierny typ.

Jak się więc okazuje, nie ma jednego powodu mego cudzołóstwa: byłam znudzona, czułam się zaniedbana. Może chodziło też o odświeżenie w pamięci dawnych nawyków. I jeszcze straciłam głowę dla nieziemsko przystojnego faceta z wielkim fiutem. Wszystkie te czynniki zadziałały jednocześnie. Dlaczego system alarmowy zawiódł już po pierwszym spotkaniu w Blackpool? Tam omal nie doszło do wykołajenia. Powinnam była wracać do domu i raz na zawsze wybić sobie destrukcyjne myśli z głowy.

Gdybym mogła zacząć od początku, wyszłabym za Luke'a.

Wszystko sprowadza się do niezbyt przyjemnego wniosku. Wychodzi na to, że „miłe” dziewczynki też dopuszczają się zdrady. Zwłaszcza te grzeczne panienki, które są próżne i znudzone. Przy takim założeniu widać, że te miłe dziewczynki z łatwością nabierają się na wszelkie bujdy. Co więcej, jeśli są niepoprawnymi romantyczkami, które naprawdę chcą wierzyć w niepokromioną namiętność, rozumianą jako przeznaczenie, to łatwo się pogubić. Jedyna różnica między miłymi dziewczynkami a niegrzecznymi dziewczynkami polega na tym, że te miłe po wszystkim bardzo żałują.

Bardzo, bardzo, bardzo.

I gdyby mogły, cofnęłyby czas.

Jest sobota, wybija szesnasta. Wokół mnie unoszą się kłęby papierosowego dymu. Energicznie otwieram okno, zapewniając sąsiadów, że nie ma powodów do niepokoju i straż pożarna jest zbyteczna. Rozglądam się za potpourri i po raz milionowy nastawiam czajnik. OK, czas na podsumowanie. Odkryłam i przyznaję się do następujących faktów dotyczących mojej osoby: kocham Luke'a i wychodząc za niego, spełniłam swoje życiowe marzenie. Osiągnięcie tego celu spowodowało, że zostałam bez ambicji na przyszłość i zaczęłam się nudzić. Spotkałam Johna, jurnego byczka. Uwodzenie przeszło w nałóg. Zraniłam męża, być może rany się nie zagoją. Jestem egoistyczną, o nie, przepraszam bardzo, totalną idiotką, niezbyt grzeczną dziewczynką. Zauważam, że zaczynam się plątać. Ale gdzieś w tym wszystkim na pewno jest coś sensownego.

Rozdział 10

Jestem tak podekscytowana nowym rozumieniem świata, że popełniam błąd, zakładając, iż Luke też padnie z wrażenia. Po blisko miesiącu zerowej komunikacji dzwonię do niego. Nie odbiera, więc ponawiam próby – na trzeźwo, w stanie wskazującym, pogrążona w histerii, zdesperowana, upokorzona, niestrudzona. Zostawiam błagalne wiadomości na sekretarce, zaklinając, by zechciał mnie wysłuchać, żeby odebrał telefon. Kiedy to robi, wita mnie tekstem: „Connie, nie sądzę, byś miała do powiedzenia cokolwiek, co chciałbym usłyszeć. Nie mam ochoty na wyjaśnienia, dziękuję ci”. Nastają burzliwe dni; ogarnia mnie paralizujący strach, bo zaczyna do mnie docierać, że Luke naprawdę nie chce ze mną rozmawiać.

Piszę do niego. Krótkie wiadomości z modłami, by zadzwonił. Śmieszne, stylowe i sentymentalne kartki próbujące coś wytłumaczyć. Długa litania wyrażająca skruchę i błaganie o wybaczenie. Nawet nie wiem, czy otwiera te listy. Stwierdzam, że pisanie i dzwonienie jest dość tchórzliwe, więc wybieram się do Simona, by zobaczyć Luke’a. Simon informuje mnie, że go nie zastałam. Idę więc do klubu piłki nożnej, w którym gra, potem do biura, koniecznie chcę go namierzyć. Wygląda na to, że ma szósty zmysł, bo gdziekolwiek się pojawia, słyszę tylko, że „właśnie wyszedł”. Jego zdolność porzucenia mnie, nawet bez zdawkowego obejrzenia się za siebie, dołuje mnie. Początkowo utwierdzam się w przekonaniu, że to typowe dla niego, kolejny przykład braku namiętności, uczuć, zaangażowania, ale ta teoria nie trzyma się kupy. Nawet jak dla mnie. Czy zraniłam go aż tak głęboko, że nie jest w stanie postąpić inaczej, tylko zostawić mnie? Jestem przesiąknięta wstydem. Zastanawiam się, czy gdybym wytłumaczyła, że nie spotykałam się z Johnem w momencie, kiedy przyszedł faks, czy to by coś zmieniło? A czy pomogłoby przyznanie się do popełnienia okropnego błędu, z którego teraz zdaję sobie sprawę? Wątpię. Przecież wytłumaczenie tego sobie samej zakrawało na nieludzki niemal wyczyn. Złożenie tych wyjaśnień komukolwiek innemu, nawet jeśli ten „ktokolwiek inny” jest kimś tak wspaiałym i niesamowitym jak Luke, będzie niemożliwe.

Tęsknię za nim. Tęsknię w każdym momencie, każdej minuty, każdej godziny, każdego dnia.

No, może niezupełnie. Trochę przesadziłam, ale niewątpliwie tęsknię. I nie chodzi o to, że brakuje mi go z egoistycznych pobudek, kiedy nie wiem, jak wymienić bezpiecznik czy gdzie szukać gwarancji na cieknącą zmywarę. Chociaż na początku tęskniłam za nim właśnie w taki sposób. Całe tygodnie upływały mi na uporaniu się z ogromną liczbą obowiązków domowych spoczywających przedtem na jego barkach. Ale dałam radę. Siedziałam przy naszym wielkim, mahoniowym biurku i opłakiwałam rachunki. Nie dlatego, że sumy do uregulowania były za wysokie, ale siedząc tam, przypominałam sobie Luke’a, który w każdy wtorkowy wieczór, regularnie jak w zegarku, ślęczał nad rachunkami, sprawdzał otrzymane listy, wyrzucając wszystkie przysłane śmieci do kosza. Segregował pocztę, zanim wprowadzał ją do naszego życia. Upewniał się, że wszystko idzie zgodnie z planem, działa bez zarzutu. Kiedy zostałam zmuszona do robienia tego sama przez ostatnie tygodnie, zrozumiałam, jakie to czasochłonne i nudne

zajęcie. Moja odpowiedzialność w domu ograniczała się do pamiętania o urodzinach najbliższych. Kupowałam okolicznościowe kartki, znaczki i wysyłałam je. Boże, na samą myśl, ile się o to żołądkowałam, czerwienię się. Jeśli mam być szczerą, wybieranie pocztówek, świętowanie urodzin, kupowanie tortów i prezentów jest całkiem fajne. Na pewno to większa frajda niż monitorowanie rachunku debetowego, co teraz zaprzęta mi głowę. Oczywiście zanim poznałam Luke'a, zajmowałam się takimi sprawami. Dawałam radę opłacać rachunki na czas, a właściciele wynajmowanych przeze mnie mieszkań nie musieli zmieniać przede mną zamków. Ale w tamtych czasach sprawy do uregulowania ograniczały się do wydatków Zosi samosi. Teraz mam do czynienia z o wiele poważniejszymi rachunkami: hipoteka, polisy na życie, ubezpieczenia zdrowotne i emerytalne. To nie pieniądze stanowią problem. Moje zarobki gwarantują mi niezależność finansową, a poza tym przyzwoity facet, jakim jest Luke, nie przestał przelewać pensji na nasz wspólny rachunek oszczędnościowy. Przyływ gotówki jest więc taki sam, tyle że zakres odpowiedzialności za jedną osobę zwiększył się tak niewyobrażalnie.

Za tę osobę.

Za mnie. Ale powolutku zaczęłam się we wszystkim orientować i po kilku tygodniach okazuje się, że nie potrzebuję Luke'a, by wyjaśniał mi istotę podatku lokalnego i stopy podatkowej. Ale to nie znaczy, że tęsknię za nim mniej. Tęsknię nawet bardziej. Uświadamiam sobie, że nie potrzebuję go, po prostu pragnę go mieć. Brakuje mi jego uśmiechu, bałaganu, rozsądku, rady. Chcę, żeby był blisko i zobaczył moje nowe, ulepszone „ja”. To „ja”, które potrafi zorganizować przegląd techniczny samochodu i oddać w terminie książki do biblioteki. Zależy mi tak bardzo, by był ze mnie dumny. Chcę, aby mi gratulował. Mam nawet ochotę, aby pokrzyczał na mnie za porzucenie mokrego ręcznika na środku podłogi.

Tęsknię za Lukiem, gdy mam dobry dzień w pracy, bo on zawsze okazywał zadowolenie, kiedy udawało mi się z sukcesem poprowadzić projekt. Brakuje mi go w te dni, kiedy wszystko jest do dupy; nie ma wtedy kto rozmasować mi stóp i zapewnić, że oni na mnie nie zasługują. Nie mam pojęcia, jak posuwają się do przodu prace związane z adaptacją restauracji. Brakuje mi jego podnieconego trajkotania o znalezieniu „po prostu idealnego” źródła marmuru we Włoszech albo wymyślenia mądrego i stylowego rozwiązania na klatkę schodową, która musi spełniać wymogi bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Marzę, by podzielić się z nim moimi wrażeniami z zajęć fotograficznych. Idzie mi zaskakująco dobrze. Na początku bardzo się denerwowałam i pewnie zwiłabym przed pierwszą lekcją, gdyby nie Lucy, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Widocznie umówiła się w kawiarence przy centrum edukacyjnym dla dorosłych i przy okazji mnie podwiozła.

W centrum od razu uderzył mnie śmieszny zapach. Szczególna i jedyna w swoim rodzaju woń, charakterystyczna dla miejsc edukacyjnych (czytaj tortur). Jest to kompozycja z kredy, wypastowanych podłóg, kurzu i zdenerwowanych ciał. Ale okazało się, że niepotrzebnie się martwiłam, pozostali uczestnicy kursu są wspaniali. Cały przekrój ludzkich charakterów; jest kilka osób ze sporym doświadczeniem, a są i tacy, którzy mają problemy z odróżnieniem

przesłony na obiektyw od statywu. Ulżyło mi serdecznie, bo nie ma za dużo brodatych typów w sandałach, nikt nie manifestuje komunistycznych poglądów, nie ogłasza, że poświęci życie w imię swej sztuki. Uczę się tak wiele, tak szybko. Sporo już mogę powiedzieć o prędkości zamykania migawki, kompozycji, zdjęciach w ruchu czy fotografii z wykorzystaniem flesza. Przyswajam sobie całe mnóstwo nowego słownictwa: autobracketing, kompensacja ekspozycji, wartość przesłony, ziarno i głębokość pola widzenia. Każdą wolną chwilę spędzam na komponowaniu, robieniu i wywoływaniu zdjęć. Wprowadzam zmiany w mojej terapii detalicznej – ciuchy zamieniam na sprzęt fotograficzny. Sporo znajomych jest pod wrażeniem moich prac. Lucy sugeruje nawet, że powinnam skomponować sobie portfolio.

– Ale po co? Przecież nie rzucę wszystkiego, by zostać fotografem.

– Dlaczego nie? Zamiana roli oddanej żony na cudzołożnicę przyszła ci relatywnie łatwo. Myślę, że to tylko pokazuje twoją chęć na dokonanie zmiany.

Ta to ma dopiero poczucie humoru.

– Pewnie, zobacz tylko, dokąd mnie to doprowadziło – warczę na nią. – Tak czy owak, muszę zdobyć więcej kwalifikacji. Pstryknięcie paru zdjęć podczas zwykłego kursu raczej nie zmieni mnie w kolejnego Roberta Mapplethorpe’a.

– O czym myślisz?

– Nie wiem jeszcze dokładnie. Może szkoła fotograficzna albo przynajmniej kurs przygotowawczy.

– Co więc cię powstrzymuje? Myślę, że masz w sobie to coś.

Lucy wpatruje się w swój portret, co pewnie tłumaczy, dlaczego z takim zapałem sypie komplementami, ale wiem też, że ona akurat mówi zawsze tylko to, co myśli. Tak naprawdę nie wierzę, że posiadam wystarczający talent, by dostać się na jeden z tych kursów, ale z czystej ciekawości może wyślę podanie. Po raz pierwszy, od wielu, wielu tygodni, zaczynam myśleć o przyszłości. Ale to nie znaczy, że mniej tęsknię za Lukiem. Pragnę jedynie z nim porozmawiać. Chciałabym dowiedzieć się, jak sobie radzi. Chcę przekonać się, czy dobrze wygląda. Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że nic mu nie jest i że nie cierpi.

Wcale nie. Po cichu wyobrażam sobie, że wygląda fatalnie i że wszyscy widzą, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

Zastanawiam się, nic na to nie poradzę, czy jest choć cień szansy, że i on za mną tęskni. Jak na razie zachowuje kontrolowane opanowanie. Spakował się w ciszy, wyszedł bez awantury. Jego kolejne wizyty po ulubione płyty CD i ubrania odbywają się jedynie pod moją nieobecność. Bardzo rzadko, kiedy zajdzie taka konieczność, dzwoni do mnie, ale zawsze jest zwięzły, konkretny i na dystans.

Zimny. Daleki.

Wertuję album ze ślubnymi zdjęciami, przyglądając się naszym uśmiechom i kompozycji, kiedy dzwoni telefon.

– To ja, Luke.

Nie znoszę tego, że dodaje „Luke”. Przecież nadal rozpoznaję jego głos, mimo że nie odpowiedział na pięćdziesiąt trzy telefony z pięćdziesięciu dziewięciu, które wykonałam przez ostatnich sześć tygodni.

– Dzwonię, bo uważam, że masz rację, powinniśmy porozmawiać.

Dziękuję ci, Boże! Dziękuję! Dziękuję ci, Boże!

– Mam już adwokata i myślę, że czas, byś ty też sobie go znalazła.

Boże! Boże! Luke?! Adwokat? Jasna cholera!

– Będę około dziewiętnastej trzydzieści, okej?

– Okej – odpowiadam szeptem.

Odkłada słuchawkę.

OK? OK? Nie, nie jest OK. Właściwie to jest bardzo nie OK. Nie. Nie pozwolę na to. Czuję ucisk w żołądku. A więc to prawda. Kiedy człowiek jest ekstremalnie wystraszony, kiedy świat wali mu się na głowę i kiedy twardo spada na cztery litery, to naprawdę czuć te cztery litery. Biegnę do łazienki i siadam na kiblu. Nie. Nie! To jest mój mąż. To jest mój mąż. Nie pozwolę mu odejść. Serce wali mi tak szybko, że ten szalony puls czuję niemal pod językiem. Wydaje mi się, że zaraz zemdleję, ale to nie czas na histerię w wiktoriańskim stylu.

Jeszcze nie wszystko stracone.

Dopóty, dopóki widać światełko w tunelu.

Jak dla mnie jest wciąż jasno.

Muszę zastawić sidła na własnego męża. I mam na to, patrzę na zegarek, pięć i pół godziny. W co się ubrać? W co się ubrać? Z rozmachem otwieram szafę i nurkuję do środka. Gorączkowo przesuwam wieszak po wieszaku. Nie znajduję nic odpowiedniego. Przymierzam zwyczajne białe i czarne topy, spodnie czarne, granatowe, brązowe, khaki i szare. Zdejmuję poszczególne części garderoby i zakładam z ekstremalnym poziomem irytacji. Nic nie jest wystarczająco wyjątkowe. Chwytam kartę kredytową i kluczyki.

Wracam do domu cztery godziny później, z asortymentem toreb firmujących modne butiki. Miałam nadzieję nabyć choć trochę nadającego się na tę okazję stylu i przy okazji odrobinę szczęścia. Jak się jednak okazało, we wszystkich sklepach brak obu artykułów. Zdecydowałam się na krótką, czerwoną, kokieterijną sukienkę i pantofelki z czerwonej skóry. Ani ja, ani Luke nie należymy do zagorzałych fanów Chrisa De Burgha, ale nie ma chyba jednej osoby w zachodniej cywilizacji, która nie odczytałaby subtelnej aluzji wyrażonej przez „lady in red”. Modłę się, by sukienka zdołała przekazać odpowiedni komunikat.

Kąpię się w zmysłowym olejku z Body Shop, splukuję się wodą, szoruję, znów splukuję i wcieram antycellulitowy krem marki Clarins. Aplikuję sobie tuzin odżywczych substancji na twarz. Wykonuję pełny makijaż, zmywam go, decyduję się wystąpić bez zbytnich upiększeń, bo Luke zawsze lubił mnie naturalną. Te wszystkie czynności przypominają mi o czymś, ale nie mam czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać. Muszę wyglądać perfekcyjnie. Muszę sprawić, by znów się we mnie zakochał. Zastanawiam się, czy powinnam rozważyć kwestię bielizny. Wydaje

się to trochę bezczelne, ale co tam, nie warto ryzykować wystąpienia w szaro-białych figach M&S. Zabiera mi trochę czasu przymierzenie każdej części bielizny, którą posiadam, i w końcu decyduję się, że nic nie założę. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd wystąpiłam tak dla Luke'a, ale jeśli mnie pamięć nie myli, kiedyś ubóstwiał nagie, nieskrępowane bielizną ciało. Wreszcie, dwadzieścia po siódmej, jestem gotowa.

I tak już będzie zawsze.

Dom też jest gotów, tak jak jedzenie. Stoję naprzeciwko lustra. Moje własne odbicie zaskakuje mnie. Wyglądam dobrze.

Wyglądam też na zdenerwowaną. W lustrze widzę kobietę. Nie dziewczynkę. Mam biust i parę zmarszczek. Nie jestem już całkiem młoda. Wyglądam dojrzałe, ale nie staro. Myślę, że omyłkowo mogę być wzięta być może za kogoś, kogo podziwiałam przed wieloma laty, kiedy wyobrażałam sobie, jak mogą wyglądać „starsze kobiety”. Zastanawiam się, dlaczego ubrałam się na czerwono! To krzykliwa kreacja. Ale zanim udaje mi się rozważyć, w co się przebrać, rozbrzmiewa dzwonek.

– Cześć, wejdź do środka.

Luke jest opalony i wygląda bosko. Na chwilę tracę oddech, a żołądek podchodzi mi do gardła. Przyglądam się uważniej; wydaje się, że jest również zmęczony i zmizerniał. Ma na sobie dżinsy, T-shirt od Teda Bakera i lekką marynarkę od Bossa. Zauważam, że utkwił we mnie wzrok, mierząc moją postać od stóp do głów. Czy to aprobujące spojrzenie? Waha się na stopniach, swoich stopniach! Gdybym miała do czynienia z kimkolwiek innym, pomyślałabym, że to jakaś manifestacja. Przekaz raczej mało przyjemny: „Nie mieszkam tu już, przychodzę jako gość”. Na chwilę tracę pewność siebie, kiedy on przystaje w korytarzu, zamiast pędzić prosto do pokoju. Przecież to jego dom! Ale nie dam się tak łatwo zastraszyć. Zrobię wszystko, by zmienić zdanie. Odzyskam go. Zapomnimy o przeszłości.

– Wezmę marynarkę.

– Nie.

Nie tracę animuszu. Uśmiecham się.

– Wejdź, proszę. Może piwa? Wina?

Kawy, herbaty, napoju orzeźwiającego? Co tu się, do cholery, dzieje? Kim jest ten obcy człowiek? Wygląda jak mój mąż. Ale nie zachowuje się jak Luke. Gdzie się podział mój mąż? Mężczyzna, który masuje mi brzuch podczas miesiączki, któremu wyciskam pryszczę i pilnuję, by zażywał witaminy, który nauczył mnie grać w golfa, a którego ja zapoznałam z kanapkami z gniecionymi ziemniakami? Gdzie on jest? Muszę przypomnieć mu stare klimaty. Nasze dobre schematy. Po prostu muszę.

Luke otwiera puszkę budvara i snuje się po domu. Kiedy mija mnie w korytarzu, czuję jego zapach. Tak dobrze mi znany, tak bardzo jego, że walczę z cisnącymi się do oczu łzami. Resztkami sił powstrzymuję się przed objęciem ukochanej sylwetki. Podnosi niektóre bibeloty, jakby chciał się z nimi przywitać, i odkłada je z powrotem. Przegląda pocztę, chowa swobodnie

do kieszeni na piersiach koperty zaadresowane do niego. Wydaje się taki męski, taki opanowany. Jakim cudem ten mężczyzna kiedykolwiek przestał mi się podobać? Podchodzi do okna i wygląda na ogród. Zastanawiam się, czy brak mu tego. Za czym tęskni? Za szopą? Albumami fotograficznymi? Za mną?

– Właśnie gotowałam makaron. Starczy dla dwóch osób. Przyłączysz się?

Ta tak-nie-zobowiązująca-gadka jest oczywiście kłamstwem. Zaplanowałam ten wieczór z najmniejszymi szczegółami. „Przypadkowo” makaron *to fuselli*, jego ulubiony; mam już gotową sałatkę cesarską (bynajmniej nie gotowizna z Tesco, sama smażyłam grzanki). W lodówce chłodzi się butelka wina marki Robert Mondavi Napa Valley Fume Blanc. Ze wszystkich sił pragnę skorzystać z szansy, by przypomnieć nam stare, dobre czasy. Myślę, że może mi się udać, jeśli odprężę go butelką pysznego wina i dobrym jedzeniem. Z powodu braku dobrego jedzenia, moje kulinarne wysiłki będą musiały wystarczyć.

– Nie jestem głodny – mówi, nie patrząc na mnie.

A więc plan numer jeden łąduje za oknem. Wielka szkoda, ponieważ nie mam planu numer dwa. Rozważałam, co prawda, rozrzucenie kilku naszych ślubnych fotografii po pokoju. Zastanawiałam się też nad ulokowaniem siebie, jedynie z różą w zębach, na sofie. Ale nic z tych rzeczy. Czekoladki, brylanty i kwiaty, wszystko wydaje się nieodpowiednie. Żadna książka na temat etykiety mi tu nie pomoże. Niewierni mężowie od ponad dwu tysięcy lat systematycznie pracują nad udoskonalaniem technik pojednawczych: przeprosiny, kosztowny prezent, radzenie sobie ze wzajemnymi oskarżeniami, właściwie dobrany ton. Jak dotąd nie odnotowano przypadków w dziejach ludzkości, na których ja mogłabym się wzorować.

– Możemy porozmawiać, Luke?

– Nie sądzę, byś miała do powiedzenia cokolwiek, co...

– Chciałbyś usłyszeć – kończę zdanie za niego, kiwając głową jak jeden z plastikowych stworków, które ludzie czasami trzymają przy tylnej szybie samochodu. – Zależy mi na tej rozmowie – nalegam.

Jego wrodzone dobre maniery i zwyczajowa uległość pomagają mu ustąpić. Ciężko opada na sofę i wzdycha głęboko. Przyglądam się miejscu, w którym jego nadgarstek łączy dłoń z ręką i jest to najpiękniejszy nadgarstek, jaki widziałam w życiu, silny i jednocześnie delikatny.

– Słucham?

Teraz to on zadaje pytanie, a ja nie jestem pewna, co chcę powiedzieć. Strzelam więc z grubej rury. Błąd.

– Kocham cię.

– Ha! – prawie się dławi.

To mnie martwi. Kto uwierzy w moją niewinność, kiedy przyjdzie pora wypłaty z jego polisy na życie?

– Naprawdę – nie daję za wygraną.

– Od pięciu lat powtarzałaś to samo, a jak się okazuje, przez cały ten czas pieprzyłaś się z

kimś innym.

- Nie przez cały czas – poprawiam go przytomnie.
- A więc od kiedy? – pyta, łypiąc na mnie spod grzywki.

Przez ułamek sekundy jego obłądne zielone oczy spotykają się z moimi. Wiedziałam, że prędzej czy później zada to pytanie. Siłą rzeczy. Przygotowuję się do odpowiedzi, spokojnej i szczerzej. Myślę, że jestem mu to winna.

- Od września.
- Od września.

Gapi się bez słowa w sufit. Wiem, co teraz robi. Przewija w myślach okres małżeństwa od września. Powraca do tych okazjonalnych, niczym nieusprawiedliwionych kłótni i stwierdza, że wreszcie zna ich przyczynę. Napotyka też te dobre momenty i zastanawia się, czy one cokolwiek wtedy znaczyły. Czy nie udawałam. Czy nie udawałam wszystkiego, począwszy od orgazmu, a na prasowaniu koszul kończąc. Jak można to wytłumaczyć?

– W tym czasie dość często mówiłaś mi, że mnie kochasz. Najwyraźniej kłamałaś. Dlaczego miałbym ci teraz uwierzyć?

– Nigdy nie przestałam cię kochać. Po prostu na jakiś czas przestałam być w tobie zakochana.

Każde słowo boleśnie rani mi gardło. On wydusza z siebie: „Ha!”, dźwięk, którym komunikuje swoją całkowitą odrazę. Jestem bardzo zdenerwowana, ale mężnie prę do przodu.

– Myślę, że w tym czasie ty też nie byłeś we mnie zakochany. Byliśmy dla siebie bardziej jak najlepsi przyjaciele czy brat i siostra.

- Ty nie masz brata.

Czy on specjalnie udaje, że nie wie, o czym mówię? Przecież na co dzień to taki inteligentny człowiek.

- Powtarzałaś mi, że jesteś szczęśliwa.

Wygląda na kompletnie zdumionego.

- Bo byłam szczęśliwa.

– Powiedz mi w takim razie, kiedy „bycie szczęśliwym” wyszło z mody? Kiedy stało się przestarzałe? Czy „bycie szczęśliwym” to za mało?

Teraz zaczyna okazywać wściekłość. Ale kamień spada mi z serca. To lepsze niż wyciszony, nieprzenikniony Luke. Nie śmiem odpowiadać na to pytanie. Nie muszę zresztą, bo robi to za mnie.

- Jak widać, dla ciebie, Connie, to było za mało. Ty musiałaś mieć wszystko, prawda?

Wykonuję nieznaczny ruch głową, nie do końca kwalifikujący się jako skinienie.

– Ale jak, Connie? No powiedz, jak możesz pogodzić bycie szczęśliwą w małżeństwie ze zdradą?

- Nie wiem. Jeszcze nie rozpracowałam wszystkiego w szczegółach – mówię bezdusznie.

Nie wiem, dlaczego to robię. Moją intencją jest okazanie skruchy, nie rozdrażnienia. Ale nikt

nie lubi być stawiany w niezręcznej sytuacji. Luke decyduje się zademonstrować absurdalność mojego rozumowania, wytykając logiczną niekonsekwencję. Przecież nie o to chodzi. Logika nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak z tym gadaniem, że chcesz synka i córeczkę, ale pragniesz tylko jednego dziecka. To po prostu niemożliwe.

– A czy Tarn nie pogodził jednego i drugiego? – pytam.

Nie wiem, dlaczego próbuję zasłonić się humorem. Może dlatego, że prawdziwe życie ma w sobie elementy tragedii, a ja zawsze wolałam komedię albo romans. Kiepskie posunięcie. Luke wstaje i kieruje się w stronę drzwi.

– Nie wychodź – błagam go.

Zatrzymuje się – to dobrze. Nie odwraca się do mnie – to źle.

– Co dokładnie miałaś na myśli, kiedy stwierdziłaś, że nie byłem w tobie zakochany? – pyta.

– Wydaje mi się, że zaczęliśmy siebie traktować jak coś oczywistego, coś, co się nam należy – odpowiadam ostrożnie.

Nie chcę, aby moje słowa brzmiały, jakbym go winiła o cokolwiek. Przecież nie mam do niego żalu.

– Pracowaliśmy całe dni – dodaję. – Potrzeby naszych przyjaciół były ważniejsze od naszych własnych. Przestaliśmy z sobą rozmawiać. Przestaliśmy się sobą zachwycać.

– To się nazywa spełnienie.

– To się nazywa zbytnia pewność siebie.

– Więc miałaś romans, by dać nam zimny prysznic? By wstrząsnąć naszym życiem?

– Nie. Nie. Nie zaplanowałam tego.

Oj, zaczynam krzyczeć. Próbuję stłumić złość. – Wygasła namiętność – kontynuuję. – Żadnego zagrożenia. Żadnego dramatyzmu.

– Zrobiłaś to, bo zaczęło ci się nudzić? Zaryzykowałam małżeństwo, dom, naszą miłość, ponieważ się nudziłaś?

Luke poszedł moim śladem i też podniósł głos. Wiem, że jest zdesperowany, zagubiony i wściekły.

– I czułam się trochę samotna – przyznaję zawstydzona.

– Nie mogłaś czegoś powiedzieć? Naprawdę musiałaś ściągnąć gacie i machać nimi nad głową, żeby zwrócić na siebie moją uwagę?

Teraz wrzeszczy.

– Tak, właśnie tak wtedy myślałam – wydieram się.

– Myślałam, że liczba facetów, z którymi się przespałaś, zanim się spotkaliśmy, wystarczy ci do końca życia.

To chwyt trochę poniżej pasa, ale mimo wszystko trafił celnie, więc zostawiam te słowa bez komentarza. Stoimy w korytarzu, milcząc, słuchając brzęczącej pralki pracującej w pralni pod nami. Luke opiera się o ścianę, a potem osuwa się po niej w dół, lądując ciężko na podłodze.

– Co on ma takiego w sobie, czego nie mam ja?

Patrzę na cierpiącą twarz Luke'a czekającego na odpowiedź.

Wciąż wygląda cudownie. Nadal jest troskliwym mężczyzną, wyjątkowym, może nieco mniej wyrozumiałym, ale trudno się dziwić. Myślę gorzko, że Luke wart jest tych wszystkich, razem wziętych facetów, z którymi spałam. Świadomość, że John to żaden mężczyzna, nie przynosi ulgi. Jest mi potwornie głupio i źle. Powoli zbieram się na odwagę.

– Myślałam, że to dobry wybór. On był ekscytujący.

– Sądząc po faksach, jest jakimś idiotą.

– Tak, jest też idiotą.

– Nic z tego nie rozumiem.

Luke jest kompletnie skołowany.

– Od czasu do czasu każda kobieta pragnie tego samego. Mężczyzny, który sprawi, że poczuje się jak gwiazda warta wszystkiego, choć w tym samym czasie on trzyma łapy na kolanie jej najlepszej przyjaciółki.

– Chryste. Pomyśleć tylko, że kobiety są tak niedojrzałe.

Mam nadzieję, Connie, że ze względu na dzieje ludzkości, mylisz się całkowicie. Nie może być tak, że każda kobieta tego pragnie. Powiedz, że chodzi tylko o ciebie.

– Chodzi tylko o mnie – powtarzam głucho.

– Dobrze, przynajmniej tragedia ogranicza się jedynie do naszego małżeństwa.

Mnie jakoś to nie pociesza.

– Słuchał mnie – tłumaczę. – Rozmawialiśmy. Był mną zafascynowany.

– Ale przecież zawsze mówiłaś, że takie ckliwe, maślane rzeczy przyprawiają cię o mdłości.

– Kłamałam. Okłamywałam ciebie i siebie.

– O czym więc rozmawialiście?

– O marzeniach, przemyśleniach, filmach, książkach.

– Ale Connie, przecież wiem, że twój ulubiony film to *Niebezpieczne związki* – zauważa Luke.

Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak wstyd.

– Nie można wiecznie żyć czarem pierwszych miesięcy znajomości. Nas łączy – poprawia się – łączyło coś znacznie trwalszego.

Ma rację. Jest przecież wspólna hipoteka, przysięga małżeńska, rodzina, historia. W którymś momencie mieliśmy też przyszłość. Pytanie, czy wciąż ją mamy? Jestem uzależniona od namiętności. Musiałam dać sobie w żyłę. O Boże. Co za błąd. Spieprzyłam maksymalnie.

– Może potrzebowałam tego dla przypomnienia.

– Przypomnienia czego?

– Tego, że to, co nas łączy, jest prawdziwe. I że prawdziwe nie znaczy wcale gorsze.

Nie mówi nic, tylko wpatruje się we mnie. Zaklinam go w myślach, by skomentował to albo chociaż ruszył głową. Ponad wszelką wątpliwość jednak moje telepatyczne zdolności są do

niczego. Pospiesznie więc wypełniam ciszę.

– . Nigdy cię tu nie było, Luke. Wiesz, że nigdy nie musiałam cię okłamywać, kiedy się z nim spotykałam? Ponieważ cię wiecznie nie było w domu i bardzo rzadko pytałeś mnie, co robiłam.

Oj, zbliżam się niebezpiecznie do uwolnienia lawiny pretensji. Wycofuję się.

– Na nieszczęście, kiedy tylko czułam się samotna, uciekałam moje fantazje. A ty, mój mąż, będąc taki prawdziwy, nigdy nie miałeś szansy, by wziąć udział w tej fantazji. – Przerывam na chwilę. – Przepraszam cię, Luke. Naprawdę cię kocham. Wiem to z całą pewnością.

Wciąż nic nie mówi. Gapi się na mnie pustym wzrokiem. Nie potrafię odczytać jego emocji. Myślę, że znalazł sposób na to, jak odciąć się od uczuć. Co za szczęściarz. Mam wrażenie, że zamieniłam się w krowę, i chyba się nie mylę. Próbuję jeszcze zdać się na jego łaskę.

– Luke, czy ty nigdy nie popełniłeś błędu?

Nadal nie odpowiada. Tkwimy tak bez słowa. Bez ruchu. A potem Luke wstaje. Zrywam się na równe nogi. Czy pocałuje mnie teraz? Czy mi wybaczy? Zamykam oczy i ze wszystkich sił modlę się o to. A potem słyszę zamykające się drzwi.

Nagle ogarnia mnie ciemność. Zgasło ostatnie światełko w tunelu.

Rozdział 11

– Jesteś gotowa? – Daisy piszczy do słuchawki.

– Prawie – odpowiadam, by dodać jej otuchy, ale świadcząc nieprawdę.

Mam na głowie burzę mokrych włosów i jestem owinięta w ręcznik.

– To Dobrze Bo Potrzebuję Cię Tutaj Natychmiast! – wyje.

– Co się dzieje? Uspokój się, Daisy – odzywam się autorytatywnym głosem, choć serce mi zamiera.

Czy coś może pójść nie tak ze ślubem na tym etapie przygotowań? Daisy wychodzi za mąż w ostatnią sobotę czerwca, naszą drugą rocznicę ślubu. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, zaraz podzieliła się ze mną swoimi obawami.

– Czy powinnam zmienić datę, Connie?

Odwróciła do mnie swą śliczną, ale przejętą ze zdenerwowania twarz.

– Nie sądzę, żeby na tym etapie było to jeszcze możliwe – odpowiedziałam wzruszona jej troską. – Zaproszenia wysłane. Naprawdę, to bardzo miło, że się tak martwisz o mnie i Luke’a, ale poradzimy sobie.

Jej twarz wyglądała jak przeorane pole.

– Ale czy nie sądzisz czasem, że to pechowa data, Con? Nie zniósłabym, gdyby coś poszło nie tak ze mną i Simonem.

A niech ją! Palnęła to prosto z mostu z tą swoją rozbrajającą szczerością i chociaż miałam ochotę jej przyłożyć, powstrzymałam się. Zamiast tego odpowiedziałam najuprzejmiej, jak potrafiłam.

– Wasze szczęście zależy tylko od was, Daisy. Wszystko będzie dobrze.

Dobrze, poza drobnym szczegółem, że drużba i jego żona zerwali ze sobą, uniemożliwiając w ten sposób owej żonie bycie druhną. Dobrze, pomijając fakt, że drugą druhnę też szlag trafił, bo ta znowu związała ze szwagrem panny młodej, mężem trzeciej drużby. Na szczęście teraz dzwoni pod wpływem naturalnej, przedślubnej hysterii. Żadne kolejne dramatyczne zwroty akcji w jej życiu nie mają miejsca. Okazuje się, że kwiaciarce nawalił samochód i nie da rady dostarczyć kwiatów do domu Daisy.

– Nie martw się, Daisy, odbiorę je. Za pięć minut wychodzę. Weź coś na uspokojenie i napij się jeszcze szampana.

Planowałam poświęcić ubraniu się na ten ślub tyle samo uwagi i zaangażowania, co na własny, ponieważ wiem, że Luke tam będzie. Początkowo chciałam wyglądać po prostu olśniewająco pięknie, by pokazać mu, że kwitnę. Pomysł upadł, bo trudno przecież wyglądać olśniewająco pięknie, kiedy się siebie nie lubi. Poza tym nie kwitnę i to widać na pierwszy rzut oka.

Bez miłości Luke’a, a praktycznie bez jego gotowania, więdnę i marnieję w oczach. Waga spadła mi do poziomu, w który – aż do tego momentu – po prostu nie wierzyłam. To na tym

etapie ludzie mówią ci, że wyglądasz mizernie i że bardziej do twarzy było ci z tymi paroma kilogramami więcej. Wiem, że przypominam szkielet. Nie chodzi tylko o to, że nie potrafię gotować. Nie potrafię, ale można przecież poprzestać na mrożonkach i gotowiznach. Problem jednak, że jedzenie bez niego jest nudne, a mnie przestało zależeć na odżywianiu się. Nie zasługuję na doprawioną porcję lasagne-dla-jednej-osoby czy porcje letnich deserów dla singli.

Potem zaczęłam rozważać niezależny, pewny siebie i trochę ulepszony image. Niestety, taki wygląd również okazał się trudny do osiągnięcia, ponieważ kiedy opisałam go ekspedientce w sekcji Johna Lewisa, powiedziała mi, że w tym roku obowiązuje zupełnie inny styl. Po prostu cudownie, straciłam rachubę, nawet jeśli chodzi o świat mody. Sprzedawczyni zasugerowała, że powinnam poszukać czegoś z deseniem w pastelowe róże. Zapewniła, że w tym sezonie obowiązuje wygląd słodkiej dziewczynki. Wysłuchałam uprzejmie tych rad, a potem zignorowałam wskazówki. Już tam byłam. Zaliczyłam jazdę w Disneylandzie. Wybrałam więc beżowe spodnium w towarzystwie czekoladowobrazowych butów, kapelusza i torebki.

Teraz to i tak już nieważne, ponieważ czas na przygotowania został brutalnie i niespodziewanie skurczony przez SOS Daisy. Nie mam nawet kiedy zadreć się tym, jak wyglądam. Nie dbam o to, czy założyć kolczyki albo czy się umalować. Włosy są wciąż wilgotne i schną swobodnie, skręcając się w nieposkromione, kędzierzawe pukle; wygląda, jakbym paradowała z miską spaghetti na głowie. Co za uroczy widok. Daję jeszcze radę musnąć usta szminką i pomalować rzęsy, ale na perfumy nie mam już czasu; nie przymierzyłam kapelusza i nie mam żadnych szans wybrać ładnej bielizny. Co prawda, ostatnimi czasy i tak nikt nie podziwia mnie w staniku i gatkach, ale przecież miło jest czuć się ślicznie. Ze względu na deficyt czasowy decyduję się na starych faworytów, czyli białe, bawełniane figi i podkolanówki. Co mi tam. To nie jest mój wielki dzień, to święto Daisy, która nie może wystąpić bez bukietu. Zresztą to też dzień Sam. Jej życie zależy od złapania tego pęku kwiatów.

Pięć minut później wskakuję do mojego golfa i włączam się do ruchu. Nie jest to słoneczny dzień, ale przecież jesteśmy Brytyjczykami i tak naprawdę nikt nie liczy na słońce; najważniejsze, że jest ciepło i nie pada. Cieszę się, że nieoczekiwanie dostałam takie zadanie. Dzięki temu czuję się bardziej zaangażowana i mam jakiś cel. Rozumiem, dlaczego nie mogę być druhną, tylko w ten sposób sytuacja moja i Luke'a nie spowoduje dodatkowych napięć, ale jest mi z tym trochę nieswojo. Cały dzisiejszy ranek spędziłam na rozmyśleniach o ślubach, w których uczestniczyłam. Przed oczyma stanęły mi ceremonie znajomych, ale przede wszystkim wspominałam swój wielki dzień. W normalnych okolicznościach jestem zawsze podekscytowana, nerwowa i pełna wyczekiwania. W normalnych okolicznościach Luke i Lucy walczą o łazienkę i rozlewanie szampana. W normalnych okolicznościach nastrój towarzyszący ostatnim przygotowaniom jest beztrąsko radosny. Właśnie do mnie dotarło, dlaczego Lucy zawsze obstawała przy ubieraniu się w naszym domu; to naprawdę dołujące szykować się na ślub zupełnie samemu. Chyba wyczuła mój nastrój, bo zadzwoniła do mnie rano.

– W co się ubierasz?

Opowiedziałam z detalami. Nie sędzę, by zrobiło to na niej większe wrażenie.

– Nieśmiertelna czerń występuje w tym sezonie z domieszką brunatnego brązu – pouczyła mnie.

– Przecież nie mogę pokazać się na ślubie w czerni, nawet w jej najmodniejszym ekwiwalencie, prawda?

– Dlaczego nie? Myślę, że to byłoby jak najbardziej na miejscu.

Ale słyszę śmiech w jej głosie, więc wiem, że nie myśli tak naprawdę. Nie jest już zagorzałą przeciwniczką ślubów, odkąd ona i Peter mogą otwarcie mówić o swej wielkiej miłości. Dopiero co w zeszłym tygodniu przyłapałam ją kręcącą się beczynnie przy witrynie sklepu z modą ślubną Amandy Wakely.

– Zastanawiałam się, czy nie wysłać prezentu – dodaje Lucy.

Brzmi nieśmiało i niepewnie.

– Nie radziłabym.

Natychmiast wraca jej bardziej pewny siebie ton.

– Masz rację. Głupi pomysł. Pieprzyć ich. Słuchaj, złotko, muszę pędzić, bo wybieramy się z Pete'em na cały dzień do Brighton.

– Brighton?

Jestem w szoku. Lucy nigdy nie pałała entuzjazmem do popularnych miejscowości nadmorskich.

– Tak bardzo tęsknimy za piaskiem między palcami – chichocze.

Ma na myśli Pete'a i siebie oczywiście. Przeszuję z nogi na nogę; czuję się niezręcznie i nie wiem, co powiedzieć. Nie wspominam, że w Brighton jest tylko kamienista plaża. Cieszę się szczęściem Lucy, ale to uczucie jest nierozdzielnie połączone ze współczuciem dla Rose. Taki splątany gąszcz ambiwalentnych emocji. Lucy i Pete, te trzy słowa szybko zastąpiły Rose i Petera. To zawrotne tempo przeraża mnie. Ostatnimi czasy również Connie i Luke bardzo rzadko pojawiają się w jednym zdaniu.

Luke i ja mieszkamy osobno od czternastu tygodni. On ma adwokata. Ja nie mam. On chce rozwodu. Ja nie. Moja próba odzyskania go okazała się totalną klapą. Już nigdy więcej nie będę polegać na braku bielizny i aluzyjnych komunikatach zaczerpniętych z cikliwych piosenek. Nie mam żadnego innego wyjścia poza czekaniem, bo „czas leczy wszystkie rany” (rada Sam). Wiem już dobrze – sytuacja jest na tyle poważna, że z wielkim prawdopodobieństwem usłyszę teraz od niej: „Na nim świat się nie kończy”. Mam świadomość, że zawałam sprawę już na zawsze. Wiem to z całą okrutną, dobijającą pewnością, ale wciąż pragnę się z nim widzieć. Byle tylko na niego spojrzeć. Sama myśl, że będziemy razem w jednym pokoju, przyprawia mnie o dreszcze.

Odbieram kwiaty i zawożę je do domu Daisy. A tam sajon. Pstrykam kilka fotek rzędom baletek i kwiatów. Potem wycofuję się, raczej pospiesznie, zostawiając Sam i Rose próbujące zapanować nad roztańczoną zgrają różowych druchen. Ich wysiłki, by ustawić dziewczynki w pozornym porządku, kończą się fiaskiem. Macham pogodnie i zalecam słodkie przekupstwo.

Jadę do kościoła, wciąż czując się zdecydowanie zbyt duża. Zabijam czterdzieści minut, robiąc zdjęcia przybywającym gościom.

– Tarn – drę się ponad głowami przepływających tłumów.

Czai się za pomnikiem grobowym, wypalając ostatniego ćmika.

– Kochanie.

Wymieniamy w powietrzu buziaki.

– Użyłaś naprawdę dramatycznych środków, by uniknąć parady w sukience drużyny – mówi, wywracając oczyma. – Connie, turkaweczko, wiem, że poważnie traktujesz ekscentryczną elegancję w ubiorze, ale nie sądzisz, że twój dzisiejszy wybór jest zbyt drastyczny? Nawet jak na ciebie.

– Właż do środka i zajmij mi miejsce. Przestań mnie wkurzać, bo powiem mamie Daisy, że wpadła ci w oko lesbijka Liz. Biedna pani Kirk nie może zrozumieć, dlaczego wy dwoje od zawsze jesteście bez pary.

Groźba działa bezbłędnie i Tarn znika w kościele, zostawiając mnie samą na posterunku. Przybywają setki dzieci ze szkoły Daisy. Jak słodko. Oczywiście, że będzie tego żałować. Może to wygląda uroczo w magazynie „Twój Ślub”: zdjęcie za zdjęciem roześmianych, dziecięcych twarzyczek. Jednak fakt i jest taki, że zdjęcia są nieme, a dzieci nie. Poza tym żadne z nich nie przyniesie przyzwoitego prezentu. Ile czekoladowych pomarańczy potrzebuje kobieta? Mijający mnie goście wyglądają olśniewająco; kobiety w kapeluszach i mężczyźni we frakach. Naprawdę super, że mimo całego tego cynicznego gadania o małżeństwie i szczególnej rewolucji, w której czynnie uczestniczyła nasza paczka w tym roku, tylu ludzi chce wziąć udział w ceremonii Daisy i Simona. Pojawiają się Sam, Rose i sześć różowych minidiablatek. Sam mruga do mnie, a Rose rozplywa się w uśmiechu. Miło widzieć, że nie ma na sobie różowej, tiulowej sukni, co było wielce prawdopodobne teraz, kiedy nastąpiła epoka Renesansu Rose. Pastor próbuje wepchnąć mnie do środka, ale ja upieram się, że chcę poczekać na Daisy.

Warto było.

Wysiada z samochodu, wdzięcznie spowita w suknię i welon.

– Wyglądasz pięknie – mówią bezgłośnie moje usta.

I to prawda. Rozpiera ją odurzająca radość, nie widać śladu zdenerwowania. Zaczynam szaleńczo naciskać spust migawki, próbując uchwycić niepowtarzalny moment. Całuję ją i wbiegam do kościoła. Jestem niewyobrażalnie szczęśliwa, niesamowicie wręcz oszołomiona radością Daisy. Ich radością.

Moje obcasy głośno stukają po wytartych, glazurowanych płytkach. Wszyscy zgromadzeni w kościele odwracają się, by zarejestrować wejście panny spóźnialskiej. Wszyscy, z wyjątkiem Luke'a. Stoi na samym przodzie z Simonem. Dostrzegam go i ściska mnie w żołądku. Wszelkie uczucia radosnego podekscytowania gasną. Simon odwraca się i kiwa do mnie, szepcze coś Luke'owi. Przystaję na moment, zastanawiając się, czy on też się odwróci i pozdrowi mnie. Nic z tego. Czyste katusze. Nie drgnie nawet, tylko nieprzerwanie gapi się w ołtarz. Wślizguję się do

ławki, zajmuję miejsce obok Tarna. Tarn uśmiecha się i szepcze: „Głowa do góry”.

Nie mogę oderwać wzroku od Luke’a. Nawet jeśli dane jest mi podziwiać tylko jego plecy. Pożeram wzrokiem roślę, silną sylwetkę. Wygląda niesamowicie we fraku, podobnie zresztą jak wszyscy mężczyźni, ale on naprawdę się wyróżnia. Przystojny, wysportowany blondyn o męskiej figurze świetnie kontrastuje z formalnym strojem. Choć wiedziałam przecież, że on zawsze świetnie prezentuje się we fraku, nie sądziłam, że tak bardzo dotknie mnie przebywanie blisko niego. Czego się spodziewałam? Co sobie wyobrażałam? Że się odwróci, ruszy pędem w moim kierunku główną nawą, krzycząc, że mi wybaczył, bo zrozumiał, że to wszystko to tylko okropny błąd?

Nie, , oczywiście, że nie.

Tak, oczywiście, że tak.

W najgłębszym, najciemniejszym zakamarku serca żywiłam iskierkę nadziei.

Rozczarowanie, które teraz przeżywam, jest nie do zniesienia. Czuję okropny ścisk i mrowienie na podniebieniu i w nosie. Grozi mi zalanie się łzami. Jest mi tak bardzo przykro. Na szczęście rozlegają się organy i wszyscy sądzą, że mój szklany wzrok wywołany jest wejściem Daisy.

Ceremonia jest piękna. Daisy i Simon przybierają odpowiedni ton poważnego szacunku i oczywistego rozradowania. Mam ochotę ryknąć ze wszystkich sił, zawyc z rozpaczy. Rzeczywiście płacze, ale niezbyt głośno, by mnie nie usunięto z kościoła, tak jak Henry’ego. Tyle że on jako dziewiętnastomiesięczny bobas ma wymówkę. Zresztą wszyscy chlipią podczas ślubów (często słyszałam, jak Lucy twierdziła, że rzeczywiście jest powód), ale moje łzy są nie tylko objawem emocji tego wielkiego dnia. Minęły zaledwie dwa lata, odkąd ja zboczyłam z drogi od ołtarza dla *The arrival of the Queen of Sheba*. Wiem, że go straciłam, i to jest najtwardsza lekcja w moim życiu.

Wkrótce rozlega się *Joyful Trumpets*. Próbuję przyciągnąć uwagę Luke’a, który prowadzi Rose wzdłuż nawy, ale on uparcie unika mojego wzroku. Rose wysłała mi współczujący uśmiech. To miłe z jej strony, ale czuję się, jakby ktoś chciał zabandażować dopiero co amputowaną mi nogę. Sam prowadzi ożywioną pogawędkę z jednym z gości. Wlokę się za całym orszakiem, trzymając klejącą rączkę Sebastiana.

Przyjęcie upływa w sielankowej atmosferze. Pijemy szampana na trawie, rozkoszujemy się gorącym słońcem, opuszczamy niżej runda wytwornych kapeluszy i słuchamy kwartetu smyczkowego. Żonglerzy i kilku tych dziwaków, którzy zarabiają na życie malowaniem karykatur, zapewniają optymalną dawkę rozrywki. Daisy pomyślała o wszystkim, nawet Sam zatkało w obliczu tylu wskazówek, jak można udoskonalić ten jedyny dzień, co jest wręcz niewiarygodne, biorąc pod uwagę liczbę godzin, które spędziła na planowaniu swojego ślubu. Słucham życzliwych komentarzy gości.

– Czyż nie wygląda uroczco?

– Tak długo czekała.

- Biedaczka, musiała przez to wszystko przejść.
- Zdesperowana od tylu lat.
- Jest idealnie, prawda? – pyta Rose, siadając obok mnie.

Sący szampana.

- Tak, perfekcyjnie.

Tyle że ja w życiu nie czułam się gorzej. Nieumyślnie podążam wzrokiem przez trawnik, zatrzymując się na Luke’u, który pozuje do zdjęcia.

- Nieźle wygląda, co? – komentuje Rose.

Przytakuję. Bo to prawda. Wygląda naprawdę dobrze. Oblędnie. Jestem załamana faktem, że to takie oczywiste, iż on wcale za mną nie tęskni.

– Właśnie przypominałam sobie moment, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy. Też miał na sobie frak...

- Na moim weselu – uzupełnia Rose.
- Przepraszam – jąkam się i rumienię ze wstydu.

Ale Rose uspokaja mnie szerokim uśmiechem. Ona chyba już wie, że będzie jej lepiej bez Petera. Ścisza moją rękę; obie mamy świadomość, że ja byłabym szczęśliwsza z Lukiem. Sam nagle pojawia się na horyzoncie, mącąc moje rozmyślenia.

- Connie, możemy porozmawiać?

Kiwam głową, nie ruszając się z miejsca.

- To bardzo pilne! – cedzi przez zaciśnięte usta. – Na osobności – dodaje.

Przepraszam na chwilę towarzystwo.

- Co się dzieje? Jakież problemy z dostawcami jedzenia?

O cokolwiek chodzi, to jest poważna sprawa. Sam oddycha bardzo szybko i płytko, jej klatka piersiowa faluje, jakby grała w pantomimie.

- On tu jest – wyrzuca jednym tchem.
- Jason, wiem. Rozmawiałam z nim wcześniej.

Sam zachowuje się dość nietypowo. To zupełnie do niej niepodobne, że przyprowadziła swojego chłopaka na ślub. Zdeklarowani nieszczęśnicy cierpiący na zaburzenia lękowe zazwyczaj nie wystawiają się na tak stresujące przeżycia jak śluby. Ale chyba nie to jest takie niezwykle.

- Nie Jason. – Macha niecierpliwie ręką. – John.

Moja twarz pyta: „Kto?”

- John Harding.

- Coś ci się pomyliło.

Patrzy na mnie z politowaniem.

- Czy kiedykolwiek pomyliłam się w identyfikowaniu eks w niewłaściwych miejscach?

Trafny argument. Rzeczywiście, jest niepodważalną królową, jeśli chodzi o szczególnie niezręczne sytuacje. Raz nawet natknęła się na jednego ze swoich byłych, kiedy wchodziła do

kliniki chorób przenoszonych drogą płciową, a żeby było jeszcze gorzej, on szedł z matką. Innym znów razem wpadła prosto na jednego eks, który właśnie wychodził ze sklepu jubilerskiego. Założyła błędnie, że pewnie kupował dla niej miłosny amulet, więc rzuciła się na niego z języczkiem. W tym momencie on przedstawił ją swej narzeczonej. Podejrzewam, że przyczyniła się do najkrótszych zaręczyn w dziejach ludzkości. Sam ma zwyczaj wpadania na swoich byłych w ośrodkach odwykowych, na pogrzebach, ich ślubach, w gejowskich barach i zakonach.

– Gdzie jest?

– Przy barze.

Dlaczego mnie to nie dziwi.

– Ale przecież robiłam zdjęcia wszystkim gościom przybywającym do kościoła. Jakim cudem mogłam go nie zauważyć?

– Spóźnił się. Jego dziewczyna przyszła do kościoła sama.

– Kto go przyprowadził?

Sam z pewnością zebrała wszelkie niezbędne informacje.

– Wszystko wskazuje na to, że chodzi z jedną z kuzynek Simona. Przyszedł tu z nią.

– Andrea jest kuzynką Simona?

– Nie, nazywa się jakoś inaczej. Daisy powiedziała „Bella” albo „Belinda”, czy jakoś tak.

Gapimy się na siebie. Sam próbuje ocenić moją reakcję. Zupełnie jak ja.

– Jasna cholera – klnę.

– No właśnie – zgadza się Sam. – Słuchaj, Con. To jeszcze nie wszystko, ale będzie lepiej, gdy się dowiesz. Luke usłyszał, jak przeprowadzałam dochodzenie. Wie, kim jest John.

– Jasna cholera! – klnę ponownie. – Jasna, cholera mać!

– Uspokój się – mityguje mnie Sam.

Ale sama jest blada jak ściana i mówi to w sposób przypominający raczej Basila Fawlty’ego.

Daisy pragnęła skromnej uroczystości dla rodziny i najbliższych przyjaciół, wyszło jakieś pięć milionów ludzi. Jestem jej teraz za to bardzo wdzięczna.

– Liczba gości działa na twoją korzyść – zapewnia Sam. – John najprawdopodobniej nie ma pojęcia, że tu jesteś. Uda ci się z nim nie spotkać.

Tak więc robię. Nie czuję żadnych impulsów, by go szukać. Nie chcę go widzieć. Uderza mnie, że zadziwiająco kontrastuje to z miesiącami, w których żyłam jak na ostrzu noża, próbując złapać choćby jego cień. Nadspodziewanie szybko wybiłam go sobie z głowy. Teraz moje myśli krążą tylko wokół Luke’a.

Po wołwinie, ale przed oficjalnymi przemówieniami, widzę, jak Luke podąża w stronę toalety i decyduję się na wykorzystanie okazji „przypadkowego wpadnięcia” na niego. Udaje mi się odegrać całkiem efektowne przedstawienie zamykania szminki, kiedy wynurzam się z damskiej toalety (żadne inne, jedynie weselne okoliczności usprawiedliwiają to zachowanie). Zanurzając głowę w torebce, aranżuję dosłowne wpadnięcie na niego. Dotknięcie go pali moją skórę.

– Witaj, Luke.

Wymuszam nerwowy uśmiech, który – jak sędzę – wygląda jak bolesny grymas.

– Connie – odpowiada formalnie.

Nie próbuje mnie pocałować, choćby tylko w policzek. Nie przytula mnie na powitanie, wcale mnie nie dotyka. Zamiast tego kiwa jedynie sztywno i ceremonialnie głową. Jest tak blisko, że prawie go dotykam. A jeszcze nigdy nie był tak daleko. Stoimy kilka sekund, nie wymieniając słowa. Milczę niczym zakłeta. Nie wiem, jak zacząć rozmowę, teraz kiedy mam tyle do powiedzenia! Kiedyś potrafiliśmy w jednym momencie przekazać sobie wszystkie myśli, które mieliśmy w głowie! No, ale to było wieki temu.

– Wygląda wspaniale, prawda? – Luke uśmiecha się w kierunku Daisy.

Jestem wdzięczna, że wkroczyliśmy na neutralny grunt.

– Cudownie – zgadzam się entuzjastycznie.

A potem znów pustka w głowie. Koniec. Po prostu milknę jak grób.

– Ty też wyglądasz dobrze – mówi Luke ochryplym głosem.

– Dziękuję.

Odpowiadam promiennym uśmiechem, wdzięczna, że wypełnia konwersacyjne luki. Skubię koniec kędzierzawego loka. Nic nie przychodzi mi do głowy, by podtrzymać towarzyską rozmowę.

– No to do zobaczenia.

Wzrusza ramionami, odwraca się i rusza przed siebie. Cholera. Cholera. Gównno. Głupia. Głupia. Idiotka, cholera, gównno, głupia. Dlaczego nie byłam w stanie z nim porozmawiać? Przecież tak bardzo tęskniłam. Za tym Lukiem sprzed kilku miesięcy. Nie za tym nieprzeniknionym, zimnym mężczyzną, ale za ciepłym, wyrozumiałym, mądrym Lukiem. Moim mężem. Odprowadzam go wzrokiem, kiedy stapia się z pastelowym tłumem. Kobieta w dużym, cytrynowym kapeluszu zatrzymuje go na pogawędkę. Obserwuję, jak strzepuje (prawdopodobnie nieistniejący) włos z jego kamizelki. Co za suka. Przyglądam się beztroskiej wymianie uśmiechów. On znów wygląda jak ciepły, wyrozumiały, mądry Luke, tyle że to nie mój Luke.

– Luke – szczekam, wciskając się w wesoły harmider prawie miażdżąc po drodze cytrynowego wampa w kapeluszu Co za wstyd. Odwraca się zdziwiony.

– Mam wieści.

Próbuję złapać oddech. Uśmiecham się do niego, wyrażając całą beznadziejność i nadzieję.

– Co to za wieści, Connie?

– Zmieniam zawód – odpowiadam. Słyszę, jak żałośnie to brzmi. – Ostatnio pstrykałam trochę zdjęć. Właściwie całkiem sporo i udało mi się zgromadzić materiał na portfolio. A potem złożyłam podanie na kurs przygotowawczy. Pomyślałam, że nie zaszkodzi spróbować. Tak naprawdę nie wierzyłam, że się dostanę. Nie sądziłam, że mam na jakiegokolwiek szansę, ale zaproszono mnie na rozmowę kwalifikacyjną. A dzisiaj dostałam list, w którym informują mnie, że zostałam przyjęta. Będę musiała zrezygnować z pracy. Finansowo nie będzie łatwo, ale wiem,

że postępuję słusznie.

Och, wspaniale, nagle odzyskałam werbalny ekwiwalent przykrego jelitowego problemu. Luke szczerzy się. Jego twarz wygina się w przyjaznym, rozluźnionym, ciepłym uśmiechu, który – jak doskonale pamiętam – należy do mojego Luke’a.

– Wspaniale wieści, Connie. – Śmieje się i potrząsa głową. – Naprawdę super.

– Tak sądzisz? – rozpląwam się od jego pochwał, zupełnie jak siedmiolatka, która dostaje najlepszą ocenę w klasie.

– Bardzo się cieszę. I jestem z ciebie dumny. Odważne posunięcie.

– Jesteś ze mnie dumny? – zachwycona powtarzam z niedowierzaniem.

Wolno przytakuje. Odpowiadam mu uśmiechem.

– Jeszcze nikomu nie mówiłam. Chciałam, żebyś dowiedział się pierwszy.

Stoimy więc, kiwając głowami i promieniejąc z radości, a ja upajam się jego poparciem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak ważna jest dla mnie ta aprobata, jak bardzo brakowało mi tej akceptacji. Czy pochyli się i przytuli mnie? A może pocałuje w policzek? Oddałabym za to wszystko, desperacko wręcz pragnę poczuć jego skórę na swojej. Jego dłonie celowo zaciskające się na moim ciele.

– Greenie! – John wydziera się i, nie zatrzymując się nawet, przyciska swoje usta do moich.

Całuje mnie. Odpycham go wściekle, ale już za późno. Widzę plecy Luke’a znikające w tłumie. Ponad ożywioną paplaniną gości dociera do mnie jego zwerbalizowane obrzydzenie.

– Co, do diabła, u ciebie słyhać? Nie mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem cię przy stole. Dotarły do mnie wieści, że rozeszliście się z mężem. Ale przecież to było do przewidzenia, czyż nie? Pomyślałem, że podejść się przywitać.

Świdruję go morderczym wzrokiem.

– Kurde, Greenie. To chyba nie on, co? – Natychmiast przybiera minę zawstydzonego. – Jezu, nie chcę być wymieniany w przewodach sądowych albo coś takiego.

Rozważam pospiesznie, czy mogłabym ubiegać się o niewinnienie z uwagi na ograniczoną poczytalność, gdybym zatłukła go na śmierć torebką Prądy. John jest nieziemsko piękny. Nawet teraz, w obliczu bezprecedensowej furii, którą odczuwam, widzę to. Jego oczy są wciąż wyjątkowo cudne, uśmiech niebezpiecznie uwodzicielski. Patrząc na niego. Czuję się dosłownie tak samo jak wtedy, kiedy minęło mi zauroczenie Davidem Soulem. Serio, jestem zażenowana. Spoglądam za jego ramię i widzę śliczną, nerwową kobietę czekającą w oddali; to Bella, jak mniemam. Biedna Bella, zastanawia się pewnie, czy jestem Andrea, Carolyn albo Dianą lub każdą następną aż do Zoe. Zostawiam Johna w tyle i pędzę za Lukiem. Nie mogę stracić ani minuty więcej.

– Luke! – krzyczę za nim, ale on ignoruje mnie i idzie dalej.

– Luke!

Dziesiątki głów i kapeluszy odwracają się w moją stronę. Ale żadna nie należy do niego. Zaczynam biec. Tym razem wytłumaczę wszystko. Nie dopuszczę, by pomyślał, że między mną

a Johnem coś jeszcze jest. Wiem, że nie mogę już naprawić pewnych rzeczy, że on nigdy mi nie wybaczy, ale w żadnym wypadku nie pozwolę, by myślał, iż jego honor kolejny raz został znieważony. Ciągnę go za rękę. Odpycha mnie. Znajdujemy się gdzieś na wysokości głównego stołu. Rejestruję przynajmniej dwadzieścia par oczu przyklejonych do mnie. Wszyscy, począwszy od pastora, na minidiabłkach w różu kończąc. Mam to gdzieś. Cały wstyd zostawiam na boku. Z impetem odrzucam poczucie własnej godności. On zajmuje swoje miejsce. Schylam się, ląduję mu prawie na kolanach, tak by moje oczy zrównały się z linią jego wzroku, by nie mógł wykreślić mnie ze swej świadomości.

– To nie to, co myślisz – mówię z determinacją.

– Doprawdy? – prychna szyderczo. – Więc to nie jest facet, z którym miałaś romans?

Pani Kirk prawie dławi się czekoladką.

– Tak, to on – syczę. – Ale to już przeszłość.

– Zostawił cię? Zresztą nieważne, jestem pewien, że złapiesz kolejnego fiuta, jak tylko znów uda ci się kogoś nabrać na przysięgę małżeńską – z goryczą w głosie mówi Luke.

– Luke, przepraszam cię. Przepraszam, że on tu jest. Przepraszam, że kiedykolwiek znalazł się blisko mnie – przemawiam łamiącym się głosem. Łzy wypełniają mi oczy. – Popęłniłam błąd. Zrobiłabym wszystko, by cofnąć czas, ale nie potrafię. Wszystko, co mogę powiedzieć, to przepraszam. – Staram się mówić powoli i wyraźnie. – Naprawdę nie chciałam cię zranić.

Rzeczywiście wkurzające, że wszystkie ważne słowa zostały dawno wyśpiewane. Patrzy gdzieś przed siebie, a jego zielone oczy są lodowate.

– Złamałam wszelkie zasady i wartości. Wiem, że nie dotrzymałam przysięgi. Że cię zawiodłam. Rozczarowałam. Byłam nielojalna. Co mogę zrobić, Luke? Co mogę **jeszcze** powiedzieć? Popęłniłam błąd. Okropnie duży błąd. Nie rusza go to wcale.

– Pieprzony, kolosalny błąd – wydieram się.

To wzbudza jego zainteresowanie. Właściwie wszystkich dookoła też.

– Gdyby tylko istniało słowo większe od „przepraszam”. Ale nie ma takiego.

Przegrywam walkę z powstrzymaniem łez, a one jedna po drugiej spływają po moich policzkach.

– Przepraszam. Przepraszam – mamrocę w kółko bezsensownie. – Czy nigdy nie popełniłeś błędu?

Ignoruje mnie, kompletnie niewzruszony.

– Luke, teraz jestem kimś lepszym. Stałam się taka, jaka zawsze według ciebie mogłam być. Nie potrzebuję cię już, by przeżyć, ale pragnę cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

On wciąż nie odrywa wzroku od kieliszka z szampanem i lekceważy mnie. To był mój najlepszy strzał. Ale kolejne pudło. Wzdycham pokonana.

– Luke, mam jedynie nadzieję, że ty nigdy nie popełnisz tak okropnego błędu. I że nigdy nie będzie ci tak przykro jak teraz mnie. Nie życzę tego nikomu.

Podnoszę się i odchodzę. Oślepiają mnie gęste łzy, smarki i rozmazany tusz. Potykam się o

kabel od mikrofonu, obcas od buta mi odpada i, kuśtykając, wracam na swoje miejsce.

– Bardzo błyskotliwy występ – komentuje Tarn.

Odpowiadam mu prychnięciem. Na szczęście ojciec Daisy wstaje, aby wygłosić mowę, więc żalodne przedstawienie ze mną w roli głównej przestaje być w centrum uwagi. Potem przychodzi kolej na mowę Simona, jednak nie rozumiem ani słowa. Jakaś czarna krowa rozplaszczyła się na moim mózgu. Gdyby tylko John się tutaj nie zjawił. Gdyby on w ogóle nie istniał. Ale nie mogę obwiniać Johna. Cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. Tylko na mnie. Kocham Luke'a do bólu. Wiem, że straciłam go na zawsze, i muszę w końcu zebrać się w sobie, by przejść etap z prawnikami i podziałem mebli, ale gdybym tylko miała szansę wyrazić, naprawdę wyrazić, jak bardzo jest mi przykro i jak bardzo w ostatnim czasie staram się... być innym człowiekiem. Porzucam smętne myśli, słysząc głos mistrza ceremonii zapowiadającego: „... a teraz drużba”.

Wstaje Luke, zawsze profesjonalnie przygotowany. Od kiedy jest taki wysoki? Pogodnie rozgląda się dookoła. W przeciwieństwie do rozdarcia i przygnębienia, jakie ja prezentuję, on wygląda spokojnie, jest pewny siebie i opanowany. Niezwykle seksowny. To bardzo denerwujące. Wiem, że każda samotna kobieta w zasięgu wzroku będzie myślała teraz tylko o jednym. Na weselnych przyjęciach drużba często jest celem dla kobiet polujących na łożkową przygodę. Luke odchrząkuje.

– Tradycja nakazuje drużbie podziękować druhom, że swym pięknym wyglądem uświetniły ceremonię. Bardzo często zdarza się tak, że drużba nie zna druhen, co oczywiście nie przeszkadza w wypełnieniu obowiązków. Ja mam szczęście, dobrze znam te piękne panie, można nawet powiedzieć, że łączą nas zażyłe stosunki.

Rozlega się śmiech. Jakżeby inaczej. Luke unosi brew. Uwielbiam, jak to robi, ale przeszkadza mi fakt, że flirtuje z całym zgromadzeniem. Celowo zachowuje się prowokacyjnie. Przecież nie łączą go zażyłe stosunki z druhami, nie tak zażyłe jak wszyscy dookoła myślą!

– Wypijmy za druhy!

– Ochhhh – jęczą kobiety.

– Za druhy! – wtórują mężczyźni.

Wznosimy toast i sączymy szampana. Goście uciszają się wzajemnie, a Luke powraca do mowy.

– Moja rola polega również na rytualnym upokorzeniu pana młodego. I znów jestem niewymownie szczęśliwy, mogąc spełnić ten obowiązek.

Luke przedstawia słuchaczom kilka celnie wybranych historyjek. Historyjek, które ukazują Simona jako jednego z klawych chłopaków, ale nie ma w nich nic, co zrodziłoby u pana Kirka myśl, że popełnił kardynalny błąd, oddając rękę córki takiemu gagatkowi. Nawet ja nie mogę powstrzymać rechotu, kiedy Luke mistrzowsko dochodzi do puenty. A przecież jest mi tak do śmiechu jak przeciętnemu biedakowi cierpiącemu na agorafobię przed charytatywnym skokiem ze spadochronu, w celu uratowania dodo. Ale on jest taki zabawny. Nie mogę się powstrzymać.

– W przygotowaniu dzisiejszej mowy nieocenioną pomocą okazała się książka *Oxford Book*

of Marriage. Jeśli ktokolwiek z was ma problem z długim i niezrozumiałym słownictwem, zapytajcie Daisy, ona jest nauczycielką.

Jeszcze więcej uśmiechów.

– Nie jestem pewien, ilu z was zna tę książkę. Jest to grube tomisko z licznymi, literackimi fragmentami wielu autorów, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność, by przedstawić różne oblicza małżeństwa. Całość jest podzielona na wesołe i zajmujące rozdziały, jak *Decyzje*, *Wybory* i *Poznanie* albo *Rezygnowanie*, nie pamiętam dokładnie.

Luke udaje, że zezuje na kartkę, na której zapisał przemówienie. Śmiech. Wiem, o jakiej książce mówi. Ktoś kupił ją dla nas, kiedy się zaręczyliśmy. W tamtym euforycznym okresie ślęczeliśmy nad nią całymi godzinami, nawzajem czytając sobie ulubione fragmenty. Nasz egzemplarz wciąż jest w domu. Luke musiał kupić nowy. Na samą myśl, że siedział nad książką sam, robi mi się słabo.

– Jest też rozdział o oświadczeniach. Legendarne już oświadczenia Simona nie zostały jeszcze opisane. Ukażą się w kolejnej edycji.

Rechtot.

– Czy wolno mi powiedzieć, Simonie – Luke ze szczerym uśmiechem zwraca się teraz do pana młodego – że twoje oświadczenia stanowiły mistrzowski wyczyn? Ale podniosłeś poprzeczkę i utrudniłeś życie wszystkim, którzy mają tę przyjemność przed sobą. Taki Jason na przykład, jak może cię przebić?

Luke patrzy figlarnie na Sam, która rozplywa się w uśmiechach. Jason wygląda, jakby połknął papryczkę chilli.

– Jednak – kontynuuje Luke – państwo Kirk odetchnęli z ulgą, że dzisiaj postanowiłeś nie występować w stroju Świętego Mikołaja.

– Toast, toast!

Śmiech jest jeszcze głośniejszy.

– Książka opisuje też dzień ślubu, a po nim jest rozdział zatytułowany *Będę cię wielbił ciałem moim*, czyli mniej przyzwoite kawałki.

Kilka gwizdów.

– Potem robi się całkiem poważnie i z osiem kolejnych rozdziałów poświęcono na: „I od tego dnia dalej”. – Luke bierze głęboki oddech i znów zwraca się do Simona. – Myślałeś, że możesz spocząć na laurach po tych wszystkich przygotowaniach, jednak – bardzo mi przykro, stary – muszę cię uświadomić, że to dopiero początek.

Twarze rozjaśnione alkoholem i szczęściem patrzą na Luke[^]. Nagle on odkłada kartkę z przygotowaną mową. Mierzwi palcami włosy. Przez krótki moment wygląda, jakby zwątpił, pogubił się, ale po chwili znów odzyskuje grunt pod nogami. Zmienia mu się jednak barwa głosu. Słychać niepewność.

– To wspaniała książka, Simonie, Daisy. Bardzo chciałem znaleźć taki jeden, szczególny fragment, który podsumowałby istotę małżeństwa. Ale nie mogłem. Tylu wybitnych pisarzy, a

każdy mówi o wspaniałych rzeczach. Dzieli się z nami odczuciami, kiedy byli zakochani, co dla nich to wtedy znaczyło. Ale na wszystkie wielkie słowa Chaucera, Szekspira, Johna Donne'a i Wellsa, i wielu innych, nasuwa mi się tylko jedna konkluzja... – zaczyna się jąkać.

Słowa urywają się w zdławionym głosie. Podnosi szklankę wody i upija łyk. Całe towarzystwo jest z nim. Ja jestem z nim. Chłoniemy każde słowo padające z jego ust. To nie wyćwiczony chwyt. On nie próbuje celowo się z nami drażnić. Ma coś trudnego do przekazania. Odkłada kartkę. Mówi teraz prosto z serca. A ja – bardziej niż ktokolwiek na sali – chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. Podnosi głowę i tym razem, jestem całkowicie pewna, patrzy prosto na mnie.

– Moja konkluzja jest taka, że najpiękniejsze słowa kiedykolwiek napisane o małżeństwie zostały już dziś przeczytane: „Czy chcecie wytrwać w związku małżeńskim w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia?”.

Z całą pewnością minął się z powołaniem. Jest teraz winny publiczności, by przenieść się na ambonę. Ale jakby dłużej się nad tym zastanowić, może niekoniecznie, bo słowa brzmią zbyt seksownie jak na pastora. Może bardziej kariera aktorska. Goście zastygli w ciszy, atmosfera przesiąknięta jest szacunkiem i powagą. Luke mówi dalej.

– „Biorę cię za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci”.

To zbyt trudne. Zbyt bolesne. Próbuję złapać oddech. Ale nie mogę, bo ktoś rozrywa mnie na strzępy. Nikt się nie rusza. Wszystko jakby stało w miejscu. Nie słysząc jednego brzęku widelca, żadnego wyjącego dziecka.

– Chciałbym teraz wznieść toast za Daisy i Simona.

Ledwo udaje mi się stanąć na drżących nogach, przez łzy unoszę kieliszek i wyduszam z siebie: „Za Daisy i Simona”. Dookoła unoszą się achy i ochy. Odprężamy się i siadamy, czekając na odczytanie telegramów z gratulacjami. Ale Luke wciąż stoi, jeszcze nie skończył. Patrzy na Daisy i Simona.

– Mam nadzieję, Daisy, Simonie, że wybaczycie mi złamanie etykiety i kontynuowanie mowy po wzniesieniu toastu dla was.

Daisy i Simon kiwają beztrąsko głowami, zbyt upojeni szampanem i miłością, by przejmować się czymkolwiek.

– Chciałbym jedynie skorzystać z tej nadarzającej się okazji... – Luke, dla bezpieczeństwa, trzyma się formalnego języka – ... by podkreślić, że naprawdę wierzę w słowa tej przysięgi. Wierzyłem w nie dwa lata temu, kiedy mówiłem je mojej żonie, i wierzę w nie teraz.

Ludzie, którzy nas nie znają, zaczynają wiwatować i klaskać. Ludzie, którzy nas znają, siedzą nieruchomo. Niewielu gości ma pojęcie, do czego zmierza Luke. Pewnie tylko Daisy, Simon, Rose, Sam i Tarn. I ja. Ja rozumiem. Albo przynajmniej tak mi się wydaje. Czy mój mąż właśnie wyznał, że daje mi kolejną szansę? Czy nie dał do zrozumienia, że byłoby błędem

rozstawać się, zapomnieć, że jesteśmy jednym?

Właśnie to powiedział.

Przedziera się przez zgromadzony tłum, uprzejmie przyjmując komplementy za przemówienie, ale nie daje się odciągnąć sympatykom z obranego kursu. Staje na wprost mnie. Stoi tak nie dlatego, że zaaranżowałam spotkanie przed toaletami, ale dlatego, że sam tego chce. Jego oczy przeszywają mnie na wskroś. Penetrują moje myśli. Przeczesa włosy palcami i połyka ślinę.

– Nadal jestem w tobie zakochany.

– Kocham cię – mówię, ale nie jestem pewna, czy on mnie słyszy, bo ja ledwo rejestruję swój głos.

Przyciąga mnie do niego z siłą, z jaką żelazne opiłki przyklejają się do magnesu. Cała jestem na nim, on jest cały na mnie. W jednej chwili wszystko mi się przypomina. Jego szczere pożądanie. Jego słodka delikatność. Jego niepodważalna prawość. Czuję zapach ukochanej skóry, włosów. Całuje mnie. Smakuję jego szampański język. Czuję go. Jego zimne dłonie na mojej rozpalonej, zapłakanej twarzy. Jego gorące wargi na moich równie gorących wargach. Moje zimne dłonie na jego rozgrzanym ciele. Wszędzie. Dotykam go, łapię gorączkowo, trzymam mocno, ściskam. Znów. Ciało mojego męża.